

Jayne Castle

Orchidea

Nieoficjalne polskie tłumaczenie NN, książka niewydana w Polsce

Prolog

– Czas ucieka Panie Batt. – Rafe Stonebraker podniósł się powoli z masywnego, staromodnego krzesła w stylu okresu Późnej ekspansji. Miał pełną świadomość wrażenia, jakie ten niespieszny ruch wywołał na siedzącym naprzeciw niego człowieku.

Batt nie wzdrygnął się w pełnym tego słowa znaczeniu, ale elegancki malutki człowieczek wyraźnie zeszywniał.

– Ucieka?

– Miał Pan trzy tygodnie na znalezienie mi żony. Do dziś nie znalazł Pan wśród swoich akt nawet jednej odpowiedniej kandydatki. Czy mogę wiedzieć, na czym polega problem?

– Z całym szacunkiem Panie Stonebraker, ale nie łatwo znaleźć Panu odpowiednią partnerkę – Hobart Batt wyczarował profesjonalny, mający udobruchać rozmówcę, uśmiech, ale jego oczy zachowały ostrożny wyraz. – Ostrzegałem Pana w momencie rejestracji, że może trochę potrwać, zanim znajdziemy odpowiednią kandydatkę.

– Koneksje synergistyczne uważane są za jedną z najskuteczniejszych agencji matrymonialnych w Nowym Seattle – Rafe stojąc wpatrywał się w płomienie migoczące w ogromnym kominku. – W reklamie wspominacie, że wasz współczynnik sukcesu wynosi ponad dziewięćdziesiąt procent. Spodziewałem się lepszych usług ze strony Pana firmy, Panie Batt.

– Panie Stonebraker, zapewniam Pana, że robimy, co w naszej mocy, problem w tym, że...

– Tak? – Rafe odwrócił głowę, aby uważnie przyglądać się szczerzej, aczkolwiek niespokojnej twarzy Hobarta. – Na czym polega problem?

Hobart poruszył się niespokojnie pod uważnym spojrzeniem. Poprawił różową muchę i obciągnął rękawy perfekcyjnie skrojonej szarej marynarki.

– Będąc szczerym Panie Stonebraker, Pana, hmmm, jakby to powiedzieć, szczególna sytuacja sprawia więcej problemów niż z początku przewidywaliśmy. Musimy sprostać kilku poważnym wyzwaniom.

– Rozumiem. Chce Pan powiedzieć, że zadanie znalezienia mi żony znacznie przekracza możliwości Pana Agencji?

Eleganckie brwi Hobarta uniosły się tworząc jedną, wyrażającą

oburzenie, linię ponad oprawkami okrągłych złotych okularów.

– Zapewniam Pana, że robimy wszystko, co możliwe, aby znaleźć Panu odpowiednią partnerkę. Ale kombinacja Pana, raczej niespotykanego, talentu psychicznego oraz w pewien sposób bardzo restrykcyjnych, osobistych wymagań stanowi główną przeszkodę.

– Kiedy rejestrowałem się w Koneksjach Synergistycznych, zapewniono mnie, że firma zdobyła swą reputację ze względu na umiejętność kojarzenia nawet bardzo niezwykłych i rzadkich, wysokiej klasy talentów. – Rafe zdał sobie sprawę, że słowa: niezwykły i rzadki w dość oględny sposób opisywały talenty takie, jak on, których paranormalne zdolności nie mieściły się w normalnej skali.

Egzotyczny – to raczej częściej używany termin. Zacisnął mocniej szczękę. Tak jakbym był jakąś niespotykaną, dziką bestią pochodzącą z niezbadanych zakątków Świętej Heleny, dumiał.

– To prawda proszę Pana.

– Widział Pan mój certyfikat. Należę zaledwie do szóstej klasy. Przeciętny wynik. Nie rozumiem, dlaczego mój przypadek stwarza Pana firmie tak wiele problemów.

Papiery certyfikacyjne zostały oczywiście podrobione. Przygotował je kilka lat wcześniej prawdziwy ekspert w dziedzinie fałszerstw. Kosztowało go to niebotyczną sumę, ale pieniądze nie były problemem. Pieniądze nigdy nie stanowiły dla niego żadnego problemu.

Rafe zdobywał pieniądze w sposób, w jaki doświadczony piekarz piecze bułeczko-rogale – szybko, łatwo i skutecznie. Z jego szczególnym talentem psychicznym nie było trudno sięgnąć przed komputerem, przeanalizować rynki finansowe i podjąć decyzje, które zaowocują przewidywalnymi zyskami.

Przygotował fałszywe zaświadczenie, bo nie chciał pozwolić, żeby przeprowadzono na nim oficjalne testy w laboratorium. Psychiczne talenty nie były rzadkością wśród całej populacji. Praktycznie każdy dysponował jakimś rodzajem parapsychicznych zdolności. Ale większość ludzi doskonale wpasowywała się w jakiś poziom na konwencjonalnej skali rozróżniającej poziomy od jeden do dziesięciu. Udawano się do laboratorium, aby uzyskać dokładny wynik. Takie testy były rutynową czynnością, porównywalną do procesu uzyskania prawa jazdy, który miał miejsce mniej więcej w tym samym okresie życia. Indywidualne psychiczne zdolności wykształcały się, bowiem w pełni dopiero w wieku kilkunastu lat.

Paranormalne zdolności pojawiły się bardzo wcześnie wśród nie-

wielkiej populacji kolonistów umieszczonej na Św. Helenie około dwieście lat temu.

Psychiczne zdolności przybierały dwie podstawowe formy. Większość populacji zaliczana była do kategorii zwanej talentami, co oznaczało, że posiadała specyficzny rodzaj paranormalnej mocy, która mogła zostać aktywnie wykorzystana. Były wśród nich talenty iluzjonistyczne, hipnotyczne, ogrodnicze, diagnostyczne, techniczne, itd. Energia psychiczna generowana przez talent zapewniała właścicielom szósty zmysł. Ale w przeciwieństwie do pozostałych pięciu zmysłów dostęp do tego ostatniego był ograniczony do krótkich, nieprzewidywalnych i niekontrolowanych przebłysków, chyba, że korzystało się z pomocy Pryzmatu.

Pryzmaty stanowiły drugą, znacznie mniej liczebną kategorię osób ze zdolnościami psychicznymi. Energia paranormalna przybierała u nich zgoła odmienną formę. Pryzmaty posiadały bowiem umiejętność skupiania mocy, którą dysponowały Talenty, przez dłuższy okres czasu. Ekonomiczną implikacją takiego stanu rzeczy była sytuacja, w której przeszkolone, wysokiej klasy Pryzmaty zarabiały duże pieniądze sprzedając swoje usługi Talentom, które chciały przez dłuższy okres czasu, w sposób kontrolowany i przewidywalny, używać swoich paranormalnych zmysłów.

Ani talenty, ani pryzmaty nie rozkładały się równomiernie na paraskali.

Poważna większość w obu grupach zaliczana była do niższych lub średnich klas.

Bardzo nieliczne, talenty czy też pryzmaty, posiadały energię psychiczną, którą można było zaliczyć do klasy wyższej niż szósta.

W wieku lat piętnastu Rafe zorientował się, że talent, którym dysponuje jest nie tylko egzotyczny, ale również znacznie silniejszy niż przeciętny. Jego rodzice, obydwój nauczyciele akademicki z tytułem profesora Uniwersytetu w Nowym Seattle, byli rozczarowani, że syn nie odziedziczył ich talentu do nauczania i prowadzenia badań. Zamiast tego urodził się z pełno wymiarowym, odziedziczonym po jednym z dziadków, rzadkim parapsychicznie wrażliwym wycuciem strategicznym, często nazywanym w skrócie – talentem strategicznym.

Sprawę komplikował dodatkowo fakt, iż z całą pewnością znacznie wykraczał poza skalę dziesiątą, chociaż niemożliwe było stwierdzić jak bardzo, ponieważ instrumenty laboratoryjne nie były przy-

stosowane do mierzenia energii wykraczających poza klasę dziesiątą.

Przewidując w przyszłości komplikacje rodzina nalegała, aby ukrył rzeczywisty zakres swoich psychicznych zdolności. Intuicyjnie Rafe zrozumiał, że mają rację i posłuchał ich rady. Nikt nie musiał mu mówić, że siła jego paranormalnej mocy plasuje jego przypadek w ciemnych, niezbadanych rejonach leżących gdzieś daleko poza obszarem oficjalnie uznanego psychicznego spektrum.

Podobnie jak garstka znanych mu ludzi, którzy posiadali znacznie przekraczający przeciętny poziom parapsychiczny talent instynktownie starał się zachować ten fakt w największej, pilnie strzeżonej tajemnicy.

Istniała nazwa określająca ludzi, których talenty tak daleko wbiegały poza normę, że nie można było ich przebadac ani zmierzyć: wampiry psychiczne.

Oczywiście naukowcy twierdzili, że nie istnieje coś takiego, jak psychiczny wampir. Ponieważ nawet w obliczu takiego stwierdzenia, talenty spoza skali rzadko, jeżeli w ogóle, zgadzały się na przeprowadzenie testów, a sprzęt laboratoryjny i tak nie rejestrował mocy, która wykroczyła poza dziesiątą skalę, tak naprawdę nikt się o to nie spierał. Poziom rozwoju technologii wykreował klasyczny naukowy pat. Zdaniem naukowców coś, co nie dało się wykryć, ani zmierzyć nie istniało.

Ale wampiry psychiczne pełniły unikalną rolę w świecie współczesnej fikcji i filmu. Były w końcu doskonałą pożywką dla legend. Równocześnie fascynowały i wzbudzały odrazę. Rafe był świadom, iż książki opowiadające o przystojnych i seksownych super-talentach, które zniewalały urocze, niewinne przyzmaty i zmuszały je do ogniskowania tylko dla nich sprzedawały się szybciej niż mrożona herbata w środku lipca.

W rzeczywistości jednak nawet talent zaliczający się tylko do dziesiątej klasy miał duże trudności ze znalezieniem randki na sobotni wieczór. Ludzie szanowali talenty z końca skali, niektórzy nawet je podziwiali. Ale prawie każdy obawiał się trochę osoby, która posiadała niezwykle wysoki stopień parapsychicznego talentu, zwłaszcza, jeżeli był to szczególnie rzadki typ talentu. Moc o dużym nateżeniu, w jakiegokolwiek formie, sprawiała, że inteligentni ludzie stawali się niezwykle ostrożni.

Talenty wysokiej klasy często sprawiały kłopoty przy doborze partnera z dużym prawdopodobieństwem udanego związku. Egzo-

tyczne talenty wysokiej klasy stanowiły dla swatek jeszcze większy problem. Rafe zdał sobie sprawę, że jakikolwiek talent na tyle głupi, żeby przyznać się równocześnie do posiadania egzotycznego talentu oraz mocy psychicznej wykraczającej poza skalę najprawdopodobniej powinien w ogóle pożegnać się z życiem erotycznym.

Jego życie uczuciowe z pewnością nie zaliczało się do spektakularnych, a przecież miał plik podrobionych papierów, świadczących, że nie jest psychicznym wampirem.

– Muszę być z Panem szczerzy – Hobart bawił się swoimi elegancjami złotymi spinkami do mankietów. – To nie poziom pana psychicznych zdolności stwarza kłopoty. Tak jak Pan już powiedział szósta klasa to dla większości typów talentów całkiem normalny wynik.

– To w takim razie z czym dokładnie jest problem?

– To, hmmm, specyficzna natura pańskich zdolności parapsychicznych odrobinę komplikuje sprawy.

Rafe nawet nie drgnął. Bez słów wpatrywał się w Hobarta, aż synergistyczny doradca matrymonialny zaczął niespokojnie poprawiać się w fotelu. Zmartwiony, nieco zdesperowany wyraz pojawił się w oczach Hobarta. Rozglądał się wokół jak gdyby spodziewał się zobaczyć kogoś lub coś innego wchodzącego do pomieszczenia.

Rafe wiedział, że Hobarta dopadło właśnie uczucie zagrożenia. Pierwotny rodzaj nieufności oraz początki uczucia pewnego rodzaju strachu, które powodowały, że włosy jeżyły się na karku. Rafe westchnął i wysłał małą wiązkę energii psychicznej. Była to głupia salonowa sztuczka, ale działała za każdym razem. Powinien się wstydzić za używanie jej wobec bezbronnego Hobarta.

Obserwował jak Hobart odpręża się i lekko uśmiecha.

– Zdaję sobie sprawę, że nie ma zbyt wielu strategicznych talentów – powiedział Rafe. – Ale zapewnił mnie Pan, Panie Batt, że specjalizujecie się w swataniu rzadkich talentów.

– Niestety – gorliwie powiedział Hobart. – To okazuje się być znacznie większym problemem niż początkowo przewidywaliśmy. Może moje ostatnie sukcesy związane z niespotykanymi talentami w jakiś sposób zaważyły na mojej pewności siebie. Problem w tym, że większość osób ma bardzo mgliste pojęcie o tym, czym tak naprawdę jest talent strategiczny. Mam wrażenie, że panujące ogólnie przekonanie o talentach takich jak Pana nie dodaje zbyt otuchy.

– Chce Pan powiedzieć, że mój profil parapsychiczny odstrasza

potencjalne kandydatki na żonę?

– Będąc szczerym, tak. Obawiam się, iż pomimo, że mieści się Pan w normalnej skali, Pana talent jest uważany za raczej egzotyczny. Przykro mi, że muszę użyć tego terminu, ale tak właśnie jest.

Rafe w skupieniu wpatrywał się w ogień.

– Są jeszcze gorsze terminy dla określenia odmienności w postaci talentu strategicznego.

Hobart zacisnął usta.

– Tak, wiem.

Prymityw było jednym z nich, myślał Rafe. Innym popularnym określeniem był *Relikt*.

Nie potrzebował Hobarta, żeby ten wyartykułował przyczynę jego problemu.

Parapsychicznie wrażliwa strategiczna świadomość była uważana za znacznie bardziej rozwiniętą wersję pradawnego instynktu łowieckiego. Talenty strategiczne były uważane za urodzonych łowców, którzy, mówiąc w skrócie, myśleli jak myśliwi...

Wiele osób, w tym ekspertów, prywatnie uważało talenty strategiczne za paranormalne relikty procesu ewolucji. Posiadana przez nie energia była w znacznie większym stopniu synergistycznie połączona z najbardziej pierwotnymi zmysłami – wzrokiem, powonieniem, słuchem, dotykiem, niż jakiegokolwiek inne formy talentów parapsychicznych. A przynajmniej tak głosiła teoria.

Prymitywny. Rafe nauczył się nienawidzić tego słowa.

Istniało powszechne przekonanie, że ze względu na nieskomplikowaną naturę ich paranormalnej mocy talenty strategiczne miały bardzo ograniczony wybór zawodu. Wielu ludzi sądziło, że przeważająca większość schodzi na drogę przestępczą..

W wielu przypadkach opinia ta sprawdzała się. Ale naprawdę silne talenty strategiczne zazwyczaj radziły też sobie doskonale w świecie biznesu. Ich unikalne zdolności pozwalały im na właściwą ocenę rynków i konkurencji w sposób, w jaki ich prymitywni, przyziemni przodkowie szacowali możliwości stad dużych, włochatych bestii. Małe szturchnięcie tutaj, małe pchnięcie tam i już miało się całe stado wielkich włochatych stworzeń brnących bezradnie w bagnie lub pędzących w szalonym biegu w stronę klifu. Łatwa zdobycz.

Rafe wiedział, że on sam oraz ludzie jego pokroju mają opinię bezwzględnych. On wolał myśleć o sobie, że jest zdeterminowany.

Hobart spoglądał mu prosto w oczy, nie pozbawionym sympatii

wzrokiem.

– Obawiam się, że proces znalezienia Panu odpowiedniej partnerki zajmie znacznie więcej czasu, niż pierwotnie szacowaliśmy, Panie Stonebraker.

Rafe uniósł brwi.

– Ponieważ większość potencjalnych kandydatek zakłada, że mam powiązania ze światem przestępczym?

– Dokładnie zbadałem Pana pochodzenie i przeszłość, Proszę Pana. I nie będę wahał się zapewnić wszystkie potencjalne kandydatki, że nie wykazuje pan żadnych dewiacyjnych, czy też antyspołecznych zachowań.

– Doceniam to Panie Batt.

Hobart zdawał się nie słyszeć sarkastycznego tonu tego stwierdzenia.

– Powszechnie panujące przekonanie, że talenty strategiczne często schodzą na drogę zbrodni to niestety cześć ludowych mądrości, które musimy przewyciężyć. Istnieje jeszcze jeden popularny mit równie trudny do pokonania.

Rafe zmrużył oczy.

– Do jasnej synergii. Czy ma Pan na myśli to stare przesady, że talenty strategiczne to naturalne detektory kłamstw?

– No cóż, skoro Pan sam o tym wspomniał, to owszem, tak.

– Te przesady są głównie warte i Pan o tym wie.

Hobart skrzywił się.

– Tak Panie Stonebraker, jestem tego świadomy. Jednak...

– To kompletne nieporozumienie dotyczące natury talentów strategicznych. Prawdopodobnie wywodzi się ono z czasów, zanim synergiczni eksperci dopracowali metody testowania talentów.

– Tak oczywiście, proszę Pana. Niemniej jednak...

– Każda inteligentna, wykształcona osoba wie, że nie ma czegoś takiego, jak ludzki wykrywacz kłamstw. – Rafe machnął ręką w geście dezaprobaty. – Gdyby takie osoby istniały, to niepotrzebne były by nam sądy i procesy kryminalne.

Hobart lekko chrząknął.

– Byłby Pan zaskoczony jak mocno zakorzenione są stare przesady w przeciętnym człowieku, którego spotka Pan na ulicy.

– Nie chcę ożenić się z przeciętnym przechodniem z ulicy.

– Rozumiem Panie Stonebraker. Ale w ogólnym rozrachunku mamy tutaj poważny problem z Pana osobistym wizerunkiem.

Ostatnimi czasy był wręcz dręczony problemami z osobistym wizerunkiem, dumiał Rafe. Po tylu latach życia w zgodzie z własnymi zasadami, nagle musiał przejmować się tym, co myślą o nim inni ludzie. To diabelnie denerwujące.

– Nawet gdyby talenty strategiczne potrafiły wykrywać kłamstwa – tłumaczył cierpliwie – to co w tym takiego odpychającego? Przypuszczam, że zamierza mi Pan znaleźć rozsądną i szczerą żonę.

– Proszę się tylko zastanowić Panie Stonebraker – Hobart posłał mu bardzo wyważone spojrzenie. – Czy chciały Pan związać się węzłem małżeńskim z osobą, która zgodnie z Pana przekonaniem potrafi wykryć najdrobniejsze nawet, grzecznościowe, czy towarzyskie kłamstewko? Czy chciałby Pan żyć z żoną, która wie, że Pan kłamie, gdy mówi Pan, że w kostiumie kąpielowym wygląda, jak gwiazda filmowa? Okazjonalne, wypowiedane z gracją półprawdy są konieczne, aby wieść cywilizowane życie.

– W porządku, wiem, co ma Pan na myśli. Ale faktem jest, że nie posiadam żadnych magicznych zdolności sprawdzania, czy ktoś mówi prawdę, czy kłamie.

No, niezupełnie.

Prawdą było, że ta sama intuicja łowcy, która służyła mu doskonale w świecie biznesu oraz w uprawianiu hobby polegającego na prowadzeniu prywatnych śledztw wysyłała mu ostrzegawcze sygnały, gdy ktoś próbował go oszukać. Ale zapewniał sam siebie, że zjawisko to dalekie było od twierdzenia, że może wykrywać kłamstwo. Na pewno tego rodzaju wada charakteru nie powinna powstrzymać potencjalnej kandydatki od związania się z nim.

Hobart zerknął na niego.

– Więcej ludzi niż Pan przypuszcza ma awersję do pomysłu poślubienia talentu strategicznego. Boją się, że może istnieć ziarno prawdy w tych starych bajkach. Ale nawet te przestarzałe przesady, choć trudne do przewyciężenia, nie stanowią poważnego wyzwania Panie Stonebraker.

Rafe skrzyżował ręce i oparł jeden bok o szafkę z książkami.

– Chce pan powiedzieć, że mam jeszcze inne poważne wady?

– No cóż...

– Proszę mi powiedzieć, Panie Batt, czy dysponuję czymkolwiek, co można uznać za zaletę na małżeńskim rynku?

– Tak i nie.

– Co to ma znaczyć do jasnej synergii?

– Jednym z najpoważniejszych problemów nie jest to, że jest Pan talentem strategicznym, ale to, że jest Pan Stonebraker'em.

Do diabła. Liczył na to, że rodzinne nazwisko pozwoli mu pokonać komplikacje generowane przez naturę jego talentu.

– Wydawało mi się, że to jedna z moich nielicznych zalet.

– Tak i nie.

– Do diabła, Batt...

– Mam na myśli to, że oczywiście Pańskie rodowe nazwisko mówi samo za siebie. Każdy w Trzech miasto–stanach zna firmę Stonebraker Shipping. Nazwisko Stonebraker wzbudza ogromny respekt zarówno w wyższych kręgach społecznych, jak i w świecie biznesu. Pańska rodzina uczyniła wiele dobrego dla Nowego Seattle.

– Do sedna Batt.

– Sęk w tym – wspomniał ostrożnie Hobart – że zdecydował Pan nie angażować się w działalność Stonebraker Shipping. Nie podążył Pan śladami swego dziadka. Nie podjął Pan nawet kariery naukowej jak Pańscy rodzice. Zamiast tego zupełnie odciął się Pan od źródła rodzinnej fortuny.

– Aha – Rafe przymknął oczy w geście rezygnacji. – Wydaje mi się, że zaczynam rozumieć na czym polega problem.

Usta Hobarta zacisnęły się w wyrazie dezaprobaty.

– Sprawy przedstawiałyby się o wiele lepiej, gdyby zajął Pan miejsce należne mu w imperium Stonebrakerów.

Rafe pomyślał, że Hobart ma racje. Wśród istniejących wyzwań, to jedno było prawdopodobnie najtrudniejsze do pokonania dla profesjonalnej swatki.

Każda kobieta, którą udałoby się przekonać do pokonania awersji wobec perspektywy poślubienia talentu strategicznego, który dodatkowo należy do rodziny Stonebraker'ów, spodziewałaby się naturalnie, że będzie się poruszać w tych samych kręgach towarzyskich, co reszta klanu. On sam odwrócił się plecami do tych kręgów towarzyskich i rodzinnej fortuny w wieku dziewiętnastu lat.

Rafe rozważał ten problem z punktu widzenia myśliwego. W pewnym sensie był ofiarą swojej własnej strategii.

Tak jak stwierdził właśnie Hobart, praktycznie wszyscy, a przynajmniej każdy, kto miał minimalne nawet powiązania ze światem biznesu, słyszał o Stonebraker Shipping. Na szczęście, myślał Rafe, prawie nikt nie był świadomy obecnej, wysoce niebezpiecznej sytuacji w jakiej znalazła się firma przewozowa, założona przez jego

dziadka.

Był jeszcze czas, żeby ocalić przedsiębiorstwo, które było źródłem dochodów ponad dwóch tysięcy osób, włączając w to wielu członków rozległego klanu, uzależnionych całkowicie od firmy. Rafe pracował nad rozwiązaniem tego problemu dzień i noc od wielu tygodni. Zostały mu jeszcze tylko trzy miesiące, żeby poustawić na szachownicy wszystkie figury.

Jedną z najważniejszych i najbardziej zasadniczych figur była jego przyszła żona. Potrzebował zaprezentować swoją małżonkę radzie nadzorczej Stonebraker Shipping na dorocznym zebraniu, na którym zamierzał przedstawić swoje żądanie przyznania mu fotela Dyrektora Generalnego.

W jego przypadku żona miała pełnić nie tylko dekoracyjną rolę. Tradycja w firmie, jak również obyczaje panujące na Św. Helenie opowiadające się zdecydowanie za stanem małżeńskim, stanowiły, że tylko żonaty, poważnie zaangażowany człowiek może zostać wybrany na odpowiedzialne stanowisko Dyrektora Generalnego Stonebraker Shipping.

Jego głównym konkurentem do tej posady był ambitny kuzyn, Selby Culverthorpe, który od sześciu lat był przykładnym małżonkiem z dwójką dzieci.

Status Selby'ego jako człowieka posiadającego rodzinę, jak również jego długoletnia lojalność względem rodzinnego interesu dawały mu poważną przewagę w oczach konserwatywnej rady Stonebrakerów. Selby wręcz emanował wiarygodnością, dojrzałością, spokojem i lojalnością. Wszystkimi cechami charakterystycznymi dla grzecznego małego skauta z grona Ojców Założycieli.

Rafe, z drugiej strony, był boleśnie świadom, iż ma reputację tajemniczego, nieprzewidywalnego renegata będącego czarną owcą w rodzinie. Pomimo iż był prawnukiem starego Stonefaceda Stonbrakera i wnukiem obecnego Dyrektora Naczelnego, Alfreda G. Stonebrakera, nie mógł zaprzeczyć, że dawno temu odwrócił się od swojego dziedzictwa. Wszyscy członkowie klanu z dezaprobatą przyjęli jego decyzję wybrania innej drogi w życiu.

Furia Alfreda G. była doprawdy ogromna. Historia wojny pomiędzy dziadkiem a wnukiem urosła już do rozmiarów rodzinnej legendy. Alfred G. pozbawił Rafe'a wszelkich dochodów. Tych dwoje nie rozmawiało ze sobą od czasu tego gwałtownego rozłamu, który zniszczył tak bliskie aż do tamtej chwili relacje.

Każdy, kto wiedział cokolwiek o historii rodziny Stonebraker'ów miał świadomość, że Rafe nie ma dostępu ani do rodzinnej fortuny, ani do kręgów towarzyskich.

To miało się wkrótce zmienić. Niestety Rafe nie mógł publicznie ogłosić tego faktu. Gdyby to zrobił, straciłby jedyną przewagę, jaką miał w nadchodzącej bitwie o kontrolę nad przedsiębiorstwem Stonebraker. Jeszcze przez kilka tygodni potrzebował mieć w zanadrzu element zaskoczenia.

Potrzebował też żony, lub przynajmniej narzeczonej, która pomogłaby mu zmienić trochę jego wizerunek.

Ale ponieważ małżeństwo na Św. Helenie zawierało się raz na całe życie, zamierzał dokonać wyboru tak rozważnie i racjonalnie, jak to tylko możliwe.

Zgodnie z jego założeniami oznaczało to skorzystanie z usług dobrego biura matrymonialnego, tak jak czyniła większość inteligentnych ludzi. W zasadzie wszyscy zgadzali się, że pokolenie Ojców Założycieli miało rację, kiedy stworzyło system kojarzenia par i wzmocniło jego znaczenie za pomocą będących do ich dyspozycji uregulowań prawnych, zwyczajów oraz presji społecznej.

Zdarzały się małżeństwa zawierane bez pomocy profesjonalnej agencji, ale związki te były raczej rzadkie i powszechnie potępiane.

Teoretycznie biura matrymonialne takie jak Koneksje Synergistyczne, dysponujące naukowymi metodami oraz testami psychologicznosynergistycznymi, dawały największą szansę na zawarcie satysfakcjonującego obie strony związku.

Niestety wyglądało na to, że najlepsza w Nowym Seattle agencja, nie dawała sobie radę z jego przypadkiem, dumął Rafe. Miał nieprzyjemne uczucie, że przez ostatnie trzy tygodnie tylko tracił czas koncentrując się na rozstawianiu innych pionków i powierzając problem znalezienia żony Koneksjom Synergistycznym.

Zdał sobie sprawę, że Hobart wpatruje się w niego wyczekująco. Ale nie mógł mu zakomunikować, że zamierza zostać Dyrektorem Generalnym Stonebraker Shipping. W tym momencie zachowanie dyskrecji było kluczową sprawą. Zależał od tego cały plan ocalenia rodzinnych interesów. Gdyby Selby zaczął zbyt wcześnie podejrzewać, że Rafe planuje przejąć kontrolę nad firmą, miałby jeszcze trzy miesiące na podjęcie działań prewencyjnych.

Selby był zaledwie technicznym talentem, myślał Rafe, ale ostatnio obślizgły, mały drań wykazywał zadziwiający zmysł strategiczny.

– To nie znaczy, że nie pracuję zarobkowo Batt. – Rafe wyprostował ramiona i przeszedł przez pokój w kierunku niskiego, mocno rzeźbionego stołu.

Wyciągnął niewielką białą kartkę z pliku, który trzymał w kryształowej, bogato zdobionej czarze. Tłoczone, czarne litery układały się w słowa: Fundusz Synergistyczny.

Ruchem nadgarstka Rafe posłał wizytówkę w kierunku Hobarta.

Wylądowała na nieskazitelnie wyprasowanych kantach bladoszarych spodni Hobarta, który ostrożnie podniósł ją i zerknął na jej zawartość.

– Tak, tak, świetnie zdaje sobie sprawę, że zarządza Pan z wielkimi sukcesami funduszem zrównoważonym papierów giełdowych. Sam posiadam w nim udziały. Rozumiem, że Pana osobista sytuacja finansowa jest jak najbardziej korzystna.

– Nie o to mi chodziło.

Najwyraźniej Hobart nie był pod wrażeniem. Rafe postanowił nie pogarszać sprawy wspominając o swoim wieczornym hobby. W końcu pozwalał sobie na zajmowanie się prywatnymi śledztwami tylko wtedy, gdy był szczególnie znudzony lub niespokojny.

– Do czego Pan zmierza Panie Batt?

Hobart chrząknął znacząco.

– Na pewno zdaje Pan sobie sprawę, że wiele wyzwań, które nas czekają w związku z Pana wizerunkiem zostałyby skutecznie zniwelowanych, gdyby został Pan zatrudniony na wysokim kierowniczym stanowisku w Pana rodzinnej firmie.

Rafe uśmiechnął się chłodno.

– Ma Pan na myśli, iż jeżeli będzie wyglądało na to, że wreszcie spłynęło na mnie olśnienie, zdecydowałem się dołączyć do zacnego grona Stonebraker Shipping i poprzez to zacząłem się obracać w odpowiednich kręgach towarzyskich, niektóre spośród waszych klientów mogłyby przymknąć oko na to, iż jestem talentem strategicznym?

– Mówiąc szczerze, tak. – Hobart poczerwieniał, ale zachował zeterminowany wyraz twarzy. – To znacznie ułatwiłoby mi sprawę, gdyby sprawiał Pan wrażenie, że tak powiem, bardziej konwencjonalnego Stonebrakera.

Rafe pomyślał, że takie wrażenie było akurat tym, na co nie mógł sobie w obecnej chwili pozwolić.

– Spróbujmy z trochę innej strony, Batt. Może powinien Pan

przedstawić mi kilka spośród mniej idealnych kandydatek. Kto wie? Może będę w stanie wpłynąć na zmianę ich opinii na mój temat.

Oczy Hobarta rozwarły się sygnalizując niepokój.

– Chwileczkę. Jestem profesjonalistą Panie Stonebraker. Nie mam zamiaru dać Panu okazji do zastraszania którejkolwiek z moich klientek.

– Nie miałem na myśli zastraszania – zauważył gładko Rafe. – Miałem na myśli sztukę perswazji.

– Perswazji? – Spojrzenie Hobarta wyrażało sceptycyzm.

– Proszę dać mi szansę przekonania potencjalnych kandydatek na żonę, że ich osądy dotyczące ludzi posiadających taki talent jak ja są całkowicie błędne.

Zadziwiająco stalowy błysk pojawił się w oczach Hobarta.

– Zanim zacznie Pan rozważać przekonanie kandydatek do zmiany zdania na temat talentów strategicznych, jest jeszcze jedno działanie, które może Pan podjąć. Mogłoby ono znacznie uprościć sprawę.

– Co to takiego?

– Mógłby Pan zrezygnować z kilku niezwykle zawężonych osobistych wymagań względem kandydatek.

Rafe poczuł przyływ desperacji.

– Nie uważam, żeby moje wymagania były zbyt specyficzne. Nie wybrzydzam w kwestii koloru oczu, włosów, czy rozmiaru stanika. Myślałem, że postawiłem tą sprawę jasno.

– Miałem na myśli Pańskie nalegania, by przyszła żona była pryzmatem z pełnym widmem, między innymi.

– Zdaję sobie sprawę, że wiele agencji matrymonialnych uważa, że pryzmaty z pełnym widmem i wysokiej klasy talenty nie tworzą udanych par, ale jak już dzisiaj wspominaliśmy jestem zaliczany za ledwie do szóstej klasy. W tym punkcie akurat nie powinno być problemu.

– Nie, nie o to chodzi – Hobart machnął upierścienioną ręką w geście lekceważenia. – Tak się akurat składa, że całkiem niedawno zaprobowałem dwa związki z udziałem pryzmatów z pełnym widmem i wysokiej klasy talentów. Nie jestem już zwolennikiem starej teorii mówiącej, że takie pary nie mogą tworzyć trwałych małżeństw.

Rafe uniósł brwi.

– Znam Lucasa Trenta i Nicka Chastaina. Miałem przyjemność być na ich ślubach.

– No tak. Więc rozumie Pan.

– Rozumiem, że obaj sami znaleźli swoje narzeczone, a pan, Batt tylko potwierdził trafność wyboru. Podpisał się Pan pod tym, pomimo iż wielu profesjonalnych doradców matrymonialnych wahałoby się ze względu na stare przesady dotyczące łączenia ze sobą nietypowych talentów i pryzmatów. To jeden z powodów, dla którego zdecydowałem się skorzystać z Pańskich usług. Jest Pan uważany za najlepszego z branży i akceptuje Pan nowe pomysły.

Hobart spoglądał z wdzięcznością.

– Lubię myśleć, że jestem dobry w tym, co robię. W istocie uważam, że mam do tego powołanie. A moje doświadczenia z Panem Trentem i Chastainem nauczyły mnie, że trzeba mieć otwarty umysł, kiedy do głosu dochodzą bardziej tradycyjne poglądy na temat naukowego łączenia par.

– Więc moja prośba o pryzmat z pełnym widmem nie powinna Pana tak martwić, Batt.

Hobart skrzywił się.

– Być może będę mógł znaleźć Panu pryzmat z pełnym widmem, chociaż muszę wyznać, że nie wiem, dlaczego to dla Pana takie ważne.

Było ważne, chociaż Rafe nie potrafił wytłumaczyć tego samemu sobie, a tym bardziej Hobartowi. Jego wewnętrzne przekonanie przeczyło результатам wszelkich badań psychosynergistycznych zajmujących się tą kwestią, oraz powszechnym poglądom.

Zakładano, nie bez powodów, że istnieje naturalna antypatia pomiędzy wysokiej klasy talentami oraz pryzmatami z pełnym widmem. Silne talenty zazwyczaj miały żal do pryzmatów. Nie były zadowolone z faktu, iż natura uzależniła od pomocy tych ostatnich możliwość używania talentów w pełnym wymiarze psychicznej mocy.

Z kolei większość pełnowidmowych pryzmatów uważało wysokiej klasy talenty za aroganckie, sztywne i niezwykle wymagające. Koniec końców panowało powszechne przekonanie, że pryzmaty są niezwykle wybredne, gdy chodziło o znalezienie odpowiedniego partnera.

Ale od jakiegoś czasu w Rafie dojrzywało przekonanie, że potrzebuje kobiety, z którą mógłby tworzyć związek nie tylko na płaszczyźnie fizycznej, ale również metapsychicznej. Była to jedna z przyczyn, która doprowadziła go, aczkolwiek niechętnie, do zachowywania celibatu przez ostatnich kilka miesięcy.

Był już zmęczony narzuconą sobie samotnością, ale myśl o prze-

lotnym romansie nie budziła jego entuzjazmu. W pewien fundamentalny, prymitywny sposób czuł, którego to uczucia nie chciał bliżej zgłębiać, że już czas, żeby znalazł sobie partnerkę.

Nie powinno tak być. Paranormalne zdolności powinny być wolne od uprzedzeń związanych z płcią. Zasady dotyczące metapsychicznej płaszczyzny znacznie różniły się od tych związanych z płaszczyzną fizyczną. Każdy pryzmat powinien móc ogniskować dla każdego talentu bez żadnych odczuć natury seksualnej czy osobistej po którejkolwiek ze stron.

Tak przynajmniej twierdziła teoria.

Ale Rafe od dłuższego czasu podejrzewał, że egzotyczna natura jego talentu sprawiła, iż również w tej materii miał inne poglądy. Być może działało się tak dlatego, że jego psychiczna energia była tak mocno związana z fizycznymi zmysłami. Wiedział tylko, że jego pragnienie posiadania partnerki rozciągało się również na sferę metapsychiczną.

Była jeszcze inna, bardziej pragmatyczna przyczyna, dla której pragnął żony będącej pryzmatem z pełnym widmem. Jedną kwestią było ukrywanie swego pozaklasowego talentu przed partnerami biznesowymi, znajomymi, doradcami matrymonialnymi, czy nawet niektórymi członkami własnej rodziny. Ale nie było możliwości ukrycia zakresu jego paranormalnych zdolności przed własną żoną.

Stawiając sprawę jasno, musiał znaleźć kobietę, która nie oszalałaby kompletnie po odkryciu faktu, iż poślubiła mężczyznę, którego niektórzy nazwaliby wampirem psychicznym. Bazując na doświadczeniach dwójki swoich przyjaciół, Nicka Chastaina oraz Lucasa Trenta doszedł do wniosku, że pryzmat z pełnym widmem to najlepsza opcja.

Rafe nie wiedział jednak jak w dyplomatyczny sposób wytłumaczyć swoją unikalną potrzebę Hobartowi, więc skupił się na innym zagadnieniu.

– Co jest złego w tym, że mam pewne dosyć wąskie wymagania względem przyszłej żony? – powiedział. – W końcu zamierzam z nią spędzić resztę mojego życia, kimkolwiek ona będzie.

Hobart posłał mu spojrzenie pełne nagany.

– Nie uważa Pan, że to trochę zbyt zawężające wybranie, aby Pańska żona, poza byciem pełnowidmowym pryzmatem, była również wielbicielek meta–zen–synergistycznej poezji filozoficznej?

– Wydaje mi się całkiem uzasadnione, że chcę, aby dzieliła moje

upodobania co do literatury.

Hobart spiorunował go wzrokiem.

– A co z wymogiem, aby praktykowała również klasyczną meta–zen–synergistyczną sztukę ćwiczeń oraz medytacji? Jedyne kilka osób spoza grona tych pozbawionych kontaktu ze światem mędrców stłoczonych w Northville słyszało o meta–zen–synergii.

– Nie jest aż tak nieznana – bronił się Rafe.

– A dodatkowo pańskie żądanie, by była wielbicieleką nurtu Późnej Ekspansji w architekturze – Hobart powiódł pełnym rozpaczy spojrzeniem po pokoju oświetlonym światłem z kominka. – Bez obrazu, Panie Stonebraker, ale już niewiele osób darzy ten styl podziwem.

– To trzeba polubić.

– Czego nie robi prawie nikt – zripostował Hobart. – Każdy pośrednik handlu nieruchomościami powie Panu, że tego typu domy bardzo trudno jest sprzedać.

Rafe podążając za wzrokiem Hobarta objął pokój spojrzeniem. Prawdą było, że gotyckie elementy wystroju, charakterystyczne dla domów z okresu Późnej Ekspansji nie wszystkim przypadłyby do gustu. Nie potrafił nawet wyjaśnić, dlaczego jemu się podobały. Wiedział tylko, że łukowate klatki schodowe, misterne wzory na płytach ceramicznych i wymyślnie wymodelowane sufity wywoływały uczucie zadowolenia w głębi jego serca. Posunął się nawet do tego, że odrestaurował oryginalne kandelabry i kominki na galaretowaty lód, chociaż zainstalował również dyskretnie zakamuflowane nowoczesne oświetlenie, ogrzewanie oraz klimatyzację.

Przez kilka chwil starał się spojrzeć na swój dom oczami Hobarta.

Pięćdziesiąt lat temu ponura, przeładowana architektura Późnej Ekspansji była niezwykle popularna, być może w wyniku mocno przesadzonej reakcji na nadmierną żywiołowość poprzedzającego ją okresu Wczesnych Odkryć. Ale moda na ciemny i złowieszczy styl szybko przeminęła.

Obecnie wiele starych domów z tej dzielnicy było zamkniętych. Wyblakłe napisy „Na sprzedaż” zdobiły masywne bramy osłaniające długie, eleganckie podjazdy. Zielsko porastało miejsca, gdzie niegdyś najzdolniejsze talenty ogrodnicze pielęgnowały egzotyczne ogrody. Okna pozostawały ciemne nawet po zmierzchu, a ciągnące się wzdłuż ulicy chodniki były popękane.

Nie było wątpliwości co do tego, że okolica znacznie podupadła.

Większość znamienitych rodzin ze świata biznesu, które swego czasu wybudowała domy na tym właśnie wzgórzu, górującym nad miastem, dawno przeniosła się już do nowszych, modniejszych okolic.

Hobart miał rację, myślał Rafe. Jego dom na pewno nie zrobi dobrego wrażenia na nowoczesnej, wyrafinowanej kobiecie.

– W porządku – powiedział. – Może powinienem trochę spuścić z tonu w kwestii ostatniego wymogu. Moja przyszła żona nie musi lubić tego domu.

Hobart wzniósł oczy ku bogato zdobionemu sufitowi.

– To bardzo szlachetne z Pana strony, Panie Stonebraker.

– Słuchaj, Batt, jeżeli ta robota cię przerasta, tylko powiedz. Zarejestruję się w innej agencji.

Hobart wyprostował lekko zwieszony ramiona i zerwał się na nogi.

– Nie ma w Nowym Seattle innego biura matrymonialnego, który zaoferuje Panu lepsze usługi. Musi Pan po prostu uzbroić się w cierpliwość. Musi Pan pogodzić się z faktem, iż znalezienie dla Pana odpowiedniej partnerki zajmie trochę więcej czasu.

Ale czas był właśnie tą rzeczą, której nie miał w nadmiarze, dumiał Rafe.

Coraz jaśniej docierało do niego, że nie może polegać na Hobarcie Batt oraz Koneksjach Synergistycznych w kwestii znalezienia odpowiedniej żony w czasie tych kilku tygodni poprzedzających doroczne zebranie rady nadzorczej.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko wziąć sprawy w swoje ręce. Pozwoli Hobartowi nadal przekopywać się przez stopy akt w Koneksjach Synergistycznych. Nie mogło to w niczym zaszkodzić, a dodatkowo zwiększało szanse powodzenia całego przedsięwzięcia.

Ale w czasie, gdy Batt będzie bawił się aktami zarejestrowanych kandydatek, myślał Rafe, on zacznie własne polowanie. Był w końcu talentem strategicznym.

Polowania to przecież jego specjalność.

Pierwszą podstawową zasadą, którą kierował się myśliwy było udanie się w miejsce, gdzie znajdowała się zwierzyna. Pryzmaty z pełnym widmem nie były szczególnie rozpowszechnionym gatunkiem. Niektóre pracowały w laboratoriach, inne zajmowały stanowiska na uniwersytecie. Nie będzie łatwo spotkać i dobrze poznać wiele spośród nich w tak krótkim czasie, jaki mu pozostał.

Ale było jeszcze jedno miejsce, gdzie mógł spotkać pryzmaty z pełnym widmem. Wiele z nich pracowało, przynajmniej w niepełnym wymiarze godzin, dla agencji ogniskujących, gdzie żądały niebotycznych stawek za swoje usługi.

Czy może nastęczać wiele trudności wynajęcie i oszacowanie grupy niezameżnych pryzmatów z pełnym widmem spośród mnogiści okolicznych agencji? W Rafie narastał optymizm, tak charakterystyczny dla łowcy. Uczucie wyczekiwania ogarnęło wszystkie zmysły.

Sam zapoluje na swoją towarzyszkę życia, tzn. żonę, poprawił natchmiast w myślach. Zapoluje na swoją przyszłą żonę, nie towarzyszkę życia.

Towarzyszka życia brzmiała tak... prymitywnie.

No, polowanie w zasadzie też.

W porządku, sam poszuka swojej przyszłej żony.

Kiedy uda mu się zawęzić poszukiwania do niewielkiej grupy najbardziej obiecujących kandydatek, wtedy skontaktuje się z Hobartem, aby ten pomógł mu dokonać najlepszego wyboru.

Rozdział 1

Miesiąc później...

– Kradzione? – zszokowana Orchidea Adams z trudem zdołała powstrzymać odruch otworzenia szeroko ust ze zdziwienia. Nadal nie mogła się pozbierać.

Jedno musiała przyznać, ogniskowanie dla Rafe Stonebrakera nigdy nie było nudne. Wolno obróciła się na pięcie i zapatrzyła na tomy spoczywające w rzędach szklanych gablot ustawionych wzdłuż stalowych ścian nowoczesnej, klimatyzowanej podziemnej galerii.

– Żartuje Pani – wzięła głęboki oddech – wszystkie te książki są kradzione?

– Co do ostatniego tomu – Elvira Turlock uśmiechnęła się z dumą. Światło migotało na jej eleganckim srebrnym koku. – Włączając w to ten, który sprowadził tu dziś Panią i Pana Stonebrakera.

– Na jasną synergię! – wyszeptała Orchidea, czując wbrew sobie lekką obawę. To była zdecydowanie najdziwniejsza jak do tej pory sprawa Stonebrakera.

Elvira wyglądała na uradowaną jej reakcją.

– Moja nowa książka o poezji Morlanda robi niezłe wrażenie, nie sądzisz?

Orchidea oglądała uważnie cienką, oprawioną w skórę książkę w szklanej szafce. Sama nie umieściłaby jej w swojej bibliotece, ale nauczo ją, że trzeba być uprzejmym.

– Interesujące – zauważyła ostrożnie.

– Ojej – Elwira skrzywiła się. – Wszyscy wiemy, co oznacza słowo "interesujące", nieprawdaż?

Rafe wynurzył się z cienia.

– Nazywany jest Trzy.

Orchidea nie podskoczyła wprawdzie na dźwięk jego niskiego, mrocznego głosu, ale poczuła jak włoski jeża się jej na karku. Przypomniała sobie, że przecież wiedziała, że on tam jest. W końcu to on przywiózł ją dziś tutaj. Ale jej nowy klient był talentem strategicznym. Miał niezwykle denerwujący zwyczaj ukrywania się w zacienionych zakamarkach.

Prawie zdecydowała się odrzucić pierwsze zlecenie na początku

tego tygodnia. Jedynie kombinacja żalonych błagań i złowieszczych gróźb ze strony szefostwa ostatecznie przekonała ją do podjęcia się pracy dla Rafa.

– Nie pracuję z talentami strategicznymi – stwierdziła Orchidea, gdy Clementine Malone powiedziała jej o zleceniu. – Przyprawiają mnie o ciarki.

– Daj spokój. Z iloma dotąd pracowałaś?

– Jednym. – Orchidea zadrżała na samo wspomnienie. – I to wystarczy.

– Słuchaj. Wiesz, że pracuję nad wyrobieniem Psynergii odpowiedniej marki. Stonebraker to unikalny talent, a my chcemy przyciągać takie egzotyczne talenty.

– Są jeszcze inne egzotyczne talenty.

– Taaa – powiedziała Clementine – ale nie takie jak talenty strategiczne. Wiesz, jakie są rzadkie.

– Jak dla mnie nie dość rzadkie.

– Szczera uwaga – zauważyła Clementine – ale nie jesteś ostatnio w stu procentach sobą.

Orchidea skrzywiła się, ale postanowiła zignorować tą zaczepkę.

– Przydziel Stonebrakerowi inny pryzmat z pełnym widmem spośród twoich pracowników.

– Wszyscy już mają przydzielone zlecenia. Albo życie rodzinne lub nocne. – Clementine uśmiechnęła się z triumfem. – Co nie dotyczy jak do tej pory ciebie, jako osoby samotnej. Zresztą sama zawsze nalegasz na nocne zlecenia.

– Tylko dlatego, że w ciągu dnia piszę.

– Najwyraźniej Stonebraker też woli pracować nocami.

– Jasne. Pewnie przy pełni księżyców na dodatek.

Niektórzy ludzie porównywali talenty strategiczne do dzikich jaguaroleopardów w zoo. Fascynujących, ale niebezpiecznie nieposkromionych.

W świecie, gdzie praktycznie każdy dysponował w jakimś stopniu paranormalnym talentem i gdzie takie zdolności były uważane za naturalny aspekt ludzkiej natury, posiadanie parapsychicznie wrażliwego wyczucia strategicznego było postrzegane jako uwstecznienie, najogledniej mówiąc.

Po spotkaniu z Rafem Stonebrakerem Orchidea była gotowa odrzucić wszelkie teorie o prymitywizmie. Kimkolwiek by nie był, na pewno nie można było o nim powiedzieć, że jest prymitywny i niewy-

rafinowany, chociaż nie posunęła by się do stwierdzenia, że został oswojony.

Był dobrze wykształcony, odczytany, wysoce opiniotwórczy i przerażająco nietolerancyjny wobec tych, którzy nie potrafili myśleć tak jasno i logicznie, jak on. Inteligencja i świadomość płonęły w nim z mocą chłodnej, wszechpotężnej energii galaretowatego lodu.

Ale podczas ostatnich kilku tygodni odkryła, że talenty strategiczne nazywano niekiedy łowcami. Miały pewne niezwykle denerwujące nawyki. Przebywanie z jednym z takich osobników przypominało dostrzymywanie towarzystwa kameleono-kotu.

Zdażyła już odkryć, że jeżeli tylko spuści Rafe'a z oka chociaż na minutę bardzo łatwo może go zgubić. Nie znikał w dokładnym tego słowa znaczeniu, ale miał naturalny pociąg do znajdowania najbardziej odpowiedniego w danej chwili kamuflażu. Jeżeli miał ochotę, to wtapiał się w stolarkę. Jego zadziwiająca zdolność do stania w zupełnym bezruchu pozwalała przegapić go, gdy stanął w jakimkolwiek zacienionym miejscu. Zanim poruszył się sekundę wcześniej, całkiem malowniczo wtapiał się w ciemną przestrzeń stworzoną dzięki wąsko padającym dwóm źródłom światła usytuowanym na dwóch szklanych szafkach.

– Percy Morland był głównym stylistą szóstego pokolenia meta-zen-synergistycznych filozoficznych poetów.

W pozbawionym okien pomieszczeniu jego wyraźna dezaprobata otaczała ją jak wody jakiegoś mrocznego morza.

– Tak, wiem. – Tylko dzięki dużemu wysiłkowi woli Orchidei udało się zachować grzeczny ton wypowiedzi. Czy on myśli, że nie uczęszczała nawet na podstawowe zajęcia z literatury klasycznej?

Niewątpliwie, bez względu na to, jak bardzo był interesujący, a był zdecydowanie bardziej interesujący niż poezja meta-zen-synergistyczna, Rafe Stonebraker zaczynał ją wkurzać.

Orchidea upomniała samą siebie, że nie opłaca się denerwować klientów.

Clementine nie byłaby zadowolona, gdyby była niegrzeczna, szczególnie dla tego konkretnego klienta. Myśl ekskluzywnie – było ostatnim biurowym sloganem Clementine. Orchidea nie była przeciwniczką ekskluzywnego myślenia, ale zastanawiała się, czy Clementine zdaje sobie sprawę, jak bardzo egzotyczny był w rzeczywistości jej najnowszy klient. Rafe twierdził, że jest talentem strategicznym szóstej klasy i miał certyfikat, który to potwierdzał. Ale to

był już trzeci raz w ostatnim tygodniu kiedy z nim pracowała i mogła się założyć o równowartość swej królewskiej wypłaty, że posiadał znacznie większą moc, niż stwierdzono w zaświadczeniu.

Kiedy ogniskowała dla niego mogła niemal wyczuć samokontrolę, jaką sobie narzucał, aby utrzymać swoją energię na poziomie klasy szóstej. Wyczuwała w nim potężne pragnienie, aby użyć pełni swojej mocy. Zdawała sobie sprawę, że mocny pryzmat, który dla niego stworzyła, jeszcze tylko zaostrzył jego apetyt.

Trzy lata temu poznała inny talent strategiczny, którego pragnienie było równie wszechogarniające. Jednakże talent Calvina Hyde'a był dodatkowo skażony mrocznym cieniem zła. Ale już po pierwszej, bardzo ostrożnej sesji z Rafem, Orchidea zorientowała się natychmiast, że nie jest on drugim Calvinem Hydem.

Był być może irytujący, arogancki i doprowadzający do szału, ale nie było zła w jego talencie.

Oprócz nienasycenia wyczuwała w nim jeszcze inne rzeczy, które sprawiały, że wzrastał jej niepokój. W zasadzie wszyscy wiedzieli, że więź powstała w czasie połączenia powinna być zupełnie neutralna dla osobistych odczuć każdej ze stron.

Niesamowite poczucie intymności, którego doświadczała w czasie tworzenia metapsychofizycznego pryzmatu dla Rafa musiała być produktem ubocznym jej zbyt pobudzonej wyobraźni. Nie było innego logicznego wyjaśnienia. Ale to zdecydowanie nie było normalne zjawisko.

Na szczęście jak dotąd Rafe zdawał się być beztrudnie nieświadomy uczuć jakich doświadczała w czasie, gdy ogniskowała dla niego. Według jej opinii wydawał się kompletnie nieporuszony. Niemniej jednak, nawet jeżeli nie wzbudzał w niej strachu Orchidea zaczynała podejrzewać, że praca z nim w najbliższej przyszłości jest raczej kiepskim pomysłem. Z ich więzią zdecydowanie coś było nie tak.

Nagle Rafe ruszył w jej stronę, by stanąć tuż za nią. Uważnie studiował książkę ponad jej ramieniem.

– Większość ekspertów uważa, że Percy Morland był wysokiej klasy talentem wizjonerskim, który cierpiał z powodu okresowych napadów nie zrównoważonej energii na płaszczyźnie metafizycznej – powiedział.

– Słyszałam o tym – mruknęła Orchidea. Zastanawiała się, czy Rafe zdaje sobie sprawę jak bardzo jest irytujący, gdy zaczyna jeden ze swoich wykładów.

– Odmówił poddania się leczeniu – wtrąciła pomocnie Elvira. – Najwyraźniej Morland bał się paranoicznie laboratoriów psychosynergistycznych. Wydawało mu się, że naukowcy mogą zniszczyć jego artystyczną wizję, jeżeli pozwolą im spróbować wyrównać przepływające przez niego fale energii metafizycznej.

– Nie winię go za trzymanie się z daleka od laboratoriów. – Orchidea pomyślała przez chwilę o swoim niezwykle przykrym doświadczeniu z badaniami synergistyczno-psychologicznymi trzy lata temu. Ostatnio stare koszmary wróciły z pełną mocą. W tym tygodniu zdarzyły się jej już dwa razy. Gdybym mogła zarobić fortunę pisząc taką poezję, też nie chciałabym, żeby mi ktoś mieszał w moich paranormalnych falach energetycznych.

Elvira zachichotała.

– Świetnie powiedziane moja droga. Przypuszczam, że nie jesteś zagorzałą wielbicielką meta-zen-synergistyczno-filozoficznej poezji?

– Mówiąc szczerze, nie – przyznała Orchidea.

Rafe nawet nie próbował ukryć swojej desperacji.

– Dlaczego nie?

Zacząła się nie po raz pierwszy zastanawiać, dlaczego jej opinia miała dla niego znaczenie.

– Uważam, że to coś w rodzaju ślepego zaułka w literaturze. Bardziej prawdopodobne jest, że to kiepski żart narzucony światu literackiemu.

– Rozumiem – Elvira uniosła swoje delikatnie wygięte srebrne brwi. – To bardzo intrygująca myśl, że ryzykowałam tak wiele, po to, by ukraść poetycki żart.

– Ale podziwiam wyczucie pisarzy w kwestiach finansowych – dodała Orchidea. – W przeciwieństwie do większości poetów, stali się bogaci. Ich prace nadal zdobią półki każdej biblioteki w trzech miastach, a był czas, kiedy ich dzieła były naprawdę gorącym towarem na księgarskim rynku. Każdy, kto był kimś czytał te bzdety.

– Sam posiadam trzy oryginalne wydania w mojej kolekcji – powiedział Rafe niebezpiecznie neutralnym głosem. – Morlanda, Jenkinsa i Singha.

Orchidea wytłumaczyła samej sobie, że nie powinna dać mu się sprowokować. Ale ten facet miał nastawienie i to uczyniło ją zuchwałą. Pomyślała, że zawsze miała ten problem. Prawie słyszała już ssący dźwięk, ale nie mogła się powstrzymać, by nie zrobić jeszcze jednego kroku zagłębiając się bardziej w galaretowato-ruchomy pia-

sek.

– Trzeba to przyznać tym meta–zen–synergistyczno filozoficznym poetom – zauważyła radośnie. – Morland i jego koledzy byli sprytnymi ludźmi biznesu, nawet jeżeli ich twórczość brzmiała jak coś, co mógłby napisać przeciętny piątoklasista.

Zapadła krótka, aczkolwiek ciężka cisza.

– Przypuszczam, że wymagam zbyt wiele spodziewając się, że doceni Pani czystą i silną moc wizji zawartej w poezji meta–zen–synergistycznej – zauważył Rafe podejrzenie ugrzecznionym tonem.

Ton jego głosu był tak ostry, że Orchidea była pewna, iż mógłby kroić szkło.

Posiała mu swój najbardziej promienny uśmiech.

– Taa – powiedziała. – Za wiele Pan wymaga.

Zmrużył oczy.

– Równie dobrze możesz już odpuścić Rafe, mój drogi – w niebieskich oczach Elviry błyszczało rozbawienie. – Nie sądzę, abys był w stanie przekonać Panne Adams, żeby udawała, iż podziwia poezję filozoficzną.

– Najwyraźniej – stwierdził sucho Rafe.

Orchidea nie patrzyła w jego stronę, ale wiedziała, że w przeciwieństwie do Elviry Rafe nie jest rozbawiony.

Orchidea uśmiechnęła się beznamiętnie.

– Synergia, zbieżność, harmonia. Nawet chaos szuka równowagi – zacytowała gładko.

Oczy Elviry lekko rozwarły się w dowodzie uznania.

– Ależ to cudowne kochanie. Który meta–zen–synergistyczny poeta napisał te wersy?

– Ja. W piątej klasie u Pani Kramer.

Elvira roześmiała się.

– Punkt dla ciebie.

Rafe nie śmiał się. Mogła wyczuć w nim złowieszczy spokój, tak samo, jak wyczuwała aurę jego paranormalnej mocy. Była pewna, że gdyby odwróciła się teraz, by na niego spojrzeć ryzykowałaby brzydkie cięcie zadane ostrym jak nóż spojrzeniem jego stalowoszarych oczu, które wyrażały najwyższy stopień rozdrażnienia.

Zastanawiała się co go obchodziło, czy podziwia, bądź nie, skradziony tom poezji Morlanda? Pytanie to mogła dodać do długiej listy niewiadomych dotyczących Rafe'a Stonebrakera, która tworzyła przez ostatni tydzień.

Zupełnie nie wiedziała, co ma z nim zrobić. Czasami miała niepokojące wrażenie, że ją obserwuje. Albo raczej sprawdza, byłoby bardziej odpowiednim słowem, myślała. Tak czy siak, to dziwne wrażenie niezwykle ją irytowało.

Niestety, wbrew temu, co przewidywała w czasie rozmowy z Clementine, praca z Rafe'em sprawiała jej frajdę. Te zlecenia były bardzo różne i dużo bardziej interesujące od jej dotychczasowych zleceń na ogniskowanie. Zaczynała podejrzewać, że ma naturalny dar do prowadzenia prywatnych śledztw.

W czasie dwóch pierwszych zleceń asystowała Rafowi w odzyskaniu zaginionego obrazu z trzeciego pokolenia oraz wyśledzeniu obsypanego nagrodami, wyścigowego kucyko-wyżła, którego stajenny wykradł ze stajni.

Szybko stało się jasne, że prowadzone przez Stonebrakera śledztwa to sprawy wysoko poufne. Rafe wzywany był, gdy jego klienci nie chcieli zwracać na siebie uwagi prasy i policji.

Dzisiejsze zlecenie było jednak jak dotąd najbardziej wyjątkowe. Orchidea w dalszym ciągu zastanawiała się, po co właściwie Rafe ją zatrudnił. Była prawie pewna, że wiedział, kto jest odpowiedzialny za kradzież cennego woluminu jego klienta jeszcze zanim zadzwonił do Psynergii i poprosił o jej usługi.

Co czyniło sprawę jeszcze dziwniejszą, Elvira Turlock nie wydawała się ani trochę zaniepokojona faktem, że została przyłapana z niezwykle cennym skradzionym tomem. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że jest z siebie niesamowicie dumna prezentując książkę Orchidei i Rafe'owi.

Orchidea miała wrażenie, że Elvira i Rafe to starzy znajomi, którzy dawno temu nawiązali jakieś quasi-profesjonalne kontakty.

Elvira zerknęła na Rafa.

– Przypuszczam, że musisz zwrócić mojego Morlanda Georgeowi.

– Wynajął mnie, żebym to zrobił – powiedział Rafe przeprasząco.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała Elvira.

Orchidea chrząknęła dyskretnie.

– Georgeowi?

– George Yeager – w ciepłym głosie Elviry brzmiała dziwna tęsknota – mój stary znajomy.

Orchidea zamrugła.

– Ukradłaś tę książkę dobremu znajomemu?

Elvira zachichotała.

– A Dlaczego by nie? Jakies sześć miesięcy temu zwinął mojego Kingsleya. Musiałam wyrównać rachunki.

– Nie rozumiem. – Orchidea przenosiła spojrzenie od Elviry do Rafe'a. – Czy to jakiś rodzaj gry?

Rafe wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. Praktycznie nic nie dało się wyczytać z wyrazu jego surowego, grubo ciosanego oblicza.

– George i ja traktujemy to jak swego rodzaju wyzwanie – lekkim głosem wyjaśniła Elvira. – Coś jak regaty wioślarskie, albo turniej tenisa-golfa. Celem jest oczywiście zaaranżowanie tego tak, by wyglądało, że winny kradzieży jest ktoś zupełnie inny.

– Wyzwanie – powtórzyła Orchidea. Głęboko w jej mózgu zapaliło się światełko. – Chyba już rozumiem.

Elvira posłała jej chytry uśmiech.

– George i ja jesteśmy wdowcami. Może wyjaśniłoby wiele, gdybym napomknęła, że my dwoje jesteśmy dla siebie kimś więcej niż dobrymi przyjaciółmi. Nasze małe przygody dodają smaku naszemu związkowi.

Elvira i nieznany George byli więc kochankami. Orchidea uśmiechnęła się szeroko.

– Ależ Pani Turlock, to niesamowicie romantyczne.

– Do jasnej synergii! – Rafe był całkowicie zde gustowany. – To nie jest romantyczne. To kompletna strata czasu dla nas wszystkich.

Orchidea rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Dlaczego tak narzekasz? Płacą ci, żebyś wyszedł złodzieja, nawet jeżeli prawie od początku wiesz, kto stoi za kradzieżą. To dla ciebie łatwo zarobione pieniądze.

Rafe zacisnął szczękę.

– To nie zawsze jest takie proste. George i Elvira za każdym razem wyłazą ze skóry, żeby mnie również zmylić.

– Rzeczywiście tak robimy – potwierdziła Elvira. – To część gry. – Spojrzała badawczo na Rafe'a. – Powiedz, czy zmylił cię któryś z pozostawionych przeze mnie śladów?

– Użycie miniaturowej piły dwutarczowej do rozcięcia szafki dało mi trochę do myślenia.

– Miałam nadzieję, że tak się stanie – w głosie Elviry pobrzmiwała satysfakcja. – To znak firmowy Edisona, nie mój.

– W porządku, już wiem, o co w tym wszystkim chodzi – powie-

działa Orchidea. – Pani i Pan Yeager od dłuższego czasu rywalizujecie ze sobą, Pani Turlock. Ale co z resztą tych starych książek? Powiedziała Pani, że są kradzione. Czy one też pochodzą z prywatnej kolekcji Pana Yeagera?

– Ależ nie, kochanie – Elvira uśmiechnęła się. – Cała reszta to innego rodzaju nabytki.

– To oznacza, że zostały skradzione z innych prywatnych kolekcji – mruknął Rafe.

– Rozumiem, to znaczy, myślę, że rozumiem. – Orchidea spoglądała na Elvirę spokojnie. – Wydaje mi się, że niezbyt martwi się Pani możliwością aresztowania.

Pani Turlock Elvira promieniała.

– Nieszczęśliwie.

– Mogę spytać dlaczego? – Orchidea zerknęła na Rafe'a. – Rozumiem, że Panu Stonebrakerowi zapłacono jedynie za odnalezienie książki Pana Yeagera, a nie za oddanie Pani w ręce władz. Ale co z kolejnym prywatnym detektywem, albo policjantem, który przyjdzie szukać u Pani zaginionej książki?

Elvira wyglądała na lekko zdumioną.

– Ależ kochanie, jedyną osobą, o którą muszę się martwić jest Stonebraker. Jak do tej pory żaden inny prywatny detektyw lub policjant nie odkrył mojego małego hobby, polegającego na zbieraniu książek. Jestem prawym i poważanym członkiem społeczności. Kto by mnie podejrzewał? Poza Rafe'em oczywiście?

Miała rację. Sama Orchidea z trudem mogła uwierzyć, że bogata, obracająca się w eleganckim towarzystwie Elvira Turlock, zasiadająca w zarządach większości najważniejszych organizacji charytatywnych w Nowym Seattle, której fantastyczne przyjęcia przeszły już do legendy, jest złodziejem książek.

– Ale prędzej czy później... – nalegała Orchidea.

– Jak już mówiła, to mało prawdopodobne – Rafe rzuciła Elvirze wiele mówiące spojrzenie. – Pani Turlock ostrożnie rozważa planowane nabytki. Kradnie tylko z prywatnych kolekcji bardzo ograniczonej liczby właścicieli.

Orchidea zerknęła to na Rafe'a, to na Elvirę.

– Nie bardzo rozumiem.

– Pozyskuję moje książki od osób, które nie mogą pójść na policję. – Elvira machnęła wdzięcznie mocno upięścienioną dłonią w kierunku tomów zdobitych szklane gablotki. – Każdy z widocznych

tu woluminów przed zabraniem przeze mnie został już kiedyś skradziony od kogoś innego.

Orchidea uniosła brwi.

– Rozumiem. Kradniesz od innych złodziei, którzy nie mogą zgłosić tego na policję, bo najpierw musieliby sami przyznać się do kradzieży.

– Dokładnie – Elvira skinęła głową z aprobatą. – To ogranicza ryzyko. Niemniej jednak mam te same problemy z zabezpieczeniami, co inni kolekcjonerzy bawiący się amatorsko kradzieżą i książek i sztuki.

– Innymi słowy – wtrącił Rafe – ona też obawia się złodziei. Pani Turlock też nie może pozwolić sobie na wezwanie policji.

Orchidea pokiwała głową.

– Stąd ten najnowocześniejszy system zabezpieczeń w tym pomieszczeniu?

– W rzeczy samej – Elvira posłała uśmiech Rafe'owi. – Znowu go zmodernizowałam. Może zechcesz zerknąć na najnowsze rozwiązania. Całkiem sprytne, jeżeli mogę wyrazić moją opinię.

Błysk czegoś, co mogło zostać uznane za profesjonalne zainteresowanie pojawił się w oczach Rafe'a.

– Dziękuję. Z przyjemnością.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. Ale najpierw musicie mi potowarzyszyć przy herba-kawie i deserze. Po twoim telefonie dziś wieczorem kucharzowi przygotować pyszną jago-gruszkową tartę. Z tego, co pamiętam bardzo lubisz jago-gruszki.

– Moje ulubione – odpowiedział Rafe. – Jak miło z twojej strony Elviro, że o tym pomyślałaś.

Orchidea ledwo mogła uwierzyć w to, co słyszy. Teraz jak gdyby nigdy nic zaczęli omawiać tarty z owoców, zupełnie ignorując fakt, iż stoją otoczeni skradzionymi książkami wartymi kilka milionów dolarów.

– Przepraszam bardzo – wtrąciła lakonicznie. – Ale, skoro już Pan ze mną skończył, Panie Stonebraker, to na mnie już najwyższy czas.

Rafe patrzył na nią bez mrugnięcia oka.

– Ale ja jeszcze z Panią nie skończyłem, Panno Adams.

Przebiegł przez nią dreszcz niepokoju. Nagle bardzo trudno było się jej odwrócić od tego głębokiego, zimnego spojrzenia. Znikąd pojawiła się nagle obezwładniająca potrzeba ucieczki, ale czuła, że nie mogłaby się ruszyć, nawet, gdyby od tego zależało jej życie.

Tak właśnie musi się czuć losio-jeleń oddzielony od stada przez myśliwego, pomyślała nagle.

Co się z nią działo? Miała lekką klaustrofobię, ale podziemna galeria nie przeszkadzała jej aż do tej pory. Uczucie mrowienia rozchodziło się po płaszczyźnie metapsychicznej, pobudzając jej wszystkie zmysły – fizyczne i psychiczne.

Poniewczasie rozpoznała słabą wiązkę aktywnie emitowanej parnormalnej energii. Talent szukający pryzmatu. Dosłownie chwilę później wiązka znikła. Ale Orchidea zdążyła już rozpoznać unikalny rodzaj psychicznej energii Rafe'a. Nie wiedziała, czy celowo chciał ją rozdrażnić tym przebłyskiem surowego talentu strategicznego, czy krótkotrwały kontakt był wynikiem przypadku. Skłaniała się raczej ku pierwszej opcji.

Pierwotny strach zamienił się we wściekłość.

– Co ty u licha wyprawiasz?

– Przepraszam – Rafe skierował swoją uwagę na najbliższą gablotę z książkami – to był wypadek.

Elvira spoglądała to na jedno, to na drugie z lekkim zdziwieniem.

– Czy coś się stało?

– Ależ skąd. – Orchidea zdobyła się na coś, co w jej mniemaniu miało być chłodnym, profesjonalnym uśmiechem. – Pan Stonebraker pozwolił wymknąć się wiązce talentu na płaszczyznę psychiczną. Myślałam, że może chce ogniskować, ale najwyraźniej po prostu stracił na chwilę kontrolę nad talentem.

Zerknęła na Rafe'a kącikiem oka. Touche, pomyślała, kiedy zobaczyła jego kamienny wyraz twarzy. Mogłaby przysiąc, że się zarumienił. Wiedziała, że go zawstydziła.

Każdy mężczyzna wyposażony w tak monumentalną dawkę samokontroli byłby wysoce oburzony protekcyjnym przypuszczeniem, że nie panuje całkowicie nad swoim talentem psychicznym. Ale nie mógł się o to spierać.

Gdyby zaprzeczył, tym samym przyznałby po cichu, że przebłysk talentu strategicznego był zamierzony. A to by oznaczało, że chciał ją zdenerwować.

– Rozumiem. – Elvira zbyła całe wydarzenie uroczym uśmiechem i odwróciła się, by podążyć wzdłuż korytarza galerii. – Skoro już tu jesteście, to może pokażę wam resztę mojej kolekcji? Z oczywistych przyczyn bardzo rzadko mam przyjemność zaprezentowania moich zbiorów komuś postronnemu.

Orchidea unikała wzroku Rafe'a. Pomyślała, że być może ten krótki impuls energetyczny był przypadkowy. A może przesadza. Była zmęczona, przypomniawszy sobie. Niespokojne sny, przerwane dwoma pełnowymiarowymi koszmarami, zakłócały jej sen przez ostatnie kilka dni. Co więcej, tego ranka zadzwonił Morgan Lambert, żeby poinformować ją o śmierci Theo Willisa.

To nie był dobry tydzień.

– Jestem szczególnie dumna z mojej kolekcji historii drugiego pokolenia Faya – Elvira zatrzymała się, by wskazać na rząd oprawionych w skórę grzbietów. – Czyż nie są śliczne?

Orchidea uśmiechnęła się.

– Lubię je. Czytałam je w szkole średniej.

Elvira rzuciła jej wiele mówiące spojrzenie.

– Nie jestem zaskoczona, że przemawiają do ciebie, kochanie. Rafe jednak jest zdania, że Fay zbyt romantyzował drugie pokolenie kolonistów. Czy nie mam racji, Rafe?

– Nie interesuje mnie styl romantyczny – stwierdził Rafe.

– Jasne – uśmiechnęła się Orchidea. – Założę się, że nie czytałeś żadnej z moich książek, prawda?

Jego brwi złączyły się w lekceważącym geście.

– Nie.

– Nie przejmuj się. I tak byś ich nie polubił. Za bardzo romantyczne.

– Osobiście, uwielbiam Pani książki, Panno Adams – wtrąciła Elvira. – W rzeczy samej kolekcjonuję je. Legalnie, oczywiście. Byłam bardzo podekscytowana, gdy Rafe poinformował mnie, że przypro-wadzi dziś Panią ze sobą. Byłabym zachwycona, gdyby przed wyjściem podpisała mi Pani książkę.

– Będę zaszczycona – zgodziła się Orchidea.

– Cudownie. A teraz pozwólcie, że pokaże wam małą kolekcję kry-minałów Espinosy. – Elvira skrzyła i poprowadziła ich kolejnym ko-rytarzem ze stali nierdzewnej. – A tak przy okazji Rafe, przypomnij mi zanim wyjdiesz, że chciałam złożyć zamówienie na kolejne tysiąc udziałów w Funduszu Synergistycznym.

Orchidea zerknęła na niego.

– Fundusz synergistyczny?

– Moja stała praca – mruknął. – Jestem prezesem i głównym do-radcą finansowym.

Talenty strategiczne były zazwyczaj utalentowanymi biznesmena-

mi, przypomniwała sobie.

– Rozumiem.

I kto by się domyślił? Wszystko stawało się coraz dziwniejsze.

Była świadoma obecności Rafe'a kroczącego tuż obok niej. Gdyby ktoś nie wyczuwał subtelnej aury energii, którą emanował, mógłby stwierdzić, że nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Był średniego wzrostu i wyglądało na to, że jest w świetnej kondycji fizycznej. W ciemnym swetrze i spodniach prezentował się szczupło i muskularnie. Jego prawie czarne włosy były przycięte znacznie krócej, niż nakazywała obecna moda.

Był to być może nieszczęśliwy przypadek, biorąc pod uwagę jego szczególny psychiczny talent, że został obdarzony śmiałymi i twardymi rysami twarzy oraz intensywnym spojrzeniem myśliwego, myślała.

– Zerknij proszę na mojego nowego Inchmana, Rafe – Elvira wskazała mały tomik. – Uwielbiam go, ale mam niemiłe przeczucie, że to może być fałszerstwo. Przypuszczam, że byłaby w tym jakaś ironiczna sprawiedliwość. Chciałabym usłyszeć opinię kogoś postronnego, a z wiadomych przyczyn, nie mogę się zwrócić z tą sprawą do profesjonalisty...

Przerwała w pół zdania, kiedy włączył się nagle wysoki, elektroniczny sygnał, który przenikał stalową galerię. Dźwięk nie był bardzo głośny, ale uderzał w nerwy Orchidei z dziwną intensywnością. Poczuli nagle, że robi się jej słabo.

Wyraz dotkliwego niepokoju przebiegł po twarzy Elviry.

– Ojejku.

Rafe skrzywił się, jak gdyby odczuwał ostry ból. Zatkał sobie uszy rękami.

– Na jasną synergię. Przypuszczam, że to nowy system zabezpieczeń?

– Obawiam się, że tak. – Elvira przymknęła oczy i przyłożyła dłoń do czoła. – Instalator ostrzegł, że na początku może się zdarzyć kilka fałszywych alarmów. Obawiam się, że mamy problem.

– Zrób coś. – Orchidea czuła się tak, jakby stała na dziobie statku, którym rzucają gwałtowne fale. Próbowwała utrzymać równowagę opierając się ręką o ścianę. – Wyłącz to.

– To właśnie jest problem. – Elvira zachwiała się i posłała Orchidei przepaszające spojrzenie. – Nie mogę. Nie z tego miejsca. Obawiam się, że następne będą światła.

Rafe przestał zakrywać uszy dłońmi i szybko zaczął się przemieszczać w kierunku drzwi na samym końcu galerii. Przed oczami mignęło jej jego ponure oblicze i zdała sobie sprawę, że czuje się tak samo źle, jak pozostali.

Być może nawet czuł się jeszcze gorzej dumiała, czując szczerą sympatię.

W końcu był talentem strategicznym. Powszechnie sądzono, że tego rodzaju osoby mają bardziej wyczułone fizyczne zmysły niż przeciętni ludzie, nawet gdy nie angażowali w ich używanie swojej psychicznej energii. Mogła sobie tylko wyobrażać, jak to dziwne, powodujące dezorientację wycie syren, wpływa na jego słuch i równowagę.

– Dlaczego nie wyłączysz tego ktoś z twojego personelu? – Wołał Rafe do Elviry zbliżając się do drzwi.

– Dałam im dziś wieczór wolne, kiedy dowiedziałam się, że wpadniesz z wizytą – głos Elviry brzmiał bardzo słabo. – Nie ma tu nikogo oprócz nas.

Światła umieszczone ponad gablotami na książki zgasły nagle pograżając stalowe pomieszczenie w egipskich ciemnościach.

– Tylko tego nam było trzeba, by uatrakcyjnić ten czarujący wieczór.

– Co jest z tą syreną? – Orchidea potrząsnęła głową próbując oczyścić umysł. – Z jakiegoś powodu sprawia, że tracę przytomność.

– Tak została zaprojektowana. Generowane przez nią fale dźwiękowe zakłócają naturalną synergię połączeń ucho-mózg i wywołują poczucie dezorientacji. – Głos Elviry przypominał teraz cienki szept. – W zasadzie to sama czuję, że zaraz zemdleję.

– Elviro. – Głos Rafe'a brzmiał ostro. – Drzwi zamykane są od zewnątrz. Jesteśmy uwięzieni w tej twojej przeklętej galerii.

– Talent kryptologiczny, który instalował system zaprojektował to tak, aby potencjalny złodziej, któremu uda się tu zostać, został zamknięty w śroku i pozbawiony przytomności.

– O dobra synergio, jesteśmy uwięzieni w jakiejś wymyślnej pułapce na włamywaczy. – Orchidea masowała czoło. Wydawało się, że jeszcze chwila, a straci przytomność. Każda możliwość wydawała się bardziej nęcąca niż to uczucie, że zaraz zwymiotuje. – Nie czuję się najlepiej w ciemnych, zamkniętych pomieszczeniach.

– Tylko nie odlatuj – zakomenderował Rafe. Jego głos dobiegał z bliskiej odległości. – Mam już dosyć problemów ze znalezieniem dru-

giego wyjścia.

Pomimo narastających nudności Orchidea poczuła się urażona.

– Nigdy nie odlatuję. – Kiedy wreszcie dotarły do niej jego słowa poczuła promyk nadziei. – Jakie inne wyjście?

– Musi jakieś być. Elviro?

– Tak, mój drogi? – Spytała na wpół sennie.

– Skup się. Znam sposób myślenia talentów kryptologicznych i znam twój sposób myślenia.

– Oczywiście, że znasz mój drogi. W końcu jesteś talentem strategicznym.

– Ty i ktokolwiek zaprojektował ten system, musieliście zaplanować jakieś rozwiązanie na wypadek tego rodzaju katastrofy. Gdzie jest drugie wyjście?

– Masz rację, jest jeszcze jedno. Gdzieś tutaj. Nie mogę się skupić. Tak mi przykro, mój drogi. To szalenie niewygodne. Właściwie nawet żenujące.

Z cichym westchnieniem oparła się całym ciałem o Orchideę, która zachwiała się pod niespodziewanym ciężarem.

– Oooh, Rafe, trzymam ją. Myślę, że straciła przytomność.

– Wezmę ją.

Nie słyszała, żeby się poruszył, ale w następnej chwili poczuła, że otarł się o jej ramię. Uwolnił ją od ciężaru Elviry.

– Na razie położę ją na podłodze – powiedział Rafe.

Głowa Orchidei pulsowała coraz mocniej w bezkresnej ciemności.

– Lepiej nie podchodź do mnie za blisko. Jest mi trochę niedobrze. Moja szefowa nigdy mi nie wybaczy, jeżeli zwymiotuję na buty klienta.

– Ja też nie będę tym zachwycony. – Ponownie poruszył się w niezgłębionej ciemności. – Chwyć mnie za rękę, Orchideo.

– Łatwo ci powiedzieć. Zdaje mi się, że nie dam rady chwycić niczego. Myślę, że zaraz zemdleję.

– Jeżeli to zrobisz, to zażądam zwrotu pieniędzy od Clementine Malone. No chodź, musimy zaleźć drugie drzwi.

– To ty jesteś talentem strategicznym u szczytu sławy. Jakies pomysły?

– Taaa. Muszę tylko pomyśleć jasno przez minutę. – W jego głosie słychać było teraz nieskrywany ból. – Cholera. Ta syrena naprawdę daje w kość mojemu słuchowi.

Nagle coś jej przyszło do głowy.

– Więż.

– Nie wiem, czy to taki dobry pomysł. Nie wiemy, jak ta syrena wpłynie na ogniskowanie.

– A co mamy do stracenia? – zapytała. – Jestem za tym, żebyśmy spróbowali.

– Dobra, dobra. Masz rację. Nie mamy nic do stracenia.

Kiedy sondująca wiązka czystej energii pojawia się na platformie psychicznej Orchidea powitała ją z dużo większym entuzjazmem niż kiedykolwiek do tej pory.

Energia psychiczna Rafe'a płonęła pewnym i mocnym strumieniem w metapsychofizycznej rzeczywistości, gdzie nie było dnia, ani nocy, światła, ani ciemności.

Natychmiast po stworzeniu migoczącego kryształowego pryzmatu, który mógł skupić jego moc wszystko się uspokoiło. Okropne pulsowanie ustało.

Energia strategicznego talentu, dużo czystej energii, więcej niż kiedykolwiek zdarzyło jej się odbierać w całej swojej karierze uderzyła z mocą w pryzmat, który stworzyła.

– Tak jest lepiej, znacznie lepiej. – Głos Rafe'a był zachrypnięty z ulgi. – Zdecydowanie dobry pomysł.

– Dzięki. To część pakietu ekskluzywnych usług oferowanych przez firmę Psynergia. – Orchidea wypuściła wstrzymywany do tej pory oddech. – Tylko nie zapomnij wspomnieć o tym mojej szefowej. Użyję tego argumentu, gdy będę prosić o podwyżkę.

Uczucie nudności zmalało, gdy odzyskała fizyczną i przestrzenną równowagę. Nadal oślepiła ją nieprzenikniona ciemność, a fale okropnego dźwięku raniły jej zakończenia nerwowe, ale zorientowała się, że jest w stanie powstrzymać najgorsze efekty działania systemu bezpieczeństwa skupiając się na ogniskowaniu.

Uważnie analizowała pozaklasowy strumień mocy, który przelewał się przez migoczący kryształowy pryzmat, który stworzyła na płaszczyźnie psychicznej.

– Z tego, co pamiętam w certyfikacie pisało, że jesteś szóstką – mruknęła bardzo ugrzecznionym tonem.

Nastąpiła krótka, pełna napięcia cisza.

– Wydaje mi się, że doskonale radzisz sobie z moim talentem – Rafe stwierdził sucho. – To oznacza, że masz moc wykraczającą poza pełne widmo. Znacznie wykraczającą. W zasadzie teraz, kiedy mam okazję ogniskować z tobą na tym poziomie wydaje mi się, że pry-

zmat, który stworzyłaś jest jakiś inny. Co to takiego?

Orchidea była nagle bardzo wdzięczna za otaczające ją ciemności.

Uniemożliwiły one Rafe'owi zauważenie jak się czerwieni. Przynajmniej, błagając w myślach, pamiętając o jego paranaturalnie wyczulonych zmysłach, miała nadzieję, że uniemożliwiło mu to zauważenie rumieńca wypływającego na jej policzki.

– Jestem lodowym pryzmatem – wymamrotała. Aż do dzisiejszej nocy nie miała powodów, by demonstrować Rafe'owi pełnię swoich możliwości.

– Jesteś czym...?

– Lodowym pryzmatem.

Znowu zapadła cisza.

– Słyszałem o tym, ale nigdy żadnego nie spotkałem.

– Nie ma nas zbyt wiele.

– Czy prawdą jest to, co opowiadają o lodowych pryzmatach? – W jego głosie brzmiało szczere zaciekawienie. – Naprawdę możesz modyfikować pryzmat, który stworzysz?

– Panie Stonebraker, czy ma Pan na najbliższą przyszłość plany związane z uwolnieniem nas z tego miejsca, czy będziemy tak stać i gadać przez całą noc?

– Jasne. – W jego głosie wyczuć można było nutę rozbawienia. – Ale musisz przyznać, że to zakrawa na prawdziwą ironię. Para psychicznych wampirów spotyka się w ciemnościach. Prawie jak w powieści. Może nawet w jednej z twoich?

Istotnie, sytuacja ta była wręcz krępująco podobna do jednej ze scen w jej najnowszej książce, "Mroczne pragnienia", ale nie miała zamiaru mu o tym wspominać.

Na płaszczyźnie metapsychicznej chaotyczne strumienie energii przepływały przez pryzmat, aby wylaniać się z niego w całkowicie uporządkowanych, olśniewających pasmach energii. Orchidea wiedziała, że tak długo jak ukierunkowywała dla niego strumienie energii, Rafe mógł używać ich, tak samo sprawnie, jak pozostałych zmysłów.

Fale energii talentu strategicznego wyglądały inaczej niż inne rodzaje energii paranormalnej. Kolory były głębsze, mocniejsze, mniej przezroczyste.

Wibrowały na trochę innych częstotliwościach, wzmagając prawdziwy instynkt łowiecki i budziły do życia zmysły już dawno zatracone przez ludzkość. Dlatego właśnie eksperci uważali je za bardziej

prymitywne w ewolucyjnym tego słowa znaczeniu.

Psychiczna energia Rafe'a była gwałtowna i wszechmocna, ale czysta, nawet na tym poziomie intensywności. Nie była skażona mętnymi odcieniami zła i rodzącym się szaleństwem, które kładły cięń na talent Calvina Hyda.

Obserwowała zauroczona jak energia wzbiera na płaszczyźnie metapsychicznej. Cudownie było ogniskować na najwyższym poziomie jej własnych zdolności. Pomyślała, że urodziła się, aby to robić. To było jak zerwanie się do biegu, po całym życiu wolnego spacerowania.

Wiedziała, że nie tylko ona rozkoszuje się tym doświadczeniem. Wyczuwała radosną satysfakcję Rafe'a. Zdała sobie sprawę, że pewnie rzadko, jeżeli kiedykolwiek, miał okazję ogniskować na tym poziomie, przez tak długi okres czasu.

– Do jasnej synergii! – W jego głosie słychać było lekkie oszołomienie. – To jest wspaniałe, niesamowite.

Uśmiechnęła się do samej siebie. Potrzeba zaimponowania mu zagłuszyła zdrowy rozsądek. W końcu była przecież lodowym pryzmatem. I to takim, który rzadko miał okazję pokazania pełnej skali swoich możliwości.

Myślisz, że to wspaniałe? Myślała. To popatrz na to.

Przestudiowała niuanse talentu strategicznego Rafe'a, notując rytm fal, subtelne różnice w barwach, strukturę płynącej energii.

Używając niesamowitej kontroli, jaką rozwinęła nad swoją energią psychiczną wprowadziła drobne poprawki w ognisku. Małe udoskonalenie tutaj, drobne wyostrenie mocy tam...

Pryzmat załśnił, kiedy rozpoczęła pracę nad miriadami kryształowych fasetek. Gdy skończyła, metapsychiczna konstrukcja była tak olśniewająco przejrzysta, że wydawało się, iż mieni się światłem jakiegoś wewnętrznego słońca.

Usłyszała jęk Rafe'a. Wziął głęboki, drżący oddech obserwując, jak jego potężny talent skupia się z nadnaturalną wręcz jasnością i precyzją. To był ten rodzaj żywiołowego dźwięku, jaki mógłby wydać z siebie w momencie seksualnego spełnienia, myślała Orchidea, zafascynowana. W odpowiedzi jej brzuch załała fala zmysłowego gorąca.

To śmieszne. Wzięła kilka meta–zen–synergistycznych oddechów, by odzyskać samokontrolę.

– Tak jakbyś stworzyła pryzmat specjalnie dla mnie – wyszeptał

Rafe.

- Tak zrobiłam.
- Perfekcyjne ognisko.
- Mówiłam ci, że jestem lodowym pryzmatem.
- Więc to prawda...Nigdy nie sądziłem... – Przerwał nagle.

Orchidea wzięła jeszcze parę kontrolowanych oddechów i przywołała meta-zen-synergistyczną mantrę. Równowaga i harmonia, recytowała monotennie w duchu. Równowaga i harmonia są kluczem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było zrobienie z siebie idiotki przez najekskluzywniejszym klientem Clementine.

Nie czuła niczego chociaż w części porównywalnego do fizycznego przyciągania, gdy ogniskowała dla Calvina Hyda trzy lata temu. Wszystko, czego doświadczyła przy tej okazji to zupełne, kompletne obrzydzenie.

Więc skąd ten nagły przyływ pragnienia, w czasie ogniskowania dla Rafe'a?

Nawet teraz, w środku kryzysowej sytuacji, była świadoma pełnego pasji uczucia intymności, tęsknoty za czymś więcej, czymś, czego nie była w stanie opisać. Po pierwszym zleceniu ogniskowania dla niego zapewniła samą siebie, że te dziwne efekty uboczne nawiązania połączenia znikną, jak tylko przyzwyczai się do pracy z jego nietypowym talentem.

Ale pogłębianie tej znajomości nie doprowadziło do nudy, a tym bardziej do zwyczajowej, emocjonalnej neutralności, która charakteryzowała typową wieź.

- Wolałabym nie spędzić tutaj reszty nocy – zauważyła z werwą. – Masz jakiś pomysł, gdzie ten talent kryptologiczny mógł umieścić drugie wyjście?

- Jestem przecież talentem strategicznym, pamiętasz? Potrafię znajdować różne rzeczy.

- Nawet w ciemności?

- Szczególnie w ciemności. Jak myślisz, dlaczego wolę pracować nocami?

Rozdział 2

– I co? Czy znalazłeś szparę, która jak sądziłeś tam będzie? – Głos Orchidei brzmiał nagłaco.

– Tak. – Rafe przesunął ręką wzdłuż ściany. Jego skupiony, wyczulony zmysł dotyku podpowiadał mu, że to miejsce, to więcej niż spojenie dwóch stalowych paneli. Czuł nikły ślad ...ucieczki...aha. – Jest. Tam, gdzie myślałem, że będzie.

– Żartujesz? – W jej głosie pobrzmiwała ostrożna ulga. – Naprawdę je znalazłeś?

Dotarło do niego, że nie wierzyła zbyt, że uda mu się odnaleźć drugie drzwi.

– Dobrze wiedzieć, że cały czas we mnie wierzyłaś.

– Tak..., cóż, nie żebym nie wierzyła w twoje umiejętności, ale...

– Zapomnij o tym.

– Obraziłam cię, prawda?

– Jakoś przeżyję.

– Miło mi to słyszeć – zauważyła. – Ale musisz przyznać, że miałam powód do zmartwienia. Nie mogę nawet dojrzeć własnej dłoni. Twoje szanse na znalezienie ukrytych drzwi były raczej marne.

– Nie, nie były. Szanse, że znajdę wyjście były całkiem spore. Wszystko, co ukryje talent kryptologiczny, ja potrafię znaleźć.

W galerii było tak ciemno, jak we wnętrzu sarkofagu, ale z jego paranormalnie wyostrzoną świadomością Rafe nie potrzebował światła, żeby widzieć, co robi.

Mógł sobie poradzić bez oświetlenia, myślał. To, czego naprawdę potrzebował, to zimny prysznic. Orchidea stała zdecydowanie za blisko. Jej unikalny, wstrząsająco kobiecy zapach rozpraszała go nawet w normalnych okolicznościach. Dla jego paranormalnych, wyczulonych zmysłów był jak mocny narkotyk. Prawie wyczuwał żar jej ciała, a nawet go nie dotykała. Do diabła, czuł też gorączkę swojego ciała. Prawie płonął z szalonego pożądania, które zawsze ogarniało go, gdy nawiązywał więź z Orchideą.

Prymitywny. Przemknęło mu przez myśl. Kontrolował się przecież, myślał.

Nie był zwierzęciem. Wziął kilka meta-zen-synergistycznych oddechów, żeby się uspokoić. Potem odsunął na bok szafkę z książkami. Tylko kilka minut zajęło mu odnalezienie charakterystycznej

szpary pomiędzy panelami ze stali nierdzewnej. Teraz musiał tylko jeszcze znaleźć ukryty mechanizm otwierający awaryjne wyjście.

Bułko–rogal z masłem w normalnych okolicznościach. Ale prawdziwe wyzwanie z oddechem Orchidei na karku. Martwiło, go, że przesadził z ogniskowaniem kilka minut temu. Orchidea wiedziała już, że nie jest szóstką.

Nie chciał, żeby tak szybko to odkryła biorąc pod uwagę ich wciąż mało stabilny związek. Nie wydawała się specjalnie zmartwiona, że jego talent wykracza poza skalę, ale to nie miało znaczenia.

Problem polegał na tym, iż w tej chwili nie panował w pełni nad sobą. Efekt działania systemu alarmowego na jego rozpalone zmysły był niezwykle bolesny. Był spięty, podenerwowany i desperacko pragnął uciec. Niesamowity pryzmat Orchidei przyniósł mu cudowną, odurzającą ulgę. Ale na tym sprawa się nie kończyła i dobrze o tym wiedział.

Mógł winić wibrującą syrenę i wyjątkowość całej sytuacji za swoją porażkę przy kontrolowaniu przepływu mocy, ale był świadom, że nie był to jedyny powód, dla którego posiał zbyt szybko, zbyt dużą dawkę energii na płaszczyznę psychiczną.

Prawda była taka, że im dłużej pracował z Orchideą, tym chciwiej pożądał tego doświadczenia. W całym swoim życiu nigdy nie miał okazji posłać przez pryzmat pełnej wiązki swojego talentu. Nieliczne talenty, takie jak on miały taką szansę, ponieważ nawet jeżeli otwarcie przyznały się do skali własnych zdolności, to prawie niemożliwe było znalezienie pryzmatu, który mógłby to wytrzymać.

Parę minut temu nie zauważył granicy, przypadkowo użył za dużej dawki energii i odkrył, że Orchidea radzi sobie z nią i jedyne o czym teraz myślał, to następne ogniskowanie bez ograniczeń.

Najchętniej, kiedy będzie się z nią kochał. Jej obraz – nagiej, otwartej i chętnej pod nim, kiedy będą nawiązywać połączenie prawie roztrzaskał w drobny mak jego z trudem utrzymywaną kontrolę. Kontrola, myślał. Kontrola jest kluczem.

Oddychał głęboko, używając techniki meta–zen–synergistycznej medytacji, aby odzyskać panowanie nad sobą.

Znalezienie delikatnej szpary w stalowej ścianie pod obrazem w całkowitej ciemności było niczym w porównaniu z rozwiązaniem jego najbardziej palących problemów, zdecydował Rafe. Wyglądało na to, że wreszcie znalazł prawdopodobną kandydatkę na żonę i wszystko w niej było nie tak. Poza faktem, że była niezwykle mocnym, w zasa-

dzie, zapierając dech w piersiach mocnym, pełno widmowym plus więcej pryzmatem, Orchidea Adams nie spełniała żadnego z kryteriów, które podał Hobartowi Battowi.

Po pierwsze wyraźnie się go obawiała. Miał wrażenie, że jeżeli wykona jeden fałszywy ruch, to ona odejdzie w środku zlecenia. Ale wyglądało na to, że odprężyła się znacznie po ich pierwszej sesji. Tak, jakby udało mu się zdać swego rodzaju test. Okazywał umiarkowany optymizm.

Jednakże wkrótce okazało się, że nie mają praktycznie żadnych wspólnych zainteresowań.

Spierali się na wszystkich polach, począwszy od harba-kawy, poprzez jej garderobę, która jak zaobserwował składała się wyłącznie z wyblakłych jeansów, wyciągniętych swetrów i czarnych podkoszulków, aż do jej umiłowania romantyzmu.

Jednym z najbardziej denerwujących aspektów całej tej sprawy był fakt, że on zdawał się denerwować ją, tak samo jak ona jego. Ale tak, jakby zdołał jakimś cudem, bez ostrzeżenia, rozwinąć w sobie nowe masochistyczne pragnienia, cały czas wracał po więcej.

Rzucała się w oczy, ale nie była piękną. Była smukła, o delikatnej budowie kośćca. Ale zdecydowanie nie blada, delikatna, czy słodka. Poruszała się z energią i gracją. Jej czarodziejskie, zielone oczy wyrażały niebezpieczną mieszankę pewności siebie i szelmostwa. Jej czarne, długie do ramion włosy otaczały twarz emanującą żywą inteligencją. Nosila się z pewnością siebie, tak często charakterystyczną dla pryzmatów o pełnym widmie. Wszyscy wiedzieli, że mają one skłonność do arogancji.

Ironiczne w tym wszystkim było to, że biorąc pod uwagę jej karierę jako pisarki, prawdopodobnie okazałaby się jedyną na milion kobietą, która polubiłaby jego dom. Miał niemiłe podejrzenie, że tak wyobrażała sobie miejsce, gdzie powinien mieszkać psychiczny wampir.

To dlaczego, do jasnej synergii, wydawała mu się tak bardzo odpowiednia?

Przez ostatni miesiąc wyszedł każdą agencję ogniskującą w mieście w poszukiwaniu pryzmatu z pełnym widmem, który okazałby się obiecującą kandydatką na żonę. Wydał małą fortunę na zatrudnienie jednego pryzmatu po drugim, tylko po to, żeby stwierdzić, że nie czuje nic, ani w czasie więzi, ani poza nią.

W końcu po odwiedzeniu sporej liczby agencji dotarł do niewiel-

kiej Psynergii. Kiedy Clementine Malone przedstawiła go Orchidei na początku tego tygodnia poczuł, że jego wszystkie zmysły, związane z talentem strategicznym, bądź nie, budzą się do życia. Gdzieś głęboko w środku niego coś drżało z niecierpliwości, jeszcze zanim atrament zdążył wyschnąć na kontrakcie.

To coś nadal tam było. I mogło okazać się wysoce żenujące, jeżeli nie będzie ostrożny, myślał, zupełnie zde gustowany swoim brakiem opanowania.

Wybór odpowiedniej żony to zbyt ważna decyzja, by pozostawiać ją hormonom, przypomniał sam sobie.

Chciałby wiedzieć, czy Orchidea czuła cokolwiek w czasie ich sesji. Jeżeli nawet tak było, to wspaniale to ukrywała.

– Co się dzieje? – spytała ostro Orchidea. – Robisz jakieś postępy? A do tego wszystkiego miała jeszcze zwyczaj zrzędzić.

Użył swoich ultrawrażliwych koniuszków palców, by odnaleźć ukrytą w podłodze dźwignię.

– Mam.

– Dzięki Bogu! Nie wiem, czy wytrzymałabym kolejne pięć minut w tym miejscu.

– Ja też nie bawię się najlepiej.

Rafe zdecydował, że to niezbyt mądry pomysł powiedzieć jej, że gdyby musiał spędzić z nią w ciemności kolejne pięć minut zaczęłyby chyba wyc do bliźniaczych księżyców, Yakimy i Chelana, nawet jeżeli nie mógłby ich zobaczyć.

Zdecydowanie zły ruch. Bardzo prymitywny. Nastawiony na odstraszenie potencjalnej małżonki. Cholera. Już zaczynał o niej myśleć, jak o swojej towarzyszce życia. Rzeczy działały się zbyt szybko. Wymykały się spod kontroli. Musiał zawrócić znad tej przepaści i zastanowić się, zanim posunie się o krok dalej.

– Wygląda na to, że nie masz większych trudności, z poruszaniem się po tym grobowcu – zauważyła roztropnie Orchidea.

– Nie, nie mam.

– Wiesz, kontakt w czasie więzi pozwolił mi zorientować się, że masz świetne wycucie, w którym miejscu galerii się znajdujemy, ale nie przybrało to formy obrazu. Przynajmniej nie dla mnie. Czy naprawdę widzisz w ciemności?

– Doskonale widzę w ciemności. – Odnalazł malutki przełącznik, który uruchomił mechanizm. – To jeden z moich największych atutów. – Chociaż Hobart nie uważał, żeby to była dobra karta przetar-

gowa, w przypadku poszukiwania przyszłej żony, myślał.

– Ale czy naprawdę rozróżniasz przedmioty w takich zupełnych ciemnościach? – W głosie Orchidei nagle pobrzmiwało zadziwiające zainteresowanie.

– Nie, oczywiście, że nie. Przynajmniej nie w sposób, jaki masz na myśli. Nikt nie może widzieć przy zupełnym braku światła. – Zawahał się. – Używam... innych zmysłów.

– Masz na myśli słuch? Dotyk? Węch?

– Coś w tym rodzaju... – Zastanawiał się, do czego to wszystko zmierza. – Trudno to wyjaśnić. Jest jeszcze coś innego.

– Hmm. Nie wiem, czy chciałabym mieć lepiej rozwinięty zmysł węchu. – Nastąpiła krótka przerwa. – Czy to nie przeszkadza trochę, gdy jesteś w zatłoczonym pokoju, albo wynosisz śmieci?

Rafe poczuł na twarzy denerwujące ciepło. Minęło już wiele lat od chwili, kiedy został tak zawstydzony przez kobietę. Na szczęście Orchidea nie mogła w tym momencie zobaczyć jego twarzy.

– Zmysł węchu działa inaczej, gdy jest wzmocniony energią paranormalną – powiedział sztywno. – Nie odbiera bodźców tak samo na płaszczyźnie metapsychicznej.

– Och..., no cóż, a co z pozostałymi zmysłami, o których mówiłeś? Tymi, które nazwałeś czymś innym.

Zawahał się na moment z ręką na drzwiach będących ich przepustką do uwolnienia się z tej pułapki. Zastanawiał się, dlaczego wybrała akurat ten moment, by zadawać osobiste pytania.

– Nie ma dla tego nazwy. Nie mogę tego opisać. Mogę tylko powiedzieć, że to pewnego rodzaju świadomość. – Intuicja myśliwego, pomyślał.

– Interesujące.

– Czy masz jeszcze jakieś pytania zanim spróbuję otworzyć te przeklęte drzwi?

– Przepraszam, nie chciałam być zbyt wścibska.

Złapał dźwignię ręką i ostrożnie za nią pociągnął. Usłyszeli jęk stalowych zawiasów. Zaraz potem poczuli powiew powietrza. Chwilę później awaryjne oświetlenie z ciasnej klatki schodowej zalało galerię.

– Udało ci się! – Orchidea pospieszyła w stronę wyjścia. – Mój Boże, naprawdę ci się udało. Znalazłeś wyjście.

– Jak mówią, każdy ma jakiś talent, nawet najmniejszy. – Rafe wstał z podłogi i minął ją wychodząc na klatkę. – Jak znam talenty

kryptologiczne, to gdzieś tutaj musi znajdować się awaryjny wyłącznik tych syren.

Prawie natychmiast wypatrzył zieloną dźwignię.

– Zgadza się. Zobaczymy jak działa.

Pchnął dźwignię do przodu i koszmarnie wycie wreszcie ustało.

– Co za ulga. – Orchidea chwyciła krawędź stalowych drzwi i ciężko się o nie oparła. – Powiedz mi, czy tego typu rzeczy zdarzają ci się często w czasie twoich prywatnych śledztw?

– Nie. – W dziwnym zielonym świetle awaryjnym mógł zauważyć spięty, zmęczony wyraz jej oczu. Dbał o to, by angażować ją jedynie w sprawy o nikłym stopniu fizycznego zagrożenia. Ale po tym, co się dzisiaj stało równie dobrze może odmówić dalszej współpracy z nim.

Wstrząsnął nim dreszcz strachu. Może nie była dokładnie tą osobą, której szukał na kandydatkę na żonę. Ale co będzie, jeżeli już więcej jej nie zobaczy?

Rafe zrobił krok do przodu. Wyciągnął rękę, żeby dotknąć jej ramienia.

– Orchideo? Czy wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnęła się blado. – Tylko daj mi minutę. Lepiej zajmij się biedną Panią Turlock.

– Pójdę po nią. – Minał Orchideę i wtedy się zawahał. – Słuchaj, jest mi bardzo przykro. Nigdy nie przypuszczałem, że coś takiego może, się wydarzyć.

– Oczywiście, że nie. Hej, nie przejmuj się tak. Ze mną wszystko w porządku, naprawdę. – Wyprostowała się i z determinacją odsunęła od drzwi. – Właściwie, to było nawet fascynujące. Muszę przyznać, że praca z tobą nigdy nie jest nudna.

– Nie wiem, czy to komplement.

Jej uśmiech pojaśniał. W jej zamglonych, zielonych oczach rozbawienie zastąpiło napięcie.

– I do tego uwolniłeś nas z tego okropnego miejsca.

– Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

– Będąc szczerą, to jestem pod wrażeniem. Obawiałam się, że zostaniemy uwięzieni w tej pułapce do czasu, aż ktoś z personelu Pani Turlock nas znajdzie.

– Nie musisz mi przypominać, że wątpiłaś w moje możliwości uwolnienia nas.

Uśmiechnęła się.

– Następnym razem będę miała trochę więcej wiary w twój talent

strategiczny.

Spłynęło na niego uczucie ulgi.

– Następnym razem?

– Jasne. Wiesz, wydaje mi się, że mam naturalny dar do prowadzenia prywatnych śledztw.

Godzinę później Rafe jechał do domu, szyby w samochodzie były opuszczone. Potrzebował rześkiego nocnego powietrza, które pomoże mu oczyścić umysł. Wciąż rozmyślał nad uwagą Orchidei.

Naturalny dar do prowadzenia prywatnych śledztw. Czy jedyne, co w nim widziała, to możliwość zabawy w prywatnego detektywa?

Z roztargnieniem zauważył mały, czarny wóz zaparkowany na krawężniku, w czasie kiedy czekał, aż brama tarasująca podjazd otworzy się szerzej. Pojazd nie należał do żadnego z kilku sąsiadów, których znał.

Drzwi nieznanego auta otworzyły się w chwili, gdy Rafe miał przejechać przez bramę. Światło ulicznej latarni oświetliło wysoką, szczupłą sylwetkę mężczyzny w pogniecionym, szarym garniturze. Światło migotało w soczewkach okrągłych okularów. Machał szalenie rękami chcąc przyciągnąć uwagę Rafe'a.

– Panie Stonebraker, czy to Pan? – Szczupły mężczyzna pospieszył w kierunku Icera. – Czekam od wielu godzin. Muszę z Panem porozmawiać.

Rafe szybko ocenił sytuację za pomocą krótkiego przebłysku talentu strategicznego. Nie wyczuł nic dziwnego. Pod żadnym pozorem nie była to pułapka. Tylko wyglądający na zaniepokojonego, potencjalny klient. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebował był klient.

– Jest już późno – zauważył Rafe.

– Obawiam się, że to nie może czekać. – Szczupły człowiek zatrzymał się i zerknął na Rafe'a znad opuszczonej szyby. – Nazywam się Brizo, doktor Alexander Brizo. Jestem z Uniwersytetu.

– Czego ode mnie chcecie?

– Desperacko zależy nam, żeby Pan coś dla nas odnalazł, Proszę Pana. Coś co zostało skradzione z naszego laboratorium.

– Rozmawialiście już z policją?

– Dobry Boże, nie. – Oczy Alexandra Brizo rozszerzyły się z przerażenia. – Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy jest zaangażowanie w to władz. Nic nie może się przedostać do prasy. Chodzi o naszą reputację. No i oczywiście o kontrakt. Nasze laboratorium tak ciężko o nie-

go walczyło. Nie chcemy go stracić.

– Co dokładnie zostało skradzione z laboratorium, doktorze Brizo?

Brizo zamrugał kilka razy.

– Przedmiot.

– A mógłby Pan być bardziej dokładny?

– Przedmiot przesłany przez Czwartą Wyprawę Chastaina. Wie Pan, jeszcze nie powrócili z terenu, prowadzą prace wykopaliskowe w grobowcu kosmitów znalezionym przez Trzecią Wyprawę Chastaina.

– Tak, wiem. – Rafe zmarszczył brwi. – Chce Pan powiedzieć, że jedno z kosmicznych znalezisk zostało zabrane z laboratorium?

– Właśnie to usiłuję Panu powiedzieć. Musi Pan to dla nas odnaleźć, Panie Stonebraker. I to szybko. Jeżeli ktoś się dowie, że zostało skradzione, gdy przebywało pod naszą opieką moi koledzy i ja znajdziemy się w niebywale trudnej sytuacji. W grę wchodzi duża dotacja.

– Macie jakieś podejrzenia, kto zabrał relikw?

Brizo wyglądał na zdenerwowanego.

– Tak, uważamy, że to mógł być człowiek o nazwisku Willis. Theo Willis. Był pryzmatem zatrudnionym do pomocy grupie badawczej talentów psychometrycznych, która badała ostatnią dostawę artefaktów.

– Wiecie, dlaczego go ukradł?

– Nie, właściwie nie wiemy. – Brizo wyglądał na skonsternowanego. – Nie da się wykorzystać tych znalezisk w żaden sposób. Nic, co do tej pory znaleziono nie funkcjonuje. Naukowcy mówią, że urządzenia są za stare. I jest prawie niemożliwe sprzedanie takiego relikw na wolnym rynku. W końcu łatwo je rozpoznać. Każdy potencjalny nabywca wiedziałby, że zostały skradzione z muzeum, albo laboratorium.

– Są ludzie, którzy kolekcjonują wszystko, co jest rzadkie i drogie, doktorze Brizo. A to oznacza, że istnieje rynek rzeczy rzadkich i cennych.

– Rozumiem. Ma Pan na myśli nielegalny, podziemny rynek. Przypuszczalnie taki, jaki istnieje w przypadku dzieł sztuki.

– Zgadza się.

– Zastanawiałem się nad tym. Tak, to możliwe, że Willis ukradł przedmiot z zamiarem sprzedania go kolekcjonerowi. Nie przychodzi

mi do głowy żaden inny powód, dla którego mógłby zrobić coś takiego. Żadne inne laboratorium by go nie chciało, chyba że też dostałoby dotację na badania.

– Jest Pan pewien, że to Theo Willis jest złodziejem?

– W zasadzie tak.

– Wie Pan, gdzie może teraz być? – spytał Rafe.

Zdawało się, że wąska twarz Brizo jeszcze się wydłużyła.

– No cóż, tak. Ale obawiam się, że informacja o jego miejscu pobytu na niewiele nam się przyda.

– Dlaczego nie?

– Bo on nie żyje Panie Stonebraker. Jego ciało znaleziono wczoraj. Najwyraźniej jego samochód spadł z klifu.

Po raz pierwszy od czasu, gdy Brizo go zawołał Rafe poczuł znajomy przeblysłk swojego instynktu myśliwego.

– Proszę pójść ze mną do domu, Panie Brizo. Tam możemy porozmawiać.

Brizo rozchmurzył się trochę.

– Weźmie Pan tą sprawę?

– Tak.

Zapachy nocy wyostrzyły się, gdy Rafe wjeżdżał przez bramę. Światło bliźniaczych księżyców było tak jasne, że prawie mógł dojrzeć każdy posrebrzony liść na drzewach klono-dębów rosnących wzdłuż podjazdu.

Znał to uczucie. To było uczucie, jakie ogarniało go zawsze, gdy zaczynał interesować się jakąś sprawą. Wyczekiwanie łowcy.

Ale tym razem nie wywołała go perspektywa samego śledztwa. Znalezienie czegoś tak nietypowego, jak kosmiczny artefakt będzie proste. Podziemny rynek takich przedmiotów był bardzo mały, a jego kontakty w obrębie tegoż rynku bardzo rozległe.

Nie, to nie sama sprawa pobudziła dziś wieczorem wszystkie jego zmysły.

To była świadomość, że ma teraz doskonałą wymówkę, by ponownie zatrudnić Orchideę Adams.

Rozdział 3

Orchidea uśmiechnęła się, gdy jej kuzynka Veronica Adams weszła przez drzwi prowadzące do restauracji. Wywarło to natychmiastowy i przewidywalny efekt na innych klientach. Wszystkie głowy odwracały się w jej kierunku.

Przyczyną tego był nie tylko fakt, iż Veronica była bardzo atrakcyjną blondynką, która poruszała się z gracją i wytwornością zwracającą uwagę. Oczy wszystkich przyciągały przede wszystkim jej surowy biały strój oraz aura opanowania.

Veronica pochodziła z Northville i była członkiem tamtejszej wysoce intelektualnej społeczności oraz oddanym praktykiem sztuk ezoterycznych w ramach systemu synergistycznej medytacji i ćwiczeń znanych jako meta–zen–synergistyczne.

Northville i Instytut Północny, będący centrum badań akademickich związanym z tamtejszą społecznością, znajdowały się jakieś dwie godziny jazdy samochodem od Nowego Seattle. Zarówno społeczeństwo, jak i zespół badaczy zostały nazwane na cześć Patricii Thorncroft North, która stworzyła trzy główne zasady synergii. Każdy mieszkaniec Northville pracował bezpośrednio lub pośrednio na rzecz instytutu. Prawie każdy mieszkaniec Northville ubierał się na białą, za wyjątkiem tak szczególnych okazji, jak własny ślub czy pogrzeb.

Instytut Północny przyciągał najbardziej błyskotliwe naukowe i filozoficzne umysły z wszystkich trzech miasto–stanów: Nowego Vancouver, Nowego Seattle i Nowego Portland. Przez kolejne lata wyrobił sobie opinię w zakresie badań i rozwoju teorii synergistycznej i nie miał sobie równych na tym polu. Działał w oparciu o środki z funduszy korporacyjnych, prywatnych darowizn oraz dotacji. Instytut opracował własny system edukacji dla dzieci personelu akademickiego pracującego w zespole Instytutu.

Liczne osoby związane z instytutem prędzej czy później zaczynały interesować się zasadami filozofii meta–zen–synergistycznej. Ćwiczenie medytacyjne odciskały znaczne piętno na intelektualnym społeczeństwie.

Orchidea wiedziała wszystko o wspólnocie, jej systemie edukacyjnym oraz o meta–zen–synergii. Wychowywała się w Northville. Jej rodzice zaliczali się do zespołu naukowców w Instytucie. Jej dwaj

starsi bracia podążyli ich śladem i robili karierę naukową.

Wszyscy zakładali, że ona również dołączy do kadry Instytutu, wyjdzie za mąż i wychowa następne pokolenie Adamsów z Northville. Zamiast tego odwróciła się plecami do swego dziedzictwa i w wieku dwudziestu lat wyjechała do Nowego Seattle, żeby tam poszukać sobie innego stylu życia.

W typowy, meta-zen-synergistyczny sposób rodzina zaakceptowała jej decyzję, ale od czasu do czasu Orchideę nachodziły wyrzuty sumienia. Była w końcu pierwszym członkiem rodziny Adamsów od trzech pokoleń, który opuścił Northville.

Kierownik sali pospieszył, aby odsunąć krzesło na przeciwko Orchidei.

Orchidea pomyślała, że nie robił takiego wielkiego przedstawienia kiedy usadzał ją kilka minut wcześniej. Kombinacja stylowego białego kostiumu, białej apaszki i pary białych butów na wysokich obcasach działała cuda.

Nagle Orchidea była aż zanadto świadoma swoich spranych jeansów, pomiętej marynarki, czarnego T-shirta i mokasynów. Nigdy właściwie nie załapała właściwego sposobu noszenia się na biało. Pięć minut po ubraniu się gdzieś na samym przedzie pojawiała się plama. Czasem myślała o tej prawidłowości, że to jakieś synergistyczne prawo natury.

Niemniej jednak była szczęśliwa, że może spotkać się z kuzynką.

– Cześć Veronica, jak tam przedślubne zakupy?

– Na całe szczęście już skończone – Veronica uśmiechnęła się zajmując miejsce. – Muszę powiedzieć, że nie miałam pojęcia, że wychodzenie za mąż jest takie skomplikowane. Będę szczęśliwa, jak to wszystko się wreszcie skończy.

– Jeszcze tylko jeden tydzień.

Przy stoliku zmaterializował się kelner. Błyskawicznie wyciągnął swój notes i z respektem spojrzał na Veronicę.

– Poproszę sałatkę za świeżych awokado-szparagów – powiedziała Veronica. – Do tego dressing. I jeszcze butelkę wody mineralnej.

– Tak proszę Pani. – Kelner odwrócił się teraz w stronę Orchidei.

– Poproszę łososio-tuńczykowego burgera, z ekstra majonezem i dodatkami, dużą porcję frytek i galaretko-colę – wymamrotała Orchidea.

– Przepraszam bardzo – przerwał kelner i przestał notować. – Nie usłyszałem dobrze, powiedziała Pani duża porcja frytek i galaretko-

–cola?

Orchidea poczuła, że się czerwieni. Zerknęła na kelnera.

– Zgadza się. I niech Pan nie zapomni o gorącym sosie do frytek.

– Jasne. – Kelner wsunął notes za pasek czarnych spodni. – Zraz wracam, drogie Panie.

Odwrócił się i popędził w stronę kuchni.

Veronica spoglądała na Orchideę badawczym spojrzeniem.

– Czy coś jest nie tak?

Orchidea skrzywiła się.

– Skąd wiesz, że coś jest nie tak?

– Nie bądź głuptasem. Dorastałyśmy razem. Czasami mam wrażenie, że znam cię lepiej niż twoi rodzice. – Oczy Veronici płonęły sympatią. – Czy chodzi o rejestrację? Dzwonili do ciebie z agencji?

Orchidea wywróciła oczami.

– Oczywiście, że nie. Nie miałam randki z agencji od czasu, gdy skojarzyli mnie z Prestonem Lucem w zeszłym roku. A to nie była prawdziwa randka. Jestem pewna, że Preston ustawił to spotkanie.

– Wciąż nie mam pojęcia, jak mu się to udało zrobić. – Veronica zmarszczyła brwi. – Musiał znać wyniki Multipsychoicznej Inwentaryzacji Osobowości Paranormalnej, którą przeprowadzono, gdy się rejestrowałaś, jak również twój profil paranormalny. Jak udało mu się zdobyć tego typu informacje? Przecież są ściśle poufne.

– Myślę, że wiem, jak to zrobił. – Zajęło jej trochę czasu, zanim wydedukowała, w jaki sposób doktor Preston Luce sprawił, że został z nią skojarzony, ale Orchidea była przekonana, że stworzony przez nią scenariusz wydarzeń jest bardzo prawdopodobny.

– Jesteś pewna, że nie zachowujesz się w tym przypadku trochę jak paranoiczka? – spytała Veronica. – Bez względu na to jak bardzo usprawniony został proces kojarzenia par błędy nadal się zdarzają. Na szczęście prawie zawsze są one naprawiane, zanim sprawy zajdą za daleko.

– To nie mój doradca w Podobieństwie odkrył, że Luce to podstępny, nikkzemny, przebiegły mały robako-padalec. To ja sama uświadomiłam sobie po trzech randkach, że jedynym powodem, dla którego się ze mną umawiał, była chęć zostania przedstawionym w odpowiednich kręgach towarzyskich Northville. I to mu się udało.

– Ależ Orchideo, nie wiesz tego na pewno.

– Owszem, wiem. A kiedy odmówiłam kolejnej randki miał chęć powiedzieć moim rodzicom, że zламаłam mu serce. Twierdził,

że jest gotów poczekać na mnie, aż wróci mi zdrowy rozsądek. Przez chwilę nawet mu uwierzyli, mimo iż ostrzegałam ich, że to zwykły naciągacz.

– Preston potrafi być niezwykle czarujący.

– Oczywiście, że jest czarujący. – Orchidea zmrużyła oczy. – Duppek jest wysokiej klasy talentem charyzmatycznym. Jestem gotowa postawić na to kolejną wypłatę. Zanim moi krewni zorientowali się, że nie jest tak miłym facetem za jakiego go uważali, było już za późno. Zdołał już załatwić sobie pracę na wydziale badań synergistycznych w Instytucie.

– Muszę przyznać, że teraz, po kikumiesiecznej z nim znajomości, cieszę się, że za niego nie wyszłaś – powiedziała wolno Veronica. – Nie sądzę też, żeby był zbyt popularny wśród asystentów. Ale nie można zaprzeczyć, że wykonuje dobrą robotę w Northville.

– Masz na myśli to, że zdobywa dotacje.

Veronica uśmiechnęła się cierpko.

– Nigdy nie popełnij błędu niedoceniań osoby, która potrafi załatwić duże wsparcie ze strony firm. Instytut Północny to wieża z kości słoniowej. Ci z nas, którzy w niej mieszkają, lubią udawać, że są ponad takie brudne, przyziemne sprawy. Ale każdy wie, że potrzeba konkretnych pieniędzy, aby utrzymać to miejsce.

Orchidea westchnęła.

– A co by o nim nie powiedzieć, Preston jest prawdziwym zaklinczem deszczu w tej materii.

– To prawda. Nie dalej, jak w zeszłym miesiącu pozyskał kolejnych dwóch sponsorów spośród wiodących korporacji. Dla Instytutu jest jak kuro-kaczka zносяca złote jajka.

Orchidea zmarszczyła nos na widok kelnera wracającego z tacą.

– Przypuszczam, że będzie na weselu?

– Oczywiście. – Veronica przerwała na chwilę, gdy kelner ostrożnie ustawiał przed nią talerz z sałatką. – Wiesz, jak to jest w Instytucie. To mały świątek. Nie możesz wykluczyć z listy gości poważanego członka zespołu badawczego nie wzbudzając podejrzeń.

– Przypuszczam, że nie. – Orchidea markotnie spoglądała na talerz gorących, ociekających tłuszczem frytek. – Nie tęsknię za jego widokiem, ale nie musisz się martwić, nie zrobię sceny.

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabyś zrobić coś takiego. – Veronica pokropiła miniaturową łyżeczką dressingu artystycznie ułożoną na talerzu zieleninę. – Wiem, że nigdy nie jest ci łatwo wra-

cać do Northville, a obecność Prestona nie polepsza sytuacji.

Orchidea wgrzyła się w swojego tłustego łososio-tuńczykowego burgera.

– Jakoś to zniosę.

– Jestem pewna, że tak. Ale wiem, że będzie ci ciężko.

Orchidea wzruszyła ramionami. Veronica miała rację. Powrót do domu zawsze wzbudzał u niej uczucie spięcia, a z upływem lat wizyty te stawały się coraz trudniejsze. Wszystkie dzieciaki, które chodziły z nią do szkoły miały teraz zaawansowane stopnie naukowe i doktoraty w różnych dziedzinach związanych z teorią synergistyczną. Większość piastowała jakieś ważne stanowiska w Instytucie. Prawie wszyscy byli już żonaci i pozakładali rodziny.

W świecie, gdzie małżeństwo uważano za społeczny i moralny obowiązek, jak również zobowiązanie wobec rodziny, ona nie zdołała nawet znaleźć męża.

Jak już się nad tym głębiej zastanawiać, dumiała Orchidea, to jedyne, co się jej udało w życiu to opublikować trzy romanse o wampirach psychicznych.

Według standardów Northville nie było to jednak zbyt wielkie osiągnięcie.

Powrót do Northville był jak zjazd absolwentów ze szkoły średniej, podczas którego odkrywasz, że tobie jednej nie udało się nic osiągnąć, pomyślała. Fakt, że wszyscy sądzili, iż odrzuciła skojarzone przez agencję małżeństwo z Prestonem Lucem, tylko z powodu chęci buntu, dodatkowo pogarszał sprawę.

Veronica spojrzała na nią życzliwie.

– Wiesz, co powinnaś zrobić?

– Co? – Orchidea spytała z ustami pełnymi burgera.

– Przyjść na ślub z partnerem z agencji.

Orchidea prawie się zadławiła.

– Żartujesz sobie?

– Mówię poważnie. To znacznie ułatwiłoby ci wiele spraw.

Orchidea wolno odłożyła burgera.

– Veronico, właśnie ci powiedziałam, że nie dostałam ani jednego telefonu z agencji matrymonialnej od czasu, gdy mój doradca polecił mi Prestona.

– I co z tego?

Orchidea jęknęła zdesperowana.

– Stawiając sprawę jasno, nie mam żadnego partnera, przynaj-

mniej nie z agencji, a w moim wieku, tylko taki się liczy.

Veronica posłała jej zachęcający uśmiech.

– Masz przyjaciół. Zaproś któregoś z nich i przedstaw jako randkę z agencji.

Orchidea gapiała się na nią szeroko otwartymi oczami.

– Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałaś. Mam przyprowadzić na twój ślub fałszywą randkę?

– A dlaczego nie?

– Już teraz mieszkam niespokojne sny. Nie potrzebuję więcej problemów, wielkie dzięki.

Veronica w zmartwieniu zmarszczyła brwi.

– Niespokojne sny? Dlaczego?

Orchidea zanurzyła frytkę w gorącym sosie.

– Prawdopodobnie z powodu ParaSynergii. Znowu się ze mną skontaktowali. Dostałam od nich list parę dni temu. Chcą, żebym wróciła na kontynuację badań nad lodowymi pryzmatami, w których uczestniczyłam trzy lata temu.

– Te, z których zrezygnowałaś, bo naukowcy chcieli, żebyś ogniskowała dla jakiś pomyłonych kryminalnych talentów?

– Taaa, dokładnie te same. – Orchidea zadrżała.

Talenty psychiczne, dla których miała ogniskować na prośbę doktora Gilberta Bracewella były więcej niż lekko pomyłone. Miały silne, zbrodnicze skłonności. Odrzucała ją ciemność, którą w nich wyczuwała. Morgan Lambert i Theo Willis też wzdrygali się przed planami naukowców, aby zobaczyć, jak lodowy pryzmat poradzi sobie z tak silnie chorym psychicznie talentem.

To Orchidea dowodziła małym buntem, który doprowadził do przerwania projektu. Wyszła z ParaSynergii w środku eksperymentu. Morgan i Theo poszli za nią.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedziała Orchidea. – Ostatnią rzeczą, jaką bym zrobiła w życiu byłoby zgłoszenie się na dalszą część tych głupich badań.

– A co z pozostałymi dwoma lodowymi pryzmatami, które brały udział w testach?

– Nadal przyjaźnię się z Morganem Lambertem. – Orchidea odłożyła na bok do połowy zjedzona frytkę. Nagle przeszedł jej głód. – Ale wczoraj dowiedziałam się, że Theo Willis zginął niedawno w wypadku samochodowym. Mówią, że zjechał z kifu. Najwyraźniej popełnił samobójstwo.

– Jakie to smutne.

– Theo nie był kimś, kogo można by nazwać przyjacielem. Nie wiem, czy w ogóle miał jakiś przyjaciół. Ale on, ja i Morgan nawiązaliśmy swoisty kontakt w czasie eksperymentów w ParaSynergii. On był trochę dziwny. Może nawet szalony. Ale cóż, był przecież lodowym pryzmatem tak jak ja. Wszyscy wiedzą, że nie jesteśmy zupełnie normalni.

Rozdział 4

– Najwyższy czas, żebyś się pojawiła. – Byron Smyth–Jones, recepcjonista i sekretarz Psynerii oraz guru awangardowej mody, zerkał na Orchideę znad oprawek okularów z czerwonymi szklami. – Szefowa ma napad.

Orchidea uniosła lekko brwi na widok najnowszego dodatku do garderoby Byrona w postaci fioletowego obcisłego garnituru zdobionego masywnymi poduszkami na ramionach i obszernymi mankieta-
mi.

– Skąd możesz wiedzieć, że Clementine ma napad? – spytała z poważnym zainteresowaniem.

– Bardzo zabawne. – Byron wyciągnął naręcze notatników z pudełka i upchnął je w szafce z zaopatrzeniem dla biura. – I nie ma nic do rzeczy. Tym razem to coś poważnego.

– To zawsze jest coś poważnego. – Orchidea rzuciła okiem na notatniki. Na górze każdej strony znajdowało się starannie wydrukowane logo Psynergii oraz słowa: „Myśl ekskluzywnie” . – Co się dzieje?

Byron zerknął przez ramię. Orchidea podążyła za jego wzrokiem w kierunku plakatu przedstawiającego fotografię ogromnego kawałka bardzo rzadkiego ognistego kryształu. Był ozdobiony logo i częściowo zasłaniał zamknięte drzwi do biura Clementine.

– Jej nowy egzotyczny jest tutaj, żeby podpisać następny kontrakt. – Byron zniżył swój głos do szeptu. – Nalegał na twoje usługi.

– Nowy egzotyczny? – Wbrew sobie, Orchidea poczuła, jak przeni-
ka ją lekki dreszcz. – Chcesz powiedzieć, że Rafe Stonebraker znowu o mnie poprosił?

– Zgadza się. Jest tu już od pół godziny podpisując papiery. Clementine chciała cię złapać, żeby potwierdzić zlecenie, ale byłaś nieosiągalna, więc poszła za ciosem i i tak podpisała kontrakt.

Przyływ uczucia paniki natychmiast zastąpił początkowe pod-
ekscytowanie Orchidei. Wczoraj w nocy w euforii będącej wynikiem udanej ucieczki jej i Rafe'a z galerii myślała, że ponowna praca z nim będzie szalenie ekscytująca. Teraz, w świetle dnia, nie była już tego taka pewna.

– Myślałam o tym, żeby porozmawiać z Clementine o przydziele-
niu kogoś innego do następnego zlecenia dla Stonebrakera. Jeżeli

oczywiście będzie następne zlecenie.

– Tego możesz już być pewna – zapewnił Byron.

– Zastanawiam się dlaczego. Odniosłam wrażenie, że nie jest zbyt zadowolony z moich usług.

– A mogę wiedzieć, co spowodowało, że odniosłaś takie wrażenie?

– spytał Rafe delikatnie przeciągając samogłoski.

Orchidea okręciła się wokół własnej osi i zobaczyła, że stoi w drzwiach, tuż za nią. Był ubrany w ciemną marynarkę, koszulę w tym samym kolorze i równie ciemne spodnie. W dłoni trzymał plastikowy kubek z herba-kawą.

Zmrużyła oczy w wąskie szparki.

– Musisz tak podkradać się do ludzi?

Wyglądał na rozbawionego.

– Przepraszam. – W wyciągniętej dłoni trzymał kubek. – Wyszedłam na korytarz po herba-kawę. Stałaś w tym miejscu, gdy wróciłem.

Z dziwnym poczuciem desperacji Orchidea rzuciła okiem na zamknięte drzwi Clementine.

– Ja..., uch, myślałam, że jesteś w środku i rozmawiasz z szefową.

– Pani Malone i ja skończyliśmy załatwiać swoje sprawy kilka minut temu. Powiedziała mi, że miałaś wpaść do biura po lunchu, więc zdecydowałem się poczekać.

– Rozumiem. – Orchidea próbowała zdusić w sobie zakłopotanie, które lada chwila mogło wypłynąć czerwienią na jej policzki. Miała szczerą nadzieję, że nie usłyszał części rozmowy mówiącej o egzotyce, ale coś mówiło jej, że tak się stało. Rafe miał niezwykle wyostrożony zmysł słuchu. Zdobyła się na chłodny, profesjonalny śmiech.

– Pochlebia mi, że znowu prosił Pan o moje usługi Panie Stonebraker. Ale kiedy odwoził mnie Pan wczoraj w nocy nie wspomniał Pan ani słowem, że ma w planach kolejne zlecenie.

– Mój nowy klient zjawił się już po rozstaniu z tobą.

Czuła na sobie jego uporczywe spojrzenie. W jego wzroku nie był nic szczególnie niegrzecznego, groźnego czy denerwującego.

Znikąd naszło Orchideę znajome uczucie zagrożenia, zupełnie jak zeszłej nocy w galerii Elviry Turlock. Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Cofnął się i lekko wzruszył ramionami. Uczucie znikło.

Gdyby nie to, że zjeżyły jej się wszystkie włosy na karku mogłaby zrzucić winę za tą sytuację na karb swojej wybującej wyobraźni.

– Obecnie jestem trochę zajęta – powiedziała w chwili, gdy drzwi od wewnętrznego biura otwarły się z trzaskiem.

– Nie, nie jesteś – ogłosiła Clementine. – Odwołałam wszystkie twoje wcześniejsze zlecenia. Masz czas, aby przez następny miesiąc pracować z Panem Stonebrakerem.

– Cały miesiąc? – Orchidea odwróciła się, by popatrzeć na szefową.

– Zgadza się. – Clementine, zbudowana jak jej ulubiony środek transportu, lodo-roller, wparowała ubrana w swoją pokazową czarną skórę i migoczące srebrne ówieki. Jej proste białe włosy ścięte na jeża uwydatniały metalowe obręcze w uszach. – Stonebraker uważa, że obecnie prowadzona przez niego sprawa może się trochę przeciągnąć.

Orchidea nie miała problemu z dojrzeniem symboli dolara migoczących w bystrych oczach Clementine.

– Ale nie będę wolna przez cały miesiąc. – Orchidea czuła presję. Musi nad tym pomyśleć, zdecydowała. – Mam pewne zobowiązania.

– Nic, co nie może być przełożone – zaproponowała Clementine. – Sprawdziłam.

– Myślę o prywatnych zobowiązaniach, nie zleceniach Psynergii. – Orchidea była aż nadto świadoma, że Rafe słucha całej wymiany zdań. – Jadę na ślub mojej kuzynki.

– To dopiero za tydzień, zresztą i tak powiedziałaś, że nie będzie cię tylko przez jedną noc – wtrąciła gładko Clementine.

Orchidea szukała następnej wymówki.

– Zbliża się Dzień Ojców Założycieli. To już za pięć dni.

– I co tego? – Clementine wzruszyła mocnym ramieniem – Napijesz się piwa, poszalejesz trochę na Placu Ojców Założycieli, pośpiewasz hymn. Wielkie mi rzeczy. Nadal będziesz miała mnóstwo czasu na pracę dla Pana Stonebrakera.

– Jak wiesz, mam też inną pracę.

– Nie dalej jak wczoraj powiedziałaś mi, że nadażasz z pisaniem według planu.

– Nie w tym rzecz.

Clementine wzięła się pod boki.

– To w czym dokładnie jest rzecz?

– Właśnie – Rafe rzucił jej zaciekawione spojrzenie. – W czym jest rzecz?

W niczym i Orchidea wiedziała o tym. Nie miała żadnej wymówki

pozwalającej jej odrzucić to zlecenie. Nie była nawet pewna, czy tak naprawdę chce je odrzucić. Zaczęła jej się podobać praca prywatnego detektywa, jaką wykonywał Rafe. Ale nie lubiła uczucia, że ktoś wmanewrowuje ją w zgrabnie zastawioną pułapkę.

Odwróciła się w stronę Rafe'a.

– Kiedy chcesz zacząć?

– Dziś wieczór.

– To niemożliwe. – Przepełnęło przez nią dziwne uczucie triumfu.

– Jestem już umówiona.

– Więc odwołaj – zarządziła Clementine.

– Nie mogę tego zrobić. – Orchidea posłała jej posępne spojrzenie.

– Spotykam się z kimś w Klubie Wulkan. Mamy małą uroczystość związaną z niedawną śmiercią znajomego.

– Och tak, racja – Byron wyrównał kolejny stos notatników. – Pamiętam. Ty i Morgan Lambert zamierzacie wypić toast ku pamięci tego biednego lodowego przyzmatu, z którym pracowaliście. Tego, o którym mawiałaś, że był dziwny.

– Tak. – Orchidea rzuciła Rafe'owi kolejne wyzywające, zimne spojrzenie. – Znajomy zmarł parę dni temu. Wiesz, jak to jest.

– Jasne – powiedział Rafe. – Wiem, jak to jest. Pójdę z tobą do Klubu Wulkan. Możemy porozmawiać o nowym zleceniu po waszym mini-czuwaniu.

– Uch... – Mózg Orchidei przestał na chwilę pracować.

– Wpadnę po ciebie o ósmej. – Rafe wymknął się z powrotem na korytarz.

Zniknął zanim Orchidea zdążyła wynaleźć kolejną wymówkę. W biurze zapadła cisza przerywana jedynie dźwiękiem zacierania dłoni przez Clementine w wyrazie triumfującej satysfakcji. Nic tak bardzo jej nie uskrzydlało, jak podpisanie nowego kontraktu na ogniskowanie.

– Może nie być Stonebrakerem ze Stonebraker Shipping, ale na pewno jest Stonebrakerem – zauważyła Clementine. – Mogę się o to założyć.

– Co masz na myśli? – spytała Orchidea.

Clementine wzruszyła rękami.

– Gracie zebrała o nim trochę najważniejszych informacji. Swego czasu nasz klient był pierwszy w kolejce do odziedziczenia kontroli nad Stonebraker Shipping.

Orchidea uniosła brwi. Gracie Proud była stałą partnerką Cle-

mentine. Poznały się poprzez agencję matrymonialną kilka lat temu. Prędej, czy później, gej, czy hetero, prawie każdy na Świętej Helenie się żenił. Związek Malone–Proud był najwyraźniej udanym stadłem.

Z wyglądu te dwie kobiety nie mogły już bardziej się różnić, myślała Orchidea. Gracie była niską, stylową kobietką zainteresowaną ekskluzywną modą i kontaktami towarzyskimi. Była właścicielką i dyrektorem Dumnego Ogniska, jednego z głównych konkurentów Psynergii. Była też niezawodnie precyzyjnym źródłem plotek i informacji.

– Fiu, Fiu. – Oczy Byrona zrobiły się ogromne za purpurowymi szklami. – Mówimy o tych Stonebrakerach, prawda?

– Tak. – Clementine skrzywiła się. – Ale nasz, być może niezbyt bystry klient, pokłócił się lata temu z dziadkiem, starym Alfredem G. Stonebrakerem. Młody Rafe udał się na Wyspy Zachodnie, by jak to się mówi, odnaleźć siebie. Dziadek nigdy mu tego nie wybaczył. Odciął go od rodzinnych pieniędzy. Właściwie Gracie mówi, że to sam Rafe podjął taką decyzję. Najwyraźniej nie chciał mieć nic do czynienia ani z rodzinną fortuna, ani z firmą.

– Ale teraz wrócił do Nowego Seattle – zauważył Byron. – Może pogodził się z dziadkiem.

– Mało prawdopodobne – powiedziała Clementine. – Gracie wie o takich rzeczach. Mówiła mi, że każdy bywalec tych samych szykownych kręgów świetnie wie, że Rafe nie jest zainteresowany rodzinnym interesem. Najwidoczniej to kuzyn Rafe'a ma za kilka miesięcy przejąć kontrolę nad firmą.

– Jakie to smutne – powiedziała Orchidea.

– To mało powiedziane – wymruczał Byron. – Tylko pomyśl, zostawić te wszystkie pieniądze i pozycję społeczną. Clementine ma rację. Może nasz klient wcale nie jest taki mądry.

Orchidea zerknęła na niego.

– Miałam na myśli rozłam w rodzinie. To takie smutne, gdy rodziny rozstają się przez zwykłą kłótnię.

– Tak, racja. – Byron usiadł na do połowy opróżnionym pudełku z notatnikami. Posłał Orchidei głęboko zafascynowane spojrzenie. – Więc powiedz mi, czy to prawda, to co mówią o talentach strategicznych? Czy naprawdę potrafią wyczuć, że kłamiesz?

– To tylko stary mit – rzeczowo stwierdziła Orchidea. – Wszyscy to wiedzą.

– Cóż, a co z innymi sprawami?

– Jakimi innymi sprawami?
– Czy naprawdę są trochę..., no wiesz, prymitywne? – Orchidea złapała naręczę „Myśl ekskluzywnie” notatników i upuściła je na głowę Byrona.

O dziewiątej wieczór Klub Wulkan był tylko do połowy zapełniony.

Orchidea, usadowiona przy małym stoliku z Morganem Lambertem i Rafe'em studiowała uważnie zacienione pomieszczenie. Miejsce to było skrzyżowaniem nocnego klubu i herba-kawiarni. Zaspokajało gusta tłumy poetów z Bohamy, artystów i różnego rodzaju naśladowców.

Młody mężczyzna na scenie garbił się nad mikrofonem i mruczał słowa napisanego przez siebie wiersza:

*Obrazy wypalone w galaretowatym lodzie,
Na zawsze zastygłe w galaretowatym lodzie,
Migoczące w galaretowatym lodzie,
Sny o synergii i orgazmie,
W galaretowatym lodzie.*

Być może nie była to nieśmiertelna proza, ale biła na głowę poezję meta-zen-synergistyczno psychologiczną, pomyślała Orchidea.

Malutkie świece z galaretowatego lodu płonęły na stolikach. Delikatne płomienie ukazywały cały zastaw wyrazów twarzy, z których większość zaliczyć można było do dwóch kategorii: zmęczona światem obojętność i pasjonująca intensywność. Większość klienteli ubrana była na szaro, najmodniejszy w tym momencie kolor pośród artystycznego światka.

Morgan Lambert doskonale pasował do atmosfery Klubu Wulkan. Był szczupłym, poważnym mężczyzną o bystrym spojrzeniu, ascetycznych rysach twarzy i długich, wrażliwych placach artysty.

– Znałeś Theo Willisa?

– Nie.

– Był trochę dziwny, ale w porządku. – Morgan zerknął na Orchideę. – Pewnie niewiele więcej można powiedzieć o biednym Theo, prawda?

– Sądzę, że nie. – Orchidea opadła na krzesło i wsunęła ręce w kieszenie jeansów. – Ale nigdy nie myślałam, że mógłby się zabić. To

nie był ten typ.

– Mówią, że to trudno wyczuć. – Morgan sącył swoje słabe, zielone wino. – Przez ostatnich kilka miesięcy chodził do psychiatry.

Orchidea uniosła brwi.

– Nie wiedziałam o tym.

– Ja dowiedziałem się tylko dlatego, że przyszedł do mojego mieszkania kilka dni przed tym, zanim zjechał samochodem w przepaść. Powiedział, że musi z kimś porozmawiać, ale koniec końców powiedział tylko, że chodzi do psychologa synergistycznego.

– Powiedział ci dlaczego to robi? – spytała Orchidea.

– Nie. Miałem wrażenie, że był bardzo zestresowany z powodu tej nowej pracy w laboratorium uniwersyteckim.

– Theo nigdy sobie dobrze nie radził ze stresem. – Orchidea zaciśnięła usta. – Ale nie sądziłam, że to może go doprowadzić do samobójstwa. Sądziłam raczej, że rzuci tę nową pracę, jeżeli tak go stresowała. Bardzo często zmieniał posady.

– Tym razem potrzebował forsy – powiedział. – Wspominał o jakimś szalonym planie założenia własnej agencji ogniskującej. Takiej, która specjalizowałaby się w usługach lodowych pryzmatów. Próbował zdobyć fundusze na ten cel, ale nie miał za wiele szczęścia.

Orchidea westchnęła.

– Jakoś nie wyobrażam sobie banku pożyczającego Theo spora kwotę pieniędzy. Raczej nie potrafił się sprzedać.

– To prądwa – zgodził się Morgan.

Rafe kontemplował Morgana z zadziwiająco poważnym wyrazem twarzy.

– Czy Willis wspominał o źródle swojego zestresowania?

Morgan potrząsał głową.

– Nie, ale on zawsze żył w stresie. Był swoistego rodzaju paranoikiem.

– Jak wasza trójka się poznała? – spytał Rafe.

Orchidea zastanawiała się, dlaczego tak go interesuje sprawa Theo Willisa.

– Trzy lata temu zostaliśmy zakwalifikowani do badań nad lodowymi pryzmatami. Naukowcy z ParaSynergii chcieli, aby pryzmaty, takie jak my mogły zostać użyte do leczenia ciężko chorych psychicznie pacjentów. Chcieli przetestować pomyśloną teorię wymyśloną przez dr Bracewella, szefa laboratorium.

– Na czym polegała ta teoria?

– Bracewell uważał, że gdyby chore psychicznie talenty o skłonnościach przestępczych mogły właściwie ogniskować, to synergistyczni psychiatrzy mogliby spróbować naprostować synergistyczną moc ich para-profilu.

– Normalne pryzmaty nie potrafią pracować z naprawdę szalonymi talentami – wyjaśnił Morgan. – Nie mają szans stworzyć właściwej więzi. Zresztą, to jest bolesne. Najczęstszym rezultatem jest więc czasowe wypalenie się pryzmatu.

– Prawdopodobnie jest to – wtrąciła Orchidea – kolejna sztuczka matki natury, powstrzymująca niebezpieczne talenty przed stworzeniem zbyt dużego zagrożenia. Synergia w akcji.

Rafe obrzucił ją nieprzenikniętym spojrzeniem.

– Co stało się z projektem badawczym?

Morgan uśmiechnął się krótko.

– Nie odkryli za wiele. Orchidea zorganizowała bunt w środku realizacji projektu. Wkurzyła się, gdy kazano nam ogniskować dla jakichś prawdziwie złych talentów. Miała jedną sesję z facetem o imieniu Calvin Hyde i na tym cała sprawa się zakończyła. Wyszła z laboratorium. A Theo i ja za nią.

– Calvin Hyde? – powtórzył Rafe. – Był jednym z poważnie chorych psychicznie talentów?

– Bracewell powiedział, że jest normalny. – Orchidea zadrżała wspominając drapieżne pragnienie, które wyczuła w Calvinie Hyde. – Twierdził, że Hyde, to jedno z zajęć kontrolnych. I chyba nawet w to wierzył. Hyde potrafił być bardzo przekonujący. Ale jak tylko zobaczyłam fale energii jego talentu, to wiedziałam, że to bardzo niebezpieczny człowiek ze skłonnościami do przemocy. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam było ogniskowanie dla tego typu.

Rafe patrzył na nią z niezachwianą intensywnością.

– Co zrobiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Udawałam, że nie mogę stworzyć ostrego ogniska. Powiedziałam Bracewellowi, że Hyde jest dla mnie za silny i że nie dam rady więcej próbować. Myślę, że Hydowi bardzo podobała się myśl, że jest dla mnie zbyt mocny. Był niesamowicie wprost arogancki. Zawsze musiał być najlepszym, ech... – Zamilkła, zanim zdążyła wypowiedzieć słowo wilko-wyżłem.

– Jakiego typu talentem był Hyde? – spytał Rafe.

Orchidea zawahała się. To Morgan udzielił odpowiedzi na pyta-

nie.

– Calvin Hyde był wysokiej klasy egzotyką. Talent strategiczny. Wiesz, jeden z tych łowców. Bardzo rzadki.

Orchidea nie patrzyła na Rafe'a, ale mogła wyczuć, że ją obserwuje.

– Jak silnym? – spytał cicho.

Nie mogła znaleźć dyplomatycznej odpowiedzi na to pytanie, więc milczała.

– Nigdy nie dowiedziała się jakiej klasy była jego moc – powiedział Morgan. – Prawda Orchideo?

– Nie. – Orchidea składała swoją małą serwetkę koktajlową z wielką precyzją. Nie odwróciło to raczej uwagi od sprawy, ale było doskonałą wymówką, by unikać spojrzenia Rafe'a. – Więż nie trwała na tyle długo, by się tego dowiedzieć. Być może klasa siódma.

– Rozumiem – wymruczał Rafe.

– Bracewell zawsze prowadził badania z dziwnymi talentami, jak również lodowymi pryzmatami – wyjaśnił Morgan. – Orchidea mówiła, że to dlatego, że im zazdrości.

– Ich talentów? – Rafe zerknął na Orchideę.

– Tak. Był tylko drugoklasowym talentem hipnotycznym. – Morgan zachichotał. – Ludzie w laboratorium nazywali go za jego plecami Dwuwatowy Barcewell.

W trosce o zmianę tematu Orchidea zerknęła na Morgana.

– A skoro już mówimy o ParaSynergii, to czy dostałeś ostatnio z laboratorium list z prośbą o powrót w celu kontynuacji badań?

– Nie. – Morgan wyglądał na zaskoczonego. – Dlaczego? A ty dostałaś?

– Tak. Zignorowałam go.

– Jeżeli jakiś dostanę, to też tak zrobię. – Morgan wyciągnął się w swoim siedzeniu i uniósł kieliszek. – No cóż, za Theo. Zaprzyjaźniony lodowy pryzmat. Niech spoczywa w pokoju, po drugiej stronie kurtyny.

Orchidea uniosła swój kieliszek.

– Za Theo.

Rafe nie powiedział nic, ale wypił odrobinę swojej herba-kawy, gdy pozostała dwójka sączyła swoje wino.

Morgan odstawił kieliszek i popatrzył na Orchideę.

– A teraz przejdźmy do bardziej radosnych tematów. Miałaś ostatnio jakieś wieści z twojej agencji matrymonialnej?

– Nazywasz to radosnym tematem? – Kątem oka zauważyła, że Rafe mruga oczami z wyrazem twarzy, który u innego mężczyzny mógłby oznaczać kompletne zdziwienie. Zignorowała go zupełnie. Zachowywał się dziwnie przez cały wieczór.

– W porządku. Nazwijmy to bardziej interesującym tematem – powiedział Morgan.

Orchidea zmarszczyła nos.

– Zabawne, że pytasz. Dziś popołudni jadłam lunch z moją kuzynką Veronicą. Zadała mi to samo pytanie. Odpowiedź brzmi nie. Nadal nie załatwili mi randki.

Morgan zagwizdał.

– Ho, ho.... Ile to już minęło? Rok, od twojej ostatniej randki z agencji?

– Rok i trzy dni – powiedziała Orchidea. – Ale kto by liczył?

– Twoja rodzina, jak sadzę – Morgan zauważył sucho.

– Nawet mi nie przypominaj. Nienawidzę napadów poczucia winy. Rafe bardzo mocno zacisnął dłoń na filiżance z herba-kawą.

– Nigdy nie wspominałaś, że dokonałaś rejestracji Orchideo.

Usta Morgana wygięły się lekko.

– Odkładała to, jak długo mogła, ale ponad rok temu jej rodzina wreszcie zdołała wyrzucić na nią odpowiednią presję i zapisać do biura matrymonialnego. Chociaż i tak znaleźli jej tylko jednego kandydata.

– I do tego ten się nie liczy – zauważyła Orchidea.

Morgan westchnął.

– Wszyscy wiedzą, że bardzo trudno jest znaleźć parę dla lodowego pryzmatu.

– Lepiej powiedz niemożliwe – powiedziała Orchidea.

– Nadal jednak uważam, że twoja agencja powinna była do tej pory przedstawić ci więcej niż tylko jednego potencjalnego kandydata. – Oczy Morgana rozszerzyły się. – Hej, a może Podobieństwo zgubiło twój formularz rejestracyjny.

– Mało prawdopodobne – stwierdziła Orchidea.

– Nigdy nic nie wiadomo. Może powinnaś zadzwonić do swojego doradcy – nalegał Morgan. – Może ktoś pokpił sprawę.

– Wątpię. To bardzo szanowana agencja.

– Takie rzeczy zdarzają się wszędzie.

Orchidea uśmiechnęła się.

– Nie musisz mi mówić. Pracuję w Psynergii, pamiętasz?

Migoczące światło świecy z galaretowatego lodu zmieniło twarz Rafe'a w posępną maskę.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś do Podobieństwa, żeby sprawdzić, co się stało?

Tak, jakby to była jego sprawa. Orchidea pomyślała, że łatwiej będzie uniknąć dyskusji uciekając się do małego, białego kłamstewka.

– Dobra, dobra, zadzwonię do nich w tym tygodniu.

Brwi Rafe'a uniosły się, ale nie zrobił żadnej uwagi. Jednakże krótki, znaczący błysk w jego oczach zmartwił Orchideę. Miała instynktowne przeczucie, że wcale jej nie uwierzył.

Przywołała w pamięci pytanie Byrona. Czy to prawda, to co mówią o talentach strategicznych? Czy naprawdę potrafią wyczuć, że kłamiesz?

Bajki, wmawiała samej sobie. To tylko pogłoski, plotki i przestarzałe spekulacje oparte na wczesnych, zawodnych rezultatach testów synergistycznopsychologicznych. Talenty strategiczne nie były żywymi detektorami kłamstw.

Nie było takich istot.

Teoretycznie skłamanie talentowi strategicznemu nie różniło się niczym od kłamania komukolwiek innemu. Ale niektórzy ludzie, bez względu na swoje zdolności paranormalne, instynktownie wyczuwały prawdę. Rafe mógł być jednym z takich osobników. A ona nie była zbyt utalentowaną kłamczuchą, upomniała sama siebie.

Ale jakie znaczenie miało to, czy Rafe uwierzył jej dziś wieczór? Ostatecznie jej życie miłosne, czy też jego brak, nic były jego sprawą.

Orchidea posłała obu mężczyznom zdeterminowany uśmiech.

– Proponuję porzucić temat moich małżeńskich perspektyw zanim wszyscy umrzemy z nudów.

– Nie uważam, żeby to był nudny temat – zauważył miękko Rafe.

Orchidea zerknęła na niego i dla odmiany postanowiła odwrócić sytuację.

– A ty jesteś zarejestrowany?

– Tak. W koneksjach Synergistycznych.

Z niewiadomych przyczyn ta informacja była dla niej jak cios w głowę. Rafe aktywnie poszukiwał żony. I robił to we właściwy, odpowiedni, akceptowany przez społeczeństwo sposób. Kto by zgadł? Zastanawiała się, dlaczego te wieści tak ją przygnębiły?

– Dobra agencja – zdołała powiedzieć, starając się by jej ton za-

brzmiał lekko.

– Tak mi powiedziano. Ale jak do tej pory nie przedstawili mi ani jednej potencjalnej kandydatki.

Morgan posłał mu współczujące spojrzenie.

– Wygląda na to, że masz coś wspólnego z Orchideą. Żadne z was nie może umówić się na randkę.

Rozdział 5

Orchidea pochyliła się, by zerknąć przez szyby auta, gdy Rafe zatrzymał Icera przed frontową bramą.

– Gdzie jesteście? – zapytała.

– U mnie. – Uruchomił pilota, żeby otworzyć bramę. – Przywiozłem cię tu, żebyśmy mogli przedyskutować nasze nowe śledztwo. Pamiętasz o kontrakcie, który podpisałem dziś popołudniu w biurze twojej szefowej?

– Pamiętam.

Brama otworzył się szeroko. Orchidea siedziała obok niego w zupełnej ciszy, kiedy przejeżdżał pod szpalerem drzew rosnących przed dużym domostwem.

Nie zdawał sobie sprawy, że spał się w oczekiwaniu na jej reakcję na jego dom, dopóki nie przemówiła.

– Dobry Boże. Mieszkasz tutaj?

– Tak. – Zatrzymał Icera przed szerokimi stopniami i wyłączył silnik.

– Jest niesamowity – spoglądała na czarne wyniosłe domostwo z niezaprzeczalnym zachwytem. – Co za fantastyczne miejsce. Całą moją pierwszą książkę pisałam rozciągnięta na autentycznej sofie z Późnej Ekspansji. A ty masz cały dom z tego okresu.

Obawiał się, że tak właśnie będzie, dumiał, gdy otworzył drzwi Icera i wysiadł. Nie tylko zakochała się w tym piekielnym domu, wręcz czuł, że dobrze zrobił przywożąc ją tutaj. Bardzo dobrze. Wszystkie jego zmysły pulsowały w niewidzialnym rytmie nocy.

Zerknął za siebie przez otwarte drzwi pojazdu i obserwował, jak Orchidea podziwiała jego dom.

– Oddałabym wszystko, żeby mieszkać w takim domu – wyszeptała.

– Zabawne, że to mówisz.

– Ale dlaczego ktoś chciałby wykraść pradawny relikwiarz?

Orchidea zamieszała niesamowicie drogą brandy z drzewa księżycowego, obserwując Rafe'a stojącego przed kominkiem.

Z niechęcią zanotowała, że jest zafascynowana historią, którą właśnie streścił. Skradziony artefakt, tajemniczy martwy złodziej i prośba klienta o całkowitą dyskrecję. Historia wyjęta żywcem z jed-

nej z jej powieści.

– Ludzie kradną rzeczy z bardzo różnych powodów – powiedział Rafe cicho.

– Tak, ale zwykle jest jakiś powód. A nie wiem, co mogłoby być przyczyną w tym konkretnym przypadku. Z tego, co słyszałam nie da się nic zrobić z kosmicznymi relikami. Nikt nie wie, do czego służyły ich narzędzia, o ile w ogóle są to narzędzia. Żadne ze znalezisk nie działa. Eksperci nie wiedzą nawet, czym były napędzane. Jedyna rzecz, której wszyscy są pewni, to to, iż są bardzo stare i że nie pochodzą ze Św. Heleny.

Pierwszy, mały skład kosmicznych artefaktów, został odkryty przez Lucasa Trenta. Znalazł go w czasie poszukiwań galaretowatego lodu w dżungli pokrywającej Wyspy Zachodnie. Trent podarował swoje znaleziska Muzeum Sztuki w Nowym Seattle, które w zamian stworzyło partnerstwo na rzecz dalszych poszukiwań z wydziałami nauki i historii Uniwersytetu w Nowym Seattle.

Kolejna, znacznie większa skrytka z kosmicznymi znaleziskami została zlokalizowana w czasie Trzeciej Wyprawy Chastaina wiele lat temu. Zapiski dotyczące odkrycia zaginęły ponieważ jeden z uczestników wyprawy został zamordowany przez szalony talent matrycowy, zanim zgłoszono i oficjalnie opisano znalezisko. „Kosmiczny grobowiec”, jak nazywała skrytkę prasa, został ponownie odnaleziony przez Czwartą Wyprawę Chastaina w zeszłym roku.

Ogromna kolekcja artefaktów wywołała sensację.

W brukowcach szerzyły się szalone spekulacje. Przy kasach supermarketów opowiadano sobie historie o kobietach, które twierdziły, że urodziły kosmiczne dziecko. Sekty wyznające doktrynę powrotu, jak było do przewidzenia, wplatały relikty w swoje śmieszne, pseudo-religijne twierdzenia dotyczące kurtyny. Powieści i filmy z udziałem artefaktów stały się bardzo popularne.

Orchidea wiedziała, że pomimo całego tego szumu, eksperci do tej pory nie dowiedzieli się praktycznie niczego o obcych relikach. Nadal pozostawały one fascynującą zagadką.

– Pracowałam już ze mną dostateczną ilość razy, żeby wiedzieć, iż ludzie kradną z bardzo dziwnych powodów – powiedział Rafe. – Kolekcjonerzy to unikalny gatunek.

Orchidea pomyślała o Elvirze Turlock.

– Naprawdę myślisz, że istnieje podziemny rynek kosmicznych artefaktów?

– To nie byłaby żadna niespodzianka. – Rafe ostrożnie upił łyk brandy. – Ale są też inne możliwości.

– Takie jak?

– Sekty związane z kultem powrotu chwyciły się odkrycia kosmicznych reliktyw, żeby rozwijać swoje szalone teorie o kurtynie. Prawdopodobne jest, że jeden z bardziej zwariowanych przywódców sekty wynajął złodzieja, żeby położyć łapy na autentycznym, kosmicznym znalezisku.

– Rozumiem, co masz na myśli. Rewelacyjnie nadaje się do wykorzystania w czasie spotkania wyznawców, prawda?

– Tak. – Rafe zamilkł na chwilę. – Ale fakt, że przywódca sekty musiałby publicznie pokazać skradziony przedmiot innym członkom, aby mieć z niego jakiś pożytek sprawia, iż to raczej najmniej prawdopodobny ze scenariuszy.

– Dlaczego tak mówisz? – Orchidea niecierpliwie czekała na odpowiedź.

Wiedziała, że Rafe ma jakiś powód, aby wysnuć taki wniosek. Zawsze wspierał przebłycki swojego strategicznego talentu zimną logiką.

– Bo jak tylko przywódca sekty zacznie chwalić cię swoim osobistym kosmicznym artefaktem w czasie zebrania w świątyni weźmie na siebie ryzyko, iż ktoś z publiczności wspomni o tym komuś z zewnątrz. A prędzej czy później tak się stanie, to nieuniknione.

– Masz rację. – No, ale on zawsze ma rację, myślała. Była to jedna jego mniej ujmujących cech. – Ludzie, nawet wyznawcy sekty, na pewno będą o czymś takim rozmawiać. Jak tylko komuś wymknie się słowo na temat przywódcy posiadającego taki artefakt wszyscy dowiedzą się, co stało się z reliktem skradzionym z laboratorium.

– Co oczywiście nie oznacza, że jakiś guru go nie ukradł. Szaleni ludzie robią szalone rzeczy. Wyznawcy kultu powrotu to przede wszystkim ludzie interesu. Zależy im na osiągnięciu zysku. Nie są głupi, albo niezrównoważeni. Wątpię, czy którykolwiek z nich tak naprawdę wierzy we własne brednie. Po co robić coś, co może zagrozić ich przekrętowi?

– Więc, przypuszczam, że skłaniasz się ku teorii, że relikw został skradziony przez ekscentrycznego kolekcjonera?

– Na tym etapie śledztwa takie rozwiązanie wydaje się najbardziej sensowne. – Rafe zawahał się. – Ale nie mam pewności. Jest coś, co w tej sprawie, co nie daje mi spokoju.

– W porządku, jak dotąd mamy dwie możliwości, ekscentryczny kolekcjoner, albo szalony guru sekty. Coś jeszcze?

Rafe oderwał wzrok od płomieni. Jego oczy były tak tajemnicze, jak każdy z kosmicznych reliktyw.

– Nie. Ale może przyjdzie mi coś jeszcze do głowy po złożeniu wizyty w laboratorium, z którego skradziono artefakt.

– Kiedy tam pójdziemy?

– Jutro wieczorem, kiedy personel pójdzie do domu. Ustaliłem to już z dyrektorem laboratorium, doktorem Alexandrem Brizo. Spotkamy się tam z nim.

– Odwiedzimy laboratorium po godzinach pracy?

Usta Rafe'a wygięły się lekkim uśmiechem.

– Najlepiej pracuje mi się w nocy.

– Tak, wiem, ale myślałam, że w tej sytuacji czas odgrywa kluczową rolę. Jeżeli będziesz czekał do jutra do wieczora z rozpoczęciem śledztwa, to stracisz cały dzień.

– Już rozpocząłem pracę, a jutrzejszy dzień nie zostanie zmarnowany. Trzeba przeprowadzić podstawowe rozeznanie zanim pójdziemy do laboratorium.

– Takie jak?

– Skontaktowałem się z jednym z moich informatorów z ulicy. Człowiek imieniem Whistler. Ma znajomości w podziemnym świecie sztuki. Jeżeli chodzą jakieś pogłoski o artefakcie w prywatnej kolekcji, to on będzie o tym wiedział.

– To chyba dobry początek.

Uniósł brwi.

– Dziękuję.

Zarumieniła się. Zdała sobie sprawę, że jej uwaga była ustnym odpowiednikiem poklepania po głowie.

– Wiesz, co miałam na myśli.

Zignorował tę uwagę.

– Spędziłem też cały dzień rozmawiając z ludźmi, którzy znali technika laboratoryjnego, którego Brizo podejrzewa o kradzież.

Orchidea rozchmurzył się.

– To mamy podejrzanego?

– Tak, ale on nie żyje.

– Nie żyje. – Gapiła się na niego zdumiona. – Nie rozumiem. Kim jest podejrzanym?

Rafe zawahał się.

– Theo Willis.

Przez kilka sekund Orchidea nie była w stanie zamknąć ust, a co dopiero mówić. Kiedy wreszcie się opanowała, odłożyła szklanę z brandy z drzewa księżycowego z taką siłą, że kilka kropel roztrysnęło się na blacie stołu.

– To niemożliwe – stwierdziła.

– Brizo w to wierzy.

– Dlaczego nie powiedziałaś nic wcześniej? – Orchidea zerwała się na nogi. – Pozwoliłeś mnie i Morganowi paplać o Theo cały wieczór i ani razu nie wspomniałeś, że to on jest podejrzanym.

– Bądź rozsądna, Orchideo. Nie wiedziałem za kogo ty i Morgan chcecie wznieść toast dopóki nie dotarliśmy do Klubu Wulkan. A wtedy było już za późno. Nie mogłem nic powiedzieć w obecności Morgana. To sprawa wysoce poufna.

– To nie jest żadna wymówka. Mogłeś wspomnieć o tym wcześniej.

– Chciałem powiedzieć ci o całej sprawie wcześniej, ale wiedziałem, że zmartwi cię, iż jeden z twoich znajomych był w to zamieszany.

– Nie jestem zmartwiona. Jestem wkurzona. – Wycelowała w niego palcem. – Co więcej, mam dla ciebie ważną wiadomość, Panie Detektywie. Podążasz ślepa uliczką jeżeli uważasz, że Theo Willis był złodziejem. Mógł być trochę szurnięty, ale nie był oszustem.

– Jedyne, co stwierdzam w tym momencie, to fakt, iż Brizo uważa, że jest on zamieszany w tą sprawę.

– Nie uwierzę, że Theo ukradł ten artefakt. I z całą pewnością nie pomogę udowodnić ci, że to zrobił.

– Orchideo, poczekaj...

– Rezygnuję. Znajdź sobie inny pryzmat. Dzwonię po taksówkę. A potem poszukam innego prywatnego detektywa.

– Po jakiego diabła?

– Żeby pomógł mi udowodnić, że Theo nie był złodziejem. – Sięgnęła w stronę masywnego stołu z okresu Późnej Ekspansji i złapała telefon. – Zamierzam oczyścić jego imię.

– Do diabła... – Rafe ruszył w jej kierunku.

– Nie zbliżaj się do mnie. – Wystukała numer kompanii taksówek, z której regularnie korzystała. Następnie odwróciła się szybko, trzymając przed sobą w geście ostrzeżenia wyciągniętą rękę. – Nie ruszaj się.

Jego oczy pociemniały.

– Przestań mi rozkazywać, jakbym był jakimś psokotem.

Poczuła jak jej policzki po raz drugi zalewa fala czerwieni.

– Nie chciałam...

– Owszem, chciałaś. – Wyrwał jej z dłoni słuchawkę i rzucił na widełki. – Uspokój się i posłuchaj. Nie możesz teraz wyjść.

– Tak? No to popatrz.

– To ja zostałem wynajęty do rozwiązania tej sprawy. Jeżeli naprawdę chcesz udowodnić, że Theo Willis nie ukradł tego artefaktu, to praca ze mną jest najlepszym na to sposobem.

Logika tej wypowiedzi szybko do niej dotarła. Bębniła palcami o stół, myśląc szybko.

– Z trudem to przyznaję, ale masz rację – powiedziała w końcu.

Jego szczęki zacisnęły się. Wyraz twarzy był surowy.

– Jest jeszcze jedna przyczyna dla której chcę, żebyś pracowała ze mną nad tą sprawą.

– Tak, wiem. Chcesz mnie, bo jestem najlepszym pryzmatem, jaki dla ciebie ogniskował.

– Ponieważ cię pragnę. I kropka. – Jego ręce zacisnęły się na jej ramionach. – Jedyne pytanie, jakie mam w tym momencie, to czy ty również mnie chcesz?

Gapiała się na niego, zdumiona i oniemiała z powodu mrocznych płomieni seksualnego pożądania, które płonęły w jego oczach. W odpowiedzi poczuła głęboko w sobie żar.

– O rety – wyszeptała. – Więc ty też to czujesz.

– Jeżeli masz na myśli, to co dzieje się trakcie więzi, to owszem. Czuję to. To nie jest problem.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Poradziłbym sobie z tym, gdyby nie to, że jest jeszcze coś więcej. Nie mogła odwrócić wzroku od jego intensywnego spojrzenia.

– Więc na czym polega problem?

– Problem – powiedział bardzo powoli i wyraźnie – polega na tym, że pragnę cię, nawet po zerwaniu więzi.

Stała teraz bardzo blisko niego. Czowała pulsowanie jego gorącego ciała, które przyciągało ją coraz bliżej.

– Rozumiem. To jest problem, nieprawdaż?

– Muszę wiedzieć, czy masz ten sam problem.

Wzięła głęboki, niespokojny oddech mocno świadoma nagłego, emocjonującego przyspieszenia pulsu.

– Myślę, że to powierzchowna sprawa. Jakiś dziwny, długotrwały efekt uboczny więzi.

– Tak sądzisz?

Wyraz zimnego rozbawienia w jego oczach zdenerwował ją.

– No cóż, nie mamy ze sobą nic wspólnego – stwierdziła.

– Nawet mi nie przypominaj – powiedział. Przycisnął ją mocno do swojej klatki piersiowej, otoczył jedną ręką jej kark i pocałował ją. Głęboki, mocny, gwałtownie nagłący pocałunek.

Przeszedł ją dreszcz szalonego pożądania.

– Możesz mnie nazywać powierzchowną. – Otoczyła szyję Rafe'a ramionami.

Czuła, że to jest właściwe. Podniecenie i potrzeba rosły w niej. To nie powinno być takie wspaniałe, ale było. Zacieśnił swój uścisk. Poczwała jego rękę przy piersi. Gorąco jego dłoni przenikało tkaninę jej T-shirta. Wyczuła jego zadowolenie, gdy odkrył, że nie nosi stanika. Jego satysfakcja jeszcze wzmogła jej pożądanie w jakiś szalony, synergistyczny sposób. Kontury jego mocno pobudzonego ciała wciskały się w jej ciało. Wciąż było go jej mało.

Bez ostrzeżenia, kiedy wydawało się, że wszystko posuwa się gładko do przodu nagle poczuła, że osuwa się na podłogę. Westchnęła i mocniej przywarła do Rafe'a. Z pewnością pasja, którą emanował mogła wywołać iluzję na metapsychicznej płaszczyźnie. Była podekscytowana, ale nie aż tak podekscytowana.

Musiała przyznać, że pocałunek Rafe'a był zdecydowanie marzycki, ale nie miała przecież halucynacji. Świat wirował wokół niej. Mocniej zacisnęła powieki. Wszystko z nią w porządku. Jest przytomna. Nie śni. Więc skąd to oszałamiające wrażenie?

Częściowo uchyliła powieki, próbując odzyskać równowagę dzięki widokowi solidnego stabilnego pokoju.

Nie było nic uspokajającego w widoku staroświeckich świec z galaretowatego lodu w ściennych kinkietach, które wirowały przed jej oczami.

Zanim udało jej się to wszystko rozgryźć poczuła, że spada. Powoli, delikatnie, opadała na ziemię, aż poczuła pod sobą gruby chodnik.

Narastał w niej śmiech.

Położył się na niej, wciskając ją w puszysty dywan. Oparł się na łokciach.

Jego oczy płonęły.

– Chcesz się podzielić jakimś żartem? – wymamrotał w jej szyję.

– Jeżeli to żart, to ja jestem jego obiektem. – Objęła jego twarz dłońmi i z powrotem przyciągnęła jego usta do swoich. – Nigdy nie sądziłam, że można się tak czuć.

Wydał niski, ochryply, pełen pragnienia jęk. Jego usta zamknęły się ponownie na jej wargach. Wcisnął jedną nogę pomiędzy jej uda i wsunął rękę pod brzeg jej podkoszulka.

Szarpała się z brzegiem jego swetra, próbując wsadzić pod niego ręce, kiedy wróciła jej jasność umysłu. Co ona wyprawia? Wszystko dzieje się zbyt szybko.

– Rafe, nie sądzę, żeby to był taki dobry pomysł. Jest jeszcze za wcześnie. Prawie się nie znamy. Powierzchowny pocałunek to jedna sprawa, powierzchowny seks to już zupełnie coś innego.

– Może masz rację. – W jego oczach płonęło pożądanie. Wyrażało je również delikatne skrzywienie jego ust. – Znacznie lepiej będzie, jeżeli zrobimy to w taki sposób.

Poczuła znajomą pytającą sondę jego talentu psychicznego, szukającego pryzmatu. Automatycznie odpowiedziała. Na płaszczyźnie metapsychicznej powstał krystalicznie czysty pryzmat. Rafe z uwodzicielską umiejętnością przelał przez niego energię.

Tym razem towarzyszące temu uczucie seksualnego podniecenia było bardzo intensywne. Orchidea nie mogła zebrać myśli. Nie mogła nawet oddychać. Czowała się tak, jakby właśnie wskoczyła do wodospadu.

I wtedy zrozumiała, co Rafe usiłuje zrobić. Ogarnęło ją uczucie wściekłości, które w dużej mierze zdusiło pasję.

– O nie, co to, to nie Panie Stonebraker. – Odpychała górujące nad nią ramiona próbując równocześnie przerwać psychiczną więź. – Przestań natychmiast. Niech cię diabli, nie pozwolę, żebyś wykorzystał więź do uwiedzenia mnie.

– Nie, czekaj – wyszeptał. – Nie odsuwaj się. Proszę.

Na płaszczyźnie psychicznej Rafe uwięził stworzony przez nią kryształ w połyskujących pasmach surowej energii.

Orchidea była przerażona uświadomiwszy sobie, że nie może zerwać połączenia. Gdyby nie słyszała opowiadań swoich znajomych z Psynergii nie wiedziałaby nawet, że to, co robi w tej chwili Rafe jest możliwe.

Instynkt i meta-zan-synergistyczne zasady samoobrony przejęły kontrolę.

Przestała się opierać. Zamiast tego posłała więcej swojej energii na płaszczyznę psychiczną. Zręcznie manipulowała fasetkami pryzmatu, tak modyfikując ognisko, aby rozproszyć fale energii. Tak jakby zostały przepuszczone przez tysiące migoczących lusterek. Moc odbijała się rykoszetem i rozchodziła bez celu na płaszczyźnie psychicznej.

– Co u diabła? – Zdumienie brzmiące w głosie Rafe'a dotarło do niej na obu płaszczyznach, fizycznej i metapsychicznej. – Co ty wyprawiasz!

– Co ty wyprawisz? – zaripostowała.

– Do licha! Przepraszam. – Rafe oprzytomniał na płaszczyźnie metapsychicznej nawet szybciej niż w realnym świecie. Odciał dopływ energii z druzgocącą szybkością. – Przykro mi. O cholera, nie zamierzałem...

Orchidea szybko zlikwidowała pryzmat. Patrzyła z obawą, jak Rafe wolno siada obok niej. Nie wiedziała, czego się może po nim spodziewać. Nie wyglądał na zdenerwowanego, skonsternowanego, czy zaszokowanego.

Wyglądał na głęboko przerażonego. Czerwone plamy wykwitwały na wysokich kościach policzkowych. Rozgoryczenie, zawstydzenie i upokorzenie płonęły w jego oczach. Było w nich coś jeszcze, uświadomiła sobie. Strach?

Czego Rafe miałby się bać?

– Przepraszam – powiedział znowu. Wyciągnął rękę, jak gdyby chciał jej dotknąć i zaraz ją cofnął. – To było bardzo... prymitywne z mojej strony, prawda?

Orchidea poczuła, jak przepływa przez nią ulga. Nagle zrozumiała strach czający się w jego oczach.

– Hej, nie martw się tak. Jestem przyzwyczajona do tego rodzaju rzeczy.

Zamrugnął.

– Jesteś?

– Jasne. Przecież cały czas piszę o wampirach psychicznych, pamiętasz?

– Nie jestem wampirem. – Z trudem powstrzymywana furia w jego głosie szybko przywołała ją do porządku. Usiadła wolno.

– Nie, oczywiście, że nie jesteś. Wszystko jest w porządku. Tylko żartowałam.

– Jakoś nie widzę nic zabawnego w tej sytuacji.

– Być może nie jest to najzabawniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła, ale nie jest to również koniec świata.

– Orchideo, posłuchaj. Nigdy nie zmierzałem zrobić tego, co właśnie uczyniłem.

– Rozchmurz się Stonebraker – poklepała go po kolanie. – Trochę cię poniosło z pierwszym pryzmatem, który mógł ogniskować dla ciebie w pełnej skali twojego talentu. Nic wielkiego. Następnym razem będziesz już wiedział, czego możesz się spodziewać. Następnym razem nie dasz się ponieść emocjom. Masz na to za dużo opanowania.

Jego szczęka zeszywniała.

– Nie poniosło mnie z powodu więzi.

– Nie?

– Poniosło mnie, bo nie chciałem stracić... – przerwał w pół zdania. – Zresztą zapomnij.

– Zapomnę – zapewniła go. I wiedziała, że to kłamstwo. Nie zapomni tego pocałunku, jak długo będzie żyła. – To po prostu był pocałunek, który trochę wyrwał się spod kontroli. Pewnie zdarza się to cały czas. Prawda?

Uważnie się jej przyglądał. Najpierw w jego wzroku zapłonęła ciekawość, zastąpiona później błyskiem satysfakcji.

Wiedział, że kłamała.

Niemożliwe. Nie mógł czytać w jej myślach. Talenty strategiczne nie były żywymi wykrywaczami kłamstw, przypomniała samej sobie.

– Nie masz racji, wiesz o tym? – powiedział cicho. – Tego typu rzeczy raczej mi się nie zdarzają. A tobie?

– Och, nie. – Zakaszłała znacząco. – Nie, mnie też się to często nie zdarza.

Wstrzymała oddech w obawie, że będzie chciał ciągnąć temat z tą samą determinacją, z jaką prowadzi śledztwa.

Ale ku jej, euforycznej wręcz, uldze zmienił temat.

– Wiedziałem, że potrafisz stworzyć prawie doskonałe ognisko – zauważył Rafe. – Ale nie miałem pojęcia, że potrafisz manipulować nim zarówno w negatywny, jak i pozytywny sposób. Aż do dzisiaj sądziłem, że to, co właśnie zrobiłaś jest niemożliwe.

Rozdział 6

Orchidea poczuła się nagle trochę zażenowana.

– To nie jest takie dziwne, wiesz. Mam przyjaciółkę imieniem Gardenia, która też potrafi do pewnego stopnia manipulować stworzonym przez siebie pryzmatem. Potrafi skrócić ogniskową. Kiedy to robi moc przepływająca przez kryształ również zostaje skrócona, co jest niezwykle bolesne dla połączonego z nią talentu.

– Ty zrobiłaś znacznie więcej, niż skrócenie ogniskowej. Manipulowałaś każdą pojedynczą fasetką pryzmatu.

– Tak.

– To niesamowite.

– Cieszę się, że jesteś pod wrażeniem – wymamrotała.

Rafe przeciągnął palcami po włosach. Jego oczy były pełne obawy.

– Nie miałem zamiaru tak napaść na twój pryzmat.

– Wiem.

– Nie wiedziałem nawet, że potrafię zrobić coś takiego – przyznał.

– Nie sądziłem, że to możliwe.

– To zdarza się cały czas w romansach o psychicznych wampirach.

Uśmiechnął się z żalem.

– Naprawdę? Może powinienem jakiś przeczytać. – Wzjął głęboki oddech. – Do jasnej synergii! Nic dziwnego, że ludzie z ParaSynergii chcieli przeprowadzić na tobie parę eksperymentów.

Orchidea zawzięcie poprawiała swój podkoszulek próbując zebrać się w sobie. Pociągnęła kolana do piersi i owinęła je ciasno ramionami.

– Zdradzę ci mały sekret.

– Jaki?

– Naukowcy z ParaSynergii wiedzieli, że jestem lodowym pryzmatem, ale nigdy nie pokazałam im jak wiele mogę zrobić z konstrukcją mojego pryzmatu.

Spojrzenie Rafe'a wyostrzyło się.

– Co masz na myśli?

– Dałam się namówić na wzięcie udziału w badaniach dla dobrej nauki. Ale kiedy się zaczęły zdałam sobie sprawę, że nie chcę im zademonstrować pełni moich możliwości. Jakiś wewnętrzny instynkt

kazał mi ograniczyć się do tego, co zaprezentowałam naukowcom.

– Nie musisz mi tego tłumaczyć. Rozmawiasz z talentem strategicznym wykraczającym poza skalę, pamiętasz? Ja też nie rozpowiadam ludziom naokoło, jak dużą mam moc.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Nie zapomniałam. I doskonale to rozumiem.

Rafe sięgnął w jej kierunku, by objąć jej podbródek koniuszkami palców.

Odwróciła głowę, by móc napotkać jego spojrzenie.

– Ostatnią rzeczą, jaką chciałem osiągnąć, było przestraszenie cię tak bardzo, że musiałaś uciec się do ujawniania swoich sekretów.

Rozdrażniona wyrwała policzek z jego dłoni.

– Przystaniesz wreszcie przeproszać? Nie przestraszyłeś mnie. Wkurzyłeś mnie. A to duża różnica.

– Racja. To duża różnica. Przepraszam, że cię wkurzyłem.

Wzniosła oczy do sufitu.

– Jeżeli jeszcze raz powiesz przepraszam, to naprawdę się wścieknę. Myślę, że przepraszasz tylko dlatego, że nie chcesz przyznać, co naprawdę się stało.

– A co według ciebie naprawdę się dzisiaj wydarzyło?

– Na parę sekund straciłeś nad sobą kontrolę. Myśl o utracie kontroli przeraża cię, prawda?

Jego usta zacisnęły się, ale nic nie powiedział.

Znowu poklepała jego kolano.

– Nie przejmuj się tak. Jestem pewna, że to się więcej nie powtórzy.

Jego oczy zamigotały.

– Jestem pewien, że może, jeżeli nie przestaniesz mnie poklepywać tak, jakbym był jakimś pso-kotem.

Zatrzymała się w połowie ruchu i szybko cofnęła dłoń.

– Przepraszam.

Wstał z powolną gracją i stojąc spoglądał nią zamyślonym wzrokiem.

– Wiesz, powiedziałbym, że fizycznie świetnie do siebie pasujemy.

Wstała, ignorując jego wyciągniętą rękę.

– Przypuszczam, że to oznacza, iż mamy ze sobą coś więcej wspólnego niż fakt, że nie możemy umówić się na randkę. No cóż, to był niezwykle interesujący wieczór, ale robi się późno. Lepiej już pójść.

Zabrała swoją marynarkę z wysokiego oparcia zabytkowej sofy z okresu Późnej Ekspansji i skierowała się w stronę drzwi.

– Gdzie ty się wybierasz? – spytał.

– Do domu. Odwiedzisz mnie, czy mam wezwać taksówkę?

– A co z Theo Willisem?

Wyszła do przedpokoju i zatrzymała się na chwilę, by na niego spojrzeć.

– Zdecydowałam, że masz rację.

– W jakiej kwestii?

– Praca z tobą będzie najskuteczniejszą metodą na udowodnienie, że Theo nie ukradł zaginionego reliktu.

– Willis nie żyje – zauważył Rafe. – Jest mu wszystko jedno, czy oczyścisz jego imię, czy nie. Z tego, co się dzisiaj dowiedziałem, to nie ma nawet bliskiej rodziny, którą obchodziłoby, czy jest winny, czy nie.

– Mnie obchodzi. Był lodowym pryzmatem. Nie ma nas zbyt wiele. Tego rodzaju zdarzenia nie stawiają nas w dobrym świetle. Sprawiają, że wyglądamy na jeszcze większych dziwaków, niż ma to miejsce w rzeczywistości. Dla dobra wszystkich lodowych pryzmatów, żyjących obecnie i w przyszłości, zamierzam udowodnić, że jest niewinny.

– Do licha – powiedział Rafe podążając za nią w kierunku drzwi. – Nienawidzę takich sytuacji.

– Jakich sytuacji?

– Takich, w których naiwni detektywi-amatorzy biorą się za rozwiązywanie spraw w imię jakiś tam zasad.

– Naprawdę? – Z jedną ręką na klamce, zerknęła na niego przez ramię. – A dlaczego ty bierzesz się za rozwiązywanie spraw?

– Robię to dla forsy.

– Oszust. – Minęła drzwi i wyszła w ciemność nocy.

Sen otaczał ją zewsząd z niepoohamowaną, zatrzymującą bicie serca siłą tropikalnej burzy.

*Z mroków nocy wyłonił się psychiczny wampir i wysłał ku niej sondującą wiązkę energii. Fale dziwnej, ponadnaturalnej energii za-
lewały płaszczyznę metapsychiczną, szukając po omacku i chwytając pryzmat.*

Jej wszystkie zmysły, psychiczne i fizyczne, walczyły ze strasznym nawoływaniem. Wiedziała, że jeżeli osłabnie, zostanie na za-

wsze uwięziona w tym przerażającym uścisku.

Na psychiczny poziom splotła ciemność. Paranormalna moc jarzyła się jak błyskawica. Wampir był coraz bliżej, bliżej niż ostatnim razem. Musi się obudzić.

Jeżeli tego nie zrobi, zobaczy twarz tej istoty. Nie chciała konfrontacji z tym drapieżnym stworzeniem, które chciało ją uwięzić. Jej jedyną nadzieją było przebudzenie się, zanim będzie za późno...

Oczy Orchidei otwały się z szokującą gwałtownością. Usiadła prosto na łóżku, świadoma, iż jej skóra jest przesiąknięta potem. Koszula nocna przylegała mocno do piersi i pod pachami, ale mimo tego czuła, że jest przemarznięta aż do kości.

Ten był najgorszy z dotychczasowych. Tym razem wampir był naprawdę blisko.

Działające na nerwy zawrozcenie telefonu przebiło się przez pozostałości ogłuszającego, bezmyślnego strachu.

Orchidea zamrugła i spróbowała się odwrócić się w stronę światła.

Równocześnie zmusiła się do zrobienia kilku meta-zen-synergicznych ćwiczeń oddechowych.

Telefon zadzwonił ponownie, wzywając nagłaco. Zdała sobie sprawę, że dzwoni już od jakiegoś czasu. Zerknęła na zegarek podnosząc słuchawkę. Prawie trzecia w nocy. Zasnęła wkrótce po tym, jak Rafe odwiózł ją do domu, jakiś czas po północy.

– Halo?

– Orchidea? – Głos Rafe'a podziałał na nią, jak kubał zimnej wody. – Co się stało? Czy wszystko w porządku?

– Tak. – Orchidea opadła na poduszki z westchnieniem ulgi, mając szczerą nadzieję, że Rafe tego nie słyszał. Prawdopodobnie nie było najlepszym pomysłem okazać mu jak bardzo jest mu wdzięczna za ten telefon. – Tak oczywiście. Wszystko w porządku.

– Nie słychać tego w twoim głosie.

– Zbudziłeś mnie w samym środku koszmarne go snu. – Zdała sobie sprawę, że jego wyczucie czasu nie mogło być lepsze. – Już wszystko dobrze. Dlaczego dzwonisz o tej porze?

– Nie wiem. Ty mi powiedz.

– Mówienie o tej porze zagadkami to nie najlepszy pomysł. Trudno mi się myśli o trzeciej nad ranem.

– Mówię prawdę. Obudziłem się nagle z głębokiego snu z poczu-

ciem, że muszę do ciebie zadzwonić właśnie teraz. I tak właśnie zrobiłem.

Orchidea zadrżała.

– Dziwne.

– Tak.

– Cieszę się, że to zrobiłeś – wyznała. – Ten sen śnił mi się już wcześniej. Kilka razy w ciągu ostatniego tygodnia. Nie za bardzo mi się to podoba.

– Założę się, że nie. O czym jest ten sen?

– Sądzę, że masz do roboty ciekawsze rzeczy niż rozmawianie o moich głupich koszmarach.

– Nie, tak się akurat składa, że nie mam nic lepszego do roboty. Właśnie leżę sobie, gapiąc się w niebo.

– Niebo?

– Mam okno w suficie sypialni. Dziś w nocy widać oba księżyce.

– Och. – Nagle nawiedziło ją niepokojące pytanie, jakby to było leżeć w jego łóżku obserwując bliźniacze księżyce.

– Opowiedz mi o swoim śnie.

Orchidea wiedziała, że powinna powiedzieć dobranoc i odwieść słuchawkę.

Sny to bardzo osobista sprawa. Zbyt intymna, żeby omawiać ją z klientem.

Ale impuls kazały jej zwierzyć mu się był zbyt wszechogarniający. Może sprawiła to godzina. Trzecia w nocy to bardzo ciemna, nocna godzina. A może to dlatego, że jej puls jeszcze nic wrócił do normalnego tempa. A może działo się tak dlatego, że Rafe przekroczył tą niewidzialną barierę pomiędzy klientem, a kimś więcej, gdy ją pocałował tego wieczoru. Cokolwiek to było, Orchidea nie mogła powstrzymać chęci zwierzenia się mu.

– Obiecuję, że nie będziesz się śmiać, ale śni mi się, że jestem prześladowana przez psychicznego wampira. Każdej nocy zbliża się do mnie bardziej.

– Psychiczny wampir, co? Założę się, że nie jest to ten romantyczny typ, który umieściłaś w „Mrocznych pragnieniach”?

Zamrugła.

– Czytałaś to?

– Ciekawość zwyciężyła. Kupiłem dziś rano. Zacząłem czytać dziś wieczorem, po tym, jak odwiozłem cię do domu.

– Nie musisz mi zdawać raportu z lektury – zaznaczyła.

– Wątek jest interesujący. – Słysząc było, że ostrożnie dobiera słowa. – Podoba mi się element tajemnicy. No i opis więzi pomiędzy bohaterem i bohaterką jest intrygujący.

– Dzięki.

– Przypomina i to bardzo to, co wydarzyło się między nami wieczorem.

– Mam bardzo rozwiniętą wyobraźnię – powiedziała.

– Najwyraźniej. Może ma to związek z faktem, że jesteś lodowym pryzmatem.

– Hmm. Nie myślałam o tym. Możesz mieć rację. Nie znam wielu lodowych pryzmatów, ale te, które poznałam mają silnie rozwiniętą kreatywną część ich natury. Na przykład Morgan jest artystą.

– A co z Theo Willisem?

– Theo kochał muzykę. Była jego pasją. Komponował i grał na pianowiolonczeli.

Zapadła chwilowa cisza.

– Powiedz mi coś więcej o twoim śnie – nalegał ponownie Rafe.

Było coś błędnego w tej rozmowie, co przynosiło jej dziwną ulgę, myślała Orchidea.

– Niewiele więcej jest do opowiadania. Mam podobny sen każdej nocy, prawie cały tydzień. Ten był jak dotąd najgorszy.

– Jak wygląda ten wampir?

– Nie mogę zobaczyć jego twarzy, ale czuję moc jego talentu.

– Jest silny?

– Bardzo, ale to nie jest najbardziej przerażająca część.

– A co nią jest?

– Ten talent nie jest normalny.

– To logiczne, nie sądzisz? Jeżeli śnisz koszmar o niezwykle silnym talencie to naturalne, że wydaje ci się on nienormalny.

– Ty jesteś silny – zauważyła. – W zasadzie, to jesteś najsilniejszym talentem, dla którego kiedykolwiek ogniskowałam. Ale jesteś normalny. – Nie taki, jak Calvin Hyde.

Na drugim końcu linii nastąpiła przejmująca cisza.

– Normalny?

– W porządku, może normalny, to nie jest najodpowiedniejsze słowo. Rzeczywiście rodzaj mocy, którą dysponujesz nie zostałby przez kogokolwiek nazwany czymś powszechnym.

– Tego się obawiałem – powiedział Rafe.

– Ale nie wydajesz się nienaturalny, jeżeli wiesz, co mam na my-

śli. Nie ma w tobie zła – dodała cicho.

– Tak naprawdę próbujesz powiedzieć, że wydaję się prymitywny.

– Do licha. Nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałam. Nie to miałam na myśli. – Orchidea spojrzała spode łba na telefon. – Do twojej wiadomości, wcale nie uważam, żeby twój talent był prymitywny.

– Nie?

Zmarszczyła brwi, rozmyślając nad tym.

– Właściwie, z synergistycznego punktu widzenia, twoja parapsychiczna energia i zmysły fizyczne są znacznie lepiej zintegrowane niż u większości talentów. Z ewolucyjnego punktu widzenia możesz być następnym ogniwem naszego rozwoju.

– Nie jestem pewien, czy słowo ewolucyjny lubię bardziej niż prymitywny.

– Szkoda, bo nie masz wyjścia. Nikt z nas nie ma. Każdy naukowiec powie ci, że paranormalne moce bardzo szybko ewoluują w społeczeństwie Św. Heleny. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość, ale są duże szanse, że pojawi się coraz więcej wariacji i mutacji.

– Więc teraz jestem mutantem? – Ale jego ton brzmiał teraz lżej, był lekko rozbawiony.

– My obydwój. Lodowe pryzmaty nie są zbyt powszechne.

– To prawda. Wróćmy do twojego snu. Jak odczuwasz ten talent z twojego koszmaru?

Orchidea popatrzyła w dół i zobaczyła, że ścisła w dłoni garść prześcieradła.

– Czuję, że jest... szalony.

– Wydaję mi się, że zacznę rozumieć.

– Co masz na myśli?

– Zaczęłaś się zastanawiać, czy te sny nie są sygnałem, że tracisz zmysły, prawda?

Przymknęła oczy.

– Przyszło mi na myśl, że te sny mogą być jakąś formą psychicznych halucynacji. Może generuje je ta część mnie, która jest odpowiedzialna, za to, iż jestem lodowym pryzmatem.

– Możesz zapomnieć o tej teorii.

Otworzyła oczy i gapiła się na własne odbicie w lustrze.

– A ty co? Jesteś jakimś synergistycznym psychologiem–ekspertem?

– Nie muszę być żadnym synergistycznym psychologiem–eksper-

tem, żeby ci powiedzieć, że nie wyczułem żadnego szaleństwa, kiedy nawiązaliśmy wieczorem więź. Nawet wtedy, gdy manipulowałaś pryzmatem, żeby rozproszyć mój talent. Zaskoczyłaś mnie, ale nie przerażyłaś. A mówiąc między nami, to jest istotna różnica.

Uśmiechnęła się blado.

– Sądzę, że istnieje niewiele rzeczy, które są w stanie cię przestraszyć, Rafe.

– Każdy się czegoś boi. Już ci lepiej?

– Tak. Dziękuję. – To była prawda, mniej więcej. Przynajmniej jej oddech wrócił już do normy.

– Nie chcesz, żebym przyjechał i osobiście cię pocieszył?

Zachichotała.

– Nie sądzą. Ale dzięki tak, czy siak.

– Obawiałem się, że to powiesz. Idź spać. Jutro czeka nas długa noc.

– Jak przypuszcza, dbasz o to, by twoja inwestycja nie poszła na marne?

– Święta racja. Clementine Malone kazała mi zapłacić fortunę za twoje usługi. Dobranoc Orchideo.

– Dobranoc. O, i Rafe?

– Tak?

– Dzięki, że zadzwoniłeś właśnie w tej chwili.

– Może rozwijamy między sobą jakiś rodzaj telepatii.

Orchidea zachichotała.

– Nie bądź śmieszny. Wszyscy wiedzą, że nie ma czegoś takiego jak telepatia.

W świecie, gdzie oficjalna lista paranormalnych zdolności rozrastała się do zadziwiającego spektrum, zjawisko telepatii nigdy nie pojawiło się jeszcze w populacji. Tak jak wampiry psychiczne, telepatia pojawiała się często w powieściach i filmach, ale były to jedyne miejsca, gdzie można było ją znaleźć.

Bądź rozsądna, myślała Orchidea, odkładając słuchawkę. Nie byłoby dobrze, gdyby Rafe mógł w tej chwili odczytać jej myśli. Nie wiedziała nawet czy sama chce je znać. Jej myśli były mieszanką mglistych niewiadomych i odległych możliwości.

To był problem związany z budzeniem się o trzeciej nad ranem. Rzeczy wyglądały inaczej o tej porze.

Zostawiła włączone światło i opadła na poduszki. Przez chwilę myślała, żeby spróbować ponownie zasnąć. Ale teraz, gdy nie towa-

rzyszył jej już pewny, jak koło ratunkowe głos Rafe'a, wydawało jej się, że powrócił zimny, ostry niepokój, który od jakiegoś czasu szybko stawał się jej stałym nocnym towarzyszem.

Odrzuciła na bok nakrycia i podreptała do kuchni, zapalając po drodze światła. Otworzyła drzwi lodówki i wyjęła pozostałości zapiekanki z makaronu.

Drugi list z ParaSynergii nadal leżał na kuchennym stole, tam gdzie zostawiła go po otwarciu minionego popołudnia. Zawartość listu była podobna do tej, którą otrzymała tydzień wcześniej. Ale tym razem, oprócz autorytatywnego tonu wiadomość zawierała też nutkę groźby.

... Mamy szczerą nadzieję, że zgodzi się Pani powrócić do Para-Synergii, aby kontynuować badania. W czasie trzech lat, które minęły od przedwczesnego zakończenia pierwszego projektu nasi naukowcy odkryli pewne niepokojące fakty dotyczące lodowych pryzmatów. Nie chcemy Pani martwić, jednak nasi eksperci uważają, iż ich odkrycie może mieć wielki wpływ na długoterminowe zdrowie parapsychiczne osób z Pani rodzajem psychicznej energii.

Musi Pani dokończyć badania. Jest Pani to winna sobie i innym osobom z tego rodzaju paranormalną mocą. Proszę o jak najszybszy kontakt z moim biurem.

*Szczerze oddany dr Gilbert Bracewell,
Kierownik zespołu badań*

– Nie przestraszysz mnie Dwu-wacie. – Orchidea zgmiotła w jednej ręce kawałek kartki. – Jestem twarda. Ostatnimi czasy utrzymuję kontakt z prawdziwym psychicznym wampirem.

Wrzuciła list do śmieci. Od razu poczuła się lepiej.

Rozdział 7

– Nie denerwuj się Al – powiedział Rafe. – Mam wszystko pod kontrolą.

– Pod kontrolą? Pod kontrolą! Tak to nazywasz?

Stalowszare oczy Alfreda G. Stonebrakera lśniły zawziętością, która doprowadzała do drżenia niejednego zatwardziałego w bojach partnera w interesach lub konkurenta.

W wyrazie desperacji walną pięścią w blat małego stolika ogrodowego.

– Stonebraker Shipping jest na skraju przepaści, ten mały oferma Culverthorpe tylko czeka, żeby ją zepchnąć w dół, a ty mówisz, że masz wszystko pod kontrolą?

– Tak. – Dzięki dużej dozie praktyki i naturalnym zdolnościom Rafe zdołał zignorować lodowate spojrzenie dziadka. Alfred G. był biznesmanem starej daty. Robił dużo hałasu, gdy coś szło nie po jego myśli. Jego metody były zupełnie inne, myślał Rafe, wyciągając nogi i krzyżując je w kostkach. Znacznie cichsze.

Ułożył się na krześle i kontemlował drobiazgowo zaplanowane ogrody tarasowe rozciągające się przed nim. Ze swojego miejsca na tarasie miał świetny widok aż na altanę. Jako dziecko spędził mnóstwo czasu w tym ogrodniczym świecie fantazji.

Jego rodzice przyprawiali go tu często w odwiedziny u dziadka. Jedne z jego najwcześniejszych wspomnień wiązały się z buszowaniem po labiryncie i puszczaniem malutkich łódek po stawie.

On i Alfred G. byli wtedy najlepszymi kumplami. Ta sytuacja miała oczywiście miejsce w czasie, gdy dziadek beztrąsko zakładał, że Rafe podąży jego śladami.

Przepaść między nimi nie powstała dopóki Alfred G. nie próbował zmusić Rafe'a, aby ten zaczął pracować w Stonebraker Shipping. Rafe od samego początku zdawał sobie sprawę, że nigdy nie mógłby pracować dla dziadka. Intuicyjnie podejrzewał, że są do siebie zbyt podobni. Zresztą Rafe niezbyt dobrze znosił rozkazy. A Alfred G. był bardzo dobry w ich wydawaniu.

Wynikłej pomiędzy dwoma silnymi charakterami kłótni, z niepokojem i ostrożnym dystansem przyglądali się różni członkowie rodziny. Nikt, nawet rodzice Rafe'a, nie odważyli się interweniować, a tym bardziej pośredniczyć w negocjacjach.

Jak cierpko zauważyła matka Rafe'a, inteligentna osoba nie ośmieliłaby się wtrącić do kłótni dwóch drapieżników.

Piętnaście lat temu, mógł istnieć tylko jeden wniosek wynikły z konfrontacji.

W kilku słowach, Alfred G. nadal pozostał samcem alfa klanu. Rafe to rozumiał. Spakował swoje walizki i wyjechał na Wyspy Zachodnie. Kiedy wrócił, był już zaprawiony w boju dzięki spędzeniu kilku lat życia na skraju dżungli i okrutnemu epizodowi znanemu jako Inwazja Piratów na Wyspy Zachodnie.

Rafe wyznaczył sobie własne terytorium w Nowym Seattle ostrożnie unikając krzyżowania dróg z płaszczyzną, na której działał dziadek. Ale miał oko na rodzinną firmę i z rosnącym gniewem obserwował, jak przestarzałe metody prowadzenia interesów Alfreda G. spychają Stonebraker Shipping na niebezpieczne wody.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Alfred G. zdecydował, że najwyższa pora usunąć się w cień. Wezwał do siebie Rafe'a na naradę wojenną gotowy oddać kontrolę nad upadającą firmą w ręce jedyne go członka klanu, który mógł ją ocalić.

Niestety zwlekał z tym zbyt długo.

Alfred G. nie uświadomił sobie aż do chwili, gdy było już za późno, że jego ambitny bratanek, Selby Culverthorpe, czekał na swoją kolej wypatrując chwili słabości. Z zaplanowaną przebiegłością ten hieno-szakal przemknął się niezauważenie obok postawionych przez Alfreda G. straży.

Pracując po kryjomu Selby wykonał krecią robotę, która zapewniła mu szansę wyrwania cennej nagrody w postaci Stonebraker Shipping z opiekuńczych szponów Alfreda G.

W ciągu jednej nocy spokojne przekazanie kontroli na firmą, które planował Alfred G. zmieniło się w desperacką, sekretną walkę o ocalenie firmy. Groźba wisząca nad Stonebraker Shipping jak nic innego zjednoczyła ponownie Rafe'a i Alfreda G.

Alfred podniósł nóż i przekroił muffinkę na pół jednym cięciem.

– Z tego, co widzę, to nie zrobiłeś żadnych postępów. Coroczne zebranie rady jest za niecałe dwa miesiące, a ty nawet nie znalazłeś sobie żony, do diabła!

– Biedę miał już jakaś na oku do czasu, gdy zbierze się rada. Cała reszta jest już załatwiona.

– Hmmm – Alfred G. nie wyglądał na przekonanego. – Czy przekonalesz Taylora i Crawforda, żeby się odczepili aż do czasu, gdy

przejmiesz kontrolę nad firmą?

– Tak. Steve Taylor przez jakiś czas pracował dla mnie na wyspach. Doszliśmy do porozumienia kilka tygodni temu. Dał mi słowo, że Taylor i Crawford poczekają do zakończenia zebrania rady, zanim odpowiedzą na propozycję przejęcia oddziału kontenerów.

– No, to przynajmniej jest coś. A co z problemami z dystrybucją w magazynie w Nowym Portland?

– Problem został rozwiązany.

– Jak?

– Nowy system kontrolny zapasów miał usterkę. Naprawiłem to. Rozmawiałem też z Kimiyo Takanishi w Takanishi Freight. Przekonałem ją, że dostanie ode mnie lepsze warunki kontraktu niż dałby jej Selby.

– Poczeka z negocjacjami do końca zebrania?

Rafe podniósł filiżankę herba-kawy.

– Poczeka.

Alfred G. zatopił zęby w kawałku muffinki. Zmrużył oczy.

– Dlaczego nie możesz sobie znaleźć takiej miłej kobiety, jak Kimiyo?

Rafe uśmiechnął się.

– Pani Takanishi mogłaby być moją matką. Przyznaję, że jest czarującą i błyskotliwą kobietą biznesu, ale nawet gdyby chciała mnie poślubić, pozostaje drobny problem w postaci jej stanu cywilnego, jest już zamężna. A trudno by było pozbyć się Raya Takanishi. Jest tak niezniszczalny jak ty.

– To prawda. – Alfred G. posępnie przeżuwał muffinkę. – Czy ta przekłeta agencja matrymonialna przysłała ci już jakąś kandydatkę?

– Odpieprz się. Jak już mówiłem, mam wszystko pod kontrolą.

– Rafe, ty sukinsynu. Czas ucieka. Nie masz na oku żadnych możliwości?

Rafe zawahał się.

– Tak się składa, że mam.

Pełen nadziei błysk zalśnił w drapieżnym spojrzeniu Alfreda G.

– Dlaczego u diabła nic mi nie powiedziałeś?

Rafe umieścił łokcie na oparciach krzesła ogrodowego. Splótł palce i zpatrzył się na labirynt w centrum ogrodu.

– Bo to jeszcze nic pewnego.

– Dlaczego?

– Nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego. I najwyraźniej jest tak

samo trudna do skojarzenia jak ja.

– Skąd to wiesz? – spytał ostro Alfred G.

– Jest zarejestrowana dłużej niż ja. W zasadzie ponad rok. Przez ten czas miała tylko jedną randkę agencyjną.

– Wygląda mi na to, że macie ze sobą więcej wspólnego niż myślicie.

– Co u diabła masz na myśli?

Alfred g. zachichotał.

– Żadne z was nie może się umówić w sobotni wieczór. Powiem ci coś. Przyrowadź ją na moje przyjęcie urodzinowe. Chcę ją sobie obejrzeć. Powiem ci, czy się nadaje.

Rafe próbował sobie wyobrazić Alfreda G. i Orchideę socjalizujących się w tym ogrodzie, na przyjęciu uważanym za największe wydarzenie towarzyskie w mieście.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybym ją przyrowadził.

Alfred G. przestał się uśmiechać.

– Będiesz na przyjęciu, prawda?

Pojawiłby się na tym przyjęciu pierwszy raz od czasu, kiedy odwrócił się plecami do swojego dziedzictwa piętnaście lat temu. To byłby sygnał wysłany kuzynowi, że może spodziewać się walki o Stonebraker Shipping.

Obecność na przyjęciu urodzinowym Alfreda G. byłaby pierwszym znakiem ostrzegawczym dla Selby'ego. Ogłoszeniem, że wojna się rozpoczęła.

– Za nic bym tego nie przegapił – zapewnił Rafe.

– Relikt był podobny do tego, który widzicie w gablocie – Alexander Brizo wskazał na oszkloną szafkę na końcu rzędu laboratoryjnych stołów. – Był zrobiony z tego samego materiału. Trochę dłuższy i węższy niż ten obiekt po lewej.

Orchidea podeszła do gablotki i zafascynowana spoglądała na kolekcji kosmicznych artefaktów. Ich dziwne wzornictwo świadczyło niezbicie, że nie zostały sporządzone ludzką ręką. Wszystkie zrobione zostały ze srebrzystego stopu, który był niezwykle odporny na wszelkiego rodzaju analizy.

– Po raz pierwszy widzę relikwiarz poza muzeum – zauważyła Orchidea. – Są naprawdę bardzo dziwne, nieprawdaż?

– Bardzo – Brizo westchnął. – Nie wiemy o nich wiele więcej niż wtedy, gdy Lucas Trent przywiózł pierwszą partię. Nie potrafimy na-

wet zidentyfikować składników stopu, który kosmici wykorzystali przy wytwarzaniu tych obiektów. Wszystko, co wiemy, to to, że te przedmioty nie są zrobione z materiałów dostępnych na Św. Helenie.

Rafe podszedł i stanął za Orchideą. Uważnie studiował przedmiot w witrynie.

– Cokolwiek to jest, musi być zupełnie różne od wszystkiego, co pierwsze pokolenie kolonistów przywiozło ze sobą z Ziemi.

– To prawda. – Brizo zmarszczył obie brwi, które utworzyły jedną linię. – Fakt, iż stop nie rozpadł się w ciągu kilku miesięcy od wystawienia na działanie atmosfery Św. Heleny, tak jak materiały ojców założycieli pochodzące z Ziemi, świadczy o jego kosmiczności w pełnym znaczeniu tego słowa.

– Czy wiecie, jak stare są te relikty? – spytała Orchidea.

– Nasze najlepsze talenty psychometryczne oszacowały, iż mają przynajmniej tysiąc lat. Może więcej.

– Jaka szkoda, że Czwarta Wyprawa Chastaina nie znalazła żadnych szczątków biologicznych w tym tak zwanym kosmicznym grobowcu, w którym prowadzą wykopaliska – zauważył Rafe.

– Nawet śladu – potwierdził Brizo. – Jeżeli wewnątrz były jakieś ciała, to uległy rozkładowi wieki temu. Archeolodzy nie znaleźli nawet fragmentu kości.

– Może kosmici nie mieli kości – powiedziała Orchidea. – Może różnili się od nas fizycznie tak bardzo jak ich stop od naszych metali.

– A może w końcu udało im się uciec ze Św. Heleny, ale uciekali w pośpiechu – zasugerował Rafe. – To by wyjaśniało, dlaczego zostawili tak dużo swojego wyposażenia.

– To jest oczywiście możliwe – stwierdził Brizo. – Najbardziej popularne obecnie hipotezy mówią, że kosmici przybyli na Św. Helenę w ten sam sposób, co pierwsze pokolenie kolonistów z Ziemi, przez kurtynę. Założyliśmy, że utknęli tu, kiedy kurtyna opadła bez ostrzeżenia, tak jak stało się w przypadku ojców założycieli. Ale być może Kurtyna na krótko otworzyła się ponownie, co umożliwiło kosmitom ucieczkę.

Orchidea wpatrywała się w relikwiarz o dziwnym kształcie spoczywający za szkłem. Każde dziecko znało historię kolonizacji Św. Heleny. Trochę ponad dwieście lat temu tajemnicza Kurtyna energii zmateriałizowała się w przestrzeni kosmicznej, blisko Ziemi. Okazało się, że są to międzygwiazdne wrota pomiędzy rodzimą planetą a gościnną.

nym nowym światem, którzy koloniści nazwali Św. Heleną.

Ale krótko po przybyciu pierwszego pokolenia osadników Kurtyna zamknęła się nagle, bez żadnego ostrzeżenia. Odcięta od rodzimej planety, mała populacja ludzi została pozostawiona sama sobie. Wywiązała się desperacka walka o przeżycie. Zielony świat Św. Heleny powitał ludzi, ale nie tolerował ich ziemskiej technologii. Coś w powietrzu i glebie planety niszczyło maszyny i materiały z Ziemi.

Kosmici jak dotąd mieli więcej szczęścia, jeżeli chodzi o technologię, ale sami zniknęli.

– Nie ma Pan bladego pojęcia, dlaczego Theo Willis ukradł ten jeden konkretny relikw? – spytał Rafe.

– Nie. – Brizo wzruszył ramionami. – Nie był bardziej niezwykły czy interesujący poza faktem, iż został znaleziony poza grobowcem, a nie w środku.

– Poza?

– Był umieszczony w małym złożu galaretowatego lodu. Musiał tam wpaść tysiąc lat temu i przebywał tam aż odkryła go ekspedycja.

– Jak wyglądał?

– To był prosty, wąski pręt, długości około trzydziestu centymetrów. Trochę jak cienka latarka, oprócz tego, że nie znaleźliśmy żadnego widocznego źródła generowania światła.

Orchidea popatrzyła na niego.

– Powiedział Pan, że Theo Willis został znaleziony na dnie przepaści w dzień po zaginięciu relikw? –

– Tak. Policja stwierdziła samobójstwo, ale ja skłaniam się ku myśli, że to musiał być wypadek. Nie rozumiem, dlaczego Willis miałby się zabić zaraz po dokonaniu kradzieży. Problem polega na tym, że artefaktu nie znaleziono na miejscu wypadku. Zniknął.

Orchidea uniosła brwi.

– Dlaczego jesteście tacy pewni, że to Willis zabrał relikw?

– Bo wydawał się najbardziej zainteresowany właśnie tym jednym przedmiotem z całej kolekcji – wyjaśnił Brizo. – W zasadzie, kilka dni przed zniknięciem Theo poprosił o przeniesienie go do zespołu odpowiedzialnego za przeprowadzanie na nim testów analitycznych. Często zostawał do późna w pracy, by zajmować się projektem i był tu tej nocy, kiedy zniknął artefakt.

– Nie było śladów włamania? – spytał Rafe.

– Żadnych. – Brizo spoglądał głęboko zaniepokojonym wzrokiem

na gablotkę pełną reliktyw. – Ktokolwiek go wziął, musiał znać kod do lodowego zamku.

Orchidea uważnie oglądała gablotkę.

– Theo znał kod dostępu?

– Tak. – Brizo patrzył na Rafe'a zaintrygowany. – Jedyńa rzeczą, której nie rozumiem, to dlaczego zabrał ten konkretny artefakt. Jeżeli zamierzał ukraść coś dla kolekcjonera, jak sugerujecie, dlaczego nie zabrał jakiegoś przedmiotu o bardziej interesującym kształcie?

– Dobre pytanie – powiedział Rafe. – Moja, hm, znajoma, Panna Adams i ja dowiemy się tego.

Pół godziny później Orchidea stała obok Rafe'a na chodniku przed małym przygnębiająco wyglądającym domem, który należał do Theo Willisa.

– Jesteś pewny, że to bezpieczne tak po prostu tam wejść i się rozejrzeć? – spytała niespokojnie.

– Nie zapraszałbym cię, żebyś poszła ze mną, gdybym uważał, że nas aresztują – zapewnił ją Rafe. – Wiem, że nigdy byś mi tego nie zapomniała.

– Czy sugerujesz, że mam tendencję do zrzędzenia?

– Nigdy nie ośmieliłbym się być tak prostacki, żeby sugerować taką możliwość. Gotowa?

– Tak, jak jeszcze nigdy.

Orchidea zdała sobie sprawę, że Rafe dobrze się bawi. Nie miała na co narzekać. Była spięta i w pewien sposób niespokojna z powodu tego, co zamierzali zrobić, ale była też niezaprzeczalnie podekscytowana. Trzeba było znaleźć odpowiedzi na pewne pytania. Dziś w nocy ona i Rafe mogą jakieś znaleźć.

Podążyła za nim ostrożnie, kiedy prowadził ją dookoła budynku na tyły zaciemnionego domu.

W nocnym powietrzu czuć było powiew chłodu. Nad zatoką zgromadziła się mgła i powoli, metodycznie pochłaniała miasto. Długie, cienkie strzępy mgły otaczały ulicę za plecami Orchidei. Uliczna latarnia na końcu budynku świeciła pod osłoną mgły. Rzucany przez nią blask w nieznacznym stopniu oświetlał okolicę.

Rafe wydawał się nie mieć problemu z nawigacją w środku mglistej nocy.

Nawet nie potrzebował do tego więzi. Orchidea pomyślała, że znalezienie tylnych drzwi do domu Theo było jak pstryknięcie palcami w

porównaniu ze zlokalizowaniem sekretnych drzwi w całkowitej ciemności spowijającej galerię rzadkich książek Elviry Turlock.

Kiedy Rafe zniknął za umieszczoną z tyłu budynku werandą, szybko pospieszyła za nim. Nie chciała stracić go z oczu w tej mgle.

Obeszła róg i na moment doświadczyła uczucia strachu, gdy nie mogła go dojrzeć.

– Rafe?

– Tutaj jestem.

Rozglądała się wokół siebie i zobaczyła, jak się porusza, mroczny cień w jeszcze głębszych ciemnościach.

– Czy ktoś wspominał ci kiedyś, że masz umiejętność wtapiania się w tło?

– Czy to grzeczny sposób powiedzenia mi, że nie mam błyskotliwej osobowości? – W ciemności zabrzmiał cichy zgrzyt. – No i gotowe.

– Wyłamałeś zamek?

– Nie. Otworzyłem go. A to duża różnica. – Drzwi zaskrzypiały w zawiasach. – Chodź. Nie mamy całej nocy.

Ostrożnie podeszła na tył domu i zerknęła do ciemnej kuchni. Zarejestrowała kolejny cienisty ruch i uświadomiła sobie, że Rafe jest już w środku. Ruszyła się, żeby do niego dołączyć. I natychmiast uderzyła palcami u nogi o betonowy stopień, którego nie zauważyła.

– Ałć. Do diabła.

– Uważaj na stopień – doszedł ją z ciemności głos Rafe'a.

– Teraz mi to mówisz? – Zgięła palce w tenisówce i zdecydowała, że nic nie jest złamane. Ostrożnie weszła do domu.

Pachniał stęchlizną, jakby był zamknięty przez kilka dni. Bo bez wątpienia był, przypomniła sobie.

– Czy jest jakiś powód, dla którego nie możemy włączyć latarki? – spytała podążając za Rafe'em wzdłuż wąskiego korytarza.

– Przepraszam. Zapomniałem, że nie widzisz w ciemności tak dobrze, jak ja. – Usłyszała ciche kliknięcie, kiedy Rafe włączył przyniesioną ze sobą latarkę. – Tak lepiej?

– Znacznie lepiej. – Orchidea deptała mu po piętach podążając krótkim korytarzem w kierunku skąpo umeblowanego salonu. Starannie wypolerowana piano-wiolonczela stojąca w rogu pokoju była jedynym przedmiotem w pokoju noszącym jakiś rys osobowości lokatora. – Theo nie wychodził zbyt wiele. Przebywał albo w pracy, albo tutaj, grając na swojej cennej piano-wiolonczeli.

Nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Rafe'a w wąskim snopie światła latarki.

– Tyle zdołałem zrozumieć. Zobaczmy, co jeszcze uda nam się znaleźć.

Na ścianie nie wisiało nic poza kalendarzem. Kiedy Rafe skierował na niego latarkę okazało się, że to tania, tradycyjnie rozdawana klientom reklamówka firmy ubezpieczeniowej.

– Nawet nie powiesił żadnego obrazka – powiedziała.

– Na szczęście. – Rafe obiegnął latarką mały, porządny stosik magazynów technicznych. – Nie śmiem nawet przypuszczać, jaki gust w kwestiach sztuki mógł mieć taki facet jak Willis.

Orchidea uśmiechnęła się słodko.

– Daj spokój. Na pewno nie byłby gorszy niż mój gust w kwestii poezji.

Przez chwilę Rafe się nie odzywał.

– Bardzo jasno dałeś do zrozumienia, co myślisz o moich gustach literackich, kiedy byliśmy w galerii Pani Turlock, pamiętasz?

– Nie są zupełnie takie same, jak moje. – Zamilkł znacząco. – Z drugiej jednak strony mamy podobne upodobania w dziedzinie architektury.

– W porządku, lubię twój dom. Ale to prawdopodobnie dziwny traf szczęścia, że oboje nas ciągnie do architektury z okresu Późnej Ekspansji.

– Prawdopodobnie. – Rafe otworzył drzwi szafki i skierował światło latarki do środka. – Co się stanie, jeżeli Podobieństwo skojarzy cię z kimś, kto jest wielbicielem meta–zen–synergistyczno filozoficznej poezji.

– Użyję tego jako wymówki, żeby go odrzucić – rzuciła lekko.

Rafe odwrócił się na pięcie tak szybko, że aż podskoczyła z wrażenia.

– Odrzuciłabyś potencjalnego kandydata z agencji tylko dlatego, że nie podziela twoich gustów poetyckich?

– A dlaczego nie? Odrzuciłam jedyne kandydata, jakiego mi przysłali, bo nie podobał mi się jego talent psychiczny. Hej, w kwestii bycia płytką i powierzchowną mogę przebić każdego.

Rafe przygwoździł ją spojrzeniem w blasku latarki.

– Jakiego rodzaju talentem był?

– Talentem charyzmatycznym. – Uniosła rękę. – Wiem, wiem, charyzma nie jest uważana za talent. To cecha charakteru. Ale wierz

mi, Preston Luce potrafi ogniskować charyzmę. Co więcej robi to, kiedy mu się podoba. Jest naprawdę utalentowanym małym robako-
wężem.

– Preston Luce?

– Doktor Preston Luce, jeśli łaska. Słuchaj, czy zamierzamy przeszukać to miejsce, czy będziemy tu stać całą noc i dyskutować o mojej jedynej randce z agencji?

– Ty przynajmniej jakąś miałaś.

– Chcesz znać prawdę? – zapytała. – Jestem na śmierć przerażona, że w pewnym momencie Podobieństwo przyśle mi następnego miłego kandydata. Może znajdą kogoś, kto naprawdę docenia te same książki, co ja. Kogoś, kto lubi wyjadać resztki zapiekanki z makaronu o północy. Kogoś, kto nie będzie mi przeszkadzał, kiedy piszę. Do licha, jestem przerażona, że agencja może przysłać mi Pana Właściwego.

– Dlaczego tak się tego boisz?

Wolno wypuściła powietrze.

– Bo nie ufam, że jakakolwiek agencja jest w stanie znaleźć mi Pana Właściwego.

– Dlaczego nie?

– Bo jestem lodowym pryzmatem. Nie sędzę, żeby synergistyczni psychologowie wiedzieli zbyt wiele o lodowych pryzmatach, a co dopiero potrafili je właściwie swatać.

– Nie ufasz ich umiejętnościom sporządzania profili parapsychicznych?

– Nie. Do diabła, nie potrafili nawet odsiać Prestona Luce'a, profesjonalnego czarusa i kompletnego łajdaka.

– Nie używałbym tego argumentu przeciw Podobieństwu. Powiedziałaś, że ogniskował charyzmę. Spotkałem raz kogoś takiego, polityka. Trudno ich wykryć.

– Wszystko jedno, nie wyczekuję z niecierpliwością drugiego telefonu z agencji.

Rafe wyglądał jakby miał ochotę się z nią kłócić. Zastanawiała się, dlaczego jej małżeńskie perspektywy, lub ich brak, tak go interesowały. Ale zanim zdążyła spytać odwrócił się i oświetlił latarką komodę z szufladami.

– To chyba dobry pomysł, abyśmy skończyli tutaj i wyszli. Nie ma sensu wzbudzać nadmiernej ciekawości sąsiadów.

Orchidea pomyślała o prawie opuszczonej ulicy pełnej ciemnych

domów, która otaczała budynek.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek z sąsiadów zapisał się do lokalnego sąsiedzkiego patrolu.

– Pewnie nie. – Rafe zaczął metodycznie przeszukiwać kolejne szuflady. – Ty zajmij się szafą.

Posłusznie otworzyła drzwi, w których ukazała się niewielka kolekcja równo powieszonych spodni i marynarek.

– Czego mam szukać?

– Czegokolwiek, co nie pasuje do reszty.

Przeszukanie ograniczonej garderoby Theo Willisa nie zajęło jej dużo czasu. Po dziesięciu minutach od rozpoczęcia swojej pracy Orchidea zamknęła drzwi szafy i spojrzała na Rafe'a.

– Nic – powiedziała.

– Tu też nic. – Zaczął iść w stronę korytarza. – Musi coś być. Zawsze coś jest.

– Nie znalazłeś Theo – mamrotała podążając za nim do salonu. – Miał raczej ograniczone zainteresowania.

Rafe zatrzymał się w połowie korytarza, kiedy latarka prześlizgnęła się po ściennym kalendarzu.

– Czekaj chwilę.

– Co się stało?

– Morgan Lambert powiedział, że Willis chodził do synergistycznego psychologa.

– Więc?

– Więc musiał chodzić na regularne spotkania. Może zanotowywał je w kalendarzu. – Rafe przyjrzał się bliżej małym kwadratom oznaczającym każdy dzień. – No i proszę. Wygląda na to, że miał kilka wizyt w czasie ostatnich tygodni z doktorem Q. A.

Orchidea była zaintrygowana.

– Jak odnajdziemy tego doktora Q.A.?

– Są trzy sposoby na dowiedzenie się, jak nazywa się lekarz. Możemy przeszukać książkę telefoniczną i zadzwonić do wszystkich psychiatrów synergistycznych z tymi inicjałami. Albo możemy poszukać książeczki bankowej Willisa i sprawdzić, czy nie płacił za wizyty czekiem.

– A jaka jest trzecia metoda?

– Najprostsza. – Rafe kartkował strony kalendarza. – Cofniemy się do dnia, kiedy Willis miał umówione pierwsze spotkanie i miejmy nadzieję, że w tym miejscu zapisał pełne imię i nazwisko lekarza, tak

jak to robi większość osób.

Orchidea przysunęła się bliżej. Śledziła zawartość małych okienek, podczas gdy Rafe przewracał strony. Przeszedł ją dreszcz podniecenia, gdy natknęła się na nazwisko.

– Jest. Piętnastego, dwa miesiące temu. Dr Quentin Austen. To musi być on.

– Bardzo chciałbym porozmawiać z doktorem Austenem – dumął Rafe.

– Tak. Mógłby nam coś powiedzieć o stanie umysłu Theo na kilka dni przed jego śmiercią. – Podekscytowanie Orchidei malało. – Ale jest mało prawdopodobne, aby Austen przekazał nam informacje o swoim byłym pacjencie, nawet jeżeli ten już nie żyje.

– Jestem pewien, że zdołamy przekonać dr Austena, żeby nam pomógł – poinformował ją Rafe trochę zbyt gładkim tonem.

Orchidea już otwierała usta, żeby go spytać, z jakiego powodu jest taki pewny, że Austen zechce z nimi rozmawiać. Zamknęła je ponownie, kiedy nagle podniósł rękę uciszając ją gestem dłoni.

Zobaczyła jak nieruchomieje w cieniu, tak jakby wychwytywał dźwięki, których ona nie słyszała. Odwrócił się w stronę zasłoniętego okna.

Orchideę przeszedł nagły dreszcz.

– Co się stało? Coś jest nie tak?

– Nie jestem pewien. Coś jest nie w porządku.

– Skąd wiesz?

– Po prostu wiem – głos Rafe był niewiele głośniejszy od szeptu. Wyłączył latarkę, złapał ją za rękę i pociągnął w stronę drzwi – Czas się wynosić.

Orchidea nie spierała się z nim. W jej głowie kłębiło się milion pytań, ale to nie był odpowiedni czas na ich zadawanie. Pozwoliła Rafe'owi poprowadzić się w dół korytarza znacznie szybciej niż by chciała. Ledwo odróżniała niewyraźne kształty wokół niej, ale Rafe stąpał pewnie jak pso-kot.

Prowadził ją szybko w stronę tylnych drzwi, ale zaraz zatrzymał się raz jeszcze. Orchidea zerknęła przez okno na nieprzeniknioną ścianę szarej mgły.

Opary lśniły dziwnie odbijającym się w nich światłem ulicznych latarni, które ciasno spowijały.

– Mgła jest coraz gęstsza – powiedziała miękko. – Znacznie gęstsza. To nie będzie przyjemna podróż do domu.

– Nic nam nie będzie.

– Nigdy nie widziałam aż takiej mgły – niepokój Orchidei wzrastał. – Nie mogę nawet dojrzeć drzwi sąsiedniego domu.

To była prawda. Mgła przesłoniła dom i wszystko inne w okolicy.

– Nie możemy tu zostać – Rafe otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. – Ostrożnie. Pamiętaj o stopniu.

Chciała go zapytać, dlaczego szepczą, ale zapomniała o tym pytaniu, gdy tylko zamknęły się za nią drzwi. Dziwna mgła zdawała się jeszcze pogłębiać, kiedy obchodzili mały domek i przecięli zaniedbany trawnik, aby dotrzeć do zaparkowanego przy chodniku Icera.

Orchidea oszacowała, że byli w połowie drogi do samochodu, kiedy Rafe mocno szarpnął ją za rękę.

– To nie jest prawdziwa mgła. Na ziemię.

– Co u...?

Rafe podstawił jej nogę, a następnie mocno popchnął w dół. Orchidea żałośnie rozplaszczyła się na ziemi. Zastanawiała się, czy oszalał, kiedy wyczuła szelest obutych stóp na trawniku.

– Więż – zarządził Rafe.

Sąda talentu wynurzyła się z ciemności z siłą prawdziwego wampira psychicznego. Orchidea w pośpiechu skonstruowała pryzmat manipulując fasetkami, aby zoptymalizować moc. Chwilę później pierwszy z napastników wynurzył się z mgły.

Rozdział 8

Faktura spowitej mgłą nocy nagle wyostrzyła się, a psychicznie wzmocnione zmysły Rafe'a z pomocą więzi znalazły równowagę. Zapach, dźwięk i to niesamowite uczucie świadomości prowadziły go w ciemności tak łatwo, jak światło słoneczne w ciągu dnia.

Mgła była tak samo gęsta jak kilka sekund wcześniej, ale teraz nie miało już znaczenia, że częściowo go oślepia. Mógł teraz widzieć innymi zmysłami.

Było ich dwóch. Zlokalizował ich bardzo dokładnie w mgle. Zbliżali się równocześnie z dwóch kierunków. Doświadczeni drapieżcy.

Pierwszy mężczyzna wyskoczył z mgły ze śmiertelnością precyzją rekinokudy. Nosił czarną narciarską czapkę. Rafe zauważył błysk odbijającego się w ostrzu noża rozproszonego przez mgłę promienia światła. Sprawy przybrały poważny obrót. Następnym razem zabierze ze sobą pistolet, który czasem nosił w kaburze przypiętej do kostki u nogi.

Przetoczył się na bok, chowając się w mgle.

– Co za gówno – nożownik obrócił się dokoła szukając swojej ofiary.

– Gdzie on się podział? – Drugi mężczyzna wynurzył się z mgły. On też nosił narciarską i trzymał nóż. – Zredukuj trochę tę mgłę Jink. Nic nie widzę.

Rafe zaatakował nisko. Zderzył się z pierwszym mężczyzną. Impakt uderzenia posłał ich obu na ziemię. Osobliwa, oślepiająca mgła znikła w mgnieniu oka pozostawiając jedynie naturalne opary mgły, która tego wieczora otuliła zasłoną miasto.

Rafe wyczuł zdumienie Orchidei nawet poprzez więź, ale krystalicznie czysty pryzmat, który stworzyła nawet nie drgnął.

Kątem oka zanotował, że nadal leży na ziemi, podparta na łokciach. Odwróciła się, by obserwować gwałtowną scenę rozgrywającą się przed jej oczami. Rafe zignorował szok na jej twarzy. Nadal podtrzymywała więź, a w tej chwili jedynie to go interesowało.

Mężczyzna, którego Rafe zwał na ziemię był ekspertem. Podźwignął się na bok, częściowo się uwalniając. Nóż w jego ręce wykonał krótkie, brutalne cięcie, skierowane w jamę brzuszną Rafe'a.

Rafe cofnął się błyskawicznie, jednocześnie podrywając się na nogi. Kopnął w rękę trzymającą nóż. Słysząc było głucho chrupnię-

cie. Mężczyzna leżący na ziemi jęczał z bólu. Jego broń została odrzucona w ciemność.

– Dorwij go.

Drugi mężczyzna rzucił się naprzód, z nożem w wyciągniętej ręce. Ale w drodze do swojej ofiary musiał przeskoczyć przez leżącą na brzuchu Orchideę.

Rafe zobaczył jak Orchidea dziwnie zgrabnym i celnym ruchem wyrzuca w górę stopę, która ugodziła mężczyznę na wysokości ud.

Niespodziewany cios wytrącił atakującego z równowagi. Jego nogi splątały się, zachwiały się, zatoczył i runął w dół. Rafe dał susa w jego kierunku.

– Mgła. – Drugi mężczyzna uspokoił się, podźwignął na nogi i odwrócił w stronę Rafe'a. – Do licha Jink, dawaj tą mgłę. On idzie wprost na mnie.

Pierwszy mężczyzna zerwał się na równe nogi. Mgła nagle zgęstniała. Rafe zignorował to, koncentrując się na swoich innych zmysłach.

– Cholera, tak jakby widział przez to gówno – jęknął drugi mężczyzna.

– Spadajmy stąd. – Pierwszy mężczyzna zniknął w ciemności. Długi mężczyzna nie wszczął dyskusji i zaraz za nim podążył.

Moc w dalszym ciągu przepływała przez pryzmat. Parapsychicznie wyostrzone zmysły Rafe'a zadrżały w oczekiwaniu. Instynkt nakazywał mu podążyć za ofiarą. Bardzo łatwo byłoby dopaść przynajmniej jednego z uciekających mężczyzn.

– Rafe. Nie widzę cię. Gdzie jesteś?

Rafe mocował się z naturalnymi popędami swojego talentu strategicznego.

Nie mógł zostawić Orchidei. Była jego priorytetem.

Sztuczna mgła rozplynęła się tak szybko, jak się pojawiła. Orchidea podnosiła się powoli. Rozglądała się wokół ze zdumieniem, kiedy mgła opadła.

– Nic ci nie jest? – chciała wiedzieć.

– Nic – Rafe odciął dopływ talentu do pryzmatu.

Szybko ocenił jej stan. Była bardzo roztrzęsiona, ale nie straciła panowania nad sobą. Przyszło mu na myśl, że wiele osób, kobiet czy mężczyzn, które właśnie wyszły cało ze spotkania z nożownikiem dostałoby w tej chwili ataku hysterii.

– A co z tobą?

– W porządku. – Szukała po omacku upuszczonej na ziemię torebki. – Mój Boże Rafe, próbowali cię zabić. Dwóch na jednego.

Wściekłość w jej głosie wywołała uśmiech na jego twarzy.

– Nie, szanse były równe. Dwóch przeciw dwóm. Miałem przecież twoje wsparcie.

– Miło mi, że tak mówisz. – Orchidea wstając otrzepała jeansy na wysokości kolan. – Ale nie sądzę, żebym była aż tak pomocna. Pracownicy Psynergii są szkoleni, aby móc poradzić sobie w najbardziej nietypowych sytuacjach w czasie ogniskowania. Ale nie sądzę, żeby tego rodzaju rzeczy wpasowywały się w bardziej wyrafinowany, ekskluzywny wizerunek agencji, jakiego pragnie Clementine.

– Więc prawdopodobnie nie powinna podpisywać kontraktów z talentami strategicznymi. Nie jesteśmy raczej typowymi ekskluzywnymi klientami.

Biorąc Orchideę za rękę słyszał słabnący dźwięk kroków oddalających się napastników.

Adrenalina nadal płynęła w jego żyłach. Wiedział z wcześniejszych doświadczeń, że jeszcze chwilę potrwa zanim się uspokoi. Chociaż nie ogniskował już talentu, nadal był intensywnie świadomy miriad doznań związanych z nocą.

Był też dotkliwie świadomy gładkiej skóry dłoni Orchidei. Czuł jej ciepło oraz lekki, rozpoznawalny i zupełnie wyjątkowy zapach jej ciała.

Nieposkromione pragnienie ścisnęło mu wnętrzności.

Następstwo skoku adrenaliny, upomniał się. Naturalny chemiczny koktajl stworzony przez przemoc płynął w jego żyłach. Fakt, iż ten napój wykazywał niesamowite synergistyczne podobieństwo do seksualnego pożądania był dobrze udokumentowany i naukowo potwierdzony.

Różnica pomiędzy człowiekiem, a bestią, zdał sobie ponuro sprawę, pomagając Orchidei wsiąść do samochodu, nie jest tak duża, jak sądzi większość osób.

Orchidea popatrzyła na niego, gdy usadawiał się za kierownicą.

– Jeden z tych mężczyzn był iluzjonistą, prawda?

– Tak. Prawdopodobnie trochę mocniejszym niż ze środka skali. Szósta, może siódma klasa. Stworzona przez niego mgła była bardzo silną iluzją.

– Korzystał z naturalnej mgły, która już okrywała okolice – zamruczała Orchidea. – Moja przyjaciółka Amarylis, często ogniskuje z

bardzo silnym talentem iluzjonistycznym.

– Ze swoim mężem, Lucasem Trentem. – Rafe wyprowadził Icera z chodnika.

Orchidea rzuciła mu szybkie pytające spojrzenie.

– Znasz dobrze Lucasa, jak sądzę?

– Wystarczająco dobrze. – Rafe niewyraźnie przypomniał sobie noc na Wyspach Zachodnich, kiedy wraz z Lucasem i Nickiem Cha-stainem tropili kryjówkę bandy piratów. To właśnie Lucas dzięki stworzonej przez niego iluzji deszczu dał im trzem możliwość zwabie-nie reneatów w pułapkę.

– Rozumiem. Więc Amarylis mówi, że zawsze łatwiej jest zaszczepić iluzję na już istniejącym kawałku rzeczywistości, niż stworzyć coś od zera.

– Innymi słowy łatwiej jest stworzyć iluzję mgły kiedy wokół pa-nuje naturalna mgławica.

– To ma coś wspólnego z właściwościami ludzkiego oka, które wi-dzi to, co spodziewa się zobaczyć. – Orchidea zerknęła przez szybę na zamgloną ulicę. – W mglistą noc spodziewasz się zobaczyć dużo mgły. Trochę więcej nie jest żadnym zaskoczeniem.

– To ty mnie dziś zaskoczyłaś.

– Ja?

Zerknął na nią.

– Ten kopniak, którego użyłaś, aby przewrócić drugiego mężczy-znę. To meta–zen–synergistyczny cios.

– I co z tego?

– Nigdy nie wspominałaś, że ćwiczysz.

Zrobiła minę.

– Wychowałam się w Northville. Nauczyłam się meta–zen–synergi-stycznych ćwiczeń zanim nauczyłam się chodzić. Ale nie uważam się za regularnego praktyka. W przeciwieństwie do tych ostatnich nie je-stem obsesyjnym nałogowcem w kwestii ćwiczeń, który do tego cały czas chodzi w bieli.

– Rozumiem.

Rzuciła mu szybkie, pytające spojrzenie.

– Ty też używałaś pewnej formy meta–zen–synergii.

– Tak. – Rafe zacisnął dłonie na kierownicy. – Mój ojciec ćwiczy regularnie. On mnie nauczył. Powiedział, że ćwiczenia pomogą mi zapanować nad moim talentem.

– No cóż, przynajmniej nie chodzisz wszędzie ubrany na biało.

Rafe uśmiechnął się lekko.

– Nie, nie noszę zbyt często białych rzeczy.

– Bardzo trudno jest chodzić cały czas w bieli, możesz mi wierzyć. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak wszyscy w Northville z wyjątkiem mnie utrzymywali swoje ubrania w nieskazitelnym stanie. Moje zawsze brudziły się pięć minut po tym, jak je założyłam.

Rafe poczuł nagle niesamowite rozbawienie.

– Naprawdę?

– Tak. – Zmarszczyła brwi patrząc na swoje dłonie. – Niestety, nie wiem jak użyć meta-zen-synergii, żeby moje ręce przestały się trząść.

– To adrenalina. Zniknie za kilka minut. Jeżeli to cię jakoś pocieszy, to ja też czuję uboczne efekty. – I to jeszcze jak.

– Nie musisz brzmieć tak protekcyjnie.

– Co? – Jej sarkazm go zaskoczył. – Kto tu brzmi protekcyjnie? Powiedziałem ci tylko prawdę. Też czuję te efekty.

– Ha! – popatrzyła na niego. – Lepiej popatrz, jak prowadzisz.

– A co złego jest w moim sposobie jazdy?

– Nic. – Słysząc było, że jest poważnie rozdrażniona. – I o to właśnie chodzi. Jesteś niewzruszony jak skała.

– Nie próbuj mi wmówić, co czuję, a czego nie. Cholernie dobrze wiem, co teraz odczuwam. Fakt, że potrafię przy tym prowadzić wóz nie oznacza, że nie doświadczam tych samych skutków skoku adrenaliny, co ty.

– Nie krzycz na mnie. I bez tego miałam wystarczająco trudny wieczór.

– Nie krzyczę na ciebie.

– Podniosłeś głos.

Chciał się bronić, ale potrząsnął tylko głową, gdy uświadomił sobie, że miała rację.

– Do diabła. Posłuchaj nas tylko. To naprawdę głupia kłótnia.

– Tak, zgadza się – jęknęła. – Dlaczego w ogóle się kłócimy?

Westchnął.

– To część skutków podniesionego poziomu adrenaliny. To też minie.

– Nie zaczynaj znowu – ostrzegła, ale w jej głosie pojawiła się nuta rezygnacji.

Zerknął na nią. W świetle rzucanym przez deskę rozdzielczą mógł dostrzec niezwykle zmysłowy, miękki wyraz jej ust.

Wstrząsnęło nim pożądanie. Jeszcze wzrastało, zamiast zmaleć. Użył każdego skrawka samokontroli, jaki miał, żeby zdusić to uczucie. To zdecydowanie nie był właściwy czas, ani miejsce. Orchidea przeżyła właśnie bardzo traumatyczny wieczór. Musiał uszanować ten fakt.

– Wiesz, co – zauważył poważnie – tworzymy całkiem niezły zespół.

– Tak, całkiem niezły – przerwała na chwilę. – Teraz, gdy już się nie kłócimy chcę zadać ci pytanie. Co dokładnie twoim zdaniem przed chwilą się wydarzyło.

– Czy to nie oczywiste? – Wolno wypuścił powietrze. – Ktoś nie chce, żebyśmy zadawali pytania dotyczące Theo Willisa.

– Obawiałam się, że to powiesz.

Pół godziny później Orchidea siedziała zwinięta na masywnej, elegancko zdoobionej sofie z okresu Późnej Ekspansji w bibliotece Rafe'a. Obserwowała go poważnym, zaniepokojonym wzrokiem sącząc brandy z drzewa księżycowego.

– Co teraz zrobimy? – spytała.

– Pytasz chyba, co ja zamierzam teraz zrobić? – Nalał drugą szklanekę brandy. – Od dzisiaj nie zajmujesz się już tą sprawą.

– Czekał, myślałam, że tworzymy zespół?

Zaskoczył go jej płonący wzrok.

– Sprawy przybrały nieciekawy obrót. – Zaniósł swoją szklanekę przez pokój i opadł na masywny, orientalnie zdobiony fotel. – Nie chcę żebyś angażowała się w to bardziej.

– Masz na myśli, że skoro teraz nie jest to już pewnego rodzaju gra, chcesz dalej polować sam.

– To nie jest gra. Nigdy nie była. – Obserwował ją rozmyślając nad uczuciem satysfakcji, jaką wywoływała jej obecność w jego domu.

Decyzja, aby przywieźć ją do swojego wielkiego domu na wzgórzach górujących nad miastem była prosta. Miał doskonałą wymówkę. Orchidea nie powinna być sama po tym, co przeszła dziś wieczór.

– Do diabła, mam tego dosyć. – Odstawiła swój kieliszek z ponurą rozważą. – Chyba już najwyższy czas, żebyś mi powiedział, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi.

– Co masz na myśli?

– Jest zupełnie oczywiste, że aż do momentu, gdy sprawy przybrały poważny obrót cały ten interes związany z gonieniem za kosmicznym artefaktem, to była tylko kolejna wymówka, żeby mnie zatrudnić. Tak naprawdę, to nie potrzebowałeś moich usług w czasie żadnej ze spraw. Przynajmniej do dzisiaj, kiedy ci dwaj mężczyźni na nas napadli.

– To nieprawda.

– Nie kłam Stonebraker. Teraz, gdy oczywiste jest, że masz prawdziwą sprawę, która wymaga wspólnego działania talent-pryzmat pierwszą rzeczą jaką robisz jest zwolnienie mnie.

– Po prostu uważam, że będzie dla ciebie bezpieczniej, jeżeli wycofasz się z tego, zanim zrobi się jeszcze goręcej.

– Nigdzie się nie wybieram, dopóki mi nie powiesz o co chodzi. Myślę, że po tym, co dziś przeszłam mam prawo to wiedzieć. Dlaczego nalegałeś na zatrudnianie mnie tak często w czasie ostatniego tygodnia?

Zamknął oczy i wyciągnął się w fotelu. Co u diabła miał jej powiedzieć? Skończyły mu się gładkie wymówki.

– Masz rację. Może nadszedł czas, kiedy powinienem wyłożyć karty na stół.

– Najwyższy czas.

Otworzył oczy i popatrzył na nią.

– W porządku, prawda jest taka, że potrzebuję znaleźć żonę, albo przynajmniej narzeczoną w ciągu najbliższych dwóch miesięcy. Koneksje Synergistyczne nie są w stanie zaproponować odpowiedniej kandydatki, więc zdecydowałem się zapolować..uch..., to znaczy poszukać jakiejś na własną rękę.

– Żony? – Jej głos brzmiał jak zduszony jęk, ale oczy były ogromne.

– Wiedziałem, że poza innymi rzeczami chcę, żeby ewentualna kandydatka była pryzmatem z pełnym widmem, żeby nie zemdlą, gdy odkryje, że mój talent strategiczny wykracza poza skalę. Więc zacząłem zatrudniać kolejne pełnowidmowe pryzmaty, aż spotkałem ciebie.

Orchidea potrząsała w zdumieniu głową.

– To żart, prawda?

– Wierz mi – ostrożnie odłożył swoją szklanekę z brandy – cokolwiek to jest, nie jest to żart.

Gapiała się na niego.

– Postanowiłeś po prostu wypróbować jak najwięcej pryzmatów z pełnym widmem, aż znajdziesz taki, który twoim zdaniem nada się na żonę?

– W tym momencie jestem trochę zdesperowany.

– Jakie to dla mnie pochlebiające. Cudownie wiedzieć, że zdecydowałeś się sprawdzić, czy nadaje się na żonę, bo byłeś trochę zdesperowany.

Rafe zaczął odczuwać niepokój.

– Cóż, u twoich drzwi też nie stoi cała kolejka chętnych cię poślubić kandydatów. Sama powiedziałaś, że Podobieństwo nie przysłało ci ani jednego kandydata przez cały czas, odkąd jesteś u nich zarejestrowana. Dlaczego nie mielibyśmy jeszcze raz przyjrzeć się sobie dokładniej? Wygląda na to, że żadne z nas nie może obecnie liczyć na kogoś innego.

– Powiedziałaś, że masz dwa miesiące na znalezienie sobie żony albo narzeczonej?

Chwycił oparcia fotela i podniósł się. Podeszedł do kominka.

– Zgadza się.

– Mogę spytać dlaczego?

– To sprawa rodzinna. Bardzo popularna, służąca wszelkim celom i nie podlegająca dyskusji wymówka na Św. Helenie. Sprawa rodzinna.

Orchidea wpatrywała się w niego.

– Mówisz poważnie, prawda?

– Bardzo poważnie.

– Dobry Boże! – potrząsnęła głową w kompletnym zdumieniu. – To jak jakaś stara bajka, w której czarujący książę szuka po całym królestwie kobiety, na którą będzie pasował szklany pantofelek.

– Raczej nie widzę siebie w roli Księcia z bajki.

– Ja też nie – zauważyła.

Skrzywił się.

– To prawdopodobnie nie jest najlepszy czas na takie dyskusje.

Posłała mu lodowaty uśmiech.

– Mogę cię zapewnić, że nie będzie lepszego czasu. Czy jest jeszcze coś, co dotyczy tej dziwacznej sytuacji, co powinnam wiedzieć?

Potarł szczękę.

– Nie, to właściwie już wszystko.

– Powiedz mi proszę, bo nie mogę wyjść nie dowiedziawszy się tego, dlaczego do jasnej synergii wybrałeś mnie? Spośród wszystkich

tych pryzmatów z pełnym widmem, które pewnie zatrudniłeś z agencji ogniskujących w całym Nowym Seattle, dlaczego właśnie ja?

– Nie wiem. – To nie brzmiało dobrze. Szukał jakiejś hardziej logicznej odpowiedzi. – A dlaczego by nie?

– Masz rację, Księciem z Bajki to ty nie jesteś.

Rafe odwrócił się, by spojrzeć jej prosto w twarz.

– Słuchaj, staram się być z tobą szczerzy.

– Och, cudownie. Nic dziwnego, że Koneksje Synergistyczne mają problem ze znalezieniem ci pary. Tego rodzaju szczerłość raczej nie działa zachęcająco.

– Tak? A co z tobą? Twój urok osobisty też musi być w jakiś sposób ograniczony, skoro Podobieństwo przez cały ten czas nie mogło ci znaleźć żadnego kandydata.

Zerwała się na nogi.

– Jest mi wszystko jedno, czy kiedykolwiek znajdą dla mnie partnera.

– Cóż, ja też nie szaleję z radości na myśl o znalezieniu żony w tak krótkim czasie.

– W pełni to rozumiem. Mówię o presji. No cóż, nie chciałabym, żebyś tracił na mnie więcej swojego cennego czasu – odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę drzwi.

Wychodziła. Spłynęła na niego fala desperacji.

– Orchideo, nie odchodź proszę.

Coś w jego głosie musiało stłumić jej gniew. Zatrzymała się, ale nie odwróciła. Jedną ręką sięgnęła w stronę klamki. Jej plecy tworzyły elegancką, prostą linię.

– Nie wiem, czy zostanie tutaj jest najlepszym pomysłem – powiedziała dobitnie.

– Wiem, że spałam sprawę. Przepraszam – wziął głęboki oddech. – Ale miałem wrażenie, że jesteś przynajmniej chodź trochę mną zainteresowana.

– I co z tego?

– Ja jestem bardziej niż trochę zainteresowany tobą. Znacznie bardziej.

– To – zauważyła szorstko – nie jest wystarczający powód do małżeństwa, zwłaszcza małżeństwa bez potwierdzenia z odpowiedniej agencji matrymonialnej.

– Wiem – zawahał się. – Ale to chyba wystarczający powód do nawiązania romansu, nie sądzisz?

Jej ręka zacisnęła się wyraźnie na klamce. Knykcie zbieleły.

– Nie możesz tracić czasu na romans. Potrzebujesz żony.

– Dzisiaj w nocy potrzebuję ciebie.

Powoli odwróciła się, żeby na niego popatrzeć. Jej oczy przypominały tajemnicze jeziora kryjące tysiące sekretów.

– Naprawdę?

– Tak. – To był świetny moment, aby dostać dreszczy. Nie czuł się tak wytracony z równowagi od czasu burdy w ogródku Theo Willisa.

– Ale to na nic, jeżeli ty mnie nie pragniesz.

– Jak już wcześniej wspomniałeś, w pewnych sprawach tworzymy zgraną parę.

– Czy to jeden z takich przypadków?

– Tak – powiedziała wolno. – Myślę, że tak.

Radosna ulga, że nie miała na myśli jedynie spraw zawodowych wyparła w tym momencie wszystkie inne odczucia poza pożądaniem.

Rafe pokonał krótki dystans dzielący go od Orchidei w trzech długich susach. Uniósł ją w ramionach i przeniósł ją przez drzwi i dalej korytarzem.

Uśmiechnęła się drżąco i owinęła jedno ramie wokół jego szyi, kiedy zaczął wspinać się po szerokich schodach wiodących na piętro.

– Wiesz, że mogłabym iść sama.

– Mam dziwne przeczucie, że żaden z bohaterów nie pozwoliłby jednej z twoich bohaterek samej wchodzić po schodach do sypialni, zanim zacznie się z nią kochać po raz pierwszy.

– Naprawdę przeczytałeś jedną z moich książek, prawda?

– Tak.

Rafe dotarł do podestu i przystanął na chwilę, żeby znowu ją pocałować. Płonęło w nim pożądanie. Miał nadzieję, że nie dyszy z żądzy. To byłoby bardzo prymitywne.

Niósł ją w kierunku zacienionych drzwi na końcu korytarza.

– O rety – wyszeptała Orchidea kiedy wszedł do pokoju niosąc ją w ramionach. – Powiedziałeś, że masz w suficie okno. To jest niesamowite.

Uśmiechnął się widząc jak odchyła w tył głowę, żeby patrzeć z zachwytem na szklane sklepienie nad łóżkiem. Mgła, która przykryła miasto nie dotarła na wzgórze. Ich małe prywatne niebo było czyste. W aksamitnej ciemności jaśniały gwiazdy.

Łóżko było równie imponujące, co sam dom. Był to masywny,

okrągły mebel, z bogato zdobioną ramą z drzewa złotokapo-dębu. Rafe wszedł na podium z uczuciem, że nieuchronnie zbliża się przeznaczenie. Posadził Orchideę na narzucie z jedwabiu żabo-pajaka.

Przez kilka sekund wpatrywał się w nią przyzwyczajając się do uczucia, że wreszcie mają w swojej sypialni.

– Czy coś jest nie tak? – spytała.

– Nie. Czyżby naszły cię wątpliwości?

– W tym momencie nie jestem w stanie w ogóle myśleć – odpowiedział.

Po jej twarzy przemknęło uczucie zaniepokojenia.

– Nie robimy tego z powodu jakiegoś skoku adrenaliny spowodowanego walką z tymi dwoma facetami pod domem Theo?

– Nie. – Kogo obchodzi dlaczego to robią, Myślał. Robili to wreszcie. I tylko to się liczyło.

– Słyszałam, że synergistyczna reakcja, która czasem pojawia się w ludzkim krwioobiegu po walce nie różni się zbyt, w chemicznym rozumieniu, od reakcji powodowanej przez pociąg fizyczny.

– Uważam, że to olbrzymia zaleta – powiedział Rafe. – Jeżeli możesz, to powstrzymaj się na razie z wykładem o synergistycznych reakcjach chemicznych we krwi. Nie sędzę, abym mógł w tej chwili za nim nadażyć.

W jej oczach migotało zmysłowe rozbawienie.

– Przepraszam.

Z jękiem położył się na łóżku i wziął ją w ramiona. Miękki śmiech Orchidei wznosił się ku szklanemu sufitowi, tak lekki i jasny jak gwiazdy nad nimi. Rafe położył się na niej, uwięził jej twarz między swoimi dłońmi i całował ją, aż przestała się śmiać.

Rozchyliła wargi pod naporem jego ust. Z miękim, stłumionym jękiem otoczyła go ramionami. Poczuł jak do szpiku kości przenika go świadomość jej rosnącej potrzeby. Pragnęła go. Jego własny, tłący się głód zapłonął pełnym ogniem. Przłynęło przez niego radosne uczucie triumfu. Dziś w nocy była jego.

W pełnej uniesienia gorączce pożądania przeturlał się z nią po szerokim łóżku, mnąc chaotycznie kołdrę i prześcieradła. Kiedy wreszcie się uspokoili, Rafe leżał ponownie rozciągnięty na jej ciele. Jej obciągnięte jeansami nogi splatały się z jego kończynami. Wpatrywała się w niego bez tchu. Jej oczy lśniły, gwieździste sadzawki, w których chętnie by się utopił, w których musiał się natychmiast utopić.

Przez jeansy czuł żar jej ciała. Był przesycony jej unikalnym zapachem, który w chwili obecnej mieszał się z bezbłędnie rozpoznawalnym zapachem kobiecego pożądania. Noc, czas, kiedy jego zmysły były najbardziej wyostrzone, kiedy był najbardziej świadom tej innej części samego siebie, wzywała go. Czuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek w całym swoim życiu.

Uniósł ciężar ciała spoczywającego na Orchidei na tyle wysoko, by chwycić brzeg jej koszulki. Zdołał podciągnąć ją na wysokość piersi, a następnie ściągnąć przez głowę. Jej miękkie włosy splatały się dziko w czasie tej czynności. Jeden jedwabisty lok opadł jej na twarz, nadając jej zmysłowy tajemniczy wygląd.

Spoglądał w dół na jej elegancko ukształtowane piersi. Przyszło mu na myśl, że nigdy nie widział jeszcze czegoś tak pięknego jak lśniący na jej skórze gwiazdny połysk.

Walczyła z guzikami jego koszuli. Niezadowolony z jej powolnych postępów sięgnął w dół i sam dokończył pracę. Zamknął oczy i zdrżał, gdy poczuł jej palce na swojej nagiej klatce piersiowej.

– Rafe – jej głos drżał z emocji.

Otworzył oczy i pochylił głowę, by ją pocałować. Trzymając jej usta w niewoli rozpiął jej jeansy. Torował sobie drogę do jej ciała, uwalniając ją ze spodni. Kiedy ponownie uniósł się nad nią była odziana jedynie w malutki trójkąt jedwabiu.

Ostrożnie wsunął rękę między jej nogi. Krocze jej miniaturowych majteczek było już mokre. Wstrząsnęło nim zmysłowe uczucie przyjemności, całkowicie go ogłuszając. Delikatnie ucisnął okrywający ją jedwab.

Orchidea gwałtownie wciągnęła oddech pod wpływem jego dotyku, wydała niemy okrzyk i drgnęła niespokojnie pod jego dłonią. Kiedy ją głaskał, ścisnęła razem uda, przyciskając się mocniej do jego dłoni. Jej oddech przyspieszył w ciemności.

Po chwili niepewnie sięgnęła, żeby dotknąć go równie intymnie, jak on ją dotykał i westchnęła zniecierpliwiona, gdy na drodze napotkała jego spodnie.

Jej dotyk był interesująco niezdarny, ale pełen entuzjazmu. Jej ręce torturowały go doprowadzając do nieprzytomności, podczas gdy po krótkich poszukiwaniach znalazła, a następnie rozpięła pasek jego spodni, by wreszcie poradzić sobie z rozsunięciem suwaka.

Ciężko wpadł w jej dłonie. Kiedy objęła go delikatnie myślał, że oszaleje. Na kilka sekund zacisnął mocno powieki i walczył despe-

racko o odzyskanie kontroli nad sobą.

Wygrał bitwę, przynajmniej na kilka minut. Kiedy udało mu się na powrót otworzyć oczy zobaczył, że Orchidea spogląda na jego sztywną męskość z wyrazem zdumienia i intensywnego podziwu.

– Jesteś niesamowity – wyszeptała.

Nie odpowiedział. Nie mógł. Był zbyt blisko wybuchu. Jeżeli teraz jej nie weźmie, to z pewnością rozpadnie się na kawałki.

Odrzucił jej przesiąknięte wilgocią majteczki, położył się na niej raz jeszcze ustawiając się w odpowiedniej pozycji. Złapał i przytrzymał jej spojrzenie.

Chciał patrzeć jej w oczy, kiedy się z nią połączy. Spoglądała na niego z dziwną intensywnością, tak jakby czekała, aż stanie się coś ważnego. Modlił się, żeby jej nie zawieść.

Wtargnął w nią gwałtownie. Poczł jak małe, delikatne mięśnie stawiają mu opór, aby w natępanej chwili poddać się i szczelnie zamknąć wokół niego. Coś innego również się poddało. Usłyszał jej krótki, gwałtowny wdech. Na moment zeszywniała. Była gorąca, wilgotna i bardzo, bardzo wąska. Zbyt wąska.

Podniósł szybko głowę.

– Orchideo?

– Wszystko w porządku – objęła jego twarz dłońmi. – Długo na to czekałam.

– Ale dlaczego?

– Nigdy przedtem nie wydawało mi się to właściwe.

Przemożone uczucie zdumienia i radosne uczucie satysfakcji mieszały się w jego żyłach tworząc silnie działający chemiczny koktajl. Dokładnie wiedział, co miała na myśli. Nigdy nic nie wydawało się tak właściwe. Schylił głowę, by pocałować jej szyję.

– Więż.

Nie wahała się. Na płaszczyźnie metapsychicznej pojawił się migoczący kryształ. Rafe przepuścił talent przez pryzmat wchodząc głębiej w Orchideę.

Sięgnął w dół, by znaleźć jej małą, twardą lechtaczkę. Pierwszy dotyk wyrwał z niej krótki okrzyk i sprawił, że przycisnęła twarz do jego klatki piersiowej. Wydawało mu się, że poczuł jej zęby. Uczucie było tak ekscytujące, że wręcz nie do zniesienia.

Głaskał ją delikatnie wchodząc w nią. Odwieczny rytm pożądania połączył ich w najstarszej synergistycznej harmonii.

Wieki później, kiedy wysiłek, który wkładał w powstrzymywanie

się stał się niezwykle bolesny, ręce Orchidei nagle zatopiły się w jego plecach.

– O tak – wyszeptała, jakby właśnie dokonała niesamowitego odkrycia. – Tak.

Uniósł głowę, żeby móc widzieć jej twarz, gdy szczytowała pod nim. Drobne konwulsje wstrząsały jej ciałem. Czuł je głęboko w środku, ściśle otoczony jej ciałem.

Wyzwolenie Orchidei przyspieszyło jego własne. Oślepiająca mieszanka paranormalnej energii przelalała się przez niego. Wszystkie jego zmysły skupiły się na tym doznaniu. Pochłonęła go cudowna dzikość. Nigdy przedtem nic nie wydawało mu się tak pełne, tak właściwe, tak doskonałe.

Rafe otworzył oczy długi czas później. Spoglądał w szklaną kopułę i podziwiał gwiazdy. Orchidea poruszyła się i wyciągnęła u jego boku. Podparła się na łokciu i pochyliła się w jego stronę.

– Mogę ci zadać osobiste pytanie?

Uważnie studiował jej błyszczące oczy, a następnie wplótł palce w jej włosy.

– W tej szczególnej chwili nie miałbym nic przeciwko, gdybyś poprosiła mnie, żebym polatał, albo przepłynął wodospad w beczce.

– Jesteś w dobrym nastroju, co?

– Nawet bardzo.

Złożyła ramiona na jego klatce piersiowej i oparła policzek na swojej dłoni.

– To w pewnym sensie pytanie zawodowe.

– No to pytaj.

– Czy to prawda, że talenty strategiczne wyczuwają, kiedy ktoś kłamie?

Znieruchomiał. A potem zaczął się śmiać. Śmiał się tak mocno, że aż musiał usiąść i objąć się w pasie ramionami. Skręcał się ze śmiechu. Wręcz ryczał ze śmiechu. Cały pokój wibrował od tego dźwięku.

W końcu śmiech Rafe'a powoli przycichł i zmienił się w uśmiech.

– Pozwól, że ujmę to w ten sposób. – Przeczesał palcami jej włosy.

– Będę wiedział, jeżeli kiedykolwiek spróbujesz udawać orgazm.

Rozdział 9

Nie śniła.

Albo, żeby być bardziej konkretnym, kiedy obudziła się w masywnym okrągłym łóżku stwierdziła, że tej nocy nie śniła o prześladowającym ją wampirze psychicznym, nawet jeżeli niektórzy stwierdziliby, że właśnie poszła z jednym do łóżka.

Czuła się cudownie odświeżona dzięki enegetyzującym zajęciom, którym oddawała się w nocy. Wysoko nad głową poranne słońce świeciło przez szklany sufit. Rozlewało się po łóżku jak ciepły miodowy syrop i tworzyło wokół niej przepyszną sadzawkę.

Żadnych koszmarów ostatniej nocy. Ani jednego.

Rozmiar jej euforii uświadomił jej bardziej niż cokolwiek innego, jak bardzo bała się powracającego stale snu. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo ją to gryzło przez ostatnich kilka dni.

Zastanawiała się, czy cudowne odprężenie seksualne może mieć tak rewitalizujący efekt. Jediną metodą potwierdzenia tej hipotezy jest spróbowanie ponownie. Wkrótce.

Nie wiedziała, dlaczego czekała z utratą dziewictwa aż do ostatniej nocy.

Bogowie wiedzą, że jako dzika i nieposkromiona nastolatka często wspinała się na tylne siedzenia samochodów z licznymi chłopcami na tyle odważnymi, by spotykać się z córką jednego z najważniejszych pracowników naukowych wNorthville. Jej ciekawość była tak zdrowa, jak każdej innej dorastającej dziewczyny.

Ale być może dlatego, że Northville cierpiało na poważne braki interesujących "złych" chłopców, albo dlatego, że w głębi serca była romantyczką czekającą na Pana Właściwego, nigdy nie poszła na całość.

Gdy opuszczała Northville w wieku dwudziestu lat nie była już ani tak dzika, ani nieposkromiona. Miała swoje życiowe plany i cele i żaden z mężczyzn, którego spotkała nie pasował do nich. Miała przyjaciół rodzaju męskiego, ale nie miała zbyt wielu chłopaków. Żaden z nielicznych mężczyzn, którzy przewinęli się przez jej życie w ciągu ostatnich kilku lat nie był Panem Właściwym.

Rafe być może nie był Panem Właściwym, ale na pewno był Panem Ekscytującym. Podkurczyła palce u stóp pod turkusowoniebieskim prześcieradłem i słuchała dźwięków dochodzących z łazienki,

gdzie Rafe brał prysznic. Gdzie jej kochanek brał prysznic, poprawiła zaraz w myślach.

Który zarejestrował się w agencji matrymonialnej, bo desperacko szukał żony z powodów rodzinnych.

Ta myśl odrobinę sprowadziła ją na ziemię. Usiadła, odrzuciła niebieskozielone nakrycia i wstała z ogromnego, okrągłego łóża.

W połowie drogi do łazienki zatrzymała się, odwróciła i przez ramię zerknęła na zmiętą i wygniecioną pościel. Dostojny mebel z okresu Późnej Ekspansji z pewnością nie został zaprojektowany, by służyć frywolnym seksualnym rozrywkom, dumiała. Miał ciężki, złowieszczy wygląd łóża, które zostało zaprojektowane dla dynastii Ojców Założycieli. Gdyby spróbowała, mogłaby prawie poczuć się winna, że spędziła w tym łóżku ostatnią, fantastyczną noc.

Prawie.

Pół godziny później, umyta, ubrana w swoje jeansy i koszulkę, przeczesła wilgotne włosy grzebieniem Rafe'a i zeszła na dół.

Na szczycie drobiazgowo zdobionych schodów zatrzymała się na chwilę, przypominając sobie, jak Rafe niósł ją w ramionach. Przeszedł ją dreszcz czystej przyjemności.

Zdecydowanie Pan Ekscytujący.

Kuszący aromat świeżo parzonej herba-kawy poprowadził ją przez hall do małego, otoczonego szklanymi ścianami pokoju dziennego, z widokiem na ogród. Rafe siedział za stołem, w pobliżu sięgającego od sufitu do podłogi okna. Przed nim leżał rozłożony egzemplarz New Seattle Times.

Spojrzał na nią, gdy wchodziła do pokoju. Gdy ją zobaczył, jego usta wygięły się w pełnym leniwej satysfakcji uśmiechu.

– Dzień Dobry – powiedział.

– Cześć. – Błyskotliwe rozpoczęcie konwersacji, zganiła sama siebie. Nikt nie powie, że Orchidea Adams, autorka romantycznych powieści o wampirach psychicznych, nie wie, jak rano pozdrowić kochanka.

Opanowała dreszcz szczęścia zmieszanego z niepokojem i zmusiła się, żeby spokojnie podejść do stołu. Kiedy tam dotarła, nie bardzo wiedziała, co ma dalej robić.

Co będzie poprawnym towarzysko gestem, zastanawiała się trochę niespokojnie. Czy powinna zgrać bardzo opanowaną i po prostu poczęstować się herba-kawą? Lekko ucałować Rafe'a w policzek jak-

by byli kochankami od dawna?

Zrobić jakąś rażą uwagę o tym, że jest bardzo rannym ptaszkiem, jak na osobę, która twierdzi, że jest nocnym Markiem?

Bohaterki w jej powieściach nigdy nie miały tego problemu.

Rafe przyszedł jej z pomocą. Wyciągnął do niej rękę, a gdy podała mu swoją przyciągnął ją bliżej swojego boku i pochylił jej głowę do pocałunku.

– Pysznie smakujesz – powiedział, gdy podniosła głowę.

– Użyłam twojej pasty do zębów – wyskoczyła. Świetnie Orchideo, po prostu świetnie. – Ale nie twojej szczoteczki do zębów. Naprawdę. Użyłam palców. – Wspaniale. Teraz zamiast wypowiadać się niezręcznie brzmiała już jak prawdziwa kretyńska.

– Możesz używać mojej szczoteczki do zębów, kiedy tylko chcesz – powiedział poważnym głosem.

Nie potrafiła powiedzieć, czy się z nią drażni, więc zdecydowała się zmienić temat. Zerknęła w dół na gazetę szukając inspiracji i zobaczyła, że czytał artykuł z sekcji dotyczącej biznesu. Nagłówek sprawił, że zamrużyła:

„Wciąż napływają informacje o zbliżających się zmianach w firmie Stonebraker”

Uniosła w zdziwieniu brwi i pochyliła głowę, żeby przeczytać resztę artykułu.

Plotki, iż Alfred G. Stonebraker, długoletni prezes i dyrektor Stonebraker Shipping, wkrótce ustąpi zataczają coraz szersze kręgi w środowisku biznesu.

Jeżeli są prawdą, to generują kłopotliwe pytanie o przyszłość firmy. Pozycja firmy została mocno nadszarpnięta zeszłorocznym, krótkotrwałym kryzysem ekonomicznym, a problemy dodatkowo pogłębiła porażka w dostosowaniu się do najnowszych zmian technologicznych, jakie nastąpiły w przemyśle transportowym.

Nie stanowi tajemnicy fakt, iż Rada Nadzorcza Firmy Stonebraker jest mocno podzielona. Najsilniejszy obóz, na czele z bratankiem A.G. Stonebrakera i obecnie bardzo prawdopodobnym następcą, Selbym Culverthorpem popiera rzekomo fuzję z Tri-Mark Consolidated. Takie posunięcie, chociaż potencjalnie korzystne dla akcjonariuszy Stonebraker w krótkim okresie czasu, może zaowocować całkowitą

porażką firmy w kwestii utrzymania niezależności.

– Jakie to smutne – powiedziała bez zastanowienia Orchidea. Brwi Rafe'a uniosły się pytająco.

– Dlaczego tak mówisz?

– Źle umiejscowiony sentymentalizm, tak przypuszczam. – Usiadła i sięgnęła po dzbanek z herba-kawą. – To nie moja sprawa. Nie mam żadnych udziałów w firmie Stonebraker. I zdaję sobie sprawę, że nie jesteś zaangażowany w rodzinne interesy. Ale czy nie przygnębia cię myśl, że będzie stał i patrzył jak połyka ją konkurencja?

Ich oczy spotkały się z przykuwającą uwagą intensywnością.

– Tak.

Sięgnęła po tosta.

– Czy żałujesz czasami, że nie poszedłeś w ślady dziadka?

– Wygląda na to, że dużo wiesz o historii mojej rodziny.

Wzruszyła ramionami i ugryzła kawałek tosta.

– Clementine nakreśliła mi sytuację. Powiedziała mi, że według plotek kilka lat temu między tobą a twoim dziadkiem wybuch wielki spór.

– Pani Malone ma rację. Dziadek chciał, żebym zaczął pracować dla firmy. A to było niemożliwe.

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie mógłbyś pracować dla kogoś. Musiałbyś być swoim własnym szefem, bez względu na to co byś robił.

Rafe spoglądał na nią z tajemniczym wyrazem twarzy.

– Wygląda na to, że jesteś tego zupełnie pewna.

– To oczywiste. Pewnie ma jakiś związek z byciem talentem strategicznym – refleksyjnie przeżuwała kawałek tosta. – Albo ma to związek z byciem tobą. Czy ty i twój dziadek pogodziliście się?

– Rozmawialiśmy – powiedział ostrożnie Rafe.

Orchidea uśmiechnęła się.

– To cudownie. Czy złagodniał trochę przez lata?

– To oczywiste, że nigdy nie spotkałaś mojego dziadka. Łagodny, to nie jest słowo, które kiedykolwiek by do niego pasowało.

– Rozumiem. Czy przebaczył ci kiedykolwiek, że nie dołączyłaś do rodzinnej firmy?

– Nie.

– Och – zawahała się. – Musi go strasznie martwić, że firma Stonebraker może zostać wykupiona przez Tri-Mark.

– Nie jest z tego powodu zbyt szczęśliwy.

– Czy wini cię za obecne problemy firmy? – spytała łagodnie.

– Tak. Mówi, że gdybym przejął ją pięć lat temu, kiedy pierwotnie planował przejść na emeryturę, to Stonebraker nie miałoby dziś tego rodzaju problemów. I ma rację.

Westchnęła.

– Przypuszczam, że można się było spodziewać, że będzie chciał wzbudzić w tobie poczucie winy. Rodziny specjalizujecie się w tego typu sprawach.

– Wiem.

– Nadal jednak uważam, że kłótnia rodzinna to zawsze nieszczęście. Czy nie możesz zrobić niczego, co pomogłoby zakopać dzielącą cię z dziadkiem przepaść?

– Jasne. – Rafe oparł ramiona o leżącą gazetę i spoglądał nią płonącymi oczami. – Mógłbym sprawić, że zostanę wybrany dyrektorem Stonebraker, ukrócić zapędy kuzyna Selby'ego zmierzające do przejęcia firmy, przywołać radę nadzorczą do porządku, zmodernizować sposób prowadzenia przez firmę interesów i renegocjować kontrakty z naszymi podwykonawcami i dostawcami.

Orchidea gapiała się na niego zdumiona. Powoli odłożyła swojego do połowy zjedzonego tosta.

– Dobry Boże, i to właśnie zamierzasz zrobić, prawda?

– Tak. – Chwycił swój kubek z herba-kawą. – To właśnie zamierzam zrobić.

Przełknęła kawałek tosta.

– Mogę spytać dlaczego?

Rafe zawahał się.

– Firma jest w naszych rękach od pokoleń. Jest źródłem dochodów kilku tysięcy osób, w tym większości członków rodziny Stonebraker. Jeżeli kuzyn Selby zrealizuje swoje plany wielu dobrych, ciężko pracujących ludzi, nie tylko moich krewnych, straci pracę. Zawsze tak jest w przypadku fuzji.

– Więc to twoje poczucie odpowiedzialności wobec rodziny motywuje cię do uratowania firmy?

– Są jeszcze inne powody. – Rafe spoglądał w stronę ogrodu. – Stonebraker miało duży wkład w przeszłość. Jeszcze kilka lat temu firma była liderem w dziedzinie rozwoju nowych technologii w branży dostaw i transportu. Dzięki niej powstało dużo mniejszych firm.

Uśmiechnęła się słysząc dumę pobrzmiwającą w jego słowach. Kierowało nim nie tylko poczucie odpowiedzialności względem rodzi-

ny. Rafe miał również bardzo silne poczucie zaangażowania w sprawy całej społeczności, chociaż prawdopodobnie bardzo niechętnie by się do tego przyznał.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego zamierzam ocalić Stonebraker Shipping – dodał.

– Jaki? – spytała Orchidea.

– Kuzyn Selby jest dwulicowym, przebiegłym małym niedojdą, którego jedynym celem jest wzbogacenie się na rozczłonkowaniu Stonebraker. Chce się zemścić na całej rodzinie Stonebraker. Niech mnie diabli, jeżeli pozwolę tej małemu łasico-wężowi zrealizować jego plany.

– Dlaczego na Św. Helenę chce doprowadzić do ruiny firmę razem z całą rodziną?

Rafe wzruszył lekceważąco ramieniem.

– To długa historia. W końcowym rozrachunku nie może dawać, że prawdziwa władza i firma zawsze spoczywały w rękach członków z mojej gałęzi rodziny.

– Rozumiem.

– Byłoby zupełnie inną kwestią, gdyby Selby chciał przejąć kontrolę nad firmą, żeby ją uratować. Ale jego celem jest jej zniszczenie.

– Rafe zacisnął palce na kubku. – Nie pozwolę na to.

– Rozumiem. – Uświadomiła sobie, że kryzys obudził w Rafe'ie instynkty opiekuńcze. Zrobi wszystko, co będzie konieczne, aby uratować firmę i tych których byt od niej zależy. Nic pozwoli, aby cokolwiek stało mu na drodze.

– Jest jeszcze jeden mały problem – powiedział wolno Rafe.

– Tylko jeden?

Rzucił jej wyważone spojrzenie.

– Rada Nadzorcza Stonebraker jest bardzo konserwatywna. Nie ma mowy, żebym zdołał zrealizować swoje plany, jeżeli nie przekonam ich, że zamierzam się ożenić i ustatkować. Muszę wyglądać w ich oczach na rodzinnego, poważnego i odpowiedzialnego człowieka.

Ostatni kęs tosta utknął Orchidei w gardle. Ciężko przełknęła, aby się go pozbyć.

– Dlatego potrzebujesz żony.

– Tak.

Z ogromnym wysiłkiem zdołała przywołać na twarz coś, co miała nadzieję wygląda na radosny uśmiech.

– Powodzenia.

– Jak dotąd raczej go nie miałem.

– Przykro mi to słyszeć – desperacko szukała zmiany tematu. – Myślę, że teraz pozostaje pytanie, co będzie dalej?

– Tak.

– No więc? To ty jesteś ekspertem – zauważyła.

– Ja?

Uniosła oczy ku sufitowi.

– Dobrze, że twoi klienci nie widzą cię teraz z tym bezmyślnym wyrazem twarzy. Pomyśleliby dwa razy, zanim by cię zatrudnili. Na szczęście ja sama wiem, że głęboko w środku jesteś bardzo bystrym facetem, bo inaczej sama miałabym pewne wątpliwości.

– Nie jestem większym niż ty autorytetem w tych sprawach, aby stwierdzić, co się będzie dalej działo.

– Czy ja dobrze słyszę?

Zrobił niewyraźny ruch ręką.

– Nie robię tego cały czas.

– Nie robisz?

– Na jasną synergię, kim ty myślisz, że jestem?

– Człowiekiem interesu, który, żeby się rozerwać, zabawia się na boku w prywatnego detektywa?

Zmarszczył brwi.

– A co ma mój zawód, czy moje hobby do tego, co będzie się dalej działo z naszym związkiem?

W mózgu Orchidei zapaliło się nagle małe światełko z galaretowego lodu. Odłożyła kubek na stół i zasłoniła ręką usta.

– O rety.

Rafe zacisnął szczękę.

– Co u licha znaczy „O rety” w tym kontekście?

Orchidea nadal zasłaniała ręką usta, żeby ukryć śmiech.

– Nic – wymamrotała.

– Do diabła, Orchideo!

– Nie mówiłam o naszym związku – przełknęła kolejny atak śmiechu. – Mówiłam o naszym śledztwie. Jaki jest kolejny krok?

– Nie mówiłaś o nas?

– Nie. – Próbowала wyglądać obojętnie. – Sądziłam, że przyjmiesz to z ulgą. Mówiono mi, że mężczyźni nienawidzą dyskusji o związkach.

– Przyjmuje – wzruszył ramionami – i owszem, nie lubię.

– No, więc co z naszym śledztwem?

Złożył gazetę ponurym, precyzyjnym ruchem.

– To już nie jest nasze śledztwo Orchideo. Myślałem, że wyjaśniłem tę sprawę ostatniej nocy.

Spięła się, przygotowując się do walki.

– Potrzebujesz mnie. Wiem, że chcesz mnie trzymać od tego z daleka, ale po wczorajszej nocy musisz przyznać, że potrzebujesz mojej umiejętności ogniskowania.

– Przyznaję, że twoje usługi były bardzo pomocne w czasie walki, ale jestem przyzwyczajony do pracy w pojedynkę. Dam sobie radę bez ciebie.

– Rafe nie możesz w ten sposób zerwać kontraktu.

Wyglądał na rozbawionego.

– Oczywiście, że mogę.

– Ale zaangażowałam się w tą sprawę. Nie mogę tego tak po prostu zostawić.

– Ale to właśnie zrobisz.

– Nie. Nie zrobię tego. Chcę się dowiedzieć, co stało się z Theo Willisem.

– Zdaje się, że czegoś tutaj nie rozumiesz Orchideo. Zwalniam cię.

Uniosła podbródek.

– Skoro nalegasz, przypuszczam, że niewiele mogę zrobić, żeby cię powstrzymać.

– Nalegam.

– Bardzo dobrze, jeżeli tak właśnie uważasz. – Zerwała się na nogi i zabrała pusty talerz po tostach. – Z pewnością nie mogę cię zmusić, abyś pozwolił mi sobie asystować.

– Cieszę się, że to rozumiesz. – Wyraz twarzy Rafe'a złagodniał. – Obiecuję, że będę cię na bieżąco informował o postępach.

Zatrzymała się w drzwiach pokoju śniadaniowego i skinęła głową.

– Dziękuję. To byłoby bardzo pomocne?

– Pomocne?

– Tak. Nie mam zbyt dużego doświadczenia w tego rodzaju sprawach i prawdopodobnie będę potrzebowała każdego skrawka informacji, który zdecydujesz się mi podrzucić.

– Skrawka informacji?

– Jeżeli będziesz dla mnie naprawdę miły, to może odwzajemnie przysługę. Też dam ci znać, czego zdołałam się dowiedzieć.

Rafe zarwał się na nogi.

– O czym ty u diabła mówisz?

– Myślałam, że wyraziłam się jasno. Mam zamiar kontynuować śledztwo – weszła do kuchni – z twoją pomocą lub bez niej.

– Wracaj tu natychmiast, do licha.

Orchidea pozwoliła, by drzwi do kuchni zamknęły się za nią. Otworzyły się gwałtownie, gdy wkładała naczynia do zlewu.

– Nie ośmielisz się – powiedział.

– Nie znasz mnie zbyt dobrze, prawda? – Oplukała talerz i sięgnęła po ręcznik. – Już podjęłam decyzję. Oczywiście wolałabym, żebyś nadal był moim partnerem, bo wiesz o pracy detektywa znacznie więcej niż ja. Ale skoro nalegasz na zwolnienie mnie, będę musiała radzić sobie sama.

Zrobił krok w jej kierunku.

– To szantaż!

– No cóż, jeżeli chcesz to tak nazywać...

Położył ręce na biodrach.

– Nie lubię, gdy ktoś mną manipuluje.

– Ja negocjuję, a nie manipuluję. Jako człowiek interesu powinienś widzieć różnicę.

– Orchideo, jeżeli myślisz, że ujdzie ci to na sucho...

– Nie wąż się mi grozić. To ty zatrudniłeś mnie pod fałszywym pretekstem. – Odwiesiła ręcznik na miejsce. – Ale jestem gotowa to przemyśleć, jeżeli przyjmiesz mnie na pełnoprawnego partnera.

– A jeżeli tego nie zrobię, to zaczniesz grzebać w sprawie na własną rękę, czy nie tak?

– Masz to jak w banku. – Wyciągnęła ramiona i pochyliła się do tyłu opierając dłonie o blat lady kuchennej. – I co ty na to? Umowa stoi?

Rafe nie odpowiedział. Patrzył na nią przez długą chwilę. Orchidea poczuła przyływ jego talentu. Włosy na karku stanęły jej dęba. Uczucie zagrożenia przepływało przez jej nerwy.

– Spróbuj tego jeszcze raz, a spotka cię prawdziwa niespodzianka, gdy będziemy następnym razem ogniskować – powiedziała.

– Co każe ci myśleć, że będziemy jeszcze razem ogniskować?

– Jak mógłbyś się oprzeć pokusie? Jestem najlepszym pryzmatem, jaki miałeś. Przyznaj to.

Ruszył przez kuchnię i przygwoździł ją do blatu.

– Masz rację. – Jego oczy płonęły, gdy zamykał jej twarz w swoich dłoniach. – Jesteś najlepszym pryzmatem, jaki miałem.

Bezczelny wyraz drapieżnej zmysłowości w jego oczach przyprawił

ją o dreszcz.

– Ty też byłeś całkiem niezły – zdołała wykrztusić.

– Uwielbiam kiedy wygadujesz nieprzyzwoite rzeczy. Wiesz co? Myślę, że doprowadzisz mnie do szaleństwa, zanim to wszystko się skończy.

– Uczucie jest obustronne.

– Jeżeli nic innego, to na pewno będzie to niezwykle interesujące.

– Uczucie zagrożenia malało, ale błysk w oczach Rafe'a nie zniknął. – Więc chcesz, żebyśmy byli współnikami?

– Tak.

– W porządku współniku. Potrzeba mi na jutro wieczór randki. Przynajmniej w tym możesz mi w tym pomóc.

Dotknęła kącika ust językiem. Jej wszystkie zmysły zostały instynktownie postawione w stan gotowości.

– Randki?

– Na przyjęcie urodzinowe mojego dziadka.

Orchidea lekko się odprężyła.

– Och, przyjęcie urodzinowe.

– Lepiej, żebyś nie odniosła mylnego wrażenia. Nie mówimy o torcie i paru świeczkach z galaretowatego lodu. Przyjęcia Alfreda G. to wielka sprawa. Wszyscy członkowie rodziny tam będą, włączając w to kuzyna Selby'ego. Ponadto będzie obecny każdy polityk z naszego miasto–stanu, który ma nadzieję na jakieś wsparcie finansowe jego kampanii. Dodatkowo większość partnerów w interesach firmy Stonebraker i spora dawka członków Klubu Ojców Założycieli.

– I nie możesz znaleźć prawdziwej randki na tak wielkie wydarzenie towarzyskie, jak to?

– Ty jesteś wystarczająco prawdziwa. – Schylił głowę. Jego usta zawisły centymetry nad jej wargami.

– W porządku współniku. Pójdę jako twoja dziewczyna. Ale tylko pod warunkiem, że odwzajemnisz mi się tym samym.

Jego oczy pociemniały.

– Potrzebujesz randki?

– Za pięć dni. Na ślub w rodzinie, w Northville.

– Umowa stoi – zamknął jej usta pocałunkiem.

Poczuła jak wzbiera w nim gwałtowna i nienasycona pasja. Była tak silna jak ostatniej nocy, ale tym razem dodatkowo wymieszana z gniewem, kipiącą frustracją i kilkoma innymi emocjami, których nie potrafiła nazwać.

Ale wiedziała, że wygrała. Byli teraz współnikami. Otoczyła jego szyję ramionami i z równą mu pasją oddała pocałunek.

Dwie godziny później, po odwiezieniu swej nowej współpracownicy do jej mieszkania, Rafe wszedł do domu. Skierował się natychmiast do swego gabinetu, chwycił telefon i wystukał numer Hobarta Batta.

Hobart podszedł do telefonu prawie natychmiast, w jego głosie słychać było zaniepokojenie.

– Dzień dobry Panie Stonebraker. Zdaję sobie sprawę, że dzwoni Pan, by sprawdzić postępy w naszej pracy. Niestety nadal nie znalazłem Panu właściwej partnerki. Ale proszę się nie obawiać, cały czas pracuję nad tym problemem.

– Powiedział mi Pan, że dzięki usługom Systemu Wielowymiarowych Skojarzeń Koneksje Synergistyczne mają dostęp do akt każdej osoby obecnie zarejestrowanej w Nowym Seattle.

– Owszem, mamy. Proszę mi wierzyć Panie Stonebraker, sprawdziłem bazę SWK wiele razy. Sprawdziłem też dokładnie bazy komputerowe naszych biur w Nowym Vancouver i Nowym Portland. Przykro mi, ale muszę Pana poinformować, że...

– Czy słyszał Pan o takiej agencji, jak Podobieństwo?

– Podobieństwo? – w głosie Hobarta pojawiła się nuta zaniepokojenia. – Tak. Ma siedzibę tu w Nowym Seattle. Ale to działalność na bardzo małą skalę, Panie Stonebraker. Jeżeli chce Pan przenieść swoją rejestrację do Podobieństwa, to muszę Pana ostrzec, że nawet jeżeli mają dostęp do SWK, to brak im środków oraz szerokiego zakresu ekspertyz, jaką posiada duża agencja taka, jak nasza.

– Posłuchaj mnie Batt...

– A biorąc pod uwagę Pana raczej nietypowy profil paranormalny wydaje mi się, że jesteśmy lepiej przygotowani do poradzenia sobie z Pana przypadkiem.

Rafe z trudem zachował cierpliwość.

– Nie chcę przenieść moich akt do Podobieństwa. Chcę, żebyś sprawdził u nich jedną z ich klientek, Panię Orchideę Adams. Zarejestrowała się w Podobieństwie trochę ponad rok temu.

– Rozumiem. Jestem pewien, że powinna być w Systemie Wielowymiarowych Skojarzeń. Jeżeli myśli Pan, że mogliśmy w jakiś sposób przeoczyć ją jako odpowiednią dla Pana kandydatkę, to mogę Pana zapewnić, że...

– Ma bardzo nietypowy profil paranormalny. Bardzo możliwe, że

Podobieństwo nie dokonało właściwej oceny. – Rafe zamilkł na chwilę znacząco. – Nie mając środków oraz szerokiego zakresu ekspertyz, jakimi dysponują Koneksje Synergistyczne, możliwe jest, że po prostu spieprzyli całą tą przeklętą rejestrację.

Hobart wydał stoickie westchnienie.

– Sprawdź to proszę Pana.

– Zrób to Batt. Albo zacznę się poważnie zastanawiać nad przeniesieniem mojej rejestracji do innej agencji – to mówiąc Rafe rzucił słuchawkę na widełki.

Wyciągnął się w fotelu i zapatrzył w ciemny ekran komputera. Otaczała go cisza wielkiego domostwa.

Postanowił sam zapolować na przyszłą żonę i znalazł ją, której pragnął. Nie mógł uwierzyć, że nie stanowili dobranej pary. Podobieństwo musiało sknocić rejestrację. To była jedyna możliwa odpowiedź.

W międzyczasie, miał jeszcze inne problemy do rozwiązania. Pownownie podniósł słuchawkę i wykreślił numer do biura doktora Quentina Austena.

Recepcjonistka była wyraźnie znudzona. Mógł usłyszeć okazjonalne pstryknięcie gumy do żucia.

– Przykro mi, ale doktora Austena nie ma. Jeżeli to pilna sprawa, to mogę polecić jakiegoś innego lekarza psychologa synergistycznego.

– Niepotrzebne mi są psychologiczne konsultacje. Chodzi o interesy.

Guma strzeliła głośno.

– Jakiego rodzaju interesy?

– Proszę powiedzieć dr Austenowi, że dotyczy to jednej z jego ostatnich inwestycji.

Odwiesił słuchawkę, zanim recepcjonistka zdążyła zadać następne pytanie.

Był pewien, że Quentin Austen wkrótce oddzwoni. Dawno temu odkrył, że ludzie zawsze odpowiadali na telefony, które dotyczyły pieniędzy.

To przypomniało mu, że ma jeszcze interesy, którymi musi się zająć. Sięgnął, by włączyć komputer i zaczął przeglądać szeroki zakres portfolio udziałów posiadanych przez Fundusz Synergistyczny. Sektor technologiczny miał się dobrze, ale był już najwyższy czas pozbyć się części udziałów w rynku handlowym. Wyczuwał nadchodzące na

rynku zmiany. Spadek będzie minimalny, ale nie chciał dać się przez niego zaskoczyć.

Rozdział 10

O dziesiątej wieczór tego samego dnia Orchidea pozwoliła Rafe'owi zaprowadzić się na jeden z wielu tarasów otaczających Rezydencję Stonebraker.

Głęboko wdychała aromatyczny zapach powietrza wkładając do ust kruchy pierożek nadziewany przyprawionymi krabo-homarami. To był jej trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut.

Odkryła pierożki chwilę po tym, jak znalazła drogę do bufetu zastawionego kunsztownie przygotowanymi *hors d'oeuvres*. Najpierw martwiła się, że nie da już rady zmieścić pikantnych krabowo-homarowych przekąsek, ale przy znacznej pomocy siły woli dała radę znaleźć odrobinę miejsca.

Ogólnie rzecz biorąc Orchidea była zdziwiona, że tak dobrze się czuła na przyjęciu urodzinowym w domu Alfreda G. Stonebrakera. W zasadzie niewiele różniło się ono od Spotkań Wydziałów, na które ciągnęli ją rodzice w Northville.

Czuła to samo subtelne manewrowanie poza sceną, te same polityczne machinacje, i te same napięcia w rodzinie kłębiące się pod ukazywaną światu powierzchnią.

Największa różnica polegała na tym, że prawie nikt spośród obecnych nie nosił bieli.

Pokój ze szklanymi ścianami był wypełniony po brzegi elegancko ubranymi mężczyznami i kobietami, którzy sączyli drogiego, niebieskiego szampana wymieniając najnowsze towarzyskie plotki, dyskutując o interesach i otwarciach modnych galerii. Dźwięki tango-walca pobrzmiwały delikatnie w tle. Poniżej tarasów artystycznie rozmieszczono kolorowe lampiony, które przeistoczyły rozległe ogrody w wypełnioną cieniami krainę baśni.

Zerknęła na Rafe'a. Stał przy niej jak skała. Musiała przyznać, że wygląda niesamowicie seksownie w czarnym, formalnym wieczorowym ubraniu. Surowy styl podkreślał otaczającą go aurę spokojnej energii, zarówno fizycznej, jak i paranormalnej, które stanowiły jego nieodłączną część. Światło rzucane przez lampiony z galaretowatego lodu migotało w jego prawie czarnych włosach i podkreślało fascynującą linię kości policzkowych. Jego oczy błyszczały leniwie tym dziwnym i czujnym wyrazem, który zdradzał głębię natury jego strategicznego talentu.

Jego usta drgnęły w uśmiechu, gdy zobaczył jak pałaszuje nadziewany pierożek.

– Dobrze się bawisz?

– Jedzenie jest cudowne. I podobają mi się twoi rodzice. Przypominają mi trochę moich. Łatwo jest zrozumieć dlaczego wylądowali w akademickim świecie. Nie mogę sobie jakoś wyobrazić twojego ojca pracującego w świecie biznesu.

– Mój ojciec posiada bardzo mocny talent matematyczny. Mówiono mi, że od początku było wiadomo, że nie nadaje się do przejęcia kontroli nad interesami Stonebrakerów. Dlatego dziadek wywierał na mnie taką presję.

Orchidea pokiwała głową. Została przedstawiona Sarze i Glenowi Stonebrakerom, wkrótce po tym, jak zjawili się na przyjęciu. Tworzyli uderzającą parę, która nosiła aurę edukacji i inteligencji z nieskrępowanym, patrycjuszowskim spokojem, tak jak robili to jej rodzice. Na pierwszy rzut oka było widać, że Orchidea ich zaskoczyła, ale oboje byli uprzejmi i czarujący. Było wiele ostrożnej spekulacji, a nawet pewna ulga w ich spojrzeniu, ale żadne z nich nie było na tyle niegrzeczne, aby maglować „agencyjną” randkę swojego syna.

– Z wyglądu raczej przypominasz dziadka niż ojca – zauważyła Orchidea.

– Mówiłem ci, że moja rodzina uważa mnie za jakiś relikw – powiedział Rafe. – I to w kilku aspektach.

– Wolalabym, żebyś nie używał tego słowa.

– Relikw? Dlaczego nie? Wszyscy go używają. – Postawił nogę na ogrodzeniu tarasu i oparł przedramię na udzie. – Nie jestem zupełnie nieodpowiedni. Dziadek i ja jesteśmy do siebie podobni pod wieloma względami. Dlatego nie mogliśmy razem pracować.

– Rafe, bądź szczerzy. Nie mógłbyś przyjmować rozkazów od nikogo, tym bardziej od twojego dziadka.

– Masz diabelną rację – usłyszeli głęboki, poważny głos dochodzący od strony otwartych drzwi za Rafem. – Zawsze był niezależnym realistą, a do tego upartym jak mulo-wół od dnia swoich narodzin. Zawsze musiał robić wszystko po swojemu.

– Witaj Al. – Rafe zdjął stopę z niskiego tarasowego murku i odwrócił się, aby popatrzeć na dziadka. – Dobrze się bawisz na swoim przyjęciu urodzinowym?

– A jak tu się bawić? – Alfred G. Ruszył w ich kierunku. – Jak do tej pory przyspiliło mnie trzech kandydatów Partii Wartości Przod-

ków prosząc o wsparcie ich kampanii. Twoja babcia powtarza, że muszę o północy zatańczyć z nią tango-walca, a Selby zachowuje się tak, jakby już zarządzał Stonebraker Shipping.

– Po prostu kolejne typowe przyjęcie urodzinowe – podsumował Rafe.

Alfred G. zmrużył oczy rzucając wykalkulowane spojrzenie, które tak bardzo przypominało Orchidei podobne u jego wnuka.

– Dlaczego nie pójdziesz porozmawiać z ludźmi, czy coś w tym stylu Rafe? Daj mi szansę lepszego poznania twojej przyjaciółki Orchidei.

Na twarzy Rafe'a pojawił się niezwykle ostrożny wyraz.

– Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł, zostawić cię tu samego z Orchideą.

Alfred G. błysnął śnieżnobiałymi zębami w czarująco niebezpiecznym uśmiechu.

– Przecież chyba się mnie nie boi, prawda Orchideo?

– Oczywiście, że nie Panie Stonebraker – uprzejmie odpowiedziała Orchidea.

– No widzisz? – Alfred G. uśmiechnął się do Rafe'a z triumfem. – No, uciekaj. Pozwól mi na małą pogawędkę z twoją agencyjną randką.

Rafe popatrzył na Orchideę, unosząc brwi w niemym pytaniu. Kiedy Orchidea skinęła głową w równie bezgłośnie odpowiedzi, zaprezentował wzruszenie ramion typu „sama się o to prosiłaś” i ruszył w stronę drzwi.

– Powodzenia – powiedział, gdy mijał dziadka. – Ale nie przychodź do mnie ze skargą, jeżeli ta mała pogawędkę nie będzie przebiegać dokładnie tak, jak sobie zaplanowałeś.

Piętnaście minut później Rafe zauważył, że ani Alfred G, ani Orchidea nie wrócili jeszcze z tarasu. Strużka niepokoju przebiegła po jego zakończeniach nerwowych. Przerwał konwersację z szesnastoletnim kuzynem, który szaleńczo pragnął wyjechać na Wyspy Zachodnie. Odwrócił się i torował sobie przez tłum drogę powrotną do otwartych, oszklonych drzwi.

Z cienia dochodził grzmiący głos Alfreda G.

– Co do diabła masz na myśli, twierdząc, że zamierzasz głosować na Christine Bellows? Jej podejście do podatków i wydatkowania funduszy doprowadzi ten miasto-stan prosto do ruiny.

– Gardener to kandydat Partii Wartości Przodków – mówiła rze-

czowo Orchidea. – Nie głosowałabym na niego nawet, gdyby był ostatnim politykiem na Św. Helenie.

– Każdy, kto nie głosuje na Partię Wartości Przodków jest idiotą i na dodatek radykałem.

– Każdy kto głosuje wyłącznie na Partię Wartości Przodków jest ograniczonym, skostniałym i krótkowzrocznym konserwatystą.

– A co jest złego w byciu tradycjonalistą? – krzyczał Alfred G. – Ta planeta została skolonizowana przez tradycjonalistów.

– Nie możemy wrócić do czasów pierwszych generacji Ojców Założycieli bez względu na to, jak bardzo niektórzy ludzie pragnęliby powrotu starych, dobrych dni bez galaretowatego lodu i bez paranormalnych zdolności. Musimy iść naprzód. To jedyna droga dla naszej cywilizacji prowadząca do przetrwania. A to oznacza, że musimy myśleć o przyszłości, a nie o przeszłości.

– A teraz posłuchaj mnie, młoda damo. Mam znacznie więcej doświadczenia w realnym świecie niż ty i zamierzam ci powiedzieć...

Rafe skrzywił się i szybko odsunął od drzwi. Jak na razie nie zamierzał wychodzić na taras. Kiedy odwrócił się, by wycofać się z powrotem w tłum natknął się na Selby'ego, który blokował mu drogę.

– Witaj kuzynie. – Niebieskie oczy Selby'ego błyszcząły wyrachowaniem za soczewkami okularów. – Muszę powiedzieć, że zaskoczyłeś mnie dziś wieczorem. To pierwsze przyjęcie urodzinowe Alfreda G., na które przyszedłeś od czasu twojego wyjazdu na Wyspy Zachodnie.

Rafe uważnie mierzył go wzrokiem. Jego i Selby'ego dzielił zaledwie rok różnicy, ale Selby zawsze był trochę wyższy i ciężiej zbudowany. Jego jasnobrązowe włosy obcięte były przez drogiego stylistę z jednego z najekskluzywniejszych salonów w mieście. Miał miłe, otwarte i surowe rysy, które były charakterystyczne dla męskich członków rodziny z gałęzi Culverthorpe. Selby miał tego rodzaju twarz, która sprawiała, że ludzie z miejsca mu ufali.

Czasami zdawało się, że Rafe i jego dziadek byli jedynymi, którzy zauważali ostry jak nóż wyraz zięjącej chęcią zemsty, goryczy w jego oczach.

Rafe zdał sobie sprawę, że tego rodzaju obserwacji nie podawało się raczej do publicznej wiadomości. Wiedział dokładnie, co stałoby się, gdyby powiedział reszcie rodziny albo Radzie Stonebraker Shipping, że lojalny, ciężko pracujący kuzyn Selby zamierza zniszczyć firmę. Gdyby spróbował otrzymałby pewnie surowe kazanie ostrzegają-

ce go przed zgubnym wpływem natury jego prymitywnego talentu strategicznego na zdrowy rozsadek i więzy rodzinne.

Selby, w przeciwieństwie do innych, niewdzięcznych członków klanu całą swoją karierę poświęcił dla Stonebraker.

– Witaj Selby.

Selby posłał ironiczne spojrzenie w kierunku tarasu.

– Czy Wujek Al terroryzuje twoją randkę?

– Moja randka sama potrafi o siebie zadbać.

Selby zachichotał, ale w jego oczach nie było rozbawienia.

– Musisz więc ostatnimi czasy zadawać się z twardymi sztukami.

Rafe uświadomił sobie, że nigdy nie lubił Selby'ego. Nawet, gdy jako dzieci bawili się razem. Selby był talentem technicznym. Był tego rodzaju dzieckiem, które potrafiło skonstruować miniaturową katapultę z zestawu małego montera otrzymanego na Gwiazdkę, zanim Rafe zdołał wykombinować, co oznacza wyrażenie „wsunąć część A w otwór B”. I kiedy wreszcie Rafe'owi udało się zbudować mały, raczej chwiejny fort z pomocą własnego zestawu, Selby już burzył jego ściany z pomocą swojej katapulty.

Ich relacje nie poprawiły się w okresie szkoły średniej, kiedy Selby zawsze przyćmiewał Rafe'a swoimi osiągnięciami w dziedzinie matematyki i innych przedmiotów ścisłych. Pod powierzchnią tej nierównej rywalizacji zawsze kipiało rozżalenie Selby'ego. Rafe nie rozumiał dlaczego jego kuzyn tak go nie lubi, aż jego rodzice wytłumaczyli mu, co stało się z rodzicami Selby'ego.

A wtedy było już za późno na budowanie mostów. W każdym razie Rafe zaczął już planować wyjazd na Wyspy Zachodnie. W ciągu minionych lat on i Selby nie widzieli się w ogóle.

Selby zakręcił w kieliszku niebieskim szampanem ze znakomitego rocznika i rzucił spekulacyjne spojrzenie w stronę drzwi.

– Nie wydajesz się zbyt zainteresowany bronieniem swojej towarzyski.

– Odkąd to jesteś tak autentycznie zainteresowany moim prywatnym życiem Selby?

– Cała rodzina interesuje się twoim życiem prywatnym. Zwłaszcza odkąd zaskoczyłaś wszystkich pojawiając się tu dziś z agencyjną randką.

Rafe nie kłopotał się, żeby wyprostować to małe nieporozumienie. Chciał, żeby wszyscy wierzyli, że Orchidea jest z agencji matrymonialnej, a nie ogniskującej.

– Dlaczego to takie wielkie zaskoczenie?

Selby pociągnął spory łyk szampana i powoli opuścił kieliszek.

– Są tacy, którzy uważają, że zdecydowałeś się grać rolę syna marnotrawnego. Mają osobliwą wizję twojego powrotu w celu przejęcia kontroli nad Stonebraker.

– Nie martw się o to.

– Nie będę. – Wargi Selbyego uniosły się w wyrazie zimnej pewności. – Już za późno, żeby mnie powstrzymać kuzynie. Wszystko jest już na swoim miejscu. Za dwa miesiące zostanę nowym dyrektorem generalnym Stonebraker Shipping.

– Jesteś bardzo pewny siebie.

– Jestem.

Pewność Selby'ego rozbrzmiewała również na płaszczyźnie metapsychicznej. Rafe bez trudu wyczuł jej ślady. Jego kuzyn wierzył w każde wypowiedane przez siebie słowo.

Żona Selby'ego, Brianna pojawiła się nagle u jego boku. Była atrakcyjną blondynką z towarzyskim szlifem dopracowanym przez rodzinną fortunę trzech pokoleń. Uśmiechnęła się grzecznie do Rafe'a, ale mógł zobaczyć wyraz obawy na jej twarzy.

– Witaj Briano – Rafe skłonił głowę. – Miło mi cię znowu widzieć.

– Jak się masz Rafe? – Briana chwyciła Selby'ego za rękę dziwnie opiekuńczym gestem. – Dobrze zrobiłeś, że dzisiaj przyszedłeś. Wiem, że twoja babcia jest bardzo szczęśliwa z tego powodu.

– Cieszę się, że ktoś jest – zauważył Rafe.

Briana rzuciła spojrzenie w stronę tarasu.

– Czy to twoja pierwsza agencyjna randka z Panną Adams?

– Nie – odpowiedział Rafe. – Wychodziliśmy razem już kilka razy w tym tygodniu. Zdaniem Agencji to dobry związek. Mamy ze sobą wiele wspólnego.

Dziesięć minut później Rafe po raz drugi wszedł przez otwarte drzwi prowadzące na taras. Odbywająca się na zewnątrz kłótnia wciąż trwała, chociaż zmienił się jej przedmiot.

– Dlaczego na jasną synergii Stonebraker ma zwiększyć wysokość dotacji na cele charytatywne? – warknął Alfred G.

– Firmy wielkości Stonebraker mają pewne zobowiązania wobec społeczeństwa – rzeczowo stwierdziła Orchidea. – Fundacja Stonebraker jest żałosna, biorąc pod uwagę rozmiar Stonebraker Shipping.

– Naszym jedynym obowiązkiem jest pozostać zyskownym przedsiębiorstwem.

– Bzdura. Jesteście częścią społeczeństwa. Wasze cenne zyski są możliwe dzięki niemu, a wy w zamian macie wobec niego pewne obowiązki.

– Nie zamierzam rozdawać więcej pieniędzy niż do tej pory.

– A co z podstawowymi wartościami pierwszych pokoleń? – zripostowała Orchidea. – Ojcowie Założyciele rozumieli, że aby społeczeństwo odniosło sukces, musi żyć w harmonijnej, synergistycznej równowadze pomiędzy zyskami prywatnych korporacji, a obywatelską filantropią. Posunęli się nawet do tego, że...

Rafe zaczął się wycofywać w kierunku bufetu. To co działo się na tarasie, przypominało czekający na wydarzenie się wypadek. Nie chciał zostać pierwszym świadkiem.

– Rafe? – wrzeszczał Alfred G. – Czy to ty? Chodź no tutaj. Mam problemy z przemówieniem do rozumu twojej agencyjnej dziewczynie.

Po gromkim rozkazie Alfreda G. Rafe zamarł w pół kroku. To by było na tyle, jeżeli chodzi o próbę wymknięcia się niepostrzeżenie. Czasami zapominał, że jego dziadek też jest talentem strategicznym, chociaż nie tak silnym, jak on sam.

Niechętnie przekroczył drzwi. Nie potrzebował światła lampionów, by dostrzec jasny błysk w oczach dziadka. Alfred G. był pełen energii. Bawił się świetnie.

Orchidea uśmiechnęła się radośnie. W jej oczach Rafe również zauważył iskry.

– Nie chciałem przerywać waszej rozmowy – ostrożnie powiedział Rafe.

– Jaką rozmowę? – warknął Alfred G. – Kłócimy się jak para wściekłych pso-kotów. Skąd, na jasną synergię, ją wytrzasnąłeś, Rafe?

– Już ci mówiłem. Z agencji.

– Której agencji? – chciał wiedzieć Alfred G.

– Nazywa się Psynergia – mruknęła Orchidea.

Rafe rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Wzruszyła ramieniem i schrupała następną kanapkę.

– Nigdy o niej nie słyszałem – zauważył Alfred G.

– To mnie raczej nie dziwi – powiedział gładko Rafe – biorąc pod uwagę fakt, iż jesteś od przeszło pięćdziesięciu lat żonaty z babcią.

Nie potrzebowałeś agencji matrymonialnej.

– Prawda.

– Co przypomina mi, że babcia cię szuka. Wspominała coś o jakimś obiecanym tańcu.

– Nawet mi nie przypominaj – oczy Alfreda zwięzły się w szparki.

– Co kombinowałeś, kiedy ja i Orchidea gawędziliśmy tutaj?

– Selby i ja odnowiliśmy naszą znajomość z młodych lat.

– Założę się, że twoja obecność tutaj wstrząsnęła nieźle tą małą oferma, co? Musiał się domyślić, że wróciłeś, żeby uratować Stonebraker przed jego diabelskimi planami fuzji. Będzie się nad tym pocił przez następnych kilka tygodni.

Fakt, że Alfred G. mówił tak swobodnie w obecności Orchidei dał Rafe'owi chwilę do myślenia. Szybko zerknął w jej stronę i zobaczył, że w ogóle się tym nie przejęła. Prawdopodobnie nie uświadomiła sobie znaczenie tego, co się właśnie stało. Alfred G. mógł równie dobrze donośnie i wyraźnie ogłosić, że zaakceptował ją, jako odpowiednią narzeczoną dla Rafe'a.

Fale koloru skrzepłej krwi rozlały się po płaszczyźnie psychicznej szukając pryzmatu z niepohamowaną gwałtownością prawdziwego drapieżnika. Wampir był blisko, tak blisko.

Dziś była ta noc. Tym razem ją znajdzie. Nie mogła już dłużej się ukrywać.

Nie było już sensu dłużej się opierać. Tylko bardziej by ją to wyczerpało.

Przeszył ją strach. Wiedziała, że jeżeli tylko iskra jej własnej mocy ujawni się, to ta istota pochwyti ją w szpony surowej energii. Zostanie uwięziona na zawsze.

Bliżej. Bliżej. Dlaczego nie skończyć z tą przerażającą grą w chowanego?

Dlaczego nie poddać się przeznaczeniu? W ten sposób byłoby znacznie prościej.

Poczuła potężne przyciąganie talentu wampira. Sięgał w najmniejsze kryjówki na płaszczyźnie metapsychicznej, szukając ofiary. Zobaczyła jedną z macek energii paranormalnej, jak pożądliwie rozwija się w jej stronę.

Dziś była ta noc.

Krzyczała.

– Orchideo, do licha obudź się. Zaraz.

Głos Rafe'a przebił się przez nienaturalną ciemność snu rozszcze-
piając niesamowite cienie z oślepiającą precyzją miecza.

Orchidea otworzyła oczy, by popatrzeć w wypełniającą sypialnię
naturalną ciemność nocy. Po pokoju rozlewała się poświata księży-
ców. Czowała wilgoć potu na piersiach i na karku.

Popatrzyła w napiętą twarz Rafe'a. Jego ręce zaciskały się gwał-
townie na jej ramionach.

– Przepraszam – jej głos brzmiał chropowato. Przełknęła parę
razy i spróbowała jeszcze raz. – Sen. Zły. Bardzo zły.

Objął ją ramionami i ułożył na swojej nagiej klatce piersiowej.

– Tan sam?

– Tak.

– Cholera.

Przesunęła po oczach wierzchem dłoni, aby pozbyć się zbierają-
cych się w nich łez frustracji.

– Nie miałam go zeszłej nocy w twoim domu. Byłam taka pewna,
że ten głupi koszmar wreszcie się skończył.

Rafe kołysał ją delikatnie.

– Jak sądzę, to obala moją teorię, że wspaniały seks jest lekar-
stwem na koszmary.

Wydała zduszony okrzyk, na wpół śmiech, na wpół szloch, i moc-
no zacisnęła ramiona wokół jego twardego, ciepłego ciała.

– To była dobra teoria dopóki trwała.

– Tak, była. Jedna z moich najlepszych – przeczesywał jej palce
włosami. – Może już czas udać się do lekarza.

Orchidea zastygła w bezruchu. – Nie.

Odsunął się od niej szukając jej twarzy.

– Dlaczego tak bardzo nie chcesz poszukać u kogoś pomocy?

– Z dwóch powodów. Pierwszy to taki, iż nie sadzę, by synergi-
styczny psychiatra był w stanie poradzić cokolwiek na dziwaczne
sny.

– A jaki jest drugi powód?

Zagryzła wargi.

– Chyba wiem, jakiej udziela mi rady. I tak bym jej nie posłucha-
ła, więc w ogóle nie ma sensu wysłuchiwanie jej.

– Jakiej udzielono by ci rady?

– Pierwszą rzeczą, jaką doradziłby mi lekarz jest skonsultowanie
mojego profilu parapsychicznego.

– Więc?

– Jak tylko odkryłyby, że jestem lodowym pryzmatem, zostałabym wysłana z powrotem do laboratorium, gdzie Theo, Morgan i ja przechodziliśmy przez te głupie testy.

Rafe ujął jej twarz w dłonie.

– Dlaczego jesteś tego taka pewna?

– To zupełnie logiczne. Nikt nie wie zbyt wiele o lodowych pryzmatach. Ludzie z laboratorium są uważani za największych ekspertów na terenie Nowego Seattle. Mają wszystkie moje stare akta. Każdy doktor synergistycznej psychologii, wart swojego dyplomu zasugerowałby, żebym zwróciła się do nich o pomoc.

– A ty nie chcesz tam wrócić, nawet gdyby to była ostatnia szansa na pozbycie się tych koszmarów?

– Nie. – Mocno zacisnęła dłonie, aż poczuła, że paznokcie wbijają się w ciało. – Nie wróciłabym tam, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

– Spokojnie – Rafe przytrzymał jej głowę i pocałował ją.

Była to uspokajająca pieśczoła, a nie wstęp do namiętnych uścisków.

Orchidea poczuła, jak wyparowuje z niej część chłodu przenikającego jej ciało. Odrobinę się odprężyła.

– Co myślisz o zjedaniu resztek o trzeciej nad ranem? – wyszeptała w jego usta.

– Mogę zjadać resztki o każdej porze.

Uśmiechnęła się.

– Wydaje mi się, że mam lazanie w zamrażarce. Możemy ją podgrzać w lodo-mikrofalówce.

– Już cieknie mi ślinka. Ale ostatnio dzieje się tak cały czas w twojej obecności.

Tego popołudnia Orchidea stała na łagodnie kołyszącym się trapie, który służył jako chodnik prowadzący do obdartej łodzi mieszkalnej Morgana Lamberta i naciskała dzwonek. Nie było odpowiedzi.

Cofnęła się do tyłu i rozejrzała dookoła małego, wodnego społeczeństwa. Sąsiednia łódź mieszkalna znajdowała się kilka metrów dalej. Nie było żadnego znaku, który wskazywałby, że ktokolwiek w niej jest.

Trap zafalował pod jej stopami. Ponad jej głową mewo-delfiny zataczały koła i szybowwały w dal uciekając przed zbliżającą się burzą.

Ciężkie, czarne chmury zbierały się nad miastem. Orchidea mogła dostrzec ścianę deszczu spływającą po wieżowcach w śródmieściu. Dosięgnie osłoniętą część Jeziora Kurtyna za kilka minut. Bardzo chciała być w środku łodzi Morgana zanim nastąpi potop. Znowu nacisnęła dzwonek.

Nadal żadnej odpowiedzi. Odpychając wrażenie wzrastającego niepokoju przypomniała sobie, że Morgan był artystą. Prowadził nieregularny tryb życia. Były duże szanse, że śpi smacznie w środku.

Zastukała głośno. – Morgan? Jesteś tam? To ja, Orchidea. Dostałam twoją wiadomość.

Wiadomość czekała na nią na automatycznej sekretarce, kiedy przekroczyła próg swojego mieszkania czterdzieści pięć minut temu. Zostawił ją w czasie, gdy była na zakupach w sklepie spożywczym. Obserwując jak ostatniej nocy Rafe wymiata do czysta resztki lazani spłynęła na nią myśl, że powinna trzymać w lodówce więcej jedzenia, kiedy jest w pobliżu.

Wiadomość od Morgana była krótka, zwięzła i spowodowała, że przeszył ją dreszcz niepokoju.

Orchideo,

z tej strony Morgan. Słuchaj, stało się coś dziwnego. W drodze do domu kilka minut temu odebrałem pocztę. Nie uwierzysz, ale jest w niej list od Theo. Jest na nim data z tego dnia, kiedy zjechał w przepaść, ale na znaczku jest stempel z wczorajszą datą. W liście pisze, że zostawił go u sąsiada. Powiedział temu facetowi, żeby wysłał list, jeżeli nie skontaktuje się z nim w ciągu paru następnych dni.

Nie wiem, co mam z tym zrobić. To takie typowe dla Theo, no wiesz, trochę paranoidalne. Może powinienem oddać go policji, albo coś w tym stylu. Ale zanim to zrobię muszę z tobą porozmawiać. Może trochę przesadzam.

Zadzwoń do mnie jak wrócisz. Nieważne o której to będzie godzinie. Możesz mnie obudzić.

Ale obudzenie Morgana okazało się niełatwym zadaniem. Orchidea zastanawiała się, czy którykolwiek z jego sąsiadów ma klucz. Mała przystań łodzi sprawiała raczej wrażenie opuszczonej. Było parę minut po godzinie drugiej. Każdy był w pracy, albo zajmował się załatwianiem jakiś spraw.

Zastukała mocno po raz ostatni.

– Morgan?

Nadal żadnej odpowiedzi.

Niezobowiązująco położyła rękę na klamce. Chyba spodziewała się zbyt wiele myśląc, że Morgan zapomniał zamknąć drzwi.

Klamka przekręciła się bez oporu.

Ostrożnie, podświadomie spodziewając się uruchomienia alarmu, otworzyła drzwi.

– Nie wpadaj w panikę Morgan, to ja, Orchidea.

Wsunęła głowę przez drzwi i wstrzymała oddech na widok małego, zabałaganionego salonu. W pokoju panował rozgardiasz. Rozdar-te poduszki wały się po podłodze. Książki zrzucano z półek gdzie popadnie. Tworzyły mały stos obok przewróconej lampy. Szuflady biurka zostały wydarte i opróżnione na dywan.

– O Mój Boże!

Orchidea zaczęła szybko cofać się w kierunku przystani. Zamar-ła, gdy zauważyła w małym przedpokoju łączącym salon z kuchnią leżący na podłodze but.

To był męski but. Była w nim stopa. Reszta nogi ginęła za ro-giem.

– Morgan!

Ignorując wszelkie kiedykolwiek zasłyszane rady dotyczące wcho-dzenia do domu napadniętego właśnie przez włamywaczy pośpiesz-nie przeszła przez próg.

To był Morgan rozciągnięty na posadzce kuchennej. Mała plasti-kowa koperta do połowy wypełniona drobinkami szarych kryształ-ków leżała na stole. Obok koperty stała pusta szklanka. Na jej dnie znajdował się brudny szary osad.

Uklękła przy Morganie i desperacko szukała pulsu. Nadal żył. Rozejrzała się i zauważyła na ścianie, tuż obok lodówki, telefon, za-częła się podnosić.

Zanim zdołała się podnieść coś zaszleściło w przedpokoju za nią. Odwróciła się i znalazła twarzą w twarz z mężczyzną w czarnej nar-ciarce na głowie.

Trzymał zapaloną świecę z galaretowatego lodu. Gdy na niego pa-trzyła zwyczajnym gestem odrzucił na bok lodową zapalną, której właśnie użył do jej zapalenia.

– Więc chcesz się bawić ogniem ty suko?

Orchidea otworzyła usta do krzyku. Ale w tym samym momencie ściany kuchni skrzyły się w niemożliwy sposób, uginając się i po-

chylając w jej stronę. Podłoga uciekała spod jej stóp. Jej żołądek wywracał się. Sięgnęła przed siebie, by chwycić się stołu i odzyskać równowagę, ale stół nie było w miejscu, które podpowiadały jej oczy. Zamiast tego znajdował się pod dziwnie wygiętym kątem. Nie mogła go dosięgnąć. Czuła się tak, jakby weszła do beczki śmiechu w wesołym miasteczku. Albo do jakiegoś innego wszechświata. Głosy dochodziły z wirującej otchłani, którą stał się przedsionek kuchni.

– Cholera Jink, to ona. To ta, które była z tym facetem w domu, który obserwowaliśmy. Ta, która mnie kopnęła.

– Wszystko w porządku. Dziś jest sama. Nie sprawi nam żadnych problemów. Iluzja zajmie ją na dłuższy czas, a my w tym czasie dokończymy robotę.

Orchidei wydawało się, że usłyszała męski śmiech. Nie była tego pewna. Jej świat zawęził się do małej, okropnie wirującej kuchni. Czuła się tak, jakby jechała rollercoasterem. Za każdym razem, gdy próbowała odzyskać orientację, świat wokół niej wirował.

– Popatrz na to – powiedział ktoś z kuchennej otchłani.

Zobaczyła, jak płomień świecy z galaretowatego lodu rośnie. To była jedyna rzecz w jej polu widzenia, która nie drżała. Wpatrywała się w nią z desperacką koncentracją. Przez chwilę wydawało jej się, że świat się uspokoił. Jej dłoń wreszcie natrafiła na brzeg stołu.

I wtedy płomień zmienił się w wielki pożar. Ogień wypełnił otchłań. Fale mieniących się pomarańczowych płomieni pełzły po kuchni. Panika ogarnęła jej zmysły. Musi stąd uciekać. Pożar zablokował korytarz. Pozostawało więc tylko okno.

Szukała po omacku, aż wreszcie znalazła kostkę u nogi Morgana. Próbowała ciągnąć jego nieprzytomne ciało przez falującą kuchnię w kierunku okna. Ale niemożliwym było poczynienie jakiegokolwiek postępu. Ściany zmieniały na nowo konfigurację z każdym jej krokiem.

Wydawało jej się, że znowu słyszy śmiech. Zaraz potem kobiecy krzyk.

Myślała że to jej własny, ale w dzikim, chaotycznym świecie kuchni nie mogła już być pewna czegokolwiek.

Rozdział 11

Nie wyczuwała dymu.

Myśl ta uderzyła ją z oślepiającą jasnością. Płomienie kłębiły się pożerając korytarz, zbliżając się w jej kierunku, ale nie czuła żadnego dymu. Powietrze wokół niej było gęste, ale jeżeli dostatecznie się skoncentrowała, nie miała problemu z wdychaniem czystego powietrza.

Orchidea puściła kostkę Morgana i zmusiła się do myślenia. W jej mózgu rozbrzmiewało raz po raz stare porzekadło: Nie ma dymu bez ognia. A jeżeli nie było dymu? A przynajmniej, jeżeli nie dało się żadnego wyczuć? Orchidea przymknęła oczy. Pokój natychmiast się uspokoił. Mogła wyczuć pod kolanami kuchenną podłogę, tam gdzie powinna się ona znajdować.

Miała rację. W kuchni nie było dymu. Nie słyszała też syczenia płomieni w korytarzu.

Iluzja.

Trzymała oczy zamknięte, odcinając obraz ognistego piekła w halu.

Stopniowo jej zszargane nerwy uspokoiły się. Z braku bodźców w postaci wizji jej inne zmysły zaczęły znowu przekazywać jej logiczne informacje.

Uświadomiła sobie, że słyszy odgłosy deszczu uderzającego o dach. Zaczęła się burza. Od strony frontowych drzwi dochodziły głosy. Te same głosy słyszała tej nocy, kiedy razem z Rafem spotkali dwóch mężczyzn w nienaturalnej mgłę otaczającej dom Theo Willisa.

– Musi tu gdzieś być.

– Wywróciliśmy ten dom do góry nogami Jink. Chodź, musimy stąd spadać.

– Szukaj dalej. Nie spodoba mu się, jeżeli tego nie znajdziemy. Sprawdźmy w sypialni.

– A co z kobietą?

– Zapomnij o niej. Nie sprawi nam żadnego kłopotu. Jest zbyt zajęta przeżywaniem załamania nerwowego w kuchni.

Orchidea słuchała kroków mężczyzn oddalających się w stronę sypialni.

Bardzo ostrożnie uchyliła powieki.

Płomienie nadal pożerały korytarz. Kuchnia skręcała się. Orchi-

dea szybko zamknęła oczy. Talent iluzjonistyczny był silny. Tak samo pryzmat. Razem byli wystarczająco mocni, żeby podtrzymać iluzję w kuchni, gdy sami przeszukiwali sypialnię. Nie było możliwości przemknięcia się do korytarza i przez salon bez zwracania na siebie uwagi mężczyzn. Jej jedynym wyjściem był telefon wiszący na kuchennej ścianie. Niezdolna ufać swojemu zmysłowi wzroku trzymała powieki mocno zamknięte i próbowała przypomnieć sobie, gdzie dokładnie stała lodówka. Dokładnie za nią i trochę na prawo.

Odwróciła się, przykucnęła i zaczęła na ślepo pełznąć po podłodze.

Z sypialni dochodziły głuchoe odgłosy. Brzmiało to tak, jakby intruzi wydzierali szuflady z komody.

Orchidea wiedziała, że znalazła lodówkę, kiedy uderzyła o nią głową. Do diabła, do diabła, do diabła. Ale zdołała nie krzyknąć. Użyła rąk, aby podźwignąć się do pozycji stojącej.

Rączka lodówki była pociesząco stabilna w jej ręce. Uczepiła się jej jedną ręką, drugą sięgając po telefon na ścianie.

Przepełnęła przez nią fala nieuzasadnionej ulgi, gdy palce natrafiły na klawiaturę. Wtedy uświadomiła sobie, że będzie musiała wybrać numer bez otwierania oczu. Gdzie znajdowały się na telefonie poszczególne cyfry? Myśl.

Jedynka znajdowała się na górze po lewej stronie. Dziewiątka musiała być ostatnia. Nie, to nie tak. Były jeszcze te inne małe guziczki. Klawisz wyboru. Klawisz z gwiazdką.

Zaryzykowała otwarcie oczu na dostatecznie długą chwilę, by zerknąć na klawiaturę. Błąd. Klawisze rozmywały się przed nią, każda cyfra poruszała się bezsensownie w kółko.

Szybka zamknęła oczy i nacisnęła klawisz, który według niej mógł być dziewiątką. Następnie poszukała numeru jeden. Nacisnęła dwa razy. Nic się nie stało. Zastanawiała się, jak trudne może być wybranie numeru 911, jeżeli się nic nie widzi? Odpowiedź: bardzo trudne. Musiała spróbować jeszcze dwa razy, zanim jej się udało.

– Centrum Awaryjne Nowego Seattle.

– Pożar – wyszeptała Orchidea. Miała nadzieje, że bębniący deszcz sprawi, że mężczyźni w sypialni jej nie usłyszą. – Shelter Cove, Przystań.

– Proszę mówić głośniej, proszę pani. Ledwo panią słyszę.

Orchidea podniosła nieznacznie swój głos, cały czas nasłuchując odgłosów z sypialni.

– Wybuchł pożar. W Shelter Cove, na Przystani. Łódź mieszkalna numer cztery. Pośpieszcie się, proszę.

– Przydzielam pomoc w tej chwili. Czy może Pani zostać na linii?

– Nie. – Orchidea odwiesiła telefon na widełki na ścianie.

– A to dziwka, Jink, dorwała się do telefonu. Pewnie wezwała gliny. Musimy się stąd wydostać.

– Nie martw się tym. Mamy to, po co przyszliśmy. Spadamy.

– Cholera. Mówiłeś, że iluzja ją powstrzyma.

– Nie przejmuj się, nie może nic powiedzieć glinom. Nigdy nie widziała naszych twarzy. Chodź. Ruszaj się człowieku. Słyszę syrenę.

Orchidea kucnęła na podłodze kuchennej i słuchała jak mężczyźni wybiegają z mieszkania. Kiedy usłyszała ich kroki na zewnątrz, na trapie, bardzo ostrożnie otworzyła oczy. Kuchnia znowu była we właściwym wszechświecie. Korytarza nie wypełniał już ogień. Wzięła głęboki oddech próbując rozproszyć przyływ adrenaliny, który wysłał w kierunku jej kręgosłupa jeden dreszcz za drugim.

Powoli wyprostowała się i po raz drugi podniosła słuchawkę, aby wykreślić numer awaryjny.

– Centrum Awaryjne Nowego Seattle.

– Z tej strony ponownie numer cztery, Shelter Cove, Przystań. Będziemy też potrzebować karetki.

A potem zadzwoniła do osoby, którą pragnęła widzieć najbardziej na świecie.

Rafe'a.

Piętnaście minut później Rafe stał na przystani, przed łodzią Morgana Lamberta. Jednym ramieniem tak mocno opasywał Orchideę, że cudem było, iż mogła w ogóle oddychać. Był pewien, że ustanowił rekord czasu w trakcie podróży ze swojego wzgórza nad jezioro Kurtyna.

Jej telefon był zarówno źródłem ulgi jak i straszego potwierdzenia wzrastającego w nim uczucia niepokoju, którego doświadczał od ponad godziny. Dzwonił do jej mieszkania co pięć minut, po tym jak poczuł pierwszy dreszcz zaniepokojenia.

Najpierw głupio się poczuł. Wiedział równie dobrze, jak inni, że nie ma czegoś takiego jak telepatia. Ale po nocy, kiedy poczuł zżerającą go potrzebę zadzwonienia do Orchidei i okazało się, że obudził ją z koszmaru o psychicznym wampirze, nie był już tak szybki w osądach dotyczących przeczuć związanych z Orchideą.

Obserwował ponurą scenę rozgrywającą się na ulicy przy przystani. Deszcz przestał padać kilka minut temu, pozostawiając na chodniku połysk wilgoci.

Ratownicy z pogotowia byli w trakcie procesu umieszczania nadal nieprzytomnego Morgana w ambulansie. Dwa wozy policyjne stały zaparkowane po przeciwnej stronie. Oficerowie w mundurach byli w mieszkaniu Lamberta i robili notatki.

– Jesteś pewna, że nie chcesz pojechać na izbę przyjęć? – Rafe spytał Orchideę trzeci, może czwarty raz. Stracił już rachubę, który.

– Nie, nic mi nie jest, naprawdę. Jestem tylko trochę roztrzęsiona. Rafe, gliny będą chciały z nami porozmawiać, gdy skończą wywiad w środku łodzi. Słyszałeś oficerów. Uważają, że Morgan sam przedawkował brudny lód i został napadnięty przez znajomych handlarzy narkotyków. Co my im powiemy?

– Niewiele możemy im powiedzieć. Z tego co wiemy, dokładnie to mogło się wydarzyć.

Obróciła się w jego ramionach. Jej oczy były stalowo-zielone.

– Morgan nie brał twardych narkotyków. Nigdy nie dotknąłby czegoś tak niebezpiecznego, jak brudny lód.

– Może zechcesz to powiedzieć sanitariuszom, którzy właśnie wypłukali mu żołądek? Jeden z nich powiedział, że to istny cud, że jeszcze żyje.

Jej usta zacisnęły się buntowniczo.

– Ci dwaj napastnicy musieli go zmusić do połknięcia tego świństwa. Może ten talent iluzjonistyczny sprawił, że to wyglądało jak mleko lub coś takiego. – Zadrżała. – To musiała być ta sama drużyna talent-pryzmat, na którą natknęliśmy się w domu Theo. Jestem tego pewna.

Bękarty zapłacą za nastraszenie jej. Ale przecucie mówiło mu, że raczej wolałaby teraz nie słyszeć o jego planach odpłacenia napastnikom. Była zbyt zajęta martwieniem się o swojego przyjaciela, Morgana.

– Według ciebie ci dwaj mężczyźni zostali tu wysłani w poszukiwaniu listu, który Theo Willis wysłał do Lamberta?

– Usłyszałam dosyć, żeby wiedzieć, że czegoś szukali. To musiał być ten list, o którym Morgan wspomniał w wiadomości zostawionej dla mnie na automatycznej sekretarce.

– Niestety wydaje mi się, że go znaleźli. Nie będziemy wiedzieli, co zawierał, dopóki Morgan się nie obudzi.

– Innymi słowy nie mamy żadnych sprawdzonych informacji, które możemy podać policji.

– Nie. Ale musimy chronić Morgana. Ci dwaj mężczyźni chcieli go zabić. Co będzie jak spróbują go dopaść, kiedy będzie przebywał w szpitalu?

Rafe przez chwilę rozważał sytuację.

– Wątpię, żeby zaryzykowali próbę morderstwa w szpitalu. W końcu Lambert nie może ich zidentyfikować. Ale tak na wszelki wypadek znam kogoś, kto może go przypilnować. Nie za darmo oczywiście.

– Kogo?

– Whistlera.

– Twojego informatora z ulicy? Jest też ochroniarzem?

– Jeżeli płaca jest odpowiednia.

Orchidea natychmiast się rozchmurzyła.

– Świetny pomysł. Ale to nadal nie rozwiązuje naszego problemu, co powiedzieć glinom. Wiem, że doktor Brizo prosił nas o zachowanie w tajemnicy faktu kradzieży reliktu. Ale jak możemy to zrobić, po tym, co się stało?

Spokojnie, myślał Rafe. Miał lata doświadczenia w dochowywaniu tajemnic. Prowadził interesy pod znakiem dawno ustanowionej polityki ochrony prywatności klienta. Co więcej, wiedział aż nazbyt dobrze, że jeżeli wiadomość o kradzieży artefaktu dotrze do prasy, istniejąca obecnie garstka tropów zniknie. Ludzie, którzy mogli coś wiedzieć wpadliby w panikę i zapadli się pod ziemię.

Szkoda tracić czasu na zadawanie pytań na które nie można jeszcze znaleźć odpowiedzi.

– W tym punkcie śledztwa nie mamy nic konkretnego do przekazania policji – powiedział. – Jeżeli powiemy im, o co chodzi prawdopodobnie założą, że twój przyjaciel, Lambert, jest w to wplątany.

– Ale Morgan nie ma z tym nic wspólnego. Jest tylko niewinnym obserwatorem.

– Być może, ale jak to udowodnisz? Biorąc pod uwagę znane nam fakty łatwo jest dojść do wniosku, że w tych wszystkich wydarzeniach Lambert odgrywał ważną rolę.

– Co masz na myśli?

– Był relatywnie bliskim znajomym Theo Willisa. Najwyraźniej jednym z niewielu przyjaciół, jakich miał. Całkiem rozsądne byłoby założenie, że Lambert pomógł Theo zorganizować kradzież znalezi-

ska.

– Nie. To zupełnie niemożliwe.

– Nie jestem tego taki pewny – Rafe odwołał się do własnej logiki.

– Może znaleźli na to kupca. Może Lambert zrobił się chciwy i zdecydował, że dalej już nie potrzebuje Willisa. Może zabił Willisa i próbował radzić sobie sam. Do diabła. Może próbował podnieść cenę, a kupiec się wkurzył i wysłał naszą drużynę talent-pryzmat po artefakt.

– To śmieszne. Jeżeli Morgan był zamieszany w jakieś ciemne sprawy dotyczące artefaktu, to dlaczego zadzwonił do mnie, żeby powiedzieć o liście od Theo?

– Może próbował wciągnąć cię w pułapkę. Może podejrzewał, że za dużo wiesz.

– Rafe, to czyste szaleństwo.

– Koniec końców, nie mamy nawet dowodu na to, że list Willisa naprawdę istnieje.

Orchidea jęknęła i zaczęła masować sobie skronie.

– Dobry Boże, nigdy o tym nie pomyślałam. Masz rację. Jeżeli powiem im, to co wiem policja może dojść do wniosku, że Morgan jest w to zamieszany.

– Bo jest w to zamieszany. – Rafe obserwował, jak sanitariusze zamykają drzwi karetki. – Tylko nie wiemy, jeszcze w jaki sposób.

– Nie uwierzę, że Morgan ma coś wspólnego z... – przerwała, gdy jeden z ratowników podszedł do nich.

Był to młody mężczyzna ze szczerym spojrzeniem i rzeczowym, porządnym wyglądem. Na naszywce wieńczącej kieszeń widniało nazwisko Paulsen. Posłał Orchidei pełen otuchy uśmiech.

– Myślę, że Pani przyjaciel wyzdrowieje, proszę Pani. Całe szczęście, że go Pani znalazła teraz. Sądząc po do połowy opróżnionej szetce z brudnym lodem zażył końską dawkę. Jeszcze godzina albo dwie i już by nie żył.

– Nie żył – wyszeptała Orchidea.

– Taaa – pokiwał głową sanitariusz. – W obecnej sytuacji, nie obudzi się wcześniej niż za dwadzieścia cztery godziny, może trzydzieści sześć i po przebudzeniu będzie raczej półprzytomny przez jakiś czas, ale przy odrobinie szczęścia przeżyje. Mam nadzieję, że będzie miał na tyle zdrowego rozsądku, by poddać się synergistyczno-psychologicznej terapii odwykowej. Następnym razem może nie mieć tyle szczęścia i Pani w pobliżu, żeby go Pani ocaliła.

Ratownik odwrócił się i poszedł do karetki. Orchidea spoglądała na jego oddalającą się sylwetkę. Potem spojrzała na Rafe'a.

– Oni naprawdę chcieli go zabić – powiedziała.

– Być może – zgodził się cicho Rafe. Nie podzielał jej przekonania, że Morgan nie zażywa twardych narkotyków.

Orchidea ujęła się pod boki.

– Założę się, że to ci sami, którzy zamordowali Theo.

– Śmierć Willisa nadal pozostaje zagadką. Nie zapomnij, że policja sklasyfikowała ją jako wypadek.

– To było morderstwo. Teraz jestem już tego pewna. – Zacisnęła ręce. – Rafe, nie podoba mi się myśl, że dwoje z moich starych towarzyszy z badań nad lodowymi pryzmatami jest zamieszanych w sprawę zaginięcia artefaktu.

– Trzech – poprawił miękko.

– Co? – rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Wszyscy trzech członkowie twojej starej grupy są zamieszani w tą sprawę. Willis, Lambert i Ty.

– Rozumiem, co masz na myśli – jej brwi spotkały się w wyrazie zmartwienia. – To dziwny zbieg okoliczności, nie sądzisz?

– Bardzo dziwny. A biorąc pod uwagę fakt, że jeden z członków starej grupy nie żyje, a drugi prawie przeniósł się dzisiaj na tamten świat myślę, że muszę cię bardzo uważnie pilnować, Wspólniczko.

Rafe zostawił jeszcze dwie wiadomości strzelającej gumą sekretarce Quentina Austena, ale Austen nie odpowiedział na żadną z nich. Postępy w śledztwie nie szły tak dobrze jak zazwyczaj. Czas spróbować innego podejścia.

Pracował nad nowym spojrzeniem na sprawę, gdy zadzwonił telefon. To nie był Austen, ale Hobart Batt.

– Skontaktowałem się z Podobieństwem, Panie Stonebraker – oznajmił sztywno Hobart. – Najwyraźniej źle Pana poinformowano. Panna Orchidea Adams nie jest zarejestrowana w tej Agencji.

Rafe zacisnął rękę na słuchawce.

– Jesteś pewien?

– Absolutnie. Rozmawiałem z jednym z doradców. Był bardzo uprzejmy i dwa razy sprawdził wszystkie akta w firmie. Zapewnił mnie, że nie posiada jej dokumentów rejestracyjnych. Żaden z trzech pracujących tam doradców jej nie pamięta, chociaż...

– Chociaż co?

Hobart westchnął.

– Jedna z konsultantek, która pracowała w firmie jeszcze parę miesięcy temu przeniosła się do Nowego Vancouver, by tam objąć nową posadę. Możliwe jest, jak sądzę, że to właśnie ona pracowała z Panną Orchideą. Ale nawet jeżeli tak się sprawy miały, to akta powinny zostać w Podobieństwie po jej odejściu. Ktoś inny zostałby przydzielony, aby zająć się Panną Adams.

– Zająć się Panną Orchideą, łatwiej powiedzieć niż zrobić – powiedział Rafe, zanim odłożył słuchawkę.

Pomyślał, że to bardzo interesujące. Jakie były szanse zagubienia dokumentów Orchidei w tak małej agencji, jak Podobieństwo? Prawdopodobnie niezwykle małe. Chyba, że ktoś celowo zadbał o to, aby zginęły.

Z tego, czego zdążył się dowiedzieć do tej pory wynikało, że jedyłą osobą, która mogłaby być zainteresowana zgubieniem rejestracji matrymonialnej Orchidei była sama Orchidea.

Nadal rozmyślał nad problemem tajemniczo zagubionych akt Orchidei, kiedy tej nocy stał w ciemnym korytarzu przed biurem dr Quentina Austena.

Orchidea patrzyła, jak używa wytrychu, by dezaktywować lodowy zamek w oszklonych drzwiach.

– Jesteś pewien, że doktora Austena nie ma w mieście?

– Dowiedziałem się dziś po południu, że niespodziewanie odwołał wszystkie spotkania w ciągu nadchodzących tygodni i wziął nieplanowany urlop. Jego recepcjonistka nie ma pojęcia dokąd się udał.

– Hmmmm. – Znowu zerknęła na korytarz. – A jeżeli jest alarm?

– Nie ma. Sprawdziłem.

– Jak?

– Zadzwoń do zarządcy budynku dziś po południu. Udawałem, że jestem przedstawicielem handlowym firmy sprzedającej systemy alarmowe. Zaproponowałem mu odpowiednią rekompensatę, jeżeli poda mi nazwiska najemców, którzy mogliby zostać moimi potencjalnymi klientami. Nazwisko Austena było na liście.

– Co znaczy, że nie ma jeszcze systemu alarmowego?

– To był logiczny wniosek.

– A co jeżeli twoje założenie jest błędne? – spytała.

– Coś wymyślę.

– Rety, ale ekscytujące hobby sobie znalazłeś.

– Bije na głowę kolekcjonowanie znaczków.

Usłyszała ciche syknięcie, gdy galaretowaty lód chwilowo rozpuścił się wewnątrz zamka i zwolnił zasuwę. Otworzył drzwi i poczekał kilka sekund, wsłuchując się we wszystkie swoje zmysły.

Nic. Biuro Austena w nocy stało puste.

– W porządku, idziemy – powiedział miękko. – Uważaj, jak idziesz. Nie chcemy narobić hałasu i przyciągnąć uwagę nocnego dozorca.

– Jestem zdziwiona, że mają nocnego dozorcę. To nie jest wysoko-czynszowy budynek. Przypuszczam, że Austen nie odnosi jakiś szczególnych sukcesów jako psychiatra synergistyczny.

Orchidea podażyła za nim, wchodząc do zewnętrznego biura i cicho zamykając za sobą drzwi.

– Czego dokładnie tutaj szukamy?

– Nie jestem pewien. Będę wiedział, gdy to zobaczę.

W zewnętrznym biurze znajdowały się dwie szafy z aktami. Szuflady szafy stojącej najbliżej biurka recepcjonistki nie były zamknięte na klucz. Te w większej szafie po drugiej stronie pokoju miały zamki. Rafe zaczął od nich.

Nie było nic trudnego w dezaktywowaniu prostych zamków w szufladach.

Otworzył jedną z nich zawierającą akta pacjentów, których nazwiska zaczynały się na litery od Q do Z. Przesunął wąskim promieniem światła latarki po fiszkach z nazwiskami. Nie było fiszki z nazwiskiem Theo Willis. Orchidea zerkała mu przez ramię.

– Przypuszczam, że to byłoby zbyt proste.

– Prawdopodobnie.

Zamknął szufladę i poszedł w róg pokoju, umeblowanego dwoma wyściełanymi skórą krzesłami i stojącym obok jednego z nich stolikiem. Na stoliku znajdowało się pudełko chusteczek. Rafe zdecydował, że to na pewno krzesło dla pacjenta. Obrazki na ścianie były bez wyrazu, w barwach bladych pastelów. Pomyślał, że pewnie w założeniu miały uspokajać. Według niego były nudne i bez życia. Dywan był w dyskretnym odcieniu szarości, gwarantującym, że przez lata nie będą widoczne żadne plamy. Biurko było taną imitacją mebla z okresu Wczesnych Odkryć. Rafe skierował latarkę na blat biurka. Jedynymi przedmiotami, które się na nim znajdowały były: telefon, skórzany notatnik i wieczne pióro w drewnianej podstawie.

– Trochę za porządnie, gdybyś mnie zapytał – zauważyła Orchidea. – Nigdy nie ufam komuś, kto ma idealnie wysprzątane biurko.

– Zapamiętam to. Masz, trzymaj latarkę, kiedy będę je przeszukiwać.

Stała nad nim i trzymała latarkę, kiedy szybko przeszukiwał cztery szuflady w biurku. Nic nie przyciągnęło jego uwagi, zanim nie dotarł do dolnej szuflady po lewej ręce i odkrył plik jaskrawo-kolorowych magazynów.

– Proszę, proszę – Orchidea schyliła się, by mieć lepszy widok.

Rafe spoglądał na sterczące nagie piersi, które wypełniały praktycznie całą okładkę pierwszej strony stosiku. Podniósł magazyn i zerknął na następny. Zawierał powiększone zbliżenie nagich kobiecych pośladków.

– Wygląda na to, że Austen miał parę własnych zboczeń – powiedział Rafe.

– Uważasz, że nasz dobry doktor używał tych magazynów do prowadzenia terapii? – spytała Orchidea.

– Bardziej prawdopodobne, że używał ich, żeby się zabawić w pokoju dla panów na końcu korytarza, kiedy miał przerwę pomiędzy spotkaniami z klientami. – Rafe zamknął szufladę. – Cholera. Muszą tu gdzieś być.

– Co?

– Rachunki.

Dziesięć minut później znalazł to, czego szukał w jednej z niezamkniętych szuflad szafki stojącej przy biurku recepcjonistki. Poczł głęboką satysfakcję, kiedy znalazł tam teczkę z naklejką Willis, T. Była w niej częściowo wypełniona książeczka z rachunkami.

– Mamy szczęście. Ktokolwiek usunął akta Theo Willisa, zapomniał o zapiskach finansowych – powiedział.

– Albo nie sądził, że jest w nich coś ważnego. – Orchidea przeglądała książkę, którą Rafe wyjął z szafki. – W końcu, co możemy na jej podstawie stwierdzić, poza tym, że Theo był jednym z klientów dr Austena. A to już wiedzieliśmy.

– Ale teraz mamy dowód. A fakt, że profil pacjenta Willisa zaginął wskazuje, że ktoś, być może Austen, nie chce, żebyśmy połączyli jego sprawę z tym biurem.

– Innymi słowy, fakt, że nie ma dokumentów Theo mówi nam więcej, niż gdybyśmy znaleźli te akta.

– Krótko mówiąc, tak. Wiesz co, chyba zaczynasz łapać, o co chodzi w tym detektywistycznym interesie.

– Mówiłam ci, mam do tego talent.

Rafe przeskanował listę płatności.

– Dwa miesiące terapii. Pasuje do zapisków z kalendarza. Przez dwa tygodnie przed śmiercią przychodził pięć razy w tygodniu.

– Biedny Theo. Pod sam koniec musiał być w naprawdę kiepskim stanie.

– Na to wygląda. – Rafe zaczął upychać księgę rachunkową z powrotem w szufladzie. Coś wystawało z brzegu przeglądanego zapisu. Odwrócił stronę i zobaczył małą, samoprzylepną karteczkę z notatką.

– Co to? – Orchidea stanęła na palcach próbując coś zobaczyć ponad jego ramieniem. – Co znalazłeś?

– Niewiele. Wygląda na to, że ktoś, prawdopodobnie recepcjonistka Austena, zostawił notatkę przypominającą o wysłaniu podziękowań za skierowanie pacjenta na konsultacje. To częsta praktyka wśród lekarzy, żeby dziękować kolegom po fachu za przysłanie im pacjenta.

– A, tak – Orchidea opadła na podeszwy stóp i odwróciła się. – Cóż, to wszystko. Wiemy, że Theo chodził na bardzo intensywną terapię na krótko przed śmiercią. Chyba powinniśmy znaleźć Austena, prawda?

– Tak. – Rafe odłożył zapiski pomiędzy pozostałe akta i zamknął drzwi szafki. – Myślę, że doktor może nam sporo wyjaśnić. Fakt, że postanowił wziąć niespodziewanie urlop sprawia, że jestem jeszcze bardziej zainteresowany tym, co ma do powiedzenia na temat Williisa.

– Rafe?

Zerknął ponad ramieniem i zobaczył, że Orchidea wróciła do wewnętrznego gabinetu. Trzymała latarkę na wysokości rzędu oprawionych certyfikatów wiszących na pokrytej boazerią ścianie.

– Co to takiego?

– Dyplomy i certyfikaty związane z profesją doktora Austena.

– Co z nimi? – Podeszedł i stanął przy drzwiach. – Większość lekarzy wiesza dyplomy potwierdzające ich kwalifikacje na ścianach gabinetów.

– Jeden z tych papierów to certyfikat talentu paranormalnego – powiedziała wolno. – Rafe, Austen jest talentem hipnotycznych siódmej klasy.

Uniósł brwi.

– To raczej wysoki poziom, jak na parapsychiczne zdolności hip-

notyzujące, prawda?

– Niezwykle wysoki. Jako profesjonalny pryzmat, mogę ci powiedzieć, że prawie nie słyszy się o takiej mocy talentu hipnotycznego. Wielu synergistycznych psychologów ma jakiś talent hipnotyczny. To jedna z rzeczy, która kwalifikuje ich do zajęcia się synergistyczną psychologią. Ale normalnie ich zdolności plasują się na poziomie klasy trzeciej, najwyżej czwartej. Być może Austen nie jest pozaskalowym wampirem, ale jest niezwykle silny.

– Wystarczająco silny, żeby manipulować Theo Willisem za pomocą hipnozy?

Orchidea opuściła latarkę i odwróciła się w jego stronę. Cień skrywał wyraz jej twarzy.

– Teoretycznie, nikt nie może zostać tak zahipnotyzowany, aby zrobić coś wbrew własnej woli. Ale Theo miał mnóstwo synergistyczno-psychicznych problemów. Był bardzo wrażliwy.

– Innymi słowy, nie możemy stwierdzić co sprytny, silny, wykształcony talent hipnotyzujący mógł zrobić, gdy dorwał w swoje ręce historię paranormalno-psychiczną Theo i zorientował się, które guziki nacisnąć.

– Zgadza się. Nawet pracując bez pryzmatu talent hipnotyczny siódmej klasy mógłby poczynić olbrzymie szkody w delikatnej psychice Theo. – W oczach Orchidei zagościł niewesoły wyraz. – Cały czas powtarzałam, że Theo nie jest złodziejem. Ale nie rozważałam możliwości, iż mógł zostać zahipnotyzowany w celu popełnienia kradzieży artefaktu.

– Teraz mamy jakiś pomysł – powiedział Rafe. – Austen mógł zahipnotyzować Willisa i przekonać go, by ukradł relikw. –

– Nie wiemy tego na pewno.

Rafe zignorował jej sprzeciw. Rzeczy nareszcie zaczęły do siebie pasować. Już dawno temu nauczył się w takich przypadkach słuchać swego instynktu łowieckiego.

– Teraz musimy pomyśleć nad motywem. Widzę kilka możliwości.

– Austen albo zmusił Theo do kradzieży artefaktu dla niego, co oznacza, że doktor jest potajemnym, ekscentrycznym kolekcjonerem kosmicznych znalezisk...

– Albo Austen był pośrednikiem. Zaaranżował kradzież relikw przez Theo dla kogoś innego.

– Jest jeszcze trzecia możliwość – zauważyła Orchidea.

– Jaka?

– Taka, że doktor Austen ma jeszcze bardziej popieprzony profil parapsychiczny niż miał Theo.

– Wierz mi, fakt, iż Quentin Austen może być szalony nie uciekł mojej uwadze.

Rozdział 12

Orchidea przewróciła się na swoją stronę i podparła na jednym łokciu, spoglądając z góry na Rafe'a, który leżał rozciągnięty na plecach obok niej.

– Obudziłeś się?

– Teraz tak – podłożył pod głowę zgiętą rękę. Światło bliźniaczych księżyców wlewało się przez szklany sufit ujawniając lekki uśmiech na jego ustach. – Ty też, najwyraźniej.

– Myślałam.

– Dziwnym zbiegiem okoliczności, ja również.

Ułożyła się wygodniej.

– Myślisz o Quentinie Austenie, prawda?

– I paru innych rzeczach. Cały dzień zastanawiałem się, dlaczego zdecydował się nagle wziąć urlop. Myślę, że możemy założyć, iż siedzi w tym po uszy.

– Myślisz, że zaaranżował morderstwo biednego Theo?

– Nie wiem, tego na pewno. – Rafe powiódł jednym palcem po krzywiźnie jej ramienia. – Ale instynkt podpowiada mi, że Austen prawdopodobnie nie jest zabójcą.

– Dlaczego jesteś tego taki pewny?

– Austen zdaje się być nowicjuszem w tego rodzaju sprawach. Gdyby miał więcej doświadczenia, staranniej pozbyłby się wszelkich śladów łączących go z Theo Willisem.

– Uważasz, że to nie on jest mózgiem całej operacji?

– Nie jestem jeszcze pewien. Był na tyle inteligentny, żeby spanikować, kiedy niespodziewanie otrzymał telefon od kogoś, kto chciał porozmawiać z nim o jego tzw. inwestycjach. I pomyślał o tym, żeby usunąć akta Willisa przed wyjazdem na ten nieplanowany urlop.

– A co z drużyną talent iluzjonistyczny-pryzmat, na którą wciąż wpadamy?

– Nie pracują pod wpływem hipnozy – powiedział z ponurą pewnością. – Zostali wynajęci.

Orchidea zadrżała. – Tak.

– Austen mógł ich wysłać, żeby mieli oko na dom Theo Willisa, a potem kazał im znaleźć list Willisa i pozbyć się twojego przyjaciela Morgana Lamberta.

– Z minuty na minutę ta sprawa komplikuje się coraz bardziej.

– Nie, nareszcie do czegoś dochodzimy. Mamy pewne tropy, którymi możemy podążać.

Poczuła jak wibruje w nim energia talentu strategicznego. Łowca poczuł zapach zwierzyny. Zastanawiała się, czy ten aspekt jego natury powinien ją niepokoić. Nie niepokoił. Być może dlatego, że wy-czuwała kontrolę jaką rozwinał nad swoim talentem.

– Chciałabym wiedzieć, co takiego było w aktach Theo, że Austen uznał za konieczne ich usunięcie.

– A skoro mowa o zaginionych aktach... – miękko powiedział Rafe.

– Hmmmmm?

– Papiery Theo Willisa nie są jedynymi, które ostatnio zniknęły.

Coś w niskim tonie jego głosu zaniepokoiło ją. Orchidea oderwała swoje myśli od problemu powiązań między Theo, Quentinem Austenem i zaginionym artefaktem.

– O czym ty mówisz?

Rafe przewrócił się na bok, oparł na łokciu i delikatnie pchnął ją na plecy. Pochylił się nad nią, jego oczy błyszczały w ciemności.

– Twoje Akta w Podobieństwie zniknęły.

Była tak zaskoczona, że mogła tylko przez parę sekund gapić się na niego z otwartymi ustami. Kiedy jej szczęka na powrót zaczęła pracować, przełknęła dwa razy zanim ostrożnie spytała.

– Skąd o tym wiesz?

– Sprawdziłem.

– Dlaczego?

– Nazwij to profesjonalną ciekawością.

– Profesjonalna ciekawość, akurat.

Zignorował jej uwagę.

– Zabrałaś je?

– He? Ja?

– Taaa, ty. Czy ukradłaś swoje własne akta, żeby nie ryzykować złego skojarzenia?

– Ukradałam moje akta? Zwariowałaś? Dopóki cię nie poznałam, nie wiedziałam nawet, jak się robi tego typu rzeczy. Musiała zajść jakaś pomyłka. – Orchidea przerwała natychmiast, kiedy wychwyciła ledwo zauważalny ślad energii psychicznej drgający w powietrzu pomiędzy nimi. – Przestań natychmiast.

– Co mam przestać?

– Próbujesz użyć twojego talentu strategicznego, żeby sprawdzić,

czy mówię prawdę. Przyznaj się.

– Wszyscy wiedzą, że te stare opowieści o talentach strategicznych wykrywających kłamstwa to zupełnie bzdury. – Jego wargi zawisły nad jej ustami.

Orchidea przez chwilę się wahała, kusilo ją, żeby kontynuować sprzeczkę.

Ale gdy poczuła, jak przyciska do niej twardość swoich ud, jęknęła i objęła go ramionami za szyję. Pomyślała, że zostawi sobie wykład na później. I sprawę jej zaginionych akt również. Teraz żar pobudzonego ciała Rafe'a ogrzewał ją przez dzielące ich prześcieradło. Nagle była desperacko świadoma koniuszków jego placów na swoim sutku.

Nikt nie dotykał jej nigdy w sposób, jaki robił to Rafe. Nikt dotąd nie wzbudził w niej tego wyjątkowego, prawie boleśnie intensywnego uczucia, które wzbudzał on. Zadrżała i poczuła jego natychmiastową odpowiedź.

Kiedy byli ze sobą w ten sposób, wydawało się, że zostali dla siebie stworzeni. Radosna świadomość, że ma na niego ten sam piorunujący wpływ wypełniła ją uderzającym do głowy uczuciem podniecenia. Ugniatała jego kształtne ramiona. Jego usta pieściły jej szyję, a potem przesunęły się na piersi.

Wygięła się w łuk w jego ramionach. Jego ręce wsunęły się pod nią. Objął jej biodra palcami i delikatnie ścisnął, a potem znalazł niezwykle delikatne miejsce między jej nogami.

Wzbierało w niej gorąco.

– Rafe.

Przewrócił się na plecy i pociągnął ją na siebie. Kiedy otworzyła oczy zobaczyła, że jego twarz zastygła w nieubłaganą maskę gwałtownego pożądania.

Zamknęła jego sztywną męskość w dłoniach.

– Nie wiesz, co mi robisz – wyszeptał.

Kiedy jego dłoń przesunęła się głębiej między jej nogi, krzyknęła i zeszywniała. Jego palce, mokre i śliskie od jej własnej wilgoci, poruszały się po jej ściśniętej lechtaczce. Ogarnęło ją wielkie napięcie. Wbiła paznokcie w jego ramiona i oplotła go biodrami.

Nie wszedł w nią, aż poczuł pierwsze skurcze jej orgazmu. I wtedy, gdy myślała, że jest już na szczycie, wszedł w nią, głęboko, do końca.

Uczucie jak ją rozciąga, jak ją wypełnia tak bez reszty było w tym

momencie prawie zbyt intensywne do wytrzymania, biorąc pod uwagę przepływające już przez nią fale żywiołowych wrażeń.

I wtedy poczuła sondę talentu szukającą jej na płaszczyźnie psychicznej.

Odpowiedziała na nią instynktownie, radośnie, z uczuciem absolutnego napięcia.

Moc uderzyła w perfekcyjnie ukształtowany pryzmat.

Usłyszała ochryply okrzyk wyzwolenia Rafe'a, ale nie potrafiła już nawet otworzyć oczu. Była zgubiona w synergistycznym wirze energii i wrażeń, które ją wciągnęły.

Rafe leżał rozbudzony jeszcze długi czas po tym, jak Orchidea zasnęła w jego ramionach. Obserwował bliźniacze księżycy, jak poruszają się po łuku szklanej kopuły, aż zupełnie zniknęły. Jego umysł pełen był tajemnic. Ostatnio zetknął się z wieloma. W ten, czy inny sposób, wszystkie obracały się wokół Orchidei. Ale największą zagadką była sama Orchidea.

Nie, pomyślał. Najbardziej zagadkową sprawą była jego reakcja na nią. Nigdy przedtem nie doświadczył czegoś takiego. Więc dlaczego mógł wyczuć, że to właściwe?

Tego popołudnia Orchidea jechała do śródmieścia z mglistym poczuciem winy i radością ucznia udającego się na wagary. Nie było jej łatwo uciec Rafe'owi nawet na godzinę. Po ataku na Morgana Lamberta prawie nie spuszczał jej z oczu. Miała wrażenie, że cały czas skrada się gdzieś w pobliżu, pilnując jej.

Wreszcie udało się jej przekonać go, że wizyta w Psynergii w celu odebrania czeku z wypłatą będzie względnie bezpieczna.

– Nic nie stanie się w pełnym świetle dnia, w dniu Ojców Założycieli – zapewniła go. – Kimkolwiek są ci ludzie, oczywistym jest, że chcą zachować tajemnicę. Dwóch facetów w narciarkach w centrum Nowego Seattle wzbudzi podejrzenia. Ty masz tu coś do zrobienia. Nie musisz mnie eskortować.

Rafe był temu niechętny, ale w końcu przyznał, że miała rację. Stał na stopniach przed domem i patrzył, jak wyjeżdża przez wysoką bramę. We wstecznym lusterku ponury wyraz zaniepokojenia na jego twarzy był wyraźnie widoczny. Wiedziała, że już żałuje swojej decyzji, aby pozwolić jej jechać samej do miasta. Mocno docisnęła pedał gazu podświadomie bojąc się, że znajdzie jakiś sposób, żeby w ostatniej minucie ja zatrzymać.

Dopadła ją dziwna mieszanina ulgi i niepokoju, kiedy jechała w dół First Avenue. Ten cały interes z dzieleniem przestrzeni z Rafem okazał się znacznie bardziej skomplikowany, niż na początku przypuszczała. Nie była przyzwyczajona do posiadania mężczyzny stale pod ręką. Doświadczenie to pozostawiało ją z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony była wdzięczna, że ma po swojej stronie jego talent strategiczny, ułatwiający właściwą ocenę faktów, kiedy pracowali, aby rozwiązać tajemnicę otaczającą śmierć Theo i zaginięcie reliktu. Ale jej własne emocje dotyczące jej kochanka-klienta niezmiernie szybko stawały się bardziej zawile i skomplikowane niż sama sprawa.

Miała niepokojące wrażenie, że tak właśnie czuł się ktoś zakochany.

Dzielnica Śródmieście Nowego Seattle była bogato udekorowana z okazji dnia Ojców Założycieli. Transparenty łopotały na lekkim wietrze. Restauracje reklamowały piwo w stylu pierwszego pokolenia i starodawne hamburgery Ojców założycieli oraz tradycyjne ciasto z jago-gruszek. Postawiono znaki ostrzegające, że z ulic mają zostać usunięte wszystkie zaparkowane samochody na dwie godziny przed rozpoczęciem parady.

Organizacja Przyjaciół Biblioteki stworzyła przed budynkiem biblioteki publicznej wystawę z wielką księgą wykonaną w całości z kolorowych kwiatów.

Miała ona symbolizować ręcznie sporządzane przez pierwsze pokolenia księgi, które koloniści tworzyli, desperacko pragnąc ocalić choć część informacji zawartych w rozpadających się komputerach. Orchidea zmuszona była zamrugać kilka razy mijając inspirującą kwiatową rzeźbę. Przekonała samą siebie, że każdy był upoważniony do kilku łez dumy w dzień Ojców Założycieli.

Piętnaście minut później przekroczyła próg Psynergii.

– Szczęśliwego Dnia Ojców Założycieli Byron. Masz mój czek?

Byron spojrział na nią znad kolumny z ploteczkami w swoim ulubionym brukowcu, Synsacjach. Gapił się na nią ponad oprawkami swoich purpurowych okularów. Jego spojrzenie wyrażało zafascynowane przerażenie.

– Uciekaj. Uciekaj, póki jeszcze możesz – syknął i dziko zerknął przez ramię w kierunku zamkniętych drzwi gabinetu Clementine. – Uciekaj, bo zginiesz. Ratuj się.

– Nie zamierzam nigdzie uciekać, zanim nie dostanę mojego cze-

ku.– Orchidea podeszła do biurka, przesunęła na bok stertę plakatów „Myśl ekskluzywnie” i popatrzyła w dół na otwartą stronę Synsacji. – Jakże ważne wieści dzisiaj? Jakies doniesienia o kolejnych uprowadzeniach przez kosmitów?

– Nic tak nudnego i banalnego – wskazał na zdjęcie w gazecie. – Przyjrzyj się dobrze.

Orchidea uważnie oglądała czarno-białą fotografię. Ukazywała parę, która wysiadała z samochodu przed ogromną, rozłożystą rezydencją. Zdjęcie najwyraźniej zrobiono z dużej odległości. Niemniej jednak samochód wyglądał dziwnie znajomo. Podobnie elegancka linia ramion mężczyzny, którego twarz była częściowo odwrócona od obiektywu aparatu. Kiedy przyjrzała się bliżej była prawie pewna, że rozpoznaje zwięzający się do tali krój dopasowanej sukienki, którą nosiła kobieta.

– Dobrze nieba, to chyba nie...?

– Ty i Rafe Stonebraker? – Byron uśmiechnął się złowrogo. – W rzeczy samej to wy, moja droga. Przyjęcie urodzinowe Stonebrakera to wydarzenie towarzyskie roku i – przerwał na moment dla większego dramatyizmu – ty tam byłaś.

Orchidea skrzywiła się.

– Nie mogę sobie wyobrazić, po co ktoś zadał sobie trud, żeby zrobić mi zdjęcie.

– Nie chcę się wydać prostacki, ale wątpię, by ktokolwiek zadałby sobie ten trud, gdybyś nie wisiała na ramieniu obecnego spadkobiercy dynastii Stonebrakerów.

– O, tak. Racja. Zapomniałam o tej sprawie – Orchidea wyprostowała się chichocząc. – Dzięki Byron, wiesz jak przywołać kogoś do porządku. Masz mój czek?

– Tak, ale myślę, że nie ma pośpiechu z wręczaniem ci go.

– Dlaczego nie, zechcesz mi powiedzieć?

Byron skrzywił się, gdy drzwi Clementine otwarły się z hukiem.

– Bo szefowa zamierza cię zamordować na długo zanim zdążysz dotrzeć do banku.

– Co? – Orchidea popatrzyła przez pokój, prosto w twarz szarżującej szerszenio-pszczoły. – Uuuch.

– Do jasnej synergii, Orchideo Adams powinnam cię wylać – Clementine trzasnęła kopią New Seattle Times o obciążone skórą biodro. – Jak mogłaś mi to zrobić? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?

– Wszystko co dla mnie zrobiłaś, to danie mi pracy na część etatu Clementine. Desperacko potrzebowałaś lodowego pryzmatu z pełnym widmem, z tego co pamiętam. Tak jak kilka innych agencji ogniskujących w mieście. – Orchidea zerknęła na gazetę. – Na czym polega problem?

– Problem?! – Clementine podniosła głos. – Powiem ci, jaki jest problem. Wczoraj w nocy uczestniczyłaś w najgorętszym wydarzeniu towarzyskim roku w mieście, a te cholerne gazety wszystko przekreśliły. Spieprzyłaś unikalną, najważniejszą szansę, jaką miał ktokolwiek z Psynergii w ostatnim czasie, żeby zaprezentować nasz nowy, ekskluzywny wizerunek, to właśnie jest problem.

– Prawdziwe pytanie brzmi – mruzczał Byron ukryty za gazetą – czy pieprzyła unikalnego, najważniejszego klienta jakiego ma obecnie Psynergia. Dociekliwe umysły...

Orchidea popatrzyła na niego.

– Zamknij się Byron, albo osobiście wepchnę ci do gardła każdy z tych plakatów „Myśl ekskluzywnie”.

– Tak proszę Pani – wsadził nos w Synsacje.

Orchidea odwróciła się w kierunku Clementine.

– Co masz na myśli mówiąc, że gazety wszystko przekreśliły?

– Zostałaś przedstawiona jako agencyjna randka Rafe'a Stonebrakera – powiedziała Clementine złowieszczym tonem.

– I co z tego?

– Ten cholerny reporter z kolumny towarzyskiej napisał o tym tak, jakbyś była z agencji matrymonialnej, a nie agencji ogniskującej. Co więcej nie podał nawet nazwy Psynergia w artykule.

Orchidea westchnęła głęboko.

– Clementine, pracuję pod przykryciem, pamiętasz? Rafe chciał, żebym udawała wczoraj wieczorem jego dziewczynę z agencji matrymonialnej. Nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się, że nasza współpraca ma podłoże profesjonalne.

– Ale to była taka doskonała okazja, żeby wypromować Psynergię, jako ekskluzywną agencję ogniskującą.

Wyglądała na tak nieszczęśliwą, że Orchidei zrobiło się jej żal. Przeszła przez pokój i poklepała Clementine po szerokim ramieniu.

– Już. Już. Obiecuję, że gdy to wszystko się skończy, załatwię, żeby Rafe wspomniał o Psynergii kilku swoim znajomym. W porządku?

– Przypuszczam, że to najlepsze na co możemy teraz liczyć, skoro

zmarnowałaś taką niesamowitą okazję.

– I o to chodzi. A teraz, czy mogę już dostać mój czek?

– Pewnie, pewnie. Daj jej czek Byron. – Clementine przyglądała się Orchidei uważnie – Uch, jest jeszcze jedna mała sprawa.

Orchidea wzięła podaną jej przez Byrona kopertę.

– A co takiego?

– Całe to gadanie w gazetach o Rafie Stonebrakerze paradującym ze swoją tzw. agencyjną randką przed całą rodziną i członkami Rady Nadzorczej Stonebraker Shipping...?

– Co z tym wszystkim?

– To była tylko cześć kamuflażu, który ustaliliście ze Stonebrakerem, prawda? Nie było w tym ani ziarna prawdy, zgadza się?

– Nie bądź śmieszna. – Orchidea w pośpiechu ruszyła do drzwi. – Życzę wam udanego Dnia Ojców Założycieli.

Otworzyła szeroko drzwi i pobiegła korytarzem do windy. Gdy dotarła do ulicy była już prawie zupełnie opanowana. Jej uwagę przyciągnął szyld po drugiej stronie ulicy, nad wejściem do sklepu espresso. Podjęła spontaniczną decyzję poświęcenia kilku minut na samotne wypicie harba-kawy. Gdy tylko usiadła przy jednym z małych stolików wiedziała, że dobrze zrobiła.

Musiała pomyśleć chwilę o Rafie. Nie potrafiła robić tego jasno, gdy on był w pobliżu.

Niestety, jak odkryła chwilę później sącząc swoją latte i gapiąc się na ściany pokryte plakatami, jasne myślenie o nim nie było też łatwe, kiedy bezpiecznie przebywał poza zasięgiem jej wzroku.

Na malutki stolik padł cień. Wizja mężczyzny w narciarskich czapkach mignęła jej przed oczami. Drgnęła, rozlewając kilka kropli latte.

– Przepraszam – Selby Culverthorpe posłał jej chłodny uśmiech. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Pozbierała się w sobie i ostrożnie postawiła filiżankę.

– Śledził mnie Pan, Panie Culverthorpe?

– Sprawdziałem dziś rano pewne rzeczy. Wczoraj w nocy wynikło pewne zamieszanie wokół kwestii, w której agencji matrymonialnej jesteś zarejestrowana.

– Czyżby?

– W czasie rozwiązywania tej kwestii odkryłem, że pracujesz doradczo w Psynergii. Właśnie szedłem tam sprawdzić, czy ktoś z personelu nie mógłby mi pomóc skontaktować się z tobą kiedy zobaczy-

łem, jak wychodzisz przez frontowe drzwi i kierujesz się w stronę tego baru espresso.

– Panie Culverthorpe...

– Mów mi Selby. W końcu zostaliśmy sobie odpowiednio przedstawieni wczoraj w nocy. Nie masz nic przeciwko temu, że się przyśiądę?

Nie przychodził jej do głowy żaden powód, żeby odmówić. Przedstawienie jej Selby'emu i jego żonie Brianie na przyjęciu było w najlepszym razie przelotne, ale prezentacji dokonała babcia Rafe'a. Orchidea wiedziała, że nie może być niegrzeczna nie mając ku temu bardzo dobrej wymówki, a żadnej jeszcze nie zdażyła wymyślić.

– Oczywiście, że nie. – Wskazała krzesło po drugiej stronie małego stolika. – Dlaczego mnie szukałeś?

– Ponieważ ty i ja musimy porozmawiać Panno Adams. – Selby usiadł naprzeciw niej. – Mamy wspólny problem.

– Jakiż to problem?

– Mój kuzyn Rafe – Selby uśmiechnął się ponownie. Jego oczy lśniły za szklami stylowych okularów. – Na szczęście znalazłem rozwiązanie.

– Nie rozumiem.

– Więc przejdę do rzeczy. Rada Nadzorcza Stonebraker to bardzo konserwatywna paczka Panno Adams. Nigdy nie zaaprobowałiby Dyrektora Generalnego, który nie jest żonaty, albo przynajmniej nie jest zaręczony.

– Czy to prawda?

– Tak – powiedział Selby – to fakt. Ale podejrzewam, że już o tym wiesz. Muszę przyznać, że aż do ostatniej chwili odnosiłem wrażenie, że mojego kuzyna nie interesuje Stonebraker. Ale najwyraźniej moje założenie było błędne.

– Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

– Widok ciebie towarzyszącej Rafe'owi na przyjęciu urodzinowym wuja Alfreda G. zeszłej nocy. Przychodzi mi do głowy tylko jeden powód, dla którego mój kuzyn nagle wyskoczył z agencyjną randką przed całą rodziną. Myślę, że postanowił odzyskać to wszystko, co odrzucił lata temu, kiedy pokłócił się z Alfredem G.

– Dlaczego mi Pan o tym mówi, Panie Culverthorpe?

– Ponieważ sędzę, że nie wiesz, w co się pakujesz Panno Adams. Rafe mógł rzeczywiście znaleźć cię przez agencję matrymonialną, chociaż mam co do tego poważne wątpliwości. Ale nawet jeżeli to

prawda, założę się, że nie jest to skojarzenie z dużym prawdopodobieństwem sukcesu.

– Co masz na myśli?

– Jeżeli naprawdę zostaliście profesjonalnie skojarzeni, to zgaduję, że musiał wywrzeć duży nacisk na swojego doradcę, aby ten przedstawił mu jakąś kandydatkę. – Selby celowo przerwał na chwilę. – Ale równie prawdopodobne jest, że Rafe sam ją sobie znalazł i przekupił, aby przekonywująco odegrała rolę.

– Sugerujesz, że Rafe mógłby posunąć się do zastraszenia lub przekupstwa?

Zimne rozbawienie migotało w oczach Selby'ego.

– Nie bądź taka zaszokowana. Znam mojego kuzyna. Rafe robi wszystko, co konieczne, aby dostać to, czego pragnie, o ile pragnie tego wystarczająco mocno.

– Dlaczego jesteś taki pewny, że Rafe i ja nie tworzymy dobranej pary?

– Daj spokój Panno Adams. Nie jestem głupcem. Mój kuzyn to talent strategiczny.

– I co z tego?

– Jest egzotyczny. Do tego wysokiej klasy. Agencje nie najlepiej sobie radzą z kojarzeniem takich ludzi, jak on. Nawet jeżeli powiedziano ci, że jest w pięćdziesięciu procentach rozsądnym kandydatem, to jestem zaskoczony, że w ogóle to rozważałaś. Niewiele inteligentnych kobiet zechciałoby zaryzykować małżeństwo z łowcą. Zbyt wiele niewiadomych. Małżeństwo, Panno Adams, to wyrok na całe życie.

– Jestem tego świadoma. Ale dziadek Rafe'a jest talentem strategicznym i z tego, co widziałam ostatniego wieczoru wydaje się być szczęśliwie żonaty.

– Wujek Alfred G. jest talentem strategicznym zaledwie czwartej klasy. Rafe jest szóstką. Podejrzewam, że może nawet wyższym. – Selby zmrużył oczy. – Co więcej wyjawię ci pewien rodzinny sekret. Wuj Alfred G. i ciotka Ellen nie zostali sobie przedstawieni za pośrednictwem agencji.

– Doprawdy?

– To było małżeństwo z rozsądku zawarte ponad pięćdziesiąt lat temu. Ojciec ciotki Ellen był właścicielem firmy, którą chciał przejąć wuj Alfred G. Ojciec Ellen chciał, żeby jego córka wzięła się w rodzinę Stonebrakerów. Zawarli umowę, a ciocia Ellen była jej częścią.

– Wyglądają na dobraną parę.

Selby zbył tą uwagę wzruszeniem ramienia.

– Od czasu do czasu pozaagencyjne związki odnoszą sukces. Do diabła, jeżeli legendy mówią prawdę, to w ten sposób zawierano znakomitą większość małżeństw na Ziemi, w czasach przed kolonizacją. Rutynowe były też rozwody.

– I system ten był nieustannie przyczyną rozbijania rodzin. Na szczęście Ojcowie Założyciele byli na tyle mądrzy, że ustanowili inny sposób radzenia sobie z tymi sprawami, tutaj, na Świętej Helenie – wymamrotała z podziwem.

– Dokładnie mój punkt widzenia Panno Adams. – Selby oparł się o krzesło i rzucił jej wiele mówiące spojrzenie. – W nieskojarzonych małżeństwach czynnik ryzyka jest bardzo duży. A na Św. Helenie nie ma możliwości ucieczki poprzez rozwód.

– Wszyscy to wiedzą.

– Lepiej niech się Pani dobrze zastanowi nad zawarciem związku z niskim prawdopodobieństwem sukcesu, Panno Adams. Nawet jeżeli potencjalny kandydat na męża jest bogaty.

– Jest Pan taki pewny, że Rafe i ja jesteśmy źle dobrani.

– Może Pani uważać, że gra jest warta świeczki. Może zakłada Pani, że jeżeli sprawy nie ułożą się po ślubie, to Pani i mój kuzyn będziecie wiedli osobne życie. Może myśli Pani, że może mieć wszystko: pieniądze Stonebrakerów, pozycję w towarzystwie i kilka dyskretnych romansów na boku. Ale to się nie uda.

– Dlaczego nie?

Uśmiechnął się złowieszczo.

– Bo mój kuzyn jest talentem strategicznym. Uwierz mi, talenty strategiczne nie są wyrafinowane i postępowe w sprawach wierności małżonek. Nie bez przyczyny nazywani są Reliktami, Panno Adams.

– Słucham?

– Myślałem, że wiesz o tym wszystkim. Jesteś w końcu wyszkolonym, profesjonalnym przyzmatem. Talenty strategiczne są prymitywne w bardziej niż jedynie paranormalnym sensie. Jeżeli planujesz małżeństwo z rozsądkiem, jeszcze raz dobrze się nad tym zastanów.

– Czy to ostrzeżenie?

– Tak Panno Adams. – Selby pochylił się w jej stronę. – Osobiście nic przeciwko tobie nie mam, ale ciężko pracowałem i za długo planowałem, żeby teraz pozwolić tobie, albo komukolwiek innemu wejść mi w paradę. Zamierzam zniszczyć Stonebraker. Jeżeli nie zejdziesz

mi z drogi, możesz przy tym oberwać.

– Powiedz mi – zaczęła delikatnie Orchidea – dlaczego jesteś tak zdeterminowany, żeby zniszczyć firmę. W końcu jesteś członkiem tej rodziny.

– Moje powody to nie twój interes.

– Nie zgadzam się. Sądzę, że mam prawo wiedzieć, dlaczego grozi mi ktoś tak bogaty i wpływowy, jak ty.

Selby zmarszczył brwi.

– Nie grozę ci. Po prostu wyjaśniam ci, jak sprawy stoją.

– Czuję się zastraszana. Chcę wiedzieć, dlaczego, zanim podejmę decyzję.

Selby cofnął się zachmurzony.

– Ja, do diabła, na pewno nie przekażę ci prywatnych informacji rodzinnych.

Orchidea zamieszała swoją latte cienkim patyczkiem.

– Powiedz mi Selby, co takiego zrobiła cześć rodziny ze strony Rafe'a twojej części, że jesteś taki wściekły?

Pytanie zadziało jak wyciągnięcie worka z piaskiem z wału ochronnego wstrzymującego powódź. Twarz Selby'ego wykrzywiła furia. Ostre, krótkie wybuchy energii pojawiały się i znikwały na płaszczyźnie psychicznej. Oczywiście zasygnalizowanie paranormalnej energii, która nie jest w pełni kontrolowana.

Orchidea przypomniała sobie Rafe'a mówiącego, że jego kuzyn jest talentem technicznym.

– Może powinienem ci powiedzieć, co się stało – powiedział Selby.

– Może prawda przekona cię, jak niebezpieczny może być talent strategiczny, zwłaszcza jeżeli na dodatek jest bardzo bogaty i bardzo wpływowy.

– Zamieniam się w słuch.

– Wuj Alfred G. jest odpowiedzialny za śmierć mojego ojca. To właśnie rodzina ze strony Stonebrakerów zrobiła mojej stronie rodziny. Usatysfakcjonowana Panno Adams?

Ręka Orchidei znieruchomiała na patyczku od latte.

– To bardzo poważne oskarżenie.

– Niestety nie mogę wnieść sprawy do sądu, bo nie mam dowodów. Alfred G. o to zadbał. Ale wykułem moją własną sprawiedliwość Panno Adams. Nie wchodź mi w drogę.

– Co każe ci myśleć, że twój ojciec został celowo zabity?

Selby zawahał się. Orchidea obserwowała, jak w widoczny sposób

odzyskuje panowanie nad sobą. Wyczuwała, że już żałuje niekontrolowanego wybuchu.

– Moja matka opowiedziała mi całą historię, gdy byłem dzieckim.

– Co powiedziała? Co stało się z Pańskim ojcem?

Selby potrząsał głową, jakby próbował pozbyć się resztek wpływu jakiegoś zaklęcia.

– To nie twoja sprawa. Nie musisz znać szczegółów. Wszystko, co powinnaś wiedzieć to to, że mężczyźni tacy jak Rafe i Alfred G. Stonebraker są niebezpieczni.

– Chcę po prostu zrozumieć.

– Nie musisz rozumieć nic więcej poza tym, że jeżeli nie wyplącesz się z tego póki jeszcze możesz, to może ci się stać krzywda. – Odsunął krzesło nagłym ruchem i zerwał się na nogi. – Nie będę już więcej Pani ostrzegał, Panno Adams.

– Zaczekaj proszę!

Selby zdążył się już pozbierać. Kipiące w nim emocje, które na krótki czas ukazały się na jego twarzy, teraz zniknęły. Patrzył na nią z chłodną kalkulacją.

– Wyglądasz na inteligentną kobietę. Myślałem, że jesteś zbyt mądra, aby wiązać się z talentem strategicznym. Jeżeli chodzi ci o pieniądze, to współczuję. Ale są inne sposoby wzbogacenia się niż ryzykowne małżeństwo z moim kuzynem.

– O czym ty mówisz?

– Jestem zamożnym człowiekiem, ale będę jeszcze bogatszy po zrealizowaniu moich planów względem Stonebraker. Mogę ci wynagrodzić usunięcie się ze sceny.

– Och, łoś – otworzyła szeroko oczy. – Nikt jeszcze nie próbował mnie przekupić.

Szczęka Selby'ego drgnęła. – Pomyśl o mojej ofercie Panno Adams. Rozważ ją bardzo dokładnie. Bo w ten, czy inny sposób zamierzam wygrać.

Odwrócił się i wyszedł z baru espresso bez słowa pożegnania. Niewidzialny powiew starego gniewu i bólu unosił się za nim w powietrzu. Orchidea wyczuła jego ślad, zarówno na fizycznej, jak i metapsychicznej płaszczyźnie.

Rozdział 13

Rafe chwycił telefon zanim ten miał szansę zadzwonić po raz drugi.

– Orchideo, gdzie do diabła jesteś?

Po drugiej stronie linii nastąpiła krótka, pełna zdumienia pauza.

– Uch..., to ja, Whistler, Panie Stonebraker. Jestem w szpitalu i pilnuję Pana Lamberta, pamięta Pan?

Rafe na krótką chwilę przymknął oczy przywołując cierpliwość i opanowanie. To było jakieś szaleństwo. Stawał się wręcz jawnie nerwowy w kwestiach dotyczących Orchidei. Była w końcu tylko kilka minut spóźniona.

Pewnie zatrzymała się po drodze, aby coś kupić, albo odebrać pocztę.

– Przepraszam Whistler. Spodziewałem się kogoś innego. Co dla mnie masz?

– Tutaj nic się nie dzieje, ale pamięta Pan tych facetów, o których Pan pytał? Drużynę talent iluzjonistyczny i przyzmat, która podejmie się różnych zleceń, jeżeli kasa jest godziwa?

– Znalazłeś ich?

– Być może. Jest para magików talent–przyzmat pracująca w pod-rzędnej klasy klubie na Placu Ojców Założycieli. W czasie pokazu używają noży. Mówią, że talent całkiem nieźle sobie z nimi radzi. Efekty specjalne nie są tylko iluzją, jeżeli Pan wie, co mam na myśli.

– A co z tymi innymi zleceniami?

– Słyszałem, że za odpowiednią cenę można ich wynająć do brudnej roboty. Facet, którego znam mówi, że według niego ostatnio sporo pracowali na boku.

– Czy twój kumpel powiedział ci, kto ich wynajął?

– Nie wie, kto jest zleceniodawcą. W gruncie rzeczy, to nie wiedział zbyt wiele. Cokolwiek się dzieje, to musi być jakaś wielka tajemnica.

– Jak nazywa się ten klub?

– Miejsce nazywa się Kasyno Lodowatego Ryzyka. – Whistler zniżył głos. – Nie wiem, czy to pańscy faceci, ale nie mogę znaleźć żadnego innego zespołu talent–przyzmat, który by pasował do pańskiego opisu.

– Brzmi obiecująco. – Rafe usłyszał samochód na podjeździe. Ze-

rwał się na nogi. – Sprawdzę to. Dzięki Whistler.

– A co z moimi pieniędzmi?

– Tak jak zwykle otrzymasz je jutro. A na razie zostań z Lambertem.

– Robi się.

Rafe rzucił słuchawkę i poszedł stanąć w drzwiach gabinetu. Przysiękł sobie, że zachowa spokój. Będzie opanowany. Pogodny. Swobodny. Nie będzie żądał wyjaśnień, dlaczego jest dwadzieścia minut spóźniona. Zdenerwowałaby się, gdyby rzucał się jej do gardła za każdym razem, gdy przekracza frontowe drzwi. Ostatnią rzeczą jakiej pragnął, to zdenerwować ją.

Drzwi otworzyły się. Orchidea przeszła przez próg. Na jego widok uśmiechnęła się blado.

– Witaj Rafe.

– Gdzieś ty się u diabła podziewała? – Skrzywił się na dźwięk własnego, ostrego głosu. To by było na tyle, jeżeli chodzi o pozostanie pogodnym i swobodnym.

– Czarujące powitanie. – Rzuciła torebkę na stolik. – Dobrze, że jesteśmy partnerami w interesach, a nie zaręczoną parą, bo mogłabym się skusić i zaraz wyjść tymi drzwiami.

Napięcie migotało wokół niej jak aura. Zrobił krok do przodu.

– Co się stało?

– Nic.

– Nie wciskaj kitu. Wiem, że coś się stało. Co takiego?

– Spokojnie Rafe. Miałam krótką, aczkolwiek niezwykle obfitującą w informacje, pogawędkę z twoim kuzynem, to wszystko.

Nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Nie.

– Nie?

– Selby by się nie ośmielił. – Ale z jej oczu mógł wyczytać, że jednak się ośmielił. – Sukinsyn. Co ci powiedział?

– Poza wieloma innymi rzeczami, że wątpi, iż jesteśmy skojarzeni z wysokim prawdopodobieństwem. W gruncie rzeczy nie jest nawet pewien, czy zostaliśmy oficjalnie skojarzeni przez agencję. A tak, jeszcze przestrzegał mnie przed zaryzykowaniem małżeństwa z talentem strategicznym. A potem próbował mnie przekupić.

Rafe był zdumiony siłą i intensywnością własnego gniewu.

– Łajdak. – Nie uświadomił sobie, że stracił kontrolę nad talentem, dopóki nie poczuł znajomego uczucia lekkiej dezorientacji, któ-

re pojawiało się, kiedy inicjował poszukiwanie pryzmatu. Jego zmysły pracowały na pełnych obrotach.

– Uspokój się Rafe. – Orchidea uważnie go obserwowała. Nie zaoferowała mu pryzmatu.

Rafe poczuł zażenowany, jak gorąca fala wypływa na jego policzki. Natychmiast ograniczył swoją rozszalałą energię psychiczną. Dopóki Orchidea nie wkroczyła w jego życie nigdy nie miał takich problemów. Zawsze w pełni kontrolował siebie i swój talent.

– Porozmawiam z Selbym – obiecał. – Nie będzie cię więcej niepokoił.

– Właściwie, to mnie nie niepokoił. Jednak bardzo mnie zaciękał. Najwyraźniej jest tak zdeterminowany, żeby zniszczyć firmę Stonebraker jak ty, żeby ją uratować. – Wyciągnęła ręce i oparła się o stół. – Może powiesz mi, co właściwie stało się z jego ojcem, gdy Selby był dzieckiem.

Rafe chwycił krawędź drzwi.

– Opowiedział ci tę starą bajkę o tym, jak mój dziadek jest odpowiedzialny za śmierć jego ojca?

– Nie chciał mi opowiedzieć całej historii. Tylko tyle, żeby, jak to powiedzieć, wzbudzić moje zainteresowanie.

Rafe poczuł, jakby podłoga usuwała mu się spod nóg.

– Nie uwierzyłaś mu, prawda?

– Nie wiem, w co mam wierzyć. Dlatego ciebie pytam jaka jest prawda?

Rafe obserwował ją.

– Mówisz poważnie, prawda?

– Zakładam, że jest jakieś logiczne wyjaśnienie całej tej sprawy. Chciałabym je usłyszeć.

Zamarł.

– To sprawa rodzinna.

Posłała mu niewesoły uśmiech.

– Tak, oczywiście. Zawsze tak jest, prawda? A ja nie jestem rodziną.

– To nie o to chodzi – przerwał na chwilę. – W porządku, o to chodzi.

– Jeżeli chcesz mojej pomocy przy tej rodzinnej sprawie, to lepiej opowiedz mi całą historię.

Zawahał się, po czym podjął wiążącą decyzję.

– Sam nie znam całej historii. Mój dziadek nigdy o tym nie mówi.

Ale kilka lat temu zaciekało mnie to, więc poczyniłem pewne poszukiwania.

– Czego się dowiedziałeś?

Rafe przeciągnął ręką po włosach, odwrócił się i wszedł do biblioteki. Słyszał za sobą kroki Orchidei. Kiedy się zatrzymał i zerknął za siebie zobaczył, że przygląda mu się z bliska. Z bardzo bliska. Zdał sobie sprawę, że ona nie ma powodów, by ufać mu w tej sprawie, czy w jakiegokolwiek innej. Zaskoczyło go, jak bardzo ta wiedza go zaniepokoiła.

Przypomniawszy samemu sobie, że nie miał prawa do jej lojalności. W jej mniemaniu był tylko partnerem w interesach i tymczasowym kochankiem.

Zmartwiony tą myślą zapadł się w głębokim fotelu przed wygasłym paleniskiem.

– Ojciec Selby'ego nazywał się Perry Culverthorpe. Culverthorpeowie są kuzynostwem ze strony mojej babki.

– Zdażyłam się już zorientować. – Orchidea zajęła miejsce naprzeciw niego. – Mów dalej.

– Był czas kiedy Culverthorpeowie byli znacznie potężniejsi niż Stonebrakerowie. Ale sytuacja się zmieniła. Perry Culverthorpe nigdy tak naprawdę nie pogodził się z odwróceniem się koła fortuny, które zapewniło Stonebrakerom bardziej prominentną rolę w branży transportowo-przewozowej Nowego Seattle. Uważał, że został w jakiś sposób oszukany, pozbawiony prawowitego dziedzictwa.

– Co się wydarzyło?

Rafe podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Mój dziadek postawił go na czele oddziału w Nowym Vancouver. Były jakieś problemy. Odnotowano serię kradzieży. Stało się jasne, że ktoś ominął zabezpieczenia z galaretowatego lodu na kontenerach z ładunkiem. Jediną osobą, która znała kod był Perry Culverthorpe.

– Czy twój dziadek oskarżył go o kradzież cennego ładunku?

– Niezupełnie. Z tego co zdołałem odkryć Alfred G. pojechał do Nowego Vancouver, żeby dowiedzieć się, co u diabła się dzieje. Perry był wściekły. Poczł się upokorzony brakiem zaufania ze strony dziadka. On i Alfred G. poważnie się pokłócili. Alfred G. odwołał Perry'ego z funkcji szefa biura w Nowym Vancouver.

– Perry musiał być wściekły.

– Tak. Próbując udowodnić swoją niewinność zastawił pułapkę na złodziei. Zdołał ich zaskoczyć, ale w trakcie akcji zginął.

– To okropne.

– Kiedy było po wszystkim prawdziwi złodzieje zostali złapani, ale żona Perry'ego nigdy nie wybaczyła dziadkowi. Winiła go za śmierć męża.

– I nauczyła Selby'ego tego samego.

Rafe wzruszył ramionami.

– Nauczyła go obwiniać wszystkich mężczyzn z naszej strony rodziny. Ciotka Elizabeth była bardzo chora przez długi okres czasu. To wpłynęło na jej stan umysłu. Zanim zmarła przekonała samą siebie, że gdyby Perry żył, to on zająłby miejsce mojego dziadka za sterami Stonebraker Shipping, a Selby w końcu podążyłby śladami ojca. Selby dorastał wierząc w to wszystko.

– Rozumiem.

Nastała cisza. Rafe wsłuchiwał się w nią obserwując grę emocji na twarzy Orchidei. Nie powinno mieć aż takiego znaczenia, czy mu uwierzyła, czy nie.

Ale miało.

– Jakie to smutne – powiedziała w końcu Orchidea.

Rafe odprężył się lekko.

– Z punktu widzenia Selby'ego może to jest smutne. Z mojego punktu widzenia, to prawdziwy wrzód na dupie.

Zadziwiła go uśmiechając się.

– Rafe, urodziłeś się po to, by radzić sobie z wrzodami na dupie. Tak po prawdzie to założę się, że jesteś potwornie znudzony pomiędzy kolejnymi wrzodami. Co robisz, by rozerwać się, kiedy nie ma żadnego wrzodu na dupie, który dostarczyłby ci zajęcia?

– Ostatnimi czasy eksperymentuję mając romans z pewnym lodowym pryzmatem.

Posłała mu niedowierzające spojrzenie.

– Mówimy o wrzodach na dupie.

– Zaletą jest to, że nigdy się nie nudzę.

– To brzmi trochę, jak umawianie się z talentem strategicznym.

Co udało ci się dziać dziś w domu?

Nastrój Rafe'a poprawił się tak szybko, że nie zastanowił się, zanim powiedział.

– Wydaje mi się, że znalazłem drużynę talent-pryzmat, która próbowała wczoraj zabić twojego przyjaciela Lamberta.

Jej oczy rozszerzyły się. – Naprawdę?

– Tak. – Rafe poczuł zdegustowanie na myśl, jak bardzo cieszy go

jawny podziw w jej oczach.

– To fantastycznie – Orchidea zerwała się z krzesła. – Naprawdę jesteś dobry w te klocki. Powiedz mi wszystko.

Stęknął, gdy jej miękki ciężar usadowił się na jego udach. Niezwykle przyjemnie wypełniała mu kolana, ale jej entuzjazm ostrzegwał go, że być może popełnił poważny błąd. Zamierzał sam zająć się talentem iluzjonistycznym i jego współnikiem pryzmatem. Teraz, jak podejrzewał sprawy trochę się skomplikują.

– Whistler dzwonił kilka minut temu. Mówił, że jest para facetów pracujących w klubie na Placów Ojców Założycieli, którzy mogą być tymi, których szukamy. Ja, uch..., pomyślałem, że może pójde tam dziś wieczorem i popatrzę na ich występ. Sprawdzę, czy to oni.

– Świetny pomysł. Kiedy wychodzimy?

– Nie my – powiedział z rozmysłem. – Ja.

– Będiesz mnie potrzebował – stwierdziła z nutką samozadowolenia. Potem zmarszczyła brwi, jakby uderzyła ją jakaś myśl. – Widzieliśmy tych facetów tylko w narciarskich czapkach na twarzy. Jak rozpoznamy ich na scenie?

– To nie będzie problemem – powiedział Rafe. – Jestem talentem strategicznym, pamiętasz? Rozpoznam ich.

Kasyno Lodowego Ryzyka usytuowane było w jednej z najciemniejszych uliczek Placu Ojców Założycieli. W normalną noc Rafe miałby poważne obawy przed eskortowaniem damy w tą część miasta. Ale tego wieczoru uroczystości z okazji Dnia Ojców Założycieli ogarnęły cały plac. Labirynt podejrzanych uliczek i mrocznych alejek był wyjątkowo zatłoczony, pełen głośnych, wrzaskliwych zabawowiczy. Uliczny zespół grał na rogu czarnego lodowego rocka. Więcej muzyki wylewało się przez otwarte drzwi pobliskiego klubu seks-synergistycznego. Grupki osób przebranych w kostiumy z okresu pierwszego pokolenia tłoczyły się na ulicy, torując sobie drogę od jednego do drugiego baru.

Prowadząc Orchideę przez kłębiące się tłumy automatycznie oceniał wygląd otaczających ich ludzi. Zupełnie nieświadomie upewniał się, czy on i Orchidea wtapiają się w otoczenie. Związany z talentem strategicznym instynkt opowiadał się za kamuflażem i cieniem. Ani on, ani Orchidea nie nosili ręcznie tkanych kolonialnych kostiumów, jak wielu spośród uczestników zabawy, ale Rafe był usatysfakcjonowany, że przynajmniej nie wyróżnia się w tłumie. W swojej czarnej

marynarce, czarnej, rozpiętej na piersi koszuli i czarnych spodniach mógł wtopić się w cień każdej dogodnej uliczki w kilka sekund. Mniej był zadowolony z wyglądu Orchidei. Teoretycznie nie powinna rzucać się w oczy tak samo jak on w swoich jeansach, czarnym podkoszulku i zmiętym swetrze. Ale wiedział, że on nie mógłby przegapić jej w tłumie, czy uliczce i martwił się, czy inni też nie.

Zatrzymał Orchideę przed wejściem do kasyna i przyglądał się plakatowi reklamującemu magiczny występ Pana Zadziwiającego. Było to kolorowe zdjęcie mężczyzny o zbyt wymuskanym wyglądzie modela. Był ubrany w obcisły niebieski, mieniący się kostium oraz pelerynę podszytą czerwoną satyną.

Włosy magika opadały w falach do jego ramion. Rafe pomyślał, że prawdopodobnie poszedł do drogiego salonu fryzjerskiego. Nie było szans, żeby ten szczególny odcień blondu był naturalnym kolorem włosów u mężczyzny.

– Hmmm – Orchidea przyjrzała się bliżej centralnej części nadnaturalnej wielkości zdjęcia. – Pan Zadziwiający jest całkiem zadziwiający.

Rafe uświadomił sobie, że jej uwagę przyciągnęło duże wybrzuszenie świetnie widoczne przez przylegające do ciała jak druga skóra spodnie.

– Nie zapominaj, że nazywany jest Mistrzem Iluzji.

– Masz na myśli to, że nie mogę wierzyć we wszystko, co widzę? – spytała niewinnie.

Rafe postanowił zignorować rozbawienie w jej oczach.

– Bądź łaskawa sobie przypomnieć, że jesteśmy tu w interesach. Chcę, żebyś dała mi słowo honoru, że zrobisz dokładnie to, co ci powiem.

– Jasne.

Ta zbyt gładka odpowiedź zmartwiła go.

– Mamy umowę pamiętasz? – powiedział otwierając oszklone drzwi prowadzące do kasyna.

– Ciiicho, uspokój się, dobrze? Obiecałam ci już trzy razy, że dam ci dziś poprowadzić – rzuciła mu ukradkowe spojrzenie. – Co się z tobą dzieje? Słyszę zdenerwowanie w twoim głosie.

– Nie jestem zdenerwowany. – Rafe tłumaczył sobie, że wrażenie, którego aktualnie doświadczał było zaledwie, w pełni usprawiedliwionym, poczuciem rozwagi.

Nie było żadnego powodu, by spodziewać się dziś wieczorem jakiś

kłopotów. To była tak naprawdę zwykła misja rozpoznawcza. Została tu tylko na tyle długo, aby zdołał zidentyfikować talent iluzjonistyczny i przyzmat, w czasie, gdy obaj są bezpiecznie zajęci występem na scenie. Rafe prowadził Orchideę w tłum, który paraliżował ruch w pomieszczeniach z grami hazardowymi. Sztucznie radosne brzęczenie i dzwonienie automatów do gier mieszało się z rozlegającym się dudnieniem muzyki.

Kiedy dotarli do wejścia na zaniedbaną salę pokazową Rafe zapłacił bileterowi sowicie, aby upewnić się, że on i Orchidea dostaną miejsca odpowiednio blisko sceny, ale nie w przednim rzędzie. Zdecydował, że ciemność spowijająca pomieszczenie, jak również fakt, że magicy będą pracować na scenie za światłami zwróconymi w ich stronę powinny zapewnić im odpowiednią kryjówkę.

– Czy sądzisz, że to będzie jeden z tych pokazów magicznych, gdzie magicy wybierają kogoś z publiczności, żeby im asystował? – wyszeptała Orchidea.

– Zrób mi przysługę. Nie zgłaszaj się do niczego. Sprawy mogłyby przybrać trochę dziwny obrót, jeżeli talent iluzjonistyczny wybierze cię spośród publiczności, uświadomi sobie, kim jesteś i sprawi, że znikniesz.

Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

– Szukałbyś mnie?

– Tak. Ale nie byłabyś zadowolona widząc mnie po tym, jak już cię znajdę. Nie byłbym w najlepszym nastroju.

Sala pokazów wypełniała się szybko. Kiedy Rafe zajął miejsce na fotelu obok Orchidei czuł płynące przez nią podniecenie. Był trochę rozdrażniony wyczuwając echo tego samego podniecenia u siebie.

Orchidea przysunęła się bliżej, żeby wyszeptać mu do ucha: – Teraz rozumiem dlaczego talent iluzjonistyczny i jego koleżka chwytają się dodatkowej pracy. Sądząc po wyglądzie tego miejsca, to nie zarabiają kokosów w tym biznesie.

Rafe przez krótką chwilę lustrował teatr wzrokiem. Strumienie światła z galaretowatego lodu skierowane były nisko z powodów innych niż stworzenie atmosfery. Mrok pozwalał ukryć wytarte kurtyny i zamaskować blaknącą farbę na ścianach. Cienkie aksamitne obicia na siedzeniach były pełne plam powstałych przez kilka lat rozlewania napojów. Nie potrzebował swoich paranormalnie wyostrzonych zmysłów, żeby wyczuć ukryty odór zwiędzłego piwa, taniego zielonego wina i unikalną aurę szaleńczej desperacji, która są-

czyła się znad pomieszczeń, gdzie uprawiano hazard.

Wszystkie lampy gasły, aż zrobiło się ciemno. Plama światła pojawiła się w centrum czerwono-złotej kurtyny. Pełen oczekiwania szmer przetoczył się przez publiczność. Mały zespół zaintonował zwawą melodię otwierającą show.

Mężczyzna ubrany w skrzący się smoking przybiegł truchtem od strony wejścia umieszczonego po lewej stronie sceny.

– Życzę wszystkim Szczęśliwego Dnia Ojców założycieli! – krzyczał konferansjer do małego tłumu. – Kasyno Lodowate Ryzyko z dumą prezentuje naszego mistrza iluzji Pana Zadziwiającego z jego specjalnym, wielkim widowiskiem z okazji Dania Ojców Założycieli. Panie i Panowie, przygotujcie się na to, że zostanieie... zadziwieni!

Światło zgasło. Kiedy zaświeciło ponownie kilka sekund później ukazało Pana Zadziwiającego w całej jego roziskrzanej okazałości. Jego długie włosy spływały kaskadami w grubych falach sięgając wysokiego kołnierza błyszczącej czerwonej peleryny.

Rafe pochylił się i oparł ręce na udach. Odpowiedni wzrost, odpowiednia budowa. Nawet poruszał się we właściwy sposób.

– Rafe? Czy możesz stwierdzić, że to on?

Nie popatrzył na nią. Był zbyt skupiony na obserwowaniu swojej ofiary.

– Muszę być pewny. Więż.

Wysłał niewielką sondę energii psychicznej. Jego zmysły strategiczne zadygotały. Poczul znajomą falę krótkiej dezorientacji, która zawsze towarzyszyła inicjowaniu więzi. Orchidea nie odezwała się, ale na płaszczyźnie psychicznej pojawił się bardzo specjalny pryzmat. Kryształowo przejrzysty.

Potężny. Unikatowy. Stworzony specjalnie dla niego.

Z intensywnym uczuciem satysfakcji, któremu dorównywało jedynie uczucie, jakie towarzyszyło kochaniu się z Orchideą, posłał moc przez pryzmat.

Energia psychiczna wyostrzyła wszystkie jego zmysły. Jakość atmosfery wokół niego zmieniła się. Nagle mógł widzieć na wiele sposobów, których nie potrafił wyjaśnić, sposobów, które wydawały mu się zupełnie naturalne.

Sposobów, którymi nigdy nie mógł delektować się dłużej niż przez kilka sekund, zanim nie spotkał Orchidei.

Zaciemniona sala pokazowa zyskała niezliczenie wiele wymiarów. Obiekty, które były do tej pory jedynie cieniami w mrocznej chmurze

teraz mogły być z łatwością odróżniane, nie tylko poprzez wzrok, ale również dzięki innym, trudnym do opisanego sposobom. Zapachy wyostrzyły się i oddzieliły, ujawniając subtelne niuanse. Perfumy, których używała kobieta w następnym rzędzie sprawiły, że Rafe zmarszczył nos. Odwrócił go w inną stronę. Przez cały ten czas był niezwykle intensywnie świadomy bliskości Orchidei. Było tak dobrze mieć ją u boku, nie tylko dlatego, że nawiązali tymczasową więź na płaszczyźnie psychicznej, ale dlatego...

Że tak było dobrze.

Rafe zmusił się, aby zepchnąć na drugi plan świadomość obecności Orchidei i wszystkie inne wrażenia z tym związane. Skoncentrował się na swojej zdobyczy.

Na scenie Pan Zadziwiający uniósł ręce w rękawiczkach w dramatycznym geście, szybko je opuścił i nagle na scenie za nim zmaterializowała się kurtyna z czegoś, co wyglądało jak szeleszczące wstęgi energii. Drżała mocno na niewidzialnym wietrze. W ciemności pstrykały iskry.

– Panie i Panowie – ogłosił Pan Zadziwiający głębkim głosem dodatkowo wzmocnionym przez mikrofon. – Daję wam Kurtynę, taką jaką musiała ukazać się naszym szlachetnym Ojcom Założycielom, na krótko przed tym, zanim zamknie się na zawsze!

Na wpeł wstawiona publiczność była pod odpowiednim wrażeniem. Ochy i achy rozchodziły się pomiędzy rzędami siedzeń.

Rafe słuchał głosu Pana Zadziwiającego swoim paranormalnie wrażliwym zmysłem słuchu. Przefiltrował zniekształcenia będące wynikiem użycia mikrofonu. Ten sam głos. Był tego pewny.

– A teraz – zaintonował Pan Zadziwiający – zobaczymy, co ukaże nam Kurtyna!

Magik poruszył rękami w dramatycznym geście. Kobieta z długimi zielonymi włosami wyłoniła się z kurtyny. Miała na sobie jedynie srebrne figi i pasujący do kompletu stanik z półprzezroczystej, srebrnej siateczki. Publiczność została potraktowana widokiem pary ogromnych piersi zwieńczonych pomalowanymi sutkami.

– A wspominając o iluzji – wymamrotała Orchidea.

Rafe zignorował komentarz. Piersi kobiety nie interesowały go. Jediną rzeczą, która się liczyła była jego zdobycz. Przeszukiwał głębokie morze zapachów, które go otaczały, szukając tego jednego znajomego.

W świecie para-wyostrzonej świadomości zapach był najpewniej-

szym ze wszystkich bodźców, łatwo rozpoznawalnym, praktycznie niemożliwym do ukrycia. Magik zaczął się już pocić w scenicznym oświetlaniu.

Sekundę później Rafe złapał charakterystyczny ślad talentu iluzjonistycznego. Talentu, który był uderzająco podobny do tego, z którym walczył tamtej nocy na zewnątrz domu Willisa. To musiał być ten sam mężczyzna, który uwięził Orchideę i Morgana Lamberta w kuchni za pomocą iluzji pożaru.

To był wróg.

Zapał płynął przez Rafe'a. Ogarnęło go głębokie pragnienie pościgu.

Rozpoznał ten odruch i szybko go w sobie zdusił. Prawdopodobnie nie było najlepszym pomysłem wskoczenie na scenę i wbicie w podłogę Pana Zadziwiającego tuż przed nosem Orchidei i resztą tłumu. Trochę zbyt prymitywne.

– Rafe?

Wyczuł aureę nagłego niepokoju otaczającą Orchideę i wiedział, że wyczuła jakiś zmysł jego elementarnego pragnienia powalenia ofiary. Miał nadzieję, że nie będzie mu miała tego za złe. Gdy chodziło o naturę jego psychicznego talentu była bardziej wyrozumiała niż ktokolwiek inny, kogo kiedykolwiek spotkał.

Niemniej jednak był prawie pewien, że nie patrzyłaby przychylnym okiem, jak on zabawia się uczestnicząc w radosnej awanturze.

– To on – wymamrotał, czując się w pewien sposób w defensywie.

– Jesteś pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien.

– Nie musisz na mnie warczeć.

– Nie warczałem na ciebie.

– Owszem, warczałeś.

Zanim Rafe mógł pomyśleć o odpowiedniej ripocie kolejny asystent wszedł na scenę. Tym razem mężczyzna. Był trochę niższy i nie tak solidnie zbudowany, jak Pan Zadziwiający. Jego rysy twarzy były szczupłe i ostre. Nosił swoje ciemne, kręcone włosy krótko przycięte, a jego kostium przypominał czarny formalny strój wieczorowy.

Rafe skoncentrował się na nim przez chwilę. Wydał westchnienie oczekiwania, kiedy wyczuł charakterystyczny ślad znajomego zapachu.

– Pryzmat – powiedział bardzo miękko.

Muzyka nasilała się, w czasie gdy asystent pokazywał walizkę

noży do rzucania. Pani w przezroczystym biustonoszu przyjęła wdzięczną pozę na tle kolorowej tarczy. Pan Zadziwiający wybrał nóż i rzucił go z dużą pewnością siebie. Ostrze wbiło się w tarczę blisko jej głowy. Publiczność wydała stłumiony okrzyk. Dziewczyna uśmiechnęła się. Pan zadziwiający wybrał kolejny nóż.

Rafe przerwał więź.

– Co teraz robimy? – wyszeptała Orchidea.

– Wychodzimy.

Pod przykrywką wybuchu aplauzu Rafe sięgnął po jej rękę i wstał.

Poprowadził Orchideę przejściem między rzędami aż do osłoniętego kotarą wejścia na salę, gdzie odbywał się pokaz.

Wstąpili w szaleńczą aktywność części hazardowej.

– Będziemy śledzić Pana Zadziwiającego po tym, jak skończy pokaz, prawda? – spytała Orchidea.

Rafe uśmiechnął się słysząc entuzjazm w jej głosie. Nie była talentem strategicznym, ale z pewnością sama miała pewne prymitywne zapędy.

– Przeszło mi to przez myśl.

– Więc co robimy?

– To zależy. – Rafe ciągnął ją przez chmurę rozochoconych hazardzistów w kierunku frontowych drzwi kasyna. – Wejście do garderoby jest od strony alejki. Możemy mieć na nie oko na zewnątrz.

Ulica od frontu Kasyna Lodowatego Ryzyka była nawet bardziej zatłoczona niż wcześniej. Kilka samochodów, którym udało się w nią wjechać utknęło wśród milionów świętujących. Nikt się tym nie przejmował.

Poziom decybeli wzrastał. Kolejny uliczny zespół dołączył do rockowej grupy na rogu. Rafe słyszał jak Orchidea gniecie stopą porzucaną piszczałkę.

W nocnym powietrzu powiewały serpentyny. Znalazł miejsce niedaleko drzwi, które oferowało schronienie przed rozpychającym się tłumem i dobry widok na wejście od strony alejki. Uliczny sprzedawca przebrany w kostium Ojców Założycieli trzymał wielką papierową torbę.

– Prażona orzecho–kukurydza. Kupujcie póki jest dobra i ciepła.

– Brzmi nieźle – Orchidea poszukała w portmonetce, znalazła jakieś drobne i podała je handlarzowi.

Przyjęła wypełnioną po brzegi torbę, nabrała pełną garść prażonej

orzecho-kukurydzy i zaoferowała smakołyk Rafe'owi. Wziął garść solonej orzecho-kukurydzy i włożył ją do ust. Pomyślał, że używanie talentu przez dłuższy czas wyostrzyło wszystkie jego apetyty.

– Uwielbiam Dzień Ojców Założycieli. – Orchidea śledziła rozradowany tłum nurkując w torbie po więcej orzecho-kukurydzy. – Wiem, że jesteśmy tu w poważnej, biznesowej sprawie, ale to właściwie przeradza się w naprawdę rozrywkowy wieczór. Wiesz jak zapewnić dziewczynie dobrą zabawę Panie Stonebraker.

– Cieszy mnie, że się dobrze bawisz.

– Czy zrzucisz swoje małe hobby prowadzenia śledztw, kiedy przejmiesz kontrolę nad rodzinną firmą?

Pytanie sprawiło, że znieruchomiał.

– Będąc szczerym, to jeszcze o tym nie myślałem.

– Prawdopodobnie nie będziesz miał czasu na tego rodzaju rzeczy, kiedy zaczniesz prowadzić duże przedsiębiorstwo, takie jak Stonebraker – zauważyła Orchidea tonem pogawędki. – Ale myślę, że może ja zaczęę się specjalizować.

– Słucham?

– Podoba mi się ta praca – wyjaśniła. – Muszą być jacyś inni prywatni detektywi, może nawet mający licencję, którzy potrzebują usług lodowego pryzmatu. Myślę, że powiem Clementine, że chcę ograniczyć moje zlecenia do pracy z nimi.

Rafe'owi ścisnęły się wnętrzności.

– Zamierzasz pracować z innymi prywatnymi detektywami?

– Dlaczego by nie? Clementine chce, żebyśmy myśleli ekskluzywnie. Co może być bardziej ekskluzywne niż lodowy pryzmat z pełnym widmem, który pomaga prowadzić dyskretne prywatne śledztwa?

Myśl o Orchidei pracującej w niebezpiecznych okolicznościach z innym talentem przyprawiła go o dreszcz. Miał nagłą, jasną wizję jak stoi na rogu ulicy w ciepły, letni wieczór chrupiąc prażoną orzecho-kukurydzą z innym facetem, podczas gdy obserwują obiekt ich zainteresowania. Wstrząsnęło nim gwałtowne uczucie protestu.

Była jego. Zostali dla siebie stworzeni. Czy ona tego nie rozumiała?

– Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł – zdobył się na rozsądny, w swoim przekonaniu, ton.

Uniosła brwi biorąc kolejną garść orzecho-kukurydzy.

– Dlaczego nie?

– Uch, bo tak naprawdę nie masz żadnego doświadczenia w pracy

detektywa.

– Pewnie, że mam, dzięki tobie – wzruszyła ramionami. – I zdobęde go więcej z upływem czasu.

– Orchideo, to nie jest ten rodzaj pracy, który można wykonywać regularnie.

– To ty nazywasz ją hobby – schrupała orzecho–kukurydzę. – A nawiasem mówiąc, to jak zaczynałeś?

– Oddałem przysługę przyjacielowi krótko po powrocie z Wysp Zachodnich. Znalazłem coś, co zaginęło, coś bardzo cennego. Kilka tygodni później jeden z jego znajomych zadzwonił do mnie. Poprosił mnie o znalezienie czegoś innego. Jedna rzecz prowadziła do kolejnej.

– Brzmi całkiem zwyczajnie. Żadnego treningu, stażu u prywatnego detektywa, żadnej licencji. Bierzesz tylko sprawy z polecenia. Bierzesz tylko sprawy, które cię interesują. Pracujesz tylko dla ludzi, którzy z tego, czy innego powodu, nie mogą iść na policję.

– Do diabła, Orchideo, jeżeli myślisz, że możesz beztrudnie pracować jako przyzmat prowadzący prywatne śledztwa.... – zamilkł, łapiąc widok cienia wylaniającego się z alejki. – Jest.

– Pan Zadziwiający? – Odwróciła się, by popatrzeć na wejście do alejki. – Nie widzę go.

– Nie Pan Zadziwiający. Jego przyzmat. Ale on też się nada. – Rafe wziął od Orchidei do połowy opróżnioną torbę z prażoną orzecho–kukurydzą i wrzucił ją do najbliższego śmietnika. – W zasadzie im więcej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się myśl zaczęcia od niego.

– Dlaczego?

Rafe uśmiechnął się biorąc ją za rękę i ciągnąc w stronę tłumy.

– Bo on jest słabszy z nich dwóch. Łatwa zdobycz.

– Myślisz, że idzie do swojego samochodu? – spytała Orchidea.

– Wątpię. – Rafe nie spuszczał wzroku z mężczyzny o kręconych włosach. – Zachowuje się, jakby był spóźniony na spotkanie.

Było coś nerwowego i pospiesznego w ruchach przyzmatu. Nie oglądał się jednak za siebie, więc czegokolwiek się spodziewał czekało przed nim, nie za nim.

Rafe z łatwością podążał w tłumie za swoją ofiarą. Przyzmat był jedyną osobą, która szła z determinacją prosto chodnikiem. Wszyscy inni przechadzali się, spacerowali lub tańczyli. Rafe i Orchidea śledzili przyzmat z bezpiecznej odległości. Półtorej przecznicy dalej minęli ostatnią na ulicy tawernę. Tłum szybko się przerzedzał. Rafe zwol-

nił tempo kroków. Pryzmat nie oglądał się jeszcze przez ramię, ale gdyby nagle zdecydował się to zrobić teraz, kiedy wokół było znacznie mniej osób, to mógłby przypadkiem zauważyć swój ogon.

W połowie następnej przecznicy asystent magika zmniejszył tempo. Rafe miał wrażenie, że jakikolwiek był cel tego spotkania, pryzmat nie był zadowolony, że musi się na nie stawić. Coś było nie tak. Nerwowość jaką Rafe wyczuwał w swojej ofierze wzrastała. Wyglądał na bardzo wzburzonego. Była jakaś sztywność i napięcie w pozie jego ramion. Jego kroki stały się niemal nerwowe. Zaczął pośpiesznie grzebać w płaszczu w poszukiwaniu czegoś. Noża?

Rosnącą ciekawość Rafe'a powściągnęła nagle ostrożność.

– Więź! – zarządził miękko.

– Co się dzieje? – nawet zadając pytanie Orchidea już tworzyła pryzmat.

– Nie wiem. – Posłał moc przez kryształowy pryzmat. – Po prostu chce mieć wszystkie informacje, które mogę dostać.

Noc wokół niego zmieniła się. Jego zmysły tętniły świadomością. Porządkował nowe rodzaje dźwięków, zapachów i widoków. Dotarła do niego mieszanka potu, niezdrowego, napędzanego adrenaliną podniecenia i ślad niepokoju, rozpoznał też trudny do opisania zapach rządu krwi.

Rafe pomyślał, że nie pochodzi on od pryzmatu. Od kogoś innego.

W ciemności leżącej przed nimi ulicy czaił się drapieżnik. Zobaczył, że jego zdobycz porusza się teraz wolniej, niż jeszcze chwilę temu. Ale pryzmat nadal szedł do przodu.

Rafe uświadomił sobie, że mężczyzna z kręconymi włosami zamierza skrócić w ulicę, w której czeka łowca.

– O cholera – Rafe puścił dłoń Orchidei. Pchnął ją w cień mrocznego wejścia do budynku. – Zostań tutaj. Nie idź za mną.

– Co się stało? Co zamierzasz zrobić? – wyszeptała.

– Po prostu ogniskuj dla mnie. Cokolwiek będziesz robić, nie zrywaj więzi.

Rzucił się wielkimi susami do milczącej pogoni. Jego paranormalnie wyostrzone zmysły podpowiadały mu, że ma tylko sekundy, aby dopaść swoją ofiarę.

Pryzmat był jego zdobyczą, do cholery. Nie odda jej innemu myśliwemu, który czaił się w cieniu.

Rozdział 14

Czas uciekał w mgnieniu oka. Rafe rzucił się na pryzmat, gdy ten dotarł do rogu i puścił się biegiem uliczką, na końcu której czekał drapieżnik.

Najwyraźniej w ostatniej chwili mężczyzna z kręconymi włosami wyczuł zbliżającego się Rafe'a i odsunął się, jego twarz zastygła w maskę strachu. Uniósł jedną rękę w obronnym geście jednocześnie szarpiąc się, aby drugą wydobyć coś spod marynarki.

– Dobry Boże, nie. Nie...

Krzyk pryzmatu nagle umilkł, kiedy Rafe zderzył się z nim. Impakt uderzenia posłał obu mężczyzn na chodnik. Z rogu ulicy wynurzyła się czyjaś sylwetka. Rafe nie potrzebował nikłego światła ulicznych latarni, czy swoich paranormalnych zmysłów, żeby dostrzec pistolet w jego dłoni.

Gdy broń wypaliła zabłysł srebrzysty płomień. Kula wbiła się w ceglana ścianę ponad głową Rafe'a. Przewrócił się i pociągnął zdumiony pryzmat dalej, by ukryć się w drzwiach.

Rafe uwolnił pryzmat, zerwał się na nogi i sięgnął w dół, by wydobyć mały pistolet z kabury przy kostce u nogi. Jednym ruchem wyciągnął broń i wystrzelił.

Ale drapieżnik, który czekał na pryzmat, albo stracił nerwy, albo doszedł do wniosku, że nie podobają mu się nowe warunki. Przygotował się najwyraźniej na zastrzelenie z zimną krwią jednego człowieka. Nie był przygotowany, aby poradzić sobie z dwoma, z których jeden również był uzbrojony w pistolet.

Obrócił się i uciekł w stronę ciemnej bocznej ulicy. Rafe smakował strach drugiego mężczyzny. Uczucie to zastąpiło rządę krwi.

– Rafe?! – krzyczała Orchidea od strony drzwi. – Nic ci nie jest?!

– Zostań, tam gdzie jesteś! – odkrzyknął. Pomyślał, że musi wiedzieć, że jest w zupełnie dobrej kondycji. Dalej byli ściśle połączeni na płaszczyźnie psychicznej.

Chociaż raz posłuchała polecenia. Czekał jeszcze kilka sekund, słuchając oddalających się kroków mężczyzny z bronią.

– W porządku! – zawołał. – Teraz możesz wyjść.

Kiedy usłyszał, że rusza w jego kierunku, zerwał połączenie. Nocny świat jakby przygasł, zmienił się i powrócił do normy. Rafe zaczął być świadomy trzęsącego się mężczyzny, którego przygwoździł do ściany jedną ręką.

– Jak się nazywasz? – spytał bardzo miękko.

– Puść mnie.

– Jak się nazywasz?

– Uch. Crowder. Phil Crowder. Słuchaj, nie wiem kim jesteś, Panie....

– Pewnie, że wiesz. Spotkaliśmy się tamtej nocy przed domem Theo Willisa.

– Nie – mężczyzna oblizał wargi. – To nie byłem ja.

– Owszem, to byłeś ty. Nigdy nie zapomnę... – Rafe przerwał zanim powiedział zapachu. – Zapomnij. Jesteś przyzmatem. Pan Zdziwiający jest talentem iluzjonistycznym, który był z tobą tamtej nocy. To nie było pytanie.

Orchidea podeszła, by zatrzymać w niewielkiej odległości od nich.

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest Rafe?

– Tak – nie popatrzył na nią. – Ale nasz przyjaciel tutaj, nie czuje się najlepiej. Ktoś właśnie próbował go zabić. Kto to był Crowder?

– Nie wiem.

Rafe przyparł go mocniej do ściany.

– Spróbuj jeszcze raz.

– Przysięgam. Nie wiem. Miałem się tu spotkać z moim bukmacherem. Jestem mu winien trochę forsy. Zaszalałem trochę przy stole. Ale to nie był on. To był ktoś inny.

– Może ktoś, kogo przysłał bukmacher?

– Cholera, nie. Murphy nie przysłałby nikogo, żeby mnie zabić. Nie jestem aż tak do tyłu z płatnościami.

– Więc kto to był?

– Mówię ci, że nie wiem.

Rafe skoncentrował się mocno przez sekundę. Potrzebował tylko krótkiego przeblysku talentu strategicznego, aby upewnić się, że mężczyzna nie kłamie.

– Masz jakieś pomysły?

– Nie.

– Ja mam – powiedział bardzo delikatnie Rafe. – Myślę, że może ten, który was zatrudnił do pilnowania domu Theo Willisa i pozbycia się Morgana Lamberta zdecydował, że staliście się dla niego ciężarem. Przyszedł tu dziś wieczorem, żeby się was pozbyć.

– O Chryste! – w głosie Crowdera pobrzmiwał strach i znużenie porażką. – Nigdy nie chciałem tej roboty. Ale bardzo potrzebowałem pieniędzy. Dla bukmachera, rozumiecie? Groził, że pośle za mną

swoich koleżków. Cholera, wiedziałem, że będą z tego jakieś kłopoty. Wiedziałem o tym od samego początku.

– Opowiedz mi o tym. – Rafe czuł, że Orchidea obserwuje, jak przepytuje Crowdera. Jej napięcie było namacalne. Przypomniawszy sobie, że musi być ostrożny. Nie chciał zrobić niczego zbyt prymitywnego na jej oczach. – Zaczynaj od tego, kto cię zatrudnił.

– Jink mnie zatrudnił. To wszystko co wiem, słowo daję.

– Jink?

– Pan Zdziwiający. Nie wiem jak brzmi reszta jego prawdziwego imienia. Poza sceną mówią do niego Jink. Jest talentem iluzjonistycznym. Naprawdę silnym. Potrzebował pryzmatu, który poradziłby sobie z jego siłą na scenie. Powiedział, że nie chciał nikogo z agencji ogniskującej. Dowiedziałem się dlaczego, jak już trochę dla niego popracowałem.

– Chciał, żebyś popracował trochę na boku, co?

– Taa. Ale to on załatwiał te wszystkie roboty na boku, wiesz? Nigdy nie wiedziałem, kto nas zatrudnił. Jink zajmował się wszystkim.

Orchidea poruszyła się w cieniu.

– Próbowalesz zamordować Rafe'a tej nocy przed domem Theo.

– Nie, słowo Ojców Założycieli. Mieliśmy tylko go trochę poturbować. Nastraszyć go. Przynajmniej tak mi powiedział Jink.

– Co było w liście, który zabraliście z łodzi Morgana Lamberta? – spytał Rafe.

– Cholera, nie wiem. Jink znalazł list. Nigdy mi go nie pokazał.

– Celowo przedawkowaliście porcję brudnego lodu dla Morgana – powiedziała Orchidea.

– Nie. – Strach pobrzmiwał w głosie Crowdera. – Jink powiedział, że użyje tylko tyle lodu, żeby Lambert zapomniał o kilku rzeczach.

– Użył wystarczająco dużo, żeby go zabić.

– O cholera. Nie wiedziałem tego, naprawdę, panienko. To nie moja wina. Ja miałem tylko szukać tego przekłętego listu. Jink podał brudny lód Lambertowi. Użył iluzji, aby wyglądał jak piwo. I wtedy się pojawiłaś i wszystko spieprzyłaś.

Rafe uwolnił go i cofnął się zde gustowany.

– Jesteś stratą czasu, Crowder.

– Mówiłem ci, że nic nie wiem.

– Miejmy nadzieję, że wiesz na tyle dużo, żeby zniknąć na chwilę

z miasta. Mam przeczucie, że ktokolwiek próbował cię dziś zabić spróbuje znowu.

Crowder wzdrygnął się i przesunął się ku krawędzi drzwi.

– Tak myślisz?

– Tak, tak sędzę. Jaki jest plan zajęć Jinka na dziś wieczór?

– Dlaczego pytasz?

– Bo prawdopodobnie jest następny na liście zabójcy.

– Och, cholera, cholera. – Crowder spoglądał nerwowo ponad ramieniem, tak jakby spodziewał się zobaczyć napastnika. – Muszę stąd zniknąć.

Rafe zmienił pozycję, żeby zablokować drogę Crowderowi.

– Najpierw powiedz, co ma w planie Pan Zadziwiający. Kiedy wychodzi z Lodowatego Ryzyka?

– Mamy jeszcze jedno przedstawienie o północy. Zwykle kreci się w pobliżu klubu w przerwie między pokazami. Kombinuje coś z jednym z dealerów, wiesz? Załatwiają to w jego garderobie między pokazami.

– Może zdołam z nim porozmawiać, zanim dotrze do niego jego nowy pracodawca. – Rafe odwrócił się i sięgnął po rękę Orchidei.

– Czekał – Crowder wyciągnął rękę, tak jakby chciał chwycić rękaw Rafe'a.

W ostatniej chwili zorientował się, że lepiej tego nie robić i cofnął ją. Zerknął na Orchideę, a potem znowu na Rafe'a.

– Dlaczego ocaliłeś mnie kilka minut temu?

– Uratowałem cię, bo myślałem, że powiesz mi coś użytecznego. – Rafe uśmiechnął się blado. – Ale myliłem się. Co oznacza, że następnym razem, kiedy na ciebie wpadnę nie będę tracił czasu na oddawanie ci przysług. Bądź ostrożny Crowder. Bądź bardzo, bardzo ostrożny.

Twarz Crowdera drgnęła. Spojrzał bezradnie na Orchideę. Potem odwrócił się i pobiegł ulicą w stronę świateł Placu Ojców Założycieli.

Orchidea czekała aż zniknie, zanim się odezwała.

– Myślisz, że powiedział ci prawdę?

– Tak. – Rafe schował pistolet i opuścił nogawkę spodni. – Chodź. Musimy wrócić do klubu.

– Wszystko zaczyna do siebie pasować. – Ręka Rafe'a zacisnęła się mocniej wokół ramienia Orchidei, kiedy spiesznie prowadził ją z powrotem w kierunku Lodowatego Ryzyka. – Jeżeli się pośpieszymy,

to może uda się nam to zakończyć dzisiaj.

Pomimo zszarganych nerwów i adrenaliny, która nadal pustoszyła jej system, Orchidea uśmiechnęła się krótko widząc intensywną satysfakcję Rafe'a.

Emanowała z niego potężnymi falami. Nie unosiła go już fala energii pochodząca z więzi, ale strona jego natury związana z talentem strategicznym była zdecydowanie w pełnym rozkwicie.

Cóż, może "w pełnym rozkwicie" nie było najlepszą analogią, przyznała po cichu Orchidea. Myśliwy w Rafe, zawsze czający się gdzieś pod powierzchnią, właśnie to zobaczyła dziś w nocy w wielu tego zjawiska aspektach. W pełni się kontrolował, ale moc, którą trzymał w ryzach była na tyle potężna, że jeżyła włosy na jej karku.

Wiedziała, że nie była jedyną osobą, która wyczuła obecność łowcy. Widziała wyraz twarzy Crowdera na kilka chwil przed tym, zanim odwrócił się i uciekł.

– Zakładam, że pracujemy przy założeniu, że to doktor Austen był tym, który właśnie próbował zabić Crowdera? – Orchidea uświadomiła sobie, że brak jej tchu. Jeżeli zamierzała regularnie zajmować się tego typu sprawami, będzie musiała zacząć uprawiać ćwiczenia meta–zen–synergistyczne częściej niż trzy razy w tygodniu.

– Austen na pewno znajduje się na bardzo krótkiej liście prawdopodobnych kandydatów – Rafe zwolnił trochę, gdy otoczył go hałaśliwy tłum. – Próbuje zatrzeć za sobą ślady. Ale nie jest profesjonalistą. Spieprzył sprawę.

– Masz na myśli, że to my spieprzyliśmy mu sprawę. – Orchidea przyglądała się jaskrawym światłom Lodowatego Ryzyka w oddali. – To może okazać się trochę krępujące, jeżeli Crowder miał rację w kwestii zajęć Pana Zadziwiającego pomiędzy spektaklami. Upewnij się, że najpierw zapukałeś.

– Boisz się, że możesz zobaczyć Pana Zadziwiającego bez scenicznego kostiumu?

Orchidea pomyślała o nadmiernie wypchanym kroczu mieniącego się kostiumu magika.

– Powiedzmy po prostu, że nie chciałabym zostać pozbawiona iluzji.

Rafe prowadził ich alejką za kasynem. Orchidea szła za nim z ulgą widząc, że wąskie przejście nie było zupełnie zaciemnione. Słaba żarówka z galaretowatego lodu świecąca nad drzwiami rozpraszała część cienia. Nikt nie pilnował wejścia dla artystów. Orchidea wy-

wnioskowała, że Pan Zadziwiający nie jest zbyt niepokojony przez rozochoconych fanów. Kiedy Rafe nacisnął klamkę, przekreśliła się w jego dłoni bez trudu.

Podążyła za nim słabo oświetlonym do korytarzem, który cuchnął stęchłym potem i starym alkoholem. Przez ścianę można było usłyszeć stłumiony głos solistki razem z odległym klekotem automatów do gier hazardowych.

Rafe zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami udekorowanymi żałośnie wyblakłą gwiazdą. Przystanął na chwilę. Orchidea wyczuła ulotne pulsowanie znajomej energii psychicznej, ale Rafe nie szukał połączenia. Mały przypływ talentu szybko zniknął. Ku zaskoczeniu Orchidei nowa fala przedbitewnego napięcia zaczęła nagle wibrować wokół Rafe'a.

– Cholera. – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął parę cienkich skórzaných rękawiczek i naciągnął je na swoje mocne ręce.

– Co ty...?

– Masz, włóż to, pani detektyw. – Wcisnął jej w dłoń parę plastikowych rękawiczek. Orchidea zauważyła, że nie były to seksowne skórzane rękawiczki, jak jego własne. Były to tanie, jednorazowego użytku rękawiczki używane przy przygotowywaniu posiłków i żywności. Zanotowała w myśli, że powinna sobie kupić bardziej eleganckie rękawiczki przy najbliższej okazji.

– Wejść pierwszy – powiedział cicho Rafe. – Poczekaj tutaj.

– Zawsze każesz mi czekać. Jak mam się kiedykolwiek czegoś nauczyć, jeżeli zawsze trzymasz mnie w korytarzu.

– Zaufaj mi w tej kwestii. Nie chcesz wejść tam pierwsza.

Pomyślała, że ma rację. Nie miała bladego pojęcia, co by zrobiła, gdyby nagle stanęła twarzą w twarz w Panem Zadziwiąjącym.

Rafe nie zapukał do drzwi Pana Zadziwiającego. Otworzył je i wszedł do środka bardzo szybko. Orchidea zauważyła, że z pokoju nie pada żadne światło.

Nie było żeńskiego okrzyku zaskoczenia. Nie było męskiego ryku wściekłości.

Pokój był pusty.

Orchidea uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Odprężyła się częściowo i podeszła, aby stanąć w ciemnym wejściu. Zerknęła w ciemność, ale nie zdołała wiele dostrzec.

– Przypuszczam, że Pana Zadziwiającego nie ma jednak tutaj – powiedziała.

– O to się nie martw, jest tutaj. Chodź i zamknij za sobą drzwi.

– Co masz na myśli? – Zmarszczyła nos posłusznie zamykając drzwi. – I co to za okropny zapach?

– Trzymaj się. – Rafe włączył światło. – Ktokolwiek próbował zabić Crowdera kilka minut temu, tutaj dostał się przed nami.

Orchidea gapiła się na nienaturalnie spokojną postać rozciągniętą na podłodze blisko ściany. Jasne włosy zakrywały przystojną twarz. Jasna czerwona krew splamiła przód obcisłego kostiumu. Poczowała jak w wyniku mdłości jej żołądek zaciska się w węzeł.

– O mój Boże – przełknęła ślinę – czy on... ?

– Tak. – Rafe zmarszczył brwi na widok jej twarzy. – Wytrzymasz przez parę minut? Chcę szybko rozglądnać się tutaj i byłoby lepiej, gdybyś poczekała tutaj niż na zewnątrz w korytarzu. Nie chcę ryzykować, że ktoś zauważy nas w pobliżu garderoby.

– Dam radę. – Orchidea pomyślała, że tylko z powodu oszołomienia. Dziwne uczucie dezorientacji dało efekt czasowego odcięcia jej od rzeczywistości leżącego na podłodze ciała. – To musiało się stać kilka minut temu.

– Tak. Kiedy traciłem czas przepytując Crowdera. – Rafe przeszedł przez pokój do toaletki. Przykucnął, by pod nią zajrzeć.

– Quentin Austen zwariował – wyszeptwała.

– Na to wygląda. – Rafe przesunął palcami pod dnem toaletki.

– Czego szukasz?

– Czegokolwiek, po co przyszedł morderca. – Wyprostował się i sprawdził za lustrem. – Spieszył się. Wiedział, że wyprzedza nas tylko o kilka minut. Nie miał czasu na gruntowne poszukiwania.

Po raz pierwszy Orchidea zdała sobie sprawę, że mała przebieralnia była zabałaganiona i sponiewierana. Ktoś najwyraźniej przeszuwał ją w pośpiechu, być może w desperacji.

Trzymaj się, nakazała sobie. Możesz mieć załamanie nerwowe później.

Wzięła ostrożny oddech, nakazując sobie skoncentrowanie się na obecnym problemie. Ostrożnie podeszła do otwartych drzwi małej szafy. W środku dostrzegła rząd mieniących się kostiumów.

– Sprawdź jego garderobę – powiedziała głosem, który jak miała nadzieje brzmiał rzeczowo.

Rafe przerwał na chwilę, aby popatrzeć na nią zwięzonymi oczami. Błyszczała w nich troska.

– Jesteś pewna, że dobrze się czujesz?

– Tak. W każdym razie w obecnej chwili. Spytaj mnie jeszcze raz później.

Odsunęła na bok jarmarczne kostiumy sceniczne i znalazła rząd otwartych szuflad. Morderca zdążył je już przetrząsnąć. Pasy nabite sztucznymi kamieniami szlachetnymi, zawadiackie apaszki i sceniczna biżuteria były beztrząsco rozrzucone jak szczątki statków, czy samolotów na plaży.

Orchidea skrzywiła się wyciągając naręcze męskiej bielizny. Wzdrygnęła się trzymając parę ponętnych czarnych slipów, które miały obszerny przód i wąski jedwabny pasek z tyłu.

– Pan Zadziwiający musiał mieć chyba subskrypcję na synergistycznoseksualny katalog dla Panów – wymruczała.

– Facet miał klasę, bez dwóch zdań. – Rafe odsunął komodę spod ściany, żeby za nią zerknąć. – Trzeba podziwiać faceta, który wypycha sobie krocze skarpetką.

– Nie wiesz tego na pewno. – Zatrzymała się, aby zbadać rząd skórzanych butów udekorowanych cekinami i sztucznymi kamieniami. W środku obuwia nie znalazła niczego.

Kiedy podnosiła się na nogi, jej głowa zahaczyła o wiszące kostiumy. Wzdrygnęła się z zażenowania, gdy zauważyła, że zderzyła się z wypchanym kroczem pary krwistoczerwonych, dopasowanych spodni. Duża, przypominająca ochraniacz bryła na przedzie spodni nie ustąpiła pod wpływem nacisku. Przez dłuższą chwilę przyglądała się jej uważnie. Uspokoila nerwy, przed czekającym ją zadaniem zbadania wnętrza kostiumu.

W środku pierwszego nie znalazła nic poza wielką ilością artystycznie upchniętej wyściółki. Drugi kostium ujawnił to samo. Ale w trzecim sztucznie powiększonym kroczu odkryła coś jeszcze oprócz wypychacza.

Bardzo wolno wyciągnęła kawałek papieru zwiniętego w ciasną rolkę.

– Rafe?

– Tak? – Nie spojrzał na nią znad desek podłogowych, które badał koniuszkami palców w rękawiczkach.

– Miałeś rację w sprawie Pana Zadziwiającego. To była iluzja. – Rozwinęła papier, który znalazła.

– Co ty ro... – Zamilkł, mrużąc oczy na widok tego, co trzymała w dłoni. – Co to jest?

– Kopia listu, który Theo wysłał do Morgana Lamberta.

Rozdział 15

Morganie,

Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że coś mi się stało. Dziwaczna myśl.

W każdym razie postaram się streszczać, bo nie mam zbyt wiele czasu.

Wyjeżdżam z miasta. Lepiej żebyś nie wiedział dokąd.

Muszę na jakiś czas zniknąć. Wpakowałem się w niezłą kabałę. Nie mogę ci wszystkiego wyjaśnić, ale wiem, że zabrałem kosmiczny artefakt z laboratorium, w którym pracuję. Niewiele pamiętam z tej kradzieży. Wszystko jest jakby zamglone. Wiem tylko, że pewnej nocy zabrałem ten przedmiot ze sobą.

Pamiętam, że dałem go mojemu terapeutce, Quentinowi Austenowi. Teraz ktoś próbuje mnie zabić.

Myślę, że dr Austen jest w jakiś sposób odpowiedzialny za to, co się stało.

Nie mogę pójść na policję. Nie mam dowodów. Nie pamiętam nawet zbyt jasno niczego, co się wydarzyło. Jestem pewien, że ten bękart celowo zamazał moje wspomnienia za pomocą swojego talentu hipnotycznego. Jest na tyle silny, że może pracować przez kilka sekund bez pryzmatu. Dał mi też jakieś proszki.

Wydaje mi się, że one wzmacniają efekt działania jego hipnozy.

Artefakt, który ukradłem dla Austena jest inny niż wszystkie. Nie mam czasu wdawać się w szczegóły, ale wierz mi, jest potencjalnie niebezpieczny.

A teraz najgorsze. Austen nie może kontrolować reliktu sam. Potrzebuje do tego bardzo potężnego lodowego pryzmatu. Obaj wiemy, że nie ma nas zbyt wiele w zasięgu ręki. Teraz, gdy wyrwałem się spod jego wpływu może szukać kolejnego silnego lodowego pryzmatu.

Bądź ostrożny. Lepiej ostrzeż też Orchideę. Nie podałem mu waszych imion, przynajmniej nie pamiętam, żeby to zrobił, ale nie można być zbyt ostrożnym.

Mam przeczucie, że dr Austen jest bardziej szalony niż ja.

Zadzwoń, jak tylko będzie bezpiecznie.

Theo

Rafe powoli zwinął list. Spoglądał na ciało na podłodze i bezmyślnie stukał rolką o blat stołu.

– Pan Zadziwiający prawdopodobnie próbował z pomocą tej fotokopii szantażu i za swoje wysiłki został zastrzelony.

– Na to wygląda, prawda? – Orchidea pocierała dłońmi ramiona. W małym pokoju było ciepło, ale ona czuła się przemarznięta. – Biedny Theo. Wiedziałam, że był niewinny. Gdyby tylko powiedział komuś, co się dzieje.

– W jednej sprawie miał rację. Byłoby niezwykle trudno udowodnić cokolwiek. Gdyby poszedł na policję, rzuciliby tylko okiem na całą sytuację i wsadzili go do więzienia za kradzież cennego artefaktu z laboratorium badawczego. – Rafe wzruszył ramionami. – A resztę historii od ręki zignorowali.

– Zwłaszcza, gdyby pogadali z jego pomocnym synergistycznym psychologiem terapeutą, dr Quentinem Austinem, który nakarmiłby ich stekiem kłamstw o stanie jego zdrowia psychicznego. – Orchidea zacisnęła zęby. – Ten drań Austen. To on jest wszystkiemu winien.

– Jeżeli szuka kolejnego lodowego pryzmatu, aby pomógł mu kontrolować skradziony artefakt, to musimy założyć, że naprawdę wierzy w te szalone opowiadania o jego mocy. Co czyni go synergistyczno-psychologicznym przypadkiem do leczenia.

– Myślę, że wiem, co się stało. Theo zupełnie niewinnie poszedł do Austina na terapię. Prawdopodobnie wspomniął o swojej pracy w laboratorium w czasie trwania sesji. Musiał wspomnieć, że jego zdaniem jeden z reliktyw ma pewną moc i że lodowy pryzmat może w jakiś sposób tą moc kontrolować. Najwyraźniej Austen mu uwierzył.

– I wtedy Austen zahipnotyzował Willisa, żeby ten ukradł relikw – zadumie dokończył Rafe. – Potem wszystko zaczęło się rozpadać. Willis w jakiś sposób wyrwał się spod kontroli Austina i uciekł w panice.

– Założę się, że to najprawdopodobniej Austen zaaranżował śmierć Theo w wypadku samochodowym.

– I wtedy zaczął się martwić, że ktoś może go powiązać z Willisem. Zatrudnił Pana Niesamowitego i Crowdera, żeby mieli oko na dom Willisa. W jakiś sposób dowiedział się, że Willis wysłał list do Lamberta i posłał swoją drużynę, żeby go znaleźli.

– A wtedy Pan Zadziwiający próbował go szantażować kopią listu. – Orchidea zadrżała. – Więc zaaranżował śmierć obydwu, Jinka i

Crowdera.

Rafe ponownie zaczął uderzać zrolowanym dokumentam.

– Większość pasuje.

Rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

– Wiesz, Theo naprawdę miał pewne problemy psychiczne. To całe twierdzenie o możliwości kontrolowania kosmicznego reliktu musi być jakąś fantazją.

Rafe wyglądał na zamyślonego.

– Najwyraźniej zdołał przekonać Quentina Austena, że to prawda.

– Nie wątpiłam, ani przez chwilę, że Theo naprawdę w to wierzył. I zgadzam się, że jakoś zdołał przekonać również dr Austena. Co dowodzi, że Austen jest tak niestabilny jak galaretowaty lód. Już zdążył zabić co najmniej dwie osoby, Theo i Pana Zadziwiającego.

– I próbował zabić jeszcze dwie, Morgana Lamberta i Crowdera. – Rafe sięgnął ręką w rękawiczce po telefon. – A wszystko dlatego, że wierzył w jakąś szaloną bajeczkę o nadal działającym kosmicznym relikcie. Masz rację. Ten facet nie jest normalny.

– Do kogo dzwonisz?

– Wreszcie mamy jakieś niezbite dowody i ciało. Czas zadzwonić na policję. Mam przyjaciela, który pracuje w wydziale zabójstw. Zamierzam przekazać mu, to co wiemy. A potem zadzwonię do Brizo do laboratorium i ostrzegę go, że nie możemy już dłużej tego ukrywać.

– Quentin Austen musi zostać znaleziony, zanim zabije jeszcze kogoś – powiedziała Orchidea, gdy w końcu wchodzili do domu Rafe'a dwie godziny później. – Ale co z zaginionym reliktem?

– Policja może go znaleźć, gdy dopadną Austena. Ale istnieje możliwość, że już zniknął na podziemnym rynku kolekcjonerskim. – Rafe zamknął frontowe drzwi i odwrócił się, aby zobaczyć jej w twarz. – A to oznacza, że nadal mamy sprawę.

Studiując mocne rysy jego twarzy zobaczyła, jak intensywne jest jego spojrzenie. Pomyślała, że kryjący się w nim myśliwy nie zrezygnuje dopóki nie znajdzie tego, co postanowił znaleźć.

Posłała mu błady uśmiech.

– Chcesz coś wiedzieć? Cieszę się, że to nie na mnie polujesz.

– Kto powiedział, że na ciebie nie poluję?

Nie poruszyła się. Pożądanie, moc i potrzeba zagęstniały atmosferę. Nie potrafiła rozróżnić, jaka dawka tej ciężkiej, niebezpiecznej mieszanki pochodzi od niej, a jaka emanuje od Rafe'a.

– To prawdopodobnie nie jest najlepszy moment na taką rozmowę – powiedziała. – Oboje żyjemy ostatnio w dużym stresie. Trochę za dużo podniecenia...

W jego spojrzeniu widać było perfekcyjne, ale ponure zrozumienie.

– Boisz się mnie?

– Niezupełnie.

– To nie jest odpowiedź, jakiej oczekiwałem.

– Co chciałbyś, żebym powiedziała?

– Po prostu powiedz mi prawdę. – Podniósł się i płynnym ruchem pokonał krótki dystans, który ich dzielił. Zatrzymał się tuż przed nią, sięgnął w dół, zamknął ręce na jej ramionach i delikatnie podniósł ją z krzesła. – Boisz się mnie? Czy fakt, iż jestem talentem strategicznym przeraża cię?

Spoglądała w ciemne, zacienione zakątki w jego oczach i zobaczyła kryjące się w nich tajemnice.

– Nie.

– Czy jestem trochę zbyt prymitywny dla córki pary z Northville?

– Nie.

– Więc, co miałaś na myśli, kiedy mówiłaś, że niezupełnie się mnie boisz?

Zamknęła jego twarz w dłoniach i uśmiechnęła się smutno.

– Miałam na myśli to, że obawiam się, iż zaczynam się w tobie zakochiwać.

Wyraz kompletnego zdziwienia, który zabłysnął w jego oczach mógłby ją rozbawić w innych okolicznościach. Ale dziś wieczór była uwięziona w kłębiących się falach własnych emocji. Nie mogła szukać schronienia w śmiechu. Miała dziwne przeczucie, że waży się jej cała przyszłość.

Rafe nie powiedział nic. Jęknął, przycisnął ją mocniej i pocałował z szaleńczą pasją, która nie pozostawiała miejsca na słowa. Potem wziął ją na ręce, zaniósł do biblioteki i położył na dywanie przed kominkiem.

Długi czas później Orchidea poruszyła się, przeciągnęła i otworzyła oczy. Uśmiechnęła się cierpko widząc Rafe'a siedzącego w kuczki przed paleniskiem. Wpatrywał się w płomień, tak jakby mógł w nich dostrzec wizję Starej Ziemi.

Miał na sobie zapięte spodnie, ale nie włożył koszuli. Światło z

kominka rzucało złoty poblask na jego nagie ramiona i podkreślało mocne kontury jego pleców.

Przez chwilę delectowała się jego szlachetną, męską siłą.

– Wiesz co, ten cały interes z kochaniem się przed płonącym ogniem ładnie sprawdza się w moich powieściach – odezwała się w końcu. – Ale w prawdziwym życiu powoduje otarcia od dywanu. Następny razem ty jesteś na dole.

– Orchideo, chcę żebyś zastanowiła się nad poślubieniem mnie.

Orchidea gapiła się na niego. Nie odwrócił głowy, by na nią popatrzyć. Wszystko w nim skupiało się na obrazach, które tylko on widział w płomieniach.

– Rafe...

– Tylko o tym pomyśl, dobrze? Powiedziałaś, że myślisz, iż zaczynamy się we mnie zakochiwać.

Zwilżyła wargi.

– Każdy doradca z agencji matrymonialnej powie ci, że tego rodzaju emocje nie są najlepszą podstawą udanego małżeństwa.

– A na czym innym możesz polegać? – spytał z zastraszającą logiką. – Sama powiedziałaś, że jako lodowy pryzmat nie ufasz żadnej agencji matrymonialnej, że znajdą ci odpowiedniego kandydata.

– A co z tobą? – wyszeptała. – Dlaczego chcesz podjąć takie ryzyko?

– Mój doradca zapewnił mnie, że jestem prawie nieskojarzalny. Wszystko wskazuje na to, że będą musiał sam znaleźć moją towarzyszkę, to znaczy żonę. Ty i ja tworzymy zgrany zespół.

Orchidea nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać.

– Rozumiem. – Może powinna być bardziej bezpośrednia. – A co do mnie czujesz? – Kochasz mnie?

– Właśnie ci powiedziałem, pragnę cię. Pragnąłem cię od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem, a teraz, gdy już byliśmy ze sobą pragnę cię nawet bardziej. Czuję, że jesteś... nie wiem, że jesteś odpowiednia.

Zastanawiała się, czy znalazł się właśnie najbliższej deklaracji miłości, jak to możliwe w jego przypadku.

– Co się stanie, gdy twój doradca z agencji matrymonialnej znajdzie ci kandydatkę?

– Nie będę jej chciał. – W jego głosie słychać było absolutną pewność.

Westchnęła.

– Z twojego punktu widzenia to brzmi trochę zbyt prosto.

– A dlaczego miałyby być skomplikowane? – W tym momencie odwrócił się. Płomienie z paleniska nie wytrzymały porównania z żarem w jego oczach.

– Rafe...

– Wiem, że nie jestem normalny. Jestem egzotyczny. Synergistycznopsychologiczni eksperci nie wiedzą nawet jak bardzo jestem egzotyczny. Ale wiem o sobie kilka rzeczy. Nie musisz się mnie bać. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Nie mógłbym cię skrzywdzić.

Wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze z płuc.

– Wiem o tym.

– Pomyśl o tym. Tylko o to proszę.

Nie było nad czym myśleć. Była w nim zakochana. Ale on nie powiedział nic o miłości do niej. Musiała się upewnić, że on rozumie własne uczucia tak dobrze, jak ona rozumie swoje. Nie mogła poślubić mężczyzny, który jej nie kochał, bez względu na to jak bardzo czuł się zaangażowany i opiekuńczy w stosunku do niej.

Ale mogła się nad tym zastanowić. Mogła nawet o tym pomarzyć.

Przynajmniej przez chwilę.

– W porządku Rafe. Pomyślę o tym.

W jego oczach zamigotał triumf. Wstał i podszedł do miejsca, gdzie leżała sadowiąc się tuż przy niej. Sięgnął po nią.

– Tylko o to proszę – wyszeptał ponownie w jej szyję.

Kiedy zaczął ją popychać na plecy, na dywan położyła rękę na jego piersi.

– Zatrzymaj się.

Zamarł.

– Dlaczego?

– Teraz twoja kolej być na spodzie.

Jego śmiech wibrował ciemną, zmysłową mocą w oświetlonym światłem płomieni pokoju.

Następnego ranka Rafe wciąż uśmiechał się do samego siebie w najdziwniejszych momentach, bez żadnego szczególnego powodu. Po raz pierwszy uświadomił sobie ten nowy nawyk, kiedy popatrzył w lustro w czasie golenia. Szybko odkrył, że niezbyt łatwo jest posługiwać się maszynką do golenia, kiedy szczerzysz się, jak jakiś idiota. Po drugim zacięciu się zmusił się do większego skupienia się na tym, co robi.

Upominał samego siebie, że nic nie jest jeszcze przesądzone. Sprawy nadal mogły przybrać niepomysłny obrót. Ale miał teraz przewagę. Orchidea pragnęła go. Tego był pewien. To dobry początek.

Nadal czuł się niesamowicie radosny, kiedy wszedł do pokoju śniadaniowego kilka minut później. Orchidea już tam była. Pochylała się nad gazetą, z kubkiem herbaty w dłoni. Nie podnosiła wzroku znad artykułu, który czytała.

Przez chwilę delectował się widokiem Orchidei siedzącej w jego domu w porannym świetle. Obciągnięte jeansami nogi podwinęła pod krzesło. Czarna koszulka, która nosiła, podkreślała elegancką linię jej szyi. Świeżo umyte włosy przytrzymała za uszami opaską. Tryskała życiem, wyglądała świeżo i seksownie jak diabli.

Wyglądała, tak jak powinna.

– Dzień dobry. – Ruszył w jej kierunku.

Jej uwaga nadal skupiona była na artykule.

– Nie uwierzysz w to Rafe.

– Nie zakładaj się. – Kiedy nie uniosła twarzy zadowolili się pocałunkiem w czubek głowy. Nie potrzebował paranormalnie wyostrzonych zmysłów, aby cieszyć się mieszanką aromatu zielonego szamponu do włosów i jej niepowtarzalnego, ponętnego zapachu. – Dziś rano mogę uwierzyć we wszystko.

– Zobacz to – wskazała na artykuł, który tak ją zainteresował.

Rafe zerknął na gazetę. Nagłówek znajdował się na trzeciej stronie pierwszego działu New Seattle Times. Ważna historia, ale nie najważniejsza.

„Synergistyczny psycholog terapeuta nie żyje – podejrzewane samobójstwo”

– Co u diabła? – Rafe porwał gazetę ze stołu i szybko go przeczytał.

„Ciało dr Quentina Austena, synergistycznego psychologa terapeuty prowadzącego praktykę w Nowym Seattle wyciągnięto z zatoki około godziny drugiej nad ranem.

Doktora Austena ostatni raz widziano na pokładzie promu Stare Seattle, który odpłynął z przystani w Śródmieściu w swój ostatni rejs tej nocy o godzinie pierwszej trzydzieści rano.

Przypuszcza się, że w wyskoczył za burtę w trakcie rejsu. Jeszcze dzisiaj zostanie przeprowadzona autopsja.

Pogłoski o okresowych atakach depresji doktora Austena, narażających ostatnimi czasy problemach finansowych oraz nieuchronnym pozwie sądowym od byłego klienta pozwalają władzom spekulować, że popełnił samobójstwo.

„Mamy kilku skoczków każdego roku” poinformowała nas osoba, która nie chciała ujawniać swojej tożsamości. „Człowiek nie wytrzyma więcej niż dwadzieścia do trzydziestu minut w zimnej wodzie tej zatoki.”

Rafe rzucił gazetę i sięgnął po telefon.

– Co o tym myślisz? – spytała Orchidea.

– Jeszcze nie wiem. Muszę zadzwonić do tego znajomego z wydziału zabójstw.

Piętnaście minut później odwiesił słuchawkę, chwycił filiżankę harba-kawy napełnioną przez Orchideę i oparł łokcie o stół.

– Tallentyre mówi, że nie będzie żadnego oficjalnego oświadczenia zanim nie dostaną wyników autopsji, ale ludzie zajmujący się tą sprawą zdecydowanie nazywają to samobójstwem.

– Pan Zadziwiający został zabity około jedenastej wczoraj wieczorem. Austen miałby mnóstwo czasu, żeby popełnić morderstwo i dostać się na przystań, aby złapać ostatni tej nocy prom. – Orchidea uniosła brwi. – Ale dlaczego miałby się wtedy zabić?

– Nie wiem. Kto wie, co facet z długą historią synergistyczno-psychicznych problemów może zrobić w takiej sytuacji? Może akt morderstwa na Panie Zadziwiąjącym przechylił czarę. Wiem, że na pewno spanikował wczoraj w nocy, kiedy próbował zastrzelić Crowdera i spudłował.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu wiem.

– Ale skąd to wiesz? – nalegała zaciekawiona.

Wzruszył ramionami.

– Wyczułem to w czasie ogniskowania. A tak przy okazji, Tallentyre mówi, że nie znaleźli reliktu, kiedy przeszukali dom Austina.

– Więc nadal mamy sprawę?

– Tak. – Rafe odłożył filiżankę i wstał. – Zamierzam iść na komisarjat. Chcę pogadać z Tallentyrem osobiście. Może uda mi się zdobyć więcej informacji.

Orchidea obserwowała, jak udaje się w kierunku hallu. Jego długie, zdecydowane kroki powiedziały jej jaśniej niż jakiegokolwiek słowa, że w pełni zaangażował się w polowanie.

To tyle, jeżeli chodzi o miłe pogawędki o wspólnej przyszłości.

Morgan Lambert spoglądał na drzwi, kiedy Orchidea weszła do pokoju krótko po dziewiątej. Uśmiechnął się blado.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. – Oparła się o metalową barierkę otaczającą szpitalne łóżko. – Jak się czujesz?

– Jakbym żył. Ledwo. – Potarł ręką twarz. – Dali mi coś, żeby osłabić efekty płukania, ale nie bardzo im się udało. Dalej mam niewielkie drgawki. I czuję, że zaraz zwymiotuję, ale poza tym, to świetnie.

– Nieźle nas wystraszyłeś.

– Twój przyjaciel, Stonebraker, był tutaj wcześniej rano. Powiedział, że właśnie jedzie do śródmieścia, żeby porozmawiać z policją. Powiedział mi, co się stało. Chyba zawdzięczam ci życie.

– Pamiętasz cokolwiek?

Twarc Morgana skrzywiła się w wyrazie frustracji.

– Tylko strzępy. Lekarz wyjaśnił mi, że kilkugodzinna, częściowa amnezja to częsty efekt uboczny zażycia brudnego lodu. Przypominam sobie, że zostawiłem ci wiadomość na automatycznej sekretarce. Coś o liście od Theo, prawda?

– Powiedziałeś, że dostałeś od niego wiadomość.

– O, tak. Myślę, że pamiętam jej część. Jakaś szalona bajeczka o zahipnotyzowaniu go przez synergistycznego psychiatrę terapeutę.

– Widziałam kopię listu. Theo twierdził, że psychiatrą nazwiskiem dr Quentin Austen zmusił go do kradzieży reliktu. Napisał też, że Austen potrzebował lodowego pryzmatu, aby kontrolować ten przedmiot. Chciał ostrzec ciebie i mnie, bo byliśmy jedynymi silnymi lodowymi pryzmatami, jakie znał.

Morgan westchnął.

– Biedny, szalony Theo.

– Wygląda na to, że jego terapeuta był bardziej szalony. Dr Austen musiał uwierzyć, że relikat naprawdę ma pewną moc, bo inaczej nie wysłałby tych dwóch facetów na twoją łódź, żeby znaleźli list od Theo.

– Moc?

Orchidea przedstawiła Morganowi skrót wydarzeń. Kiedy skończyła, gapił się na nią w zdumieniu.

– Więc Austen zabił Theo i tego drugiego faceta, a potem wyskoczył z promu?

– Na to wygląda. Rafe sprawdza teraz szczegóły, ale najwyraźniej Austen miał w przeszłości spore problemy psychiczne.

– Ale parę tworzyli on i Theo, no nie? Wariat leczący ekscentryka.

– A teraz obaj nie żyją – podsumowała Orchidea. – A firma Adams i Stonebraker zamierza odnaleźć zaginiony relikw.

– Adams i Stonebraker?

– Ona ma na myśli firmę Stonebraker i Adams – odezwał się Rafe od drzwi.

Orchidea odwróciła się.

– Jesteś wreszcie. Jak poszło z glinami?

Rafe wzruszył ramionami wchodząc do pokoju.

– Uważają, że sprawa jest oczywista i zamknięta. Zwariowany synergistyczny psychiatra manipuluje równie szurniętym pacjentem. Aranżuje kradzież artefaktu, a potem stara się zatrzeć ślady zabijając ludzi. Ostatecznie kompletnie świruje w wyniku stresu związaneego z popełnieniem morderstwa i sam się zabija. Cenny relikw ginie.

– Hmm – Orchidea przyglądała mu się uważnie.

– Dokładnie mój wniosek – wymruczał Rafe. Spojrzał na Morgana. – Powiedziano mi, że dziś cię wypisują.

– Zgadza się.

– Chcę, żebyś oddał mi przysługę.

– Jaka?

– Zniknij na tydzień. Zrób sobie wypad na Wyspy Zachodnie. Udawaj, że wygrałeś w jakimś konkursie.

Morgan wpatrywał się w niego z otwartymi ustami.

– Wyspy Zachodnie?

– Wszystkie wydatki pokrywa Firma Stonebraker i Adams – powiedział Rafe.

– Masz szczęście – zauważyła Orchidea. – Drugą nagrodą były dwa tygodnie na Wyspach Zachodnich.

Obaj mężczyźni gapił się na nią. Zarumieniła się.

– Przepraszam. Moja praprababcia opowiedziała mi to, kiedy byłam bardzo mała. Powiedziała, że to stary ziemski żart.

Orchidea posłała Rafe'owi długie spojrzenie wsiadając do wozu.

– Co się dzieje? Nadal martwisz się o Morgana?

– Nie wiem – przyznał. – Ale coś jest jeszcze nie tak z tą sprawą. I nie chodzi mi tylko o fakt, że relikwiarz wciąż się nie znalazł.

– Czy policja jest usatysfakcjonowana?

– Tak. Ważna część sprawy, morderstwo Pana Zdziwiającego i prawdopodobne morderstwo Theo Willisa, została rozwiązana. Tylko tym się przejmują.

– Relikwiarz nie interesuje ich w ogóle?

– Zakładają, że zniknął na podziemnym rynku kolekcjonerskim. Będą go obserwować, ale to nie jest dla nich najważniejsza kwestia.

– Jaki jest więc nasz następny krok?

– Jeszcze nie wiem, ale nadal mamy klienta. Rozmawiałem z Brizo. Zdecydowanie chce, żebyśmy znaleźli relikwiarz. – Rafe zerknął na nią wyjeżdżając ze szpitalnego parkingu. – W międzyczasie mamy do zaliczenia randkę w czasie ślubu twojej kuzynki. To jutro popołudniu w Northville, tak?

Orchidea jęknęła.

– Mówiąc szczerze, to prawie o tym zapomniałam.

– Ja nie – powiedział trochę zbyt gładko. – Jestem ci to winien. Zawsze spłacam długi. Tradycja Stonebrakerów.

Orchidea zastanawiała się, dlaczego nagle ogarnęło ją stare poczucie zagrożenia.

– Rafe, nie będę okłamywać mojej rodziny. Nie przedstawię cię jako agencji randki.

– Oczywiście, że nie. W tym momencie jestem po prostu starym chłopakiem. Jednym z tych facetów, z którymi wyjeżdżasz gdzieś w weekendy.

Jej twarz płonęła.

– Ale ja nigdy nie wyjeżdżałam w weekendy z facetami.

– Aż do czasu, gdy poznałaś mnie – w jego głosie słychać było głęboką satysfakcję.

Rozdział 16

To był typowy meta-zen-synergistyczny ślub, jak zdażył odkryć Rafe. Panna młoda nosiła kolor żółty. Pan młody nosił kolor niebieski. Większość gości ubrana była na biało. Usadowiony w ławce obok Orchidei, niedaleko jej rodziców czuł, że zwraca uwagę wszystkich obecnych swoim czarnym garniturem i krawatem.

Był świadomy istnienia meta-zen-synergistycznej tradycji chodzenia w białym kolorze, ale nie mógł sobie wyobrazić siebie w białym garniturze.

Pomyślał, że i tak miał więcej szczęścia niż pan młody. Po ceremonii zarówno panna młoda, jak i pan młody przebiorą się w kolor zielony, który jest połączeniem niebieskiego i żółtego.

Zmiana stroju symbolizowała moc synergii. Meta-zen-synergia była filozofią a nie religią, ale tutaj w Northville wiele jej symboli zostało zaszczerpionych we fragmenty starodawnej religijnej ceremonii zaślubin.

Rafe był rozbawiony widząc, że Orchidea ma jednak w swojej szafie coś białego. Sukienka, którą miała dzisiaj na sobie była powiewną szmatką, która trzepotała i unosiła się przy każdym ruchu. Pomyślał, że była bardzo meta-zen-synergistyczna, przyglądając jej się kontem oka. W jakiś sposób równocześnie ukrywała i obnażała. Bardzo skromna według wszelkich standardów, jego jednak przyprawiała o ślinotok.

Przypomniawszy sobie, że to nie jest czas na okazywanie prymitywizmu. Chciał zrobić dobre wrażenie tutaj, w Northville.

Po wymianie przyrzeczeń Veronica i jej mąż zniknęli w osobnych pokojach.

Kongregacja medytowała w ciszy, kiedy wszyscy czekali aż para przebierze się w oficjalne zielone stroje, które symbolizowały synergistyczny rezultat chromatycznego połączenia kolorów niebieskiego i żółtego.

Rafe zauważył, że synergistyczne reguły miały swoje symbole wszędzie w Northville.

W drodze do ascetycznej, niewielkiej kaplicy zauważył trzy podstawowe zasady Północy wyryte w kamieniu na zewnętrznej ścianie. Nie żeby on i wszyscy inni na Św. Helenie nie znali ich już wcześniej na pamięć. Każde dziecko uczyło się ich już w przedszkolu.

Trzy zasady Północy były w końcu filozoficzną podporą, na której opierały się wszystkie inne interpretacje zjawisk fizyki i fenomenów natury na Św. Helenie. To właśnie odkrycie i zaakceptowanie tych intelektualnych podstaw pozwoliło przeżyć pierwszemu pokoleniu kolonistów. Zasady te były paradoksalnie zarówno proste, jak i głębokie.

Całość jest większa niż suma poszczególnych jej części.

Walka o zachowanie równowagi i harmonii rządzi wszystkimi naturalnymi procesami.

Równowaga i harmonia mogą zostać osiągnięte tylko wtedy, jeżeli synergistyczny wkład każdego elementu jest taki sam, jak wkład wszystkich innych elementów tworzących całość.

Rafe popatrzył na Orchideę. Nie zauważyła tego. Jej uwaga skupiona była na wysokim elegancko wysmukłym mężczyźnie ubranym w stylowy biały garnitur, który siedział w innym rzędzie. Prestonie Luce.

Rafe poczuł ulgę widząc, że wyraz twarzy Orchidei jest zamyślny, ale nie tęskny.

W tym momencie Preston odwrócił lekko głowę i uśmiechnął się do Orchidei. Natychmiast odwróciła wzrok skupiając go na dużym nieoprawionym płótnie, które wisiało za prostym ołtarzem. Obraz składał się z dwóch śmiałych pociągnięć farbą, w białym i w czarnym kolorze. Rafe rozpoznał pracę Eldona Mossa. Mistrza Neo-Post Synergistycznej Szkoły Abstrakcyjnej. Podejście minimalistyczne malarzy tej szkoły spopularyzowało ich dzieła pomiędzy wyznawcami meta-zen-synergii.

Rafe był w Northville dopiero od kilku godzin, ale zdążył już zauważyć, że większość dzieł sztuki i projektów architektonicznych została zainspirowana właśnie przez minimalizm.

Musiał przyznać, że w większych dawkach oszczędny styl przybierał formę mdłą i bezbarwną. Rozumiał, dlaczego młoda kobieta z silnym pociąganiem do romantyzmu miała małe problemy z wpasowaniem się w środowisko Northville.

W tłumie zapanowało nagle poruszenie. Veronica i Terrance pojawili się ponownie w swoich formalnych zielonych strojach i zostali przedstawieni jako mąż i żona. Kongregacja powstała i pozdrowiła ich uroczystym meta-zen-synergistycznym powitaniem.

Para wspólnie przeszła wzdłuż nawy. Rząd po rządzie goście podążali za nimi. Rafe ujął Orchideę za rękę, kiedy podnosiła się na nogi.

– Czy teraz będziemy jeść?

Posłała mu przelotny uśmiech.

– Tak, ale nie mów, że cię nie ostrzegałam. Na klasycznym meta–zen–synergistycznym ślubie nawet jedzenie ma symbolizować Trzy Zasady.

– Jestem tak głodny, że mogę nawet jeść zielone *hors d'oeuvres*.

Popołudnie było ciepłe i słoneczne. Przyjęcie miało miejsce w pogodnie ascetycznym ogrodzie, z którego roztaczał się widok na gęsto zalesione wzgórza Northville.

Ku wielkiej uldze Rafe'a przekąski nie były wcale niebieskie, żółte, ani nawet zielone. Małe paszteciki, koreczki i różnorodne frykasy były jednak artystycznie ułożone w meta–zen–synergistyczne wzory na tacach. Większość z nich przyozdobiona była meta–zen–synergistycznymi deseniami, ale symbolika nie wpływała bynajmniej na smak. Intelktualna elita Northville tworzyła wyrafinowaną grupę. Delektowali się wykwintnym jedzeniem i winem.

Pół godziny później Rafe stał przed abstrakcyjną, minimalistyczną kamienną rzeźbą składającą się z dużego okręgu i trójkąta i wyglądał za niskie kamienne ogrodzenie otaczające ogród.

Z tego dogodnego punktu mógł zobaczyć większość Northville i kampus Instytutu Północnego Badań Synergistycznych im. Patricii Thorncroft. Miasto i prestiżowy zespół naukowców byli ze sobą nierozdzielnie związani. Każdy mieszkaniec Northville był związany z Instytutem w ten, czy inny sposób. Związek ten podkreślał sposób, w jaki architektura domów i sklepów w mieście nawiązywała do meta–zen–synergistycznej elegancji i prostoty budynków instytutu. Efekt całego miasta budynków w stylu meta–zen–synergistycznym był wyjątkowo pogodny, albo kategorycznie wręcz nudny. Jak przypuszczał, interpretacja zależała od filozoficznego podejścia do życia danej jednostki. Fakt, iż panorama wydawała mu się cokolwiek nieciekawa zmusił go do zastanowienia się nad własnym światopoglądem.

– Podziwiasz scenerię, Rafe?

Rafe odwrócił się, by zobaczyć ojca Orchidei, Edwarda Adamsa, który zbliżał się do niego. Dwaj mężczyźni zostali już sobie przedstawieni, ale nie było zbyt wiele okazji do rozmowy przez ceremonią

ślubną.

Edward był znacznie starszy, niż spodziewał się tego Rafe. Profesor był w doskonałej kondycji fizycznej, ale jego włosy były zupełnie srebrne. W jego oczach błyszczała spokojna inteligencja.

Rafe przypomniał sobie, iż Orchidea wspominała, że jest najmłodsza z trojga potomstwa Adamsów, ale nie zdawał sobie sprawy aż do chwili, gdy poznał jej znacznie starszych braci, że urodziła się ładnych parę lat po nich. Zorientował się, że musiała sprawić niespodziankę w więcej niż jeden sposób. Zbuntowana romantyczka w rodzinie meta–zen–synergistycznych intelektualistów.

– Nigdy nie widziałem całego miasta zaprojektowanego przez meta–zen–synergistycznych architektów. – Rafe schrupał małego krakersa ozdobionego zmielonymi, przyprawionymi awdokado–szpargami i serem. – To interesujące.

Edward zachichotał zatrzymując się.

– Tego słowa używa moja córka, gdy chce w uprzejmy sposób wyrazić, że jakieś dzieło sztuki jej się nie podoba.

– Przydatne słowo. – Rafe zerknął w kierunku miejsca, gdzie stała Orchidea gawędząc z Veronicą i jej nowopoślubionym mężem. – Musze pamiętać, żeby jej za nie podziękować.

Edward nadal się uśmiechał, ale jego oczy przybrały ojcowski ostrożny i pytający wyraz.

– Jak rozumiem poznaliście się z Orchideą przez agencję?

– Tak, proszę pana – uśmiechnął się Rafe.

– Agencją ogniskującą, jak sędzę. Zatrudnił ją Pan do rutynowego zlecenia.

To tyle, jeżeli chodzi o nadzieję, że uda mu się przepchnąć to samo małe nieporozumienie, które zadziało na przyjęciu urodzinowym Alfreda G.

– Nie było całkiem rutynowe.

– Nic nie jest, gdy sprawa dotyczy Orchidei. Zawsze była z innej bajki.

– Zorientowałem się od razu.

– Bo ty też jesteś z innej bajki? – Edward przyglądał mu się przenikliwym wzrokiem. – Być może dlatego ciągnie was do siebie?

Rafe przypomniał sobie, że rozmawia z profesorem metapsychiki ze specjalnością w dziedzinie teorii synergistycznej. Trzeba uważać na to, co się mówi w towarzystwie takich ludzi, jak Edward Adams. Za szybko kojarzyli fakty.

– Orchidea i ja mamy ze sobą wiele wspólnego – powiedział lekko Rafe.

– Doprawdy?

– Tak, proszę Pana.

– Powiedziała, że jesteś talentem strategicznym.

Rafe zebrał się w sobie.

– Zgadza się.

Edward rozsunął palce dłoni na zaokrąglonej powierzchni rzeźby, tak jakby struktura kamienia fascynowała go.

– Ty i Orchidea macie bardzo nietypowe profile parapsychiczne.

– Tak, proszę Pana.

– Z powodu tych profili żadne z was nie zostało jeszcze z sukcesem skojarzone przez wasze powszechnie szanowane agencje matrymonialne.

– Jak już mówiłem, Orchidea i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

Ich oczy spotkały się w typowo męskim, wyzywającym spojrzeniu.

– Podejrzewam, iż będąc talentem strategicznym postanowiłeś, że sam dasz radę znaleźć sobie żonę.

Rafe obserwował żywą ciekawość w oczach Edwarda i postanowił, że nie będzie się z nim bawił w żadne gierki.

– Nie mam zbyt wielkiego wyboru. Wydaje mi się, że mój doradca z agencji matrymonialnej spisał mnie już na straty.

Zamiast natychmiastowego potępienia, które byłoby właściwą odpowiedzią na takie szokujące oświadczenie Edward zaledwie pokiwał głową.

– Rozumiem. Tego się właśnie obawiałem.

– Obawiał się Pan czego?

– Ty też jesteś romantykiem.

Rafe prawie zakrztusił się ostatnim kęsem kanapki.

– Jak diabli.

Edward przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę, ale nie odpowiedział. Zamiast tego odwrócił głowę w kierunku niezmiennie spokojnego widoku Northville.

– Nie zamierzam ukrywać, że moja żona i ja jesteśmy w pewien sposób zaniepokojeni przyszłością Orchidei – powiedział w końcu. – Lodowe pryzmaty są bardzo trudne do właściwego skojarzenia.

– Tak.

– Nie jest tak źle, jak było kiedyś – zauważył Edward. – W ostatnich latach prowadzi się nad nimi coraz więcej badań. Orchidea

wzięła udział w jednym z bardziej znaczących projektów.

– Projekt ParaSynergii.

Edward zmarszczył lekko brwi.

– Wiesz o tym?

– Opowiadała mi. Z tego, co zrozumiałem, to doświadczenie nie jest dla niej najmilszym wspomnieniem.

– Nie. – Edward westchnął. – Nie rozumiem, co poszło źle. ParaSynergia to wysokiej klasy centrum badawcze. Przez lata laboratorium nie tylko dostarczyło wielu przełomowych wyników badań z dziedziny biologii paranormalnej, ale przedstawili też kilka niezwykle dochodowych nowinek technologicznych. Ja sam posiadam udziały w ParaSynergii.

– Ja również. – Bardzo dużo, dodał w myślach Rafe, przypominając sobie o portfolio udziałów Funduszu Synergistycznego.

– Dr Gilbert Bracewell, który jest tam szefem laboratorium badawczego, w czasie ostatnich dwudziestu lat odwalił kawał dobrej roboty.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Orchidea nigdy do końca nie wyjaśniła nam, dlaczego ona i dwa inne podmioty badań opuściły projekt dotyczący lodowych pryzmatów, zanim ten został zakończony. Niemniej jednak dowiedziano się wielu rzeczy. – Oczy Edwarda zwięziły się w szparki. – Część tej wiedzy została użyta do zmodyfikowania Multipsychicznej Inwentaryzacji Osobowości Paranormalnej i innych synergistyczno-psychologicznych narzędzi stosowanych w agencjach matrymonialnych.

Rafe uświadomił sobie, że bardzo cywilizowana słowna potyczka między nim i Edwardem zaczyna przybierać niebezpieczny obrót. Ostrożnie dobierał argumenty.

– To nie wynagradza faktu, iż w zasięgu ręki jest bardzo niewiele lodowych pryzmatów – powiedział Rafe. – Agencje nie mają zbyt wielu szans, żeby sprawdzić jak nowa wersja MIOP-u i inne techniki sporządzania profili parapsychoicznych sprawdzają się w drugim okresie czasu.

– Nadal jednak agencyjny związek jest lepszy niż pozaagencyjny.

– To nietypowa sytuacja – Rafe celowo zamilkł na chwilę. – Małżeństwo skojarzone przez agencję może nieść ze sobą tyle samo ryzyka dla Orchidei, co małżeństwo pozaagencyjne.

– Oczywiście, że każde małżeństwo niesie ze sobą element ryzyka. Ale logika i zdrowy rozsądek wskazują, że skojarzone przez agencję

małżeństwo daje większą szansę powodzenia niż to zawarte z powodów, ujmijmy to, bardziej staromodnych.

– Czy bardziej staromodnych to grzeczne określenie na termin prymitywnych? – Rafe spytał bardzo ugrzecznionym tonem.

– Każdy student meta–zen–synergii rozumie, że natura i istnienia ludzkie nie mogą być rozpatrywane z punktu widzenia prymitywności lub wyrafinowania. W rzeczywistości jest przecież tyle rozróżnień i możliwości. Tym, co się liczy to równowaga i kontrola, którą poszczególne jednostki rozwijają nad synergistycznymi mocami działającymi na obu płaszczyznach: fizycznej i metapsychicznej.

– "Walka o zachowanie równowagi i harmonii rządzi wszystkimi naturalnymi procesami" – zacytował miękko Rafe.

– Dokładnie. Doskonała równowaga nigdy nie zostaje osiągnięta. Jest tylko celem, do którego stale dąży każda rozważna osoba. Każda jednostka musi radzić sobie z innym zbiorem synergistycznych mocy w samym sobie. Dlatego walka przybiera inną formę dla każdego z nas.

– Jestem człowiekiem interesu, a nie filozofem. Gubię się w tym profesorze.

– Wręcz przeciwnie. Wydaje mi się, że doskonale mnie rozumiesz.

– Edward uniósł srebrne brwi. – Orchidea mówi, że jesteś bardzo potężnym talentem strategicznym, ale nawet gdyby nie wspomniała nic o twoich paranormalnych umiejętnościach, to wiedziałbym wkrótce po spotkaniu z tobą, że twoje synergistyczne moce są niezwykle silne. Rozwinałeś bardzo wysoki stopień kontroli nad tymi zdolnościami.

– Lubię tak myśleć. Ale na wszelki wypadek staram się nie włączyć po nocach, kiedy księżycy są w pełni.

Ku zdumieniu Rafe'a Edward zachichotał. Wtedy jego brwi raz jeszcze zmarszczyły się z powagą.

– Będę z tobą szczerzy – powiedział. – Byliśmy zmuszeni odbyć z żoną znaczącą kłótnię i wyrzucić, jakby to powiedzieć, kategoryczny nacisk, aby przekonać Orchideę do zarejestrowania się w agencji matrymonialnej w zeszłym roku. Dla jej dobra wolelibyśmy dać szansę na zadziałanie procesowi kojarzenia w agencji.

– Z tego, co rozumiem już raz spieprzyli sprawę.

Edward skrzywił się.

– Wiesz o Prestonie Luce?

– Tak.

– To był... – wzrok Edwarda powędrował przez tłum w kierunku, gdzie stał Preston Luce rozmawiając z innym gościem – godny pożalowania incydent. Obawiam się, że zupełnie zniechęcił Orchideę do korzystania z agencji matrymonialnej. Od początku nie patrzyła na to przychylnym okiem. Wydaje mi się, że pozostawało to w niezgodzie z jej romantycznymi skłonnościami.

– Jak Pan myśli, jak długo jeszcze powinna czekać na przedstawienie jej przez agencję Pana Właściwego?

– Przynajmniej jeszcze przez kilka miesięcy.

Rafe zacisnął usta.

– Rozumiem.

– Bardzo jej pragniesz, prawda?

Pomimo jego rosnącego szacunku dla niesamowitej przenikliwości Edwarda, Rafe został całkowicie zaskoczony śmiałym pytaniem.

– Czy to Pana doświadczenie jako praktyka meta–zen–synergii mówi Panu, że jej pragnę, czy po prostu zwykła intuicja?

– Lata doświadczeń w charakterze mężczyzny i ojca pozwalają mi wypatrzyć ten szczególny wyraz oczu u innego mężczyzny – zripostował Edward. – Zaufaj mi, jeżeli kiedykolwiek będziesz miał córki, rozwiniesz u siebie ten sam instynkt.

Rafe uśmiechnął się wbrew sobie.

– Brzmi prymitywnie.

– Och, tak. Nawet bardzo.

Zapadła krótka cisza. Rafe przełamał ją pierwszy.

– Czy zmieni Pan swój stosunek w tej szczególnej kwestii za parę miesięcy, jeżeli Orchidea w tym czasie nie znajdzie partnera z agencji?

– Mogę nie mieć wyboru – przyznał Edward. – Ale ostatecznie, wybór musi należeć do Orchidei.

– W tym punkcie w pełni się z Panem zgadzam.

Edward długi czas przyglądał się badawczo scenerii rozciągającej się poza granicami ogrodu.

– Wspomniałeś, że ty i moja córka macie ze sobą wiele wspólnego.

– To znaczy poza naszą wspólną niemożnością znalezienia partnera z agencji?

Edward nie uśmiechnął się słysząc tą uwagę.

– Tak. Jakie są według ciebie te wspólne zainteresowania?

– No cóż, muszę być z Panem szczery i powiedzieć, że nie dzielimy

tych samych upodobań w kwestii poezji. Ale z drugiej strony, oboje podziwiamy okres Późnej Ekspansji w architekturze.

Edward jęknął.

– Tak strasznie przeładowany. Wszystko zostało w nim zaprojektowane, aby stymulować emocje i wzbudzić poczucie ciemnego romantyzmu.

Rafe uniósł brew.

– Pana córka pisze powieści romantyczne o psychicznych wampirach.

– Prawda. I to ze sporym sukcesem. – Uśmiech Edwarda, był zaprawiony goryczą. – Mogę tylko powiedzieć, że to nie wywodzi się z mojej części rodziny.

– Prawdopodobnie odziedziczyła to po mojej rodzinie – powiedziała Anna Adams za plecami Rafe'a. – Nie powinnam się do tego przyznawać, ale jest pewna niepoohamowanie romantyczna gałąź w moim drzewie genealogicznym. Skłonności te ujawniają się od czasu do czasu, bez względu na to, jak mocno staramy się to ukryć.

Rafe skłonił głowę.

– Witam doktor Adams.

Matka Orchidei była kilka lat młodsza od męża, ale ona również była starsza, niż spodziewał się tego Rafe. Jej niegdyś ciemne włosy pokrywały siwe pasemka. Miała wyprofilowaną, sprężystą figurę, która charakteryzowała wielu lokalnych praktyków meta-zen-synergii.

– Czy Edward Pana magluje Rafe? – Uśmiechnęła się stając przy mężu. – Jakie to niegrzeczne z jego strony.

– Wszystko w porządku doktor Adams. Zdaję sobie sprawę, że na jego miejscu zrobiłbym to samo.

– Proszę, mów mi Anna. – Jej oczy błyszczały tym samym szelmowskim błyskiem, który pojawiał się w oczach Orchidei, gdy była czymś rozbawiona. – Dwie osoby z tytułem profesora w jednej rodzinie to trochę zagmatwane.

Rafe wzruszył ramionami.

– Przywykłem do tego. Oboje moi rodzice pracują na wydziale na Uniwersytecie w Nowym Seattle.

Edward rzucił mu krótkie, pytające spojrzenie.

– Doprawdy?

– Tak. Na wydziale Teorii Synergistycznej.

W oczach Edwarda pojawił się wyraz ostrożności.

– W rzeczy samej?

Instynkt nakazał Rafe'owi nagle poszukać ponownie w tłumie Orchidei. Zobaczył, że nie rozmawia już z Veronicą. Preston Luce dopadł ją samą przy sporej sadzawce na drugim końcu ogrodu.

– Pan Stonebraker właśnie mówił mi, co jego zdaniem mają wspólnego z Orchideą – powiedział Annie Edward. – Jak do tej pory zakres ten ograniczony został do wspólnych upodobań w zakresie architektury okresu Późnej Ekspansji.

– Jestem pewna, że to nie wszystko, co ich łączy, mój drogi – Anna rzuciła Rafe'owi pytające spojrzenie. – Nieprawdaż?

– Co takiego? – Rafe skoncentrował się na scence, która rozgrywała się przy sadzawce. – O, tak. Racja. Mamy dużo więcej wspólnego. Oboje uwielbiamy wyjadać resztki o trzeciej nad ranem.

– Nie są to najlepsze podstawy do stworzenia trwałego związku – zauważył Edward.

– Zdziwiłby się Pan. – Rafe zaczął obchodzić Edwarda. – Jeżeli mi Państwo wybaczą. Właśnie przypomniałem sobie o czymś, co chciałem powiedzieć Orchidei.

– Gdzie ona jest? – Anna rozejrzała się wokoło. – O, tak, widzę ją. – Kiedy zobaczyła parę stojącą przy basenie, w jej wzroku pojawił się lekki niepokój znacząc pogodną linię brwi. – Rozmawia z doktorem Lucem.

Edward zmarszczył brwi.

– Dlaczego miałyby chcieć z nim rozmawiać?

– Pewnie nie dał jej zbyt wielkiego wyboru – wymamrotała Anna.

– Mam nadzieję, że nie będzie żadnej sceny.

Ta uwaga kazała Rafe'owi zatrzymać się.

– Myślicie, że Luce może chcieć wywołać scenę w samym środku przyjęcia weselnego?

Usta Anny wykrzywiły się w rozbawieniu.

– Oczywiście, że nie. Preston Luce jest na to zbyt wielkim dyplomatą. To Orchidea mnie martwi.

– Orchidea?

– Nigdy tak naprawdę nie przebaczyła mu sposobu w jaki, jak wierzy, wykorzystał ją, by zostać przedstawionym w odpowiednich kręgach tutaj, w Instytucie. Zawsze miałam niemiłe podejrzenie, że nie przepuściłaby okazji do zemsty, gdyby ta sama się jej nasunęła.

– Przesadzasz Anno – powiedział stanowczo Edward. – Orchidea nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zakłócić synergistyczną har-

monię dnia ślubu Veronici. – Ale nie wyglądał na tak pewnego swych racji, jak wskazywały na to jego słowa.

– Zaraz wracam. – Rafe ruszył żwirową ścieżką, która miała zaprowadzić go na przeciwny koniec ogrodu.

– Poczekaj, jest jeszcze jedna, ee, sprawa, o którą chciałem cię spytać – zawołał za nim Edward. – Na wszelki wypadek, gdyby moja córka nigdy nie otrzymała następnego kandydata z agencji...

Rafe zatrzymał się. Odwrócił się wolno. – O co chodzi?

– To bardzo staromodne pytanie – Edward uśmiechnął się cierpko. – Mam nadzieję, że zrozumiesz. Właściwie w jaki sposób zarabiasz na życie?

– Jestem szczęśliwy mogąc Pana zapewnić, że mam na oku całkiem dobrą posadę. Niezłe zyski, doskonały plan emerytalny, pełen zestaw. Zaczynam za dwa miesiące.

– A co to właściwie za praca?

– Zostanę nowym dyrektorem Generalnym Stonebraker Shipping.

Edwardowi opadła szczeka. W jego oczach zamigotało zrozumienie.

– Dobry Boże. Chcesz powiedzieć, że jesteś z tych Stonebrakerów?

– Zamknij usta kochanie – zamruczała Anna. – Ten godny pożałowania wyraz twarzy sugeruje brak harmonijnej równowagi w osi twojej osobistej synergii.

Rafe nie czekał w pobliżu, żeby zobaczyć, czy Edward zamknął usta. Był zbyt zajęty torowaniem sobie drogi w stronę sadzawki na drugim końcu ogrodu, gdzie stała Orchidea z Prestonem Lucem. Niektóre z jego prymitywnych instynktów szaleńczo były na alarm.

Preston nie pachniał właściwie. Ta świadomość zaciekała Orchideę. Na pewno nie pachniał źle. Był tak samo czysty i zadbany jak reszta gości. Ziołowy zapach jego mydła i lekko cierpki zapach drogiej wody po goleniu były dostatecznie przyjemne. Ale nie pachniał we właściwy sposób, tak jak Rafe.

Zastanawiała się, czy częste ogniskowanie dla talentu strategicznego wyostrzyło niektóre z jej podstawowych zmysłów. Zapach Prestona nie był nie do odparcia, ale musiała przyznać, że był tak samo przystojny, jak zawsze. I dobrze ubrany. Kanty jego białych spodni opadały płynnie w kierunku białych butów. Droga, elegancka marynarka była wcięta w pasie na tyle, aby podkreślić kondycję fizyczną

udoskonalaną regularnie ćwiczeniami meta–zen–synergistycznymi.

Podejrzewała, że Preston praktykował meta–zen–synergie, bo była modna na wydziałach Instytutu Północnego, a nie dlatego, że był zainteresowany osiągnięciem osobistej równowagi. Niemniej jednak, miał talent do robienia dobrego wrażenia na zewnątrz. Biały golf, który nosił pod marynarką dodawał mu meta–zen–synergistycznego szyku. Prostota, wyrafinowanie i klasyczna równowaga.

– Dobrze cię znowu widzieć. – Preston uśmiechnął się uśmiechem upadłego anioła. – Nie pokazywałaś się tu za często w czasie ostatniego roku. Tęskniłem za tobą.

– Szczerze wątpię – powiedziała Orchidea. – Myślę, że byłeś zbyt zajęty zabezpieczaniem dotacji i wspinaniem się po akademickiej drabinie kariery w Instytucie Północnym, żeby zauważyć, czy przebywam gdziekolwiek w pobliżu.

– Sprawy układają się raczej pomyślnie. – Preston nigdy nie cenił szczególnie cnoty skromności. – Jestem teraz współpracownikiem na wydziale badań synergistycznych. Za parę lat pewnie przejmę katedrę.

– Nie wątpiłam w to ani przez chwilę.

Preston sączył niebieskie wino i swobodnym gestem wsunął jedną rękę do kieszeni elegancko wyprasowanych białych spodni.

– Jak rozumiem twoje opowiadki o wampirach psychicznych zrobiły się całkiem popularne.

Zagryzła zęby słysząc protekcyjny ton w jego głosie.

– Jestem ostrożną optymistką zakładając, że da się z tego wyżyć.

– Sam żadnej nie czytałem.

– Jakoś mnie to nie dziwi.

– Powiem ci coś. Może dasz mi jedną zanim wyjdę? – Preston mrugnął pobłaźliwie. – Będę szczęśliwy móc na nią zerknąć i przekazać ci moje uwagi.

– To szalenie uprzejme z twojej strony, ale wydaje mi się, że działasz zgodnie z zupełnie fałszywym założeniem Preston.

– Słucham?

Posłała mu najjaśniejszy ze swoich uśmiechów.

– Zakładasz, że chcę lub cenię twoją opinię na temat mojej książki. Nie chcę i nie ceniłabym jej. Zresztą i tak wątpię, żebyś miał czas ją przeczytać.

Preston zmarszczył brwi lekko skonsternowany faktem, że konwersacja nie przebiega dokładnie w taki sposób, jaki zaplanował.

Wyraz jego twarzy rozpogodził się jednak szybko. Z typową dla siebie towarzyską poprawnością podchwycił temat.

– Masz rację w kwestii czasu. Mam dostatecznie dużo problemów z byciem się na bieżąco w kwestii literatury fachowej i wydziałowych notatek. Nie wspominając już o czasie, jaki trzeba poświęcić na zdobywanie funduszy.

– I niebiosa tylko wiedzą, ile czasu trzeba jeszcze poświęcić na uwodzenie nowych, atrakcyjnych asystentek, co samo w sobie zasadzie stanowi pełnoetatową pracę, prawda?

Eleganckie brwi Prestona zmarszczyły się lekko. Orchidea pomyślała, że czegoś od niej chce. Fakt, że nie poszukał żadnej wymówki, by zakończyć rozmowę, był wystarczająco znaczącą wskazówką.

– No i jeszcze ten nieustanny wysiłek, aby opublikować prace asystentów pod własnym nazwiskiem.

Gniewnie zmarszczył brwi.

– Publikuję rezultaty prac wykonywanych pod moim nadzorem. Mam prawo umieszczać swoje nazwisko na publikacjach.

– I nie możemy pominąć ilości czasu, który poświęcasz na dyskretne lizanie tyłków, aby zapewnić finansowanie twoim projektem.

Preston poczerwieniał.

– Chwileczkę, ściagam do tego instytutu kupę kasy i nie zapominaj o tym. Pieniądze z dotacji to źródło życia dla Instytutu.

– A ty używasz trochę parahipnotycznej charyzmy, a nie swoich osiągnięć, żeby je dostać. Powinieneś zostać politykiem Preston.

Oczy Prestona pociemniały z furii. Zrobił krok w jej kierunku.

Jeszcze parę centymetrów, błagała w myślach Orchidea. Jesteś prawie na brzegu sadzawki. Jeszcze tylko odrobinę dalej.

Ale właśnie wtedy, gdy miała nadzieję, że jego temperament uczyni go mniej ostrożnym na śliskich kamieniach przy brzegu sadzawki, Prestona odprężył się nagle, a na jego twarzy pojawił się wyraz delikatnej troski.

Orchidea poczuła pulsowanie psychicznej energii i wiedziała, że próbuje użyć wobec niej swojego talentu. Ograniczał go brak przyzmatu, ale wiedziała, że nawet bez pomocy kogoś, kto pomógłby dla niego ogniskować, może intensywnie pracować przez kilka sekund.

Cofnęła się krok do tyłu.

– Zachowaj to dla swoich biznesowych szych, które chcesz naciągnąć na duże pieniądze. Muszę przyznać, że mały przyływ talentu charyzmatycznego sprawia, że twój garnitur i zęby wyglądają na bar-

dziej lśniące i jasne, ale ten efekt nie działa długo na kogoś, kto cię dobrze zna Preston.

– Jesteś zgorzkniała – powiedział delikatnie.

– Nie, w zasadzie to jestem na ciebie wkurzona.

– Z powodu tego, co stało się w zeszłym roku?

– Bo mnie wykorzystałeś, do diabła. Wiem, że sfałszowałaś swoje papiery rejestracyjne w agencji matrymonialnej. A może posunałeś się nawet do tego, żeby przekupić doradcę w Podobieństwie.

– Nie możesz tego udowodnić.

– Co nie znaczy, że nie wiem, że to prawda.

– Dlaczego jesteś tego taka pewna? – chciał wiedzieć.

– Bo nie ma takiej możliwości, żebyśmy zostali kiedykolwiek ze sobą skojarzeni – rzuciła mu triumfalny uśmiech. – Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego.

– Ach, teraz już rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi – Preston rzucił jej pełne współczucia spojrzenie. – Jesteś zazdrosna. Chcesz mnie odzyskać.

– Zwariowałaś? – Przerwała nagle widząc zbliżającego się w jej stronę Rafe'a.

Coś w jego drugich, posuwistych krokach wywołało w niej uczucie niepokoju. Nie musiała znajdować się ani trochę bliżej niego, żeby poczuć emanującą z niego energię. Zastanawiała się czy jej ojciec go zameczył.

Preston odwrócił się lekko, by podążyć za jej wzrokiem. Jego twarz rozpogodziła się.

– Popatrz, to chyba twój przyjaciel, Stonebraker, prawda?

Pospiesznie ukryty wyraz oczekiwania na jego twarzy odpowiedział Orchidei na jedno pytanie. Teraz już wiedziała, dlaczego Preston jej szukał dzisiejszego popołudnia. Chciał się dostać do Rafe'a. W typowy dla siebie sposób wykorzystał ją, by osiągnąć swój cel.

– My się chyba nie znamy – Preston wyciągnął rękę, gdy Rafe zatrzymał się przy nim. – Jestem doktor Preston Luce. Profesor Nadzwyczajny na Wydziale Badań Synergistycznych, tutaj w Instytucie. Jak rozumiem jest Pan przyjacielem Orchidei.

Orchidea poczuła więcej energii promieniującej na płaszczyźnie psychicznej. W atmosferze drgało silne uderzenie energii talentu charyzmatycznego. Uśmiech Prestona nagle emanował takim ciepłem i urokiem, że byłby wstanie rozjaśnić ciemny pokój. Orchidea zauważyła, że Rafe wygląda na zupełnie uodpornionego. Pomyślała,

że może talenty strategiczne wytwarzały swego rodzaju odporność na charyzmę. W końcu myśliwy nie mógł dać się oczarować swojej ofierze.

– Nie jest Pan przypadkiem spokrewniony ze Stonebrakerami z firmy Stonebraker Shipping? – spytał niewinnie Preston.

– Zabawne, że Pan o to pyta – powiedział Rafe.

Orchideę zaalarmował niski, wabiący tembr jego głosu. Ale zanim mogła zareagować, poczuła poruszenie innego silnego talentu na płaszczyźnie metapsychicznej. Tym razem talentu strategicznego.

– Ojej – wymruczała.

Moc migotała w powietrzu, niewidzialna i niebezpieczna.

Preston zmarszczył brwi. Potem mrugnął i zastygł na chwilę, jak łosio–jeleń w świetle reflektorów samochodu. Orchidea знаła to uczucie. Szybko porzuciła swój prosty plan zemsty. Jedną rzeczą było zaaranżowanie upadku Prestona do sadzawki. Tego rodzaju wydarzenie mogło uchodzić za wypadek. Ale już zupełnie inną sprawą była pełnowymiarowa burda w samym środku wesela Veronici. Rodzice nigdy by jej tego nie wybaczyli.

Zadziałała szybko, chcąc zapobiec katastrofie. Wbiła jeden zgrabny obcas prosto w palec stopy Rafe'a obutej w skórzany czarny but.

– Dziadek Rafe'a jest obecnym dyrektorem generalnym Stonebraker Shipping – powiedziała beztrąsko. – Czy nie tak, Rafe?

– Tak. – Rafe odciął niewielkie fale talentu, które wysyłał i uwolnił swoje palce spod obcasa Orchidei. Ale nadal patrzył się na Prestona tęsknym wzrokiem głodnego drapieżnika.

Preston zamrugał ponownie, bardzo szybko, wyraźnie zdezorientowany. Potrząsnął głową i z tak widocznym wysiłkiem próbował zebrać się do kupy, że Orchidea prawie upewniła się, iż nie zdawał sobie sprawy, co się właśnie wydarzyło. Z trudem wyczarował kolejny układny uśmiech.

– Pański dziadek. Zastanówmy się, to zapewne Alfred G. Stonebraker.

– Ustąpi ze stanowiska za dwa miesiące – powiedział Rafe. – Ja przejmę kontrolę nad firmą.

Oczy Prestona rozwarły się lekko. Zaraz jednak zwięzły się w wyrazie spekulacji.

– Naprawdę?

– Tak – powiedział Rafe – w rzeczy samej.

Orchidea popatrzyła na Rafe'a ze zdeterminowanym wyrazem

twarzy.

– Czas pokręcić się nieco wśród gości.

– Ty leć – powiedział Rafe – ja dołączę do ciebie za minutkę. Chcę przez chwilę porozmawiać z doktorem Lucem.

Orchidea zamknęła oczy. Sprawy wymykały się spod kontroli.

– Uch, Rafe, nie sędzę, żeby to był taki dobry pomysł.

– Firma Stonebrakarów, jasne – powiedział radośnie Preston. – Dlaczego nie pobiegiesz do swoich zajęć, a my dwaj poznamy się lepiej.

– Nie wiesz, co robisz Preston – ostrzegła Orchidea.

– Oczywiście, że wiem – zbył ją machnięciem ręki. – Nie martw się. Zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjściem.

Orchidea pomyślała, że jest zwierzyną przy źródelku. Błogo nieświadoma, że z krzaków skrada się ku niemu drapieżnik. W każdych innych okolicznościach byłaby bardziej niż szczęśliwa mogąc pozostawić go własnemu losowi. Ale to było wesele Veronici.

Posłała Rafe'owi surowe spojrzenie.

– Żadnych scen. Myśl o młodej parze.

– Żadnych scen – przyrzekł radośnie. – Za bardzo prymitywne. – Nie odrywał uwagi od Prestona.

Orchidea poddała się. Odwróciła się i pośpieszyła zwirową drużką w kierunku bezpiecznego schronienia w postaci stada gości.

Kiedy dotarła do głównego zbiorowiska gości weselnych podeszła prosto do baru. Nie ośmieliła się spojrzeć za siebie, aby zobaczyć, co dzieje się na dalekim końcu ogrodu.

– Co mogę Pani podać? – spytał grzecznie kelner.

– Wielki kieliszek czegokolwiek, co masz pod ręką.

Młody mężczyzna zerknął za siebie w stronę części ogrodu, gdzie była kilka minut temu. Obserwował Prestona Luce rozmawiającego z Rafem. Na jego twarzy pojawił się wyraz współczucia.

– Tak proszę Pani.

Sięgnął po butelkę drogiego szampana, nalał kieliszek i postawił przed nią.

Orchidea usłyszała zbiorowe westchnienie zdumienia dochodzące z tłumu, kiedy upijała właśnie pierwszy łyk. Skuliła się. Mogła mieć tylko nadzieję, że Veronica kiedyś jej wybaczy. Pociągnęła długi, dodający odwagi łyk szampana i zebrała się w sobie. Z poczuciem głębokiego fatalizmu odwróciła się. Wszyscy gapili się na scenę, która rozgrywała się nad sadzawką. Rafe stał na brzegu jeziora. Z dogod-

nego punktu obserwacyjnego Orchidei nie można było dostrzec wyrazu jego twarzy, ale cała jego postura emanowała łagodną troską i chęcią pomocy. Preston chwiejnie stawał na nogi pośrodku płytkiej sadzawki. Jego biały garnitur był przemoknięty i umazany błotem. Zignorował rękę, którą wyciągał w jego kierunku Rafe. Pod czujnym okiem Orchidei i reszty obserwatorów Preston brnął chlapiąc na około w przeciwnym kierunku i wygramolił się z wody na drugim końcu sadzawki. Niezgrabnie przedostał się przez niskie kamienne ogrodzenie otaczające ogród i ulotnił się w kierunku parkingu.

Nikt się nie śmiał. To byłoby bardzo nie meta-zen-synergistyczne. Zgromadzony tu wydział i pracownicy Instytutu Północnego byli zbyt wyrafinowani na takie zachowanie. Ale nikt nie wydawał się zbyt zaniepokojony wypadkiem Prestona. W zasadzie, szmer konwersacji, który przeszedł przez tłum wydawał się Orchidei podejrzenie radosny. Czekwała ze stoickim poczuciem nieuchronności, patrząc jak Rafe wraca do tłumy świadków zdarzenia zatrzymując się to tu, to tam, żeby odpowiedzieć na jakieś pytanie.

W miarę jak zbliżał się do niej, mogła usłyszeć, co mówi.

– Pośliznął się i upadł. Kamienie w pobliżu sadzawki były mokre. Trzeba być bardzo ostrożnym...

Kiedy do niej dotarł zobaczyła w jego oczach błysk satysfakcji. Przypominał jej wilko-wyżła wracającego z polowania na króliko-myśzy, aby położyć zdobycz u stóp swego pana. Język nie zwisał mu wprawdzie z ust, ale mogła z całą pewnością powiedzieć, że jest mocno przyciśnięty do policzka. Miała wielką ochotę poklepać go po głowie.

Kelner bez pytania podał mu kieliszek niebieskiego szampana.

Rafe przyjął kieliszek i zaskoczony skinął głową.

– Dzięki.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Kelner popatrzył mu w oczy. – Chociaż tyle mogę zrobić w zamian za rozkosz oglądania profesora Luce'a gramolącego się z sadzawki. To pewnie jedyny rodzaj zemsty, jaki będzie udziałem wielu z nas.

Rafe wyglądał na grzecznie zainteresowanego.

– Zemsty?

– Opiekuję się dziś barem, żeby zarobić coś ekstra. Ale tak na co dzień jestem asystentem na wydziale profesora Luce'a w Instytucie. W zeszłym miesiącu opublikował opracowanie podsumowujące wyniki mojej rocznej pracy w Przeglądzie Teorii Synergistycznej. Moje-

go nazwiska nie umieścił nawet na liście asystentów, którzy pomagali przy projekcie.

– Chwileczkę – powiedział Rafe. – Sugerujesz, że celowo wrzuciłem Luce'a do tej sadzawki. Zapewniam cię, że to był wypadek.

Kelner uśmiechnął się.

– Każdy student meta–zen–synergii wie, że nie ma prawdziwych wypadków. – Nie czekając na odpowiedź odwrócił się w stronę baru, by nalać wina kolejnemu gościowi.

Kątem oka Orchidea zauważyła idących w jej kierunku rodziców. Pochyliła się nad ladą baru i wypila kolejny łyk szampana.

– Mówisz, że to wypadek? – wymruczała.

– Stracił równowagę i upadł. To mogło się zdarzyć każdemu.

Orchidea poczuła się nagle absurdalnie wręcz zadowolona.

– Preston nie wpadł do tej sadzawki przez przypadek.

Rafe posłał jej uśmiech pełen wyższości.

– Pamiętaj o drugiej Zasadzie Północy: Walka o zachowanie równowagi i harmonii rządzi wszystkimi naturalnymi procesami.

Koło Orchidei pojawiła się Anna. Uśmiechała się pogodnie do Rafe'a.

– I wygląda na to, że w imię żywej ilustracji tej ważnej zasady – powiedziała – profesor Luce po prostu walczył, żeby zachować synergistyczną równowagę.

Orchidea oniemiała widząc nieskrywane uczucie satysfakcji w oczach swojej matki.

– Mamo?

– Tak, wiem moja droga. To nie jest zbyt meta–zen–synergistyczne znajdować taką przyjemność w oglądaniu upadku Prestona do sadzawki. Ale każdy ma jakieś małe potknięcia. Tylko nie mów ojcu.

– Nie sędzę, żeby Preston wpadł do tej sadzawki. – Orchidea zerknęła na Rafe'a. – Myślę, że ktoś mógł mu w tym trochę pomóc.

– Bzdura – powiedział Edward przepychając się, by dołączyć do małej grupy. – Twoja matka ma rację. Po prostu Preston otrzymał ostrą lekcję synergistycznej równowagi. Nieprawdaż, Panie Stonebraker?

Rafe filozoficznie wzruszył ramionami.

– Jak mówią ludzie, synergia się zdarza.

Rozdział 17

Krótko po północy Rafe obudził się z nagłą, wszechogarniającą świadomością, że Orchidea nie śpi. Przewrócił się na bok automatycznie sięgając po nią, zanim przypomniał sobie, że nie było jej przy nim. To była sypialnia dla gości w domu jej rodziców. Ona była w innym pokoju w dalszej części korytarza.

Wcześniej tego samego wieczoru Edward wyjaśnił, że żadne dwa domy w Northville nie są zupełnie identyczne, ale wszystkie zostały zbudowane zgodnie z tymi samymi meta-zen-synergistycznymi, ascetycznymi wytycznymi.

Dominowały zasady prostoty, harmonii i równowagi. Dom Adamsów był łagodnie zaprojektowaną strukturą zbudowaną wokół okrągłego dziedzińca. Każdy pokój miał przeszklone ściany, które otwierały się na centralnie umieszczony ogród.

Rafe zepchnął z siebie nakrycia i wstał. Ruszył w stronę drzwi i ponieważ przypomniał sobie o spodniach. Coś mówiło mu, że to byłoby bardzo nie meta-zen-synergistyczne, gdyby został przyłapany, jak nocą nagi włóczy się po korytarzu szukając pokoju Orchidei. Co poniekąd mogliby uznać takie zachowanie za jawnie prymitywne.

Wciągnął spodnie, zapiał pasek i ruszył do drzwi.

W pół drogi zatrzymał się ponownie. Nie wyczuwał jej obecności w pokoju w dalszej części korytarza. Uwolnił zmysły w krótkim przeblysku paranormalnej energii, pozwalając im wchłaniać wibracje uśpionego domu. Dwoje ludzi w sypialni na dalekim końcu korytarza. Pan i Pani Adams. Ale nie wyczuwał żadnej obecności w drugiej sypialni.

Orchidea była gdzie indziej. Odwrócił się powoli, wsłuchując się w nią wszystkimi zmysłami. Była na zewnątrz w ogrodzie na dziedzińcu.

Podszedł do przeszklonej ściany swojej sypialni i zerknął na spowitą zasłoną nocy scenerię. Orchidea siedziała w zagłębieniu oświetlonej światłem księżyców skały do medytacji. Objęła ramionami podciągnięte kolana. Fałdy białej sukni spływały wokół niej.

Uśmiechnął się sam do siebie. Ta dama rzeczywiście miała wyczuwanie romantyzmu. Otworzył szklane drzwi i wstąpił w balsamiczną noc.

Równocześnie wypuścił psychiczną sondę na płaszczyznę metapsychiczną.

Krótkie uczucie dezorientacji trwało zaledwie kilka sekund. Kiedy wszystko się uspokoiło zobaczył kryształowo przejrzysty pryzmat, który stworzyła dla niego Orchidea. Posłał przez niego moc, patrząc jak migocze, kiedy manewrowała różnymi fasetkami, by skupić jego talent z perfekcyjną przejrzystością.

Noc wokół niego otworzyła się.

Przez chwilę delektował się zwiększoną świadomością, wiedząc, że poprzez połączenie Orchidea też może cieszyć się tymi samymi wrażeniami.

Potem odciął dopływ talentu i przeszedł przez meta–zen–synergistyczny ogród do miejsca, gdzie czekała na niego Orchidea. Zastanawiał się, jak wiele czasu zajmie jej jeszcze zrozumienie, że jest jego prawdziwą towarzyszką życia.

Wiedział, że jest świadoma jego obecności, ale nie powiedziała nic aż do chwili, gdy dotarł do skały, na której siedziała. Wtedy odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Wepchnąłeś Prestona do tej sadzawki dla mnie, prawda?

– Dlaczego wszyscy są tak świecie przekonani, że to ja wepchnąłem Luce'a do sadzawki? Powtarzam ci, że pośliznął się i wpadł.

Zignorowała tą uwagę.

– Skąd wiedziałeś, że tak bardzo chciałam, żeby wpadł do tej sadzawki?

– Uświadomiłem to sobie w oślepiającym przeblysku świadomości – zajął miejsce na skale, obok niej.

– Mówię poważnie – powiedziała. – Skąd wiedziałeś?

– Telepatia?

Zbyła ten wniosek zirytowanym ruchem jednej ręki.

– Powiedz mi, skąd wiedziałeś?

Był zdziwiony nagłą potrzebą w jej głosie.

– Nie było zbyt wiele opcji. To znaczy, byłaś zaledwie parę kroków od sadzawki, z Lucem w zasięgu pchnięcia ręką. W twoich oczach była iskra, którą zdążyłem już dobrze poznać. Wiedziałem już, że nie przepadasz za facetem. Nie potrzebowałem telepatii, aby wykombinować, o czym myślisz.

– Rozumiem.

– Ale synergistyczny efekt był bardzo podobny do telepatii. – Odkrył, że kamienie do medytacji były bardziej wygodne, niż mogłoby

się wydawać. Usiadł na wydrażonym siedzisku, wyciągnął się i oparł ciężar ciała na łokciach. – Dlaczego tak martwi cię myśl, że możemy rozwijać pewien rodzaj psychicznej więzi, która wykracza poza wspólne ogniskowanie?

Milczała przez chwilę.

– Spędziłam całe życie będąc inną niż wszyscy. Nie jestem pewna, czy chcę być jeszcze bardziej inna, niż już jestem.

– Rozumiem, dlaczego mogłaś czuć się trochę nie na miejscu tutaj, w Northville – przyznał.

– Nie zrozum mnie źle. Kocham moją rodzinę. Cenię to, czego się tutaj nauczyłam. Cieszę mnie nawet wizyty u moich krewnych. Northville będzie zawsze częścią mnie, ale ja tutaj nie należę.

– Rozumiem.

– Zawsze wiedziałam, że zawiodłam wszystkich nie podejmując kariery w Instytucie Północnym tak jak moi bracia i kuzyni.

– Hej, chcesz dyskutować o rozczarowywaniu innych ludzi? – Rafe usłyszał jak za nimi otwierają się szklane drzwi sypialni Anny i Edwarda, ale nie odwrócił się. – Spróbuj odejść ze Stonebraker Shipping, kiedy cała rodzina spodziewa się, że zaczniesz pracować w firmie od dnia ukończenia collegu.

– Mogę sobie wyobrazić, co musiałeś wtedy czuć. Ale teraz wracasz, zamknąłeś krąg. Ja nie mogę tego zrobić. Nie mogę tu wrócić. Nie na stałe.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedziała miękko Anna z cienia po drugiej stronie sadzawki. – Znajdujesz swoją własną równowagę w życiu.

Orchidea odwróciła głowę.

– Tak myślisz? – Uśmiechnęła się blado. – To bardzo meta–zen–synergistyczne mówić takie rzeczy, mamo. Wiesz, zawsze wiedziałam, że te rzeczy mogą się do czegoś przydać.

– Święta prawda. – Edward opadł na jeden z gładko ukształtowanych kamieni. – A nawiązując do ważnych filozoficznych pytań, to co się tu dzieje? Jest prawie pierwsza rano.

– Nie mogłam spać – powiedziała Orchidea.

– Wiedziałem, że nie może spać, więc przyszedłem tutaj sprawdzić, co porabia – wyjaśnił Rafe.

Edward spojrział na niego z niespodziewaną ostrością.

– Skąd wiedziałeś, że Orchidea nie może spać?

– Nie pytaj – powiedziała szybko Orchidea. – Rafe uważa, że roz-

wijamy pewnego rodzaju telepatię.

Zamiast zachichotać w reakcji na to niedorzeczne oświadczenie Edward po prostu skinął głową. Rafe pomyślał, że wygląda na dziwnie zrezygnowanego.

– Tego się obawiałem – powiedział Edward.

W świetle księżyców twarz Anny wyrażała zadumę.

– Trzeba zaakceptować, to co jest nieuniknione, mój drogi. Siły synergii same dążą do równowagi, z naszą lub bez naszej pomocy.

Orchidea gniewnie zmarszczyła brwi patrząc na rodziców.

– A co to u diabła miało znaczyć? Nie mówcie mi, że wy dwoje naprawdę wierzycie w telepatię? Wszyscy wiedzą, że to bzdury. To metapsychiczna niemożliwość. Energia psychiczna nie działa w ten sposób.

– Nie mów czegoś takiego dwojgu ludziom, którzy są małżeństwem tak długo jak ojciec i ja – powiedziała Anna.

Orchidea zmarszczyła nos.

– W porządku. Przyznaję, że ty i tata możecie dokańczać za siebie zdania i znacie wszystkie opowiadane przez siebie dowcipy. Ale to nie to samo, co telepatia.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała Anna gładko. Spojrzała na Rafe'a. – Co sprawiło, że wepchnąłeś Prestona Luce'a do tej sadzawki dziś popołudniu?

Orchidea uśmiechnęła się, Rafe rozłożył ręce.

– Dlaczego wszyscy sadzą, że wrzuciłem Luce'a do tego jeziora?

– Ponieważ – powiedziała Orchidea z udawaną cierpliwością – widzieliśmy jak Preston wydostaje się z sadzawki, dlatego. Był cały przemoczony. Możesz robić te wszystkie meta–zen–synergistyczne komentarze o równowadze i harmonii, ale ja wiem, że nie wpadł do tej sadzawki przez przypadek.

Rafe obserwował błyszczące inteligencją twarze trzech osób, które dzieliły z nim nocną pogawędkę.

– Czy ktoś naprawdę widział, jak wrzucałem, popchnąłem lub cokolwiek innego zrobiłem Prestonowi Luce'owi, żeby wpadł do tej sadzawki?

Orchidea wymieniła spojrzenia z rodzicami.

– Nie – powiedziała wolno Anna. – Nie wydaje mi się, żebym rzeczywiście była świadkiem tego zdarzenia.

– Ja też nie – przyznał Edward. – Ta część ogrodu była znacznie oddalona od miejsca, gdzie stała większość z nas.

Orchidea spojrzała na Rafe'a.

– W porządku. Właściwie to nie widziałam, żebyś to zrobił, ale to jedyne logiczne wyjaśnienie. Dlaczego tak się o to spierasz?

– Bo jest mi przykro, że wszyscy zakładają, że ponieważ jestem talentem strategicznym, to mógłbym zrobić coś tak nieokrzesanego i w złym guście, jak wepchnięcie faceta do sadzawki w trakcie czyjegoś wesela.

– Nie Rafe – zaczęła Orchidea. – To niedokładnie to, co...

– Twoje założenie dotyczące tego, co wydarzyło się między Lucem a mną tylko pokazuje, że wyrafinowani, inteligentni i wykształceni ludzie mają jakieś błędne wyobrażenie o talentach strategicznych. Nic dziwnego, że facet taki jak ja, nie może znaleźć agencyjnej randki. Spróbuj być stereotypowym przykładem prymitywizmu.

Na ogrodowym dziedzińcu zapadła pełna napięcia cisza. Rafe bawił wyraz zażenowania i konsternacji na twarzach Edwarda i Anny. Posłał wszystkim jeden ze swoich najbardziej niewinnych uśmiechów.

Orchidea wywróciła oczami.

– Może masz rację – powiedziała Anna, z ponurym, lekko zaniepokojonym wyrazem twarzy. – Nie lubię tego przyznawać, ale wysnułam wniosek, że Preston Luce nie wpadł do tej sadzawki przez przyodek. Nie żebym narzekała, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

– Z pewnością zasłużył na to i na dużo więcej – zgodził się Edward – ale masz rację Rafe. Nie powinniśmy byli zakładać, że zrobiłbyś coś tak... cóż, tak fizycznego, tylko dlatego, że jesteś talentem strategicznym.

– To wasza córka zamierzała go wepchnąć do sadzawki – powiedział Rafe. – Sami ją spytajcie.

Anna i Edward odwrócili się w jej stronę.

– Czy to prawda? – spytała Anna z oczami lśniącymi rozbawieniem.

– Taaa – Orchidea westchnęła głęboko. – Wykombinowałam, że przynajmniej to mogę zrobić w zaistniałych okolicznościach. Nie obchodzi mnie, jak dobry jest Preston w zdobywaniu funduszy, jest wrednym małym oszustem i naciągaczem.

– Z żalem muszę przyznać, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy doszedłem do tego samego wniosku – wyznał niechętnie Edward.

– Co więcej, wiem, że sfalszował swój profil parapsychiczny w rejestracji w agencji matrymonialnej w zeszłym roku, tak żeby mnie z

nim skojarzono. A może przekupił doradcę. Nadal nie jestem pewna, którą wybrał opcję. Tak czy siak, jego jedynym celem było dostanie się do odpowiednich kręgów towarzyskich Northville tak, żeby mógł wykorzystać swój talent charyzmatyczny dla zdobycia posady. I niech mnie diabli wezmą, jeżeli mu się nie udało.

– Twój ojciec i ja mieliśmy pewne podejrzenia w tej sprawie – przyznała Anna. – Niestety nie ma na to dowodów.

– Wiem – Orchidea uśmiechnęła się. – Dlatego właśnie rozważałam tak prymitywną zemstę, jak wepchnięcie go do sadzawki. Ale nie miałam okazji, dzięki Rafe'owi. Wtrącił się, zanim mogłam doprowadzić sprawę do końca. A teraz twierdzi, że końcowy rezultat nie był nawet prawdziwą zemstą, tylko wypadkiem.

– Celowe wepchnięcie Luce'a do jeziora byłoby dziecinne i nie-dojrzałe – wskazał Rafe.

– Ale zabawne – powiedział Orchidea.

Anna potrząsnęła głową.

– To tyle, jeżeli chodzi o twój meta-zensynergistyczny trening – spojrzała na Rafe'a. – Więc nadal trzymasz się swojej teorii? Preston naprawdę wpadł do tej sadzawki przez przypadek?

– W pewnym sensie – powiedział Rafe.

Orchidea skwapliwie podchwyciła jego ostatnie słowa.

– Aha. Wiedziałaś, że to musiało być coś więcej. Co dokładnie stało się nad sadzawką tego popołudnia?

– Jeżeli już musisz wiedzieć, profesor Luce zamachnął się na mnie. Stracił równowagę, kiedy spudłował. Tak właśnie wpadł do sadzawki.

Wszyscy troje gapili się na niego z otwartymi ustami.

Orchidea doszła do siebie pierwsza.

– Preston próbował cię uderzyć?

– Na szczęście jedną z zalet bycia talentem strategicznym jest posiadanie doskonałego refleksu – wymruczał Rafe. – Zdażyłem się usunąć.

– Ale dlaczego na Świętą Helenę Luce próbowałby cię uderzyć? – Edward gapił się na niego, nadal kompletnie oniemiały. – Nigdy nie zauważyłem w nim żadnego pociągu do przemocy. Zresztą, do dzisiejszego dnia nigdy cię nawet nie spotkał.

– Prawdopodobnie wkurzył się, bo powiedziałem mu, że kiedy przejmę kontrolę nad Stonebraker Shipping planują zrewidować wysokość dotacji, jaką otrzymał z darowizny Stonebrakerów dla Insty-

tutu Północnego.

Orchidea wpatrywała się w niego zdumiona.

– Co zrobiłeś?

– Mało delikatnie zasugerowałem też, że mam wpływy pozwalające mi dopilnować, żeby każdy projekt wymieniający jego nazwisko, jako głównego analityka został natychmiast przekazany komuś innemu spośród załogi instytutu.

Zapadła pełna zdumienia cisza. Rafe z rozbawieniem obserwował wpływ, jaki na pozostałej trójce wywarło jego ostatnie oświadczenie.

– Mój Boże – wyszeptła Orchidea. – Groziłeś, że pozbawisz go ogromnej części jego dotacji.

– Niezupełnie groziłem – powiedział ostrożnie Rafe. – Właściwie to mu to obiecałem. Ostrzegłem go także, że jako dyrektor generalny Stonebraker Shipping będę miał pewien wpływ na decyzje innych szefów firm, które wspierają instytut.

– To tyle, jeżeli chodzi o bycie prymitywnym. – Twarz Edwarda wykrzywiła się w dziwnym grymasie. – Co za idealna meta–zen–synergistyczna zemsta.

– Dziękuję – powiedział Rafe. – Lubię myśleć, że nie jestem całkowicie ofiarą moich prymitywnych genów.

Wyraz twarzy Edwarda stawał się coraz dziwniejszy. A potem nagle wybuchnął śmiechem.

Oczy Anny błyszczały humorem. Zasłoniła jedną ręką usta i wybuchła stłumionym chichotem.

Orchidea jako jedyna nie wyglądała na rozbawioną. W jej oczach wyraźnie było widać nieufność.

– Przypuszczam, że obcięcie dofinansowania dla Prestona nie oznacza, że wycofasz całe wsparcie firmy dla Instytutu?

– Nie. Prawdopodobnie je zwiększę. Mój dziadek zawsze był trochę skąpy, kiedy chodziło o finansowanie badań podstawowych. Moim zdaniem Stonebraker musi wydawać więcej, a nie mniej na ten cel. W długim okresie czasu projekty Instytutu okazują się niezwykle cenne dla nas i innych przedsiębiorstw na tej planecie.

Orchidea uśmiechnęła się.

– Doskonała filozofia korporacyjna. Bardzo postępowe myślenie. Pewnie dlatego dadzą ci to wielkie biuro za dwa miesiące.

– Nie sądzę, żeby to moja filozofia korporacyjna załatwiła mi to biuro – powiedział Rafe. – To raczej dlatego, że nie pozwolę go im oddać nikomu innemu.

Orchidea westchnęła.

– Jest taka możliwość.

Rafe spojrział na Edwarda.

– Mam jedno pytanie dotyczące Prestona Luce'a.

Edward zdołał opanować atak śmiechu.

– Jakie?

– Rozumiem, że to jego powiązanie z Orchideą pozwoliło mu dostać się do odpowiednich kręgów Northville. I zdaję sobie sprawę, że posiada pewien talent charyzmatyczny. Ale nadal nie wyobrażam sobie działu personalnego wydziału zatrudniającego go bez sprawdzenia podstawowych informacji na temat jego przeszłości.

– Och, Luce miał doskonale referencje – powiedział Edward. – Przyszedł do Instytutu z pełną pochwałą rekomendacją od swojego poprzedniego pracodawcy.

– To prawda – Anna skrzywiła się. – Były tak dobre, że nie zdziwiłabym się, gdyby sam je sobie napisał.

Rafe spojrział na Orchideę.

– Powiedziałaś, że wykorzystał cię, żeby się tu dostać.

Orchidea zadrżała.

– Nie przypominaj mi.

– W jaki sposób cię poznał?

Orchidea zamrugnęła zdziwiona.

– Już wyjaśniałam. Poznaliśmy się przez agencję matrymonialną Podobieństwo.

– Nie, mam na myśli to, jak cię znalazł? Skąd wiedział, gdzie jesteś zarejestrowana? Do diabła, skąd właściwie wiedział, że jesteś z Northville i że może cię wykorzystać? Musiał dowiedzieć się o tobie wielu rzeczy, zanim poszedł zarejestrować się do Podobieństwa.

– Rozumiem, co masz na myśli. – Orchidea wzruszyła ramionami.

– Pewnie natknął się na moje akta w czasie, gdy pracował w ParaSynergii. Był tam przez jakiś czas, po tym jak odeszłam.

– No właśnie, cholera.

Edward posłał mu spojrzenie lekkiej dezaprobaty.

– Słucham?

Rafe usiadł prosto.

– Zawsze wracamy do ParaSynergii, nieprawdaż?

– Co masz na myśli? – spytała Anna.

– Moja dzisiejsza osobista wskazówka dotycząca udziałów – powiedział Rafe. – Sprzedaj swoje udziały w ParaSynergii zaraz z same-

go rana.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć skonsternowany Edward.

– Bo coś mówi mi, że mamy tutaj poważny problem.

Edward zmarszczył brwi.

– Skąd to wiesz?

– Po prostu wiem.

Orchidea nie męczyła go o szczegóły aż do następnego ranka, kiedy wsiedli do Icera, aby wrócić do Nowego Seattle.

– W porządku, czas wyjaśnić to „No właśnie, cholera” z ostatniej nocy, Stonebraker – powiedziała zapinając pasy.

– Przepraszam. – Rafe wyprowadził samochód na ulicę. – Przypuszczam, że to nie była za bardzo meta–zen–synergistyczna uwaga, prawda?

– Nie, ale zostawmy tę kwestię na moment. – Orchidea opuściła szybę w oknie od strony pasażera, by pomachać swoim rodzicom na pożegnanie.

Nie wiedziała jak ma zinterpretować wyraz ich twarzy, kiedy stali tak spoglądając jak Icer odjeżdża. Zdecydowała, że to coś pomiędzy akceptacją, a smutną troską. Bardzo rodzicielski wyraz twarzy. Było tak, jakby wiedzieli o jej przyszłości coś, czego ona sama nie wiedziała. Cokolwiek to było, martwiło ich, ale pogodzili się z tym. Widziała ten wyraz w ich oczach przy innych okazjach. Na przykład w dniu, kiedy wyjechała z Northville, aby znaleźć mieszkanie w nowym Seattle. Teraz wiedziała, że zdawali sobie wtedy sprawę, iż nigdy już nie osiedli się w Northville.

Pomyślała, nie po raz pierwszy w życiu, że bycie potomstwem obsesyjnych meta–zen–synergistycznych osobowości może być męczące.

Skończyła machać i z powrotem opuściła szybę w samochodzie. Wróciła na miejsce z cichym sykiem.

– Dlaczego to powiedziałaś? – spytała, gdy Rafe jechał pomiędzy artystycznie zaaranżowanymi krajobrazami tworzonymi przez rozważnie usytuowane domy i ascetyczne ogrody ze skałami i sadzawkami. Zdała sobie sprawę, że lubi patrzeć, jak prowadzi. Robił to z tym samym płynnym spokojem i kontrolowaną mocą, która charakteryzowała jego styl poruszania się. Pewnie był to jeden z niezwykle prymitywnych aspektów jej własnej natury, który sprawiał, że delektowała się taką prostą i podstawową cechą u mężczyzny.

– Powiedziałem to, ponieważ nagle uderzyła mnie myśl, że gdziekolwiek się nie odwrócę, to ParaSynergia zawsze pojawia się w naszej konwersacji.

– Pojawia się często ze względu na mnie. Gdybyś nie zatrudnił mnie, żebym ogniskowała dla ciebie w tej sprawie, pewnie nigdy nie wpadłbyś na żadną zamiankę o ParaSynergii.

– Mylisz się – powiedział miękko. – Jak tylko zacząłbym grzebać w przeszłości Theo Willisa, dowiedziałbym się o projekcie dotyczącym lodowych pryzmatów.

– Tak, przypuszczam, że masz rację.

– Prędeż, czy później znalazłbym powiązanie z Morganem Lambertem. To doprowadziłoby mnie do informacji, iż Lambert i Willis poznali się w ParaSynergii. – Rafe uśmiechnął się nagle, tak jakby uderzyła go jakaś bardzo satysfakcjonująca myśl.

Orchidea przyglądał mu się podejrzliwym wzrokiem.

– Co znowu?

– Właśnie olśniło mnie, że nawet gdybym nigdy nie trafił do Psynergii, aby zatrudnić pryzmat z pełnym widmem, ostatecznie spotkalibyśmy się i tak w trakcie namierzania wszystkich osób, które były blisko związane z Theo Willisem.

– Hmm.

– Zabawne jak działa synergia, nie sądzisz?

Zrobiła minę.

– To musi być przeznaczenie, w porządku?

– Co? Nie wierzysz w przeznaczenie? A ja myślałem, że jesteś romantyczką.

– Zapomnij o przeznaczeniu i tym podobnych. Powiedz mi, dlaczego martwi cię powiązanie z ParaSynergią.

– Nie mam jeszcze niczego pewnego. – Rafe prowadził Icera po niezmiennie pogodnych dzielnicach Northville. – Żeby coś mieć, muszę powiązać ze sobą Quentina Austena i ParaSynergię.

Orchidea patrzyła jak w oknie szyby mija ostatni znak z ograniczeniem prędkości na terenie Northville. Rafe przyspieszył.

– Co powiedziałoby ci takie powiązanie? – spytała.

– Nie jestem pewien. Ale na pewno okazałoby się niezwykle interesujące.

Orchidea spoglądała przez szybę na gęsto zalesiony krajobraz. Ale nie widziała drzew, które pokrywały stoki wzgórz aż do brzegów Rzeki Północnej.

Jej umysł wypełniały inne obrazy. Sceny wyczerpujących sesji ogniskowania z psychicznie chorymi talentami. Męczące testy laboratoryjne przeprowadzane przez obojętnych naukowców, którzy zdawali się nie zauważać czy przejmować się stresem, jaki stał się udziałem biorących udział w projekcie ochotników. Zapal ekspertów, aby porzucić eksperymenty z psychicznie chorymi na rzecz sesji ogniskujących z niepoczytalnymi kryminalistami.

Z wielkim wysiłkiem zdusiła w sobie nieprzyjemny dreszcz.

– Jeżeli nasze poszukiwania zaginionego reliktu prowadzą nas do ParaSynergii, to może trzeba będzie tam zajrzeć.

– Zobaczymy.

Wzięła głęboki oddech.

– Mam doskonałą wymówkę Rafe.

Rafe potrząsnął głową.

– Ochrona w takim miejscu, jak ParaSynergia jest bardzo ścisła. Wątpię, by władze pozwoliły byłemu podmiotowi badań na ucieczkę. Szczególnie, że projekt, w który byłaś zaangażowana został zamknięty trzy lata temu.

– Nie wiem, czy pozwoliliby mi swobodnie stamtąd wyjść. – Orchi-dea skupiła uwagę na pogodnym widoczku rzeki. – Ale wiem, że pozwolą mi wejść do środka. Próbują mnie zwabić z powrotem na do-kończenie badań przez ostatnich kilka tygodni, pamiętasz?

Rafe rzucił jej groźne spojrzenie.

– Zapomnij o tym. Nie wrócisz tam pod żadnym pozorem.

– Ale gdyby to oznaczało zamknięcie naszej sprawy...

Jego szczęka skamieniała.

– Nie wrócisz do ParaSynergii.

– Nawet jeżeli to by oznaczało znalezienie zaginionego reliktu?

– Ten cholerny relikht nie jest wart posyłania cię z powrotem do ParaSynergii. Zresztą, są szanse, że nie prowadzi to nigdzie w pobli-że ParaSynergii.

– Co masz na myśli? Powiedziałeś, że może występować jakieś po-wiązanie. Może jacyś naukowcy z ParaSynergii zaaranżowali kra-dzież reliktu.

Rafe wyglądał na zaskoczonego jej sugestią.

– Mało prawdopodobne. Nie musieliby kraść. ParaSynergia to wielka firma o dużym znaczeniu. Jeżeli jej eksperci chcieli przepro-wadzić eksperymenty na jednym z kosmicznych artefaktów, jedyne, co musieli zrobić, to skontaktować się z władzami uniwersytetu i

Muzeum Sztuki w Nowym Seattle. Nikt nie odrzuciłby ich prośby.

– Celna uwaga. – Zagłębiła się w fotel, lekko przybita, ale też z cichym uczuciem ulgi.

– Nawet jeżeli zarząd w ParaSynergii postanowił zaangażować się w małe szpiegostwo przemysłowe, użyłoby bardziej skutecznego i godnego zaufania agenta, niż Theo Willis.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Wszystko, czego szukam, to kolejny trop prowadzący do Quentina Austena. Jego samobójstwo było bardzo wygodne. Ale mogę znaleźć informacje, których mi potrzeba bez posyłania cię do ParaSynergii.

Orchidea była wzruszona jego gwałtowną reakcją. Z uśmiechem igrającym na ustach sięgnęła pokonując krótki dystans, który ich rozdzielał i poklepała go po ręce.

– Dzięki.

– Tęskniłem za tobą w nocy – powiedział po chwili Rafe.

– Byłam w pokoju obok.

– Zaczynam się przyzwyczajać do twojej obecności w moim łóżku.

Nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć. Prawda była taka, że ona też zaczynała się przyzwyczajać do bycia w jego łóżku.

Rafe nie mówił nic przez chwilę. Po jakimś czasie zerknął na nią, jego oczy błyszczały.

– Przypuszczam, że zjechanie na pobocze, wjechanie w zagajnik w pobliżu rzeki i przeniesienie się na tylne siedzenie byłoby naprawdę prymitywne?

– Żartujesz sobie? – Wyglądała na przerażoną. – Byłoby nie tylko prymitywne, ale mogłoby również być niesamowicie krępujące. To główna autostrada. Ktoś może nas zobaczyć.

– Niezbyt duże korki – zauważył. – A drzewa wyglądają na całkiem gęste. Nie sądzę, by ktokolwiek coś zauważył.

– Zagajnik w pobliżu rzeki, to tego rodzaju miejsce, jakie rodzina wybrałaby na przydrożny piknik.

– Wiesz, na czym polega twój problem Orchideo? Brak ducha przygody.

Orchidea poczuła, że Icer wyraźnie zwolnił.

– Nie ośmieliłbyś się.

Było szybko, intensywnie, a na końcu Orchidea naprawdę krzyczała. Rafe pomyślał, że to pewnie bardzo prymitywne z jego strony,

ale ta ostatnia część podobała mu się najbardziej.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś. – Dwadzieścia minut później Orchidea przysiadła na brzegu tylnego siedzenia walcząc, by wciągnąć jeansy.

Rafe pomyślał, że to niełatwe zajęcie. Było bardzo mało miejsca na manewry, ponieważ on zajmował większość wolnej przestrzeni. Usadowił się w rogu, z jedną nogą wyciągniętą za dziko szamoczącymi się plecami Orchidei i delektował się sceną.

– Byłoby ci łatwiej, gdybyś otworzyła drzwi i wysiadła – zauważył.

– Nie wysiądę z tego samochodu, zanim nie będę ubrana. Nie odjechaliśmy za daleko od Northville. Co będzie, jeżeli jacyś przyjaciele rodziców będą tędy przejeżdżać?

– Jak chcesz, ale naprawdę nie sędzę, żeby ktoś mógł nas zobaczyć z autostrady.

– Nie zamierzam ryzykować. – Zabrzmiało ciche kliknięcie, gdy Orchidei udało się zapiąć pasek jeansów. – Czy jest jakieś prawo zabraniające ludziom powyżej osiemnastego roku życia robić to na tylnym siedzeniu samochodu?

– Nie powiem policji od tylnych siedzeń, jeżeli ty też nie. – Niechętnie usiadł i ostrożnie zasunął spodnie. – Jeżeli pozwolisz, to przeproszę cię na moment, by skorzystać z infrastruktury.

– Jakiej infrastruktury? – Wyglądnęła przez zaparowaną szybę. – To nie jest przystanek dla kierowców. Jesteśmy w środku lasu.

– Racja. Infrastruktura. – Otworzył drzwi i przesunął je w kierunku dachu. – Wrócę za minutę.

– Och, rozumiem. – Zaczerwieniła się. Potem popatrzyła z zadumą na brzeg rzeki, który znajdował się tylko kilka metrów dalej. – Może sama skorzystam z okazji, żeby się umyć.

Rafe wysiadł z samochodu.

– Tylko nie wpadnij. Woda o tej porze roku będzie lodowato zimna.

– Nie martw się. Moje wyczucie równowagi jest znacznie lepsze niż Prestona.

– Wierzę ci. – Rafe odwrócił się i przeszedł odpowiednio dyskretny dystans w stronę drzew, delektując się efektami jakie wywierało na niego zawsze uprawianie miłości z Orchideą. Czuł się odprężony i przyjemnie świadom widoków, zapachów, i drobnych dźwięków wokół niego.

Życie było wspaniałe tego ranka.

Nie przestawał iść. Tego ranka światło słoneczne przenikało przez liście pokrywając ziemię cętkami złota i plamami cienia. Bogata ziemia pod stopami pachniała wiosną. Powietrze smakowało lepiej niż błękitny szampan. Pozwolił swojemu umysłowi, tak samo jak zmysłom, błędzić, kiedy wybierał odpowiednie drzewo i rozpinał spodnie.

Ni z staąd ni zowaąd przysła mu na myśl ksiąźka z rachunkami, która razem z Orchideą znaleźli przeszukując gabinet Quentina Austena. Przypomniała mu się nagle różowa karteczka samoprzylepna przyklejona z tyłu. Synergistyczne możliwości uderzyły go z siłą letniej błyskawicy.

Przeplęwała przez niego energia, kiedy w pośpiechu zapinał jeansy. Niewielki przyplęw adrenaliny na kilka sekund dodatkowo wzmoenił jego już wyostrzone zmysły. Na tyle długo, by ostrzec go o obecności innej osoby w najbliższej okolicy.

I nie była to Orchidea.

Przeszło go wrażenie nadciągającego niebezpieczeństwa. Musiał wrócić do Orchidei. Przesłał na płaszczyznę psychiczną więcej energii instynktownie szukając jej poprzez więź.

Zobaczył jak znajomy pryzmat nabiera kształtu, czysty i ostry, nawet z tej odległości. Wysłał ostrzegawczy sygnał w metapsychiczną rzeczywistość, mimo że zlokalizował ślad innej osoby i podążył za nim.

Obrócił się, orientując się w przestrzeni. Przez drzewa pochwycił nienaturalny błysk promieni słonecznych na stali. Zanurkował w poszukiwaniu schronienia w chwili, gdy zadźwięczał strzał. Wylądował na ziemi za dużym drzewem.

– Rafe! – krzyk Orchidei dobiegł znad brzegu rzeki. – To był strzał.

Jasne stało się, że to on, a nie ona był celem.

– Zostań, tam gdzie jesteś!

– Hej, ty między drzewami, z bronią! – krzyczała. – Tu są ludzie. To nielegalne polować tak blisko autostrady!

Rafe wąpił, żeby jej ostrzeżenie wywarło jakikolwiek wpływ na strzelającego. Kimkolwiek był, nie był to zwykły myśliwy. Ale słowa Orchidei rozproszyły go. Rafe poczuł, że uwaga intruza była teraz podzielona.

Pomyślał, że z punktu widzenia niedosłego zabójcy, sprawy szybko się sypały. Pierwszy strzał chybił, a potencjalna ofiara nie była już na widoku. A do tego wszystkiego kobieta, która była niewi-

działalna przez zasłone drzew, krzyczała w niebogłoso.

Rafe rozplaszczyl się na ziemi i przeczolgal się w kierunku schronienia, jakie dawalo kolejne duze drzewo.

Zabrzmiäl kolejny wystrzał, ale ten rozszedł się w gloszy. Strzelec stracil trop swojej ofiary.

– Tu są ludzie, idioto! – krzyczała rozwscieczona Orchidea. – Co ty wyprawiasz?

Rafe skoncentrowal się na przesłaniu wiekszej dawki energii przez pryzmat. Wiedzial dokladnie, gdzie teraz znajduje się napastnik. Zaczal go okrazac, uzywajac gestych zarośli, jako kamuflazu.

Najwidoczniej wyczuwajac nadciagajace niebezpieczenstwo uzbrojony napastnik porzucil swoja pozycje. Rafe slyszal z daleka szelest oddalajacych się kroków. Męczyzna przedzierał się przez drzewa w kierunku drogi.

– Cholera.

Łajdak zamierzal uciec.

Rafe zerwal się do pościgu. Slyszal trzask zamykanych drzwi samochodu i wiedzial, że jest już za późno.

Chwile później dotarl do niego ryk silnika. Zaraz potem rozległ się pisk opon na poboczu. Rafe dotarl do skraju drogi, aby zdazyć zobaczyc tyl bialego Phase 1000 znikajacego za zakretem autostrady.

Pomyslal, że na swiecie jest bardzo duzo bialych samochodów marki Phase.

– Jesteś pewien, że to nie byl jakis głupi myśliwy, który wzial cię za losio-jelenia? – po raz trzeci spytala Orchidea zapinajac pasy bezpieczenstwa.

– Zupełnie. – Rafe uruchomil Icera i wycofal się spośród drzew w kierunku autostrady. – Ktokolwiek to byl musial nas sledzic od momentu, gdy opuściliśmy dom twojej rodziny.

– Nie mógł wiedziec, że się tutaj zatrzymamy.

– Nie, ale kiedy zobaczył, że zjeżdżamy z drogi, pewnie wykombinowal, że trafia mu się świetna okazja.

– Żeby cię zabiec? Ale po co ktoś miałby to robiec? Dr Austen jest jedynym mordercą, na ktorego ostatnio wpadliśmy, a on nie żyje.

– Pozostaje jeszcze drobna sprawa zaginioneo reliktu.

– Ale nie wiemy, gdzie on jest.

– Kogos może martwic, że nadal go szukamy – wskazal Rafe.

Chwile zajelo jej przetrawienie tej informacji.

– Nie wiem. Nawet jeżeli założymy, że jest w to zamieszany ktoś jeszcze poza Austenem, dlaczego on lub ona uważa cię za zagrożenie? Wraz ze śmiercią Austena trop wystygł.

– Niezupełnie. – Rafe zerknął przez ramię i wyjechał na autostradę. – Tuż przed tym, jak ten facet do mnie strzelił, miałem coś, co można nazwać objawieniem.

– Objawieniem? Kiedy korzystałeś z infrastruktury?

– Mówiąc dokładnie, kiedy podlewałem drzewko.

Skrzywiła się.

– Co takiego jest z tymi mężczyznami i drzewami?

– To męska sprawa. Nie zrozumiałabyś. Jak już wspominałem nagle przypomniałem sobie, co widzieliśmy w noc odwiedzin w biurze Austena.

– Co takiego?

– Z tyłu karty Theo Willisa była mała karteczka samoprzylepna, pamiętasz?

– Jasne. Powiedziałeś, że wygląda, jakby recepcjonistka przyczepiła ją, żeby nie zapomnieć wysłać notkę z podziękowaniami za skierowanie pacjenta.

– Sądzę – powiedział Rafe – że byłoby niezwykle interesujące dowiedzieć się, kto skierował Theo Willisa do doktora Austena.

– Może – powiedziała wolno.

– Nie wyglądasz na przekonaną.

– Nienawidzę tego mówić, ale czy nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków. Nie mamy nic, co wskazywałoby, że ktoś poza Quentinem Austenem jest zamieszany w zaginięcie reliktu. Ale możemy stwierdzić, z dużą dozą pewności, że jest kilka innych osób, które mogłyby wycelować w ciebie broń, gdyby tylko dano im szansę.

Uniósł pytająco brwi.

– Któż to taki?

– Twój kuzyn Selby.

Rafe wyglądał na lekko zaintrygowanego.

– Nie pomyślałem o tym.

– Ma wiele do stracenia, jeżeli przejmiesz kontrolę nad Stonebraker Shipping.

– Kiedy, nie jeżeli.

– Proszę o wybaczenie. Kiedy przejmiesz kontrolę nad Stonebraker. Jest jeszcze ktoś, kogo ostatnio wkurzyłeś, nie przypominasz sobie?

Zmarszczył brwi. – Kto?

– Preston Luce.

– Luce? Na jasną synergię! Obciąłem mu fundusze, a nie klejnoty rodzinne.

– W przypadku Prestona efekt jest ten sam. Dotacje to jego sens istnienia. Zdobywanie pieniędzy na projekty badawcze to to, czym się zajmuje. To zapewnia mu wpływy w instytucie. Jeżeli nie będzie już grał cudotwórcy, nie utrzyma się długo. Jako zwykły analityk jest do kitu.

– Rozumiem, co masz na myśli.

– Spójrzmy prawdzie w oczy Rafe. Jeżeli przyjrzeć się temu dokładnie, to nie jesteś najpopularniejszym facetem w miasto–stanie.

– W porządku, być może – powiedział radośnie. – Ale mam gdzieś, co myślą o mnie inni, tak długo, jak ty ze mną sypiasz.

Rozdział 18

– Tak, mamo. Wróciliśmy do miasta wczoraj, około godziny drugiej. My..., uch, zatrzymaliśmy się na chwilę na trasie. – Niosąc telefon w jednej ręce Orchidea przechadzała się tam i z powrotem po salonie. Nie powiedziała rodzicom nic o incydencie na autostradzie. Ta informacja tylko by ich zaniepokoiła, a przecież nic nie mogli z tym zrobić. – Chciałam wam tylko dać znać, że u nas wszystko w porządku.

– Ślub był uroczy, prawda?

– Piękny. Veronica i Terrence zostali dla siebie stworzeni.

– Tak właśnie – zauważyła znacząco Anna – powiedział ich doradca matrymonialny.

Orchidea wzniosła oczy ku sufitowi.

– Wiem.

– Nadal żadnych wieści z twojej agencji?

– Nie. – Orchidea powstrzymała napływ poczucia winy. Nie poinformowała jeszcze swoich rodziców, że Podobieństwo zgubiło jej akta. Zatrzymała się przy biurku, chwyciła długopis i sumiennie sporządziła dla siebie notatkę.

Zadzwoń do Podobieństwa. Dowiedzieć się, co stało się z moimi aktami.

– Musze przyznać, że ten twój Pan Stonebraker jest bardzo interesujący.

– Tak jest interesujący. – Orchidea skrzywiła się. Rafe był bardziej niż interesujący.

Podniosła sporządzoną dla siebie przed chwilą notatkę, zmięła ją w dłoni i wrzuciła do kosza na śmiecie.

– Mamo, wiem, że to pytanie zabrzmiało głupio, ale czy nie wiesz przypadkiem, jakiej marki samochodem jeździ Preston?

– Nie jestem pewna, jaka to marka. Nie zwracam za bardzo uwagi na samochody. Ale z tego, co pamiętam jest biały.

Biały. Jak Phase 1000? – zastanawiała się Orchidea. Ciężko usiadła w fotelu.

– Czy tata by wiedział?

– Nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Och, nic takiego. Myślałam, że widziałam Prestona mijającego nas na autostradzie, gdy jechaliśmy do miasta. Zastanawiałam się,

czy wyjeżdżał z Northville z powodu tego, co wydarzyło się pomiędzy nim z Rafem.

– Nie wiem, czy nadal tu jest, czy nie. Spytam twojego ojca, gdy będę się z nim potem widzieć. Co do Pana Stonebrakera...

– Przepraszam mamó. Naprawdę muszę już lecieć. Kocham cię. Pa. – Orchidea odwiesiła słuchawkę zanim jej matka mogła dalej kontynuować swoje małe przesłuchanie.

Rozłożyła się na krześle i rozmyślała nad faktem, iż samochód Prestona był prawdopodobnie biały. Przypomniała sobie, że biały był niesamowicie popularnym kolorem samochodów, zwłaszcza w Northville. Był tak bardzo meta–zen–synergistyczny.

Niski, donośny dźwięk dzwonka przy frontowych drzwiach wyrwał ją ze stanu intensywnego rozmyślenia. Na wypadek gdyby to był Rafe z nowinami dotyczącymi śledztwa w sprawie białego samochodu i może jakimś makaronem na wynos, zerwała się na nogi.

Kiedy dotarła do drzwi automatycznie chciała je otworzyć. Ale wydarzenia kilku poprzednich dni wywarły swój wpływ. Zatrzymała się na tyle długo, żeby zerknąć przez wizjer. Zesztywniała i wydała nieznaczny jęk, kiedy zobaczyła, że na korytarzu stoi Briana Culverthorpe.

Biorąc głęboki wdech przykleiła do twarzy coś, co jak miała nadzieję wyglądało jak uprzejmy uśmiech i otworzyła drzwi.

– Witam Pani Culverthorpe. Co Panią do mnie sprowadza?

– Powinnam najpierw zadzwonić – Briana nie uśmiechnęła się. – Ale akurat przejeżdżałam w pobliżu twojego mieszkania i pomyślałam, że zaryzykuję i sprawdzę, czy jesteś w domu.

– Po co?

– Chcę tobą porozmawiać. – Briana ominęła Orchideę wzrokiem zerkając w głąb malutkiego korytarza jej małego mieszkania. – Mogę wejść?

– Tak, oczywiście – Orchidea cofnęła się.

Briana była tą samą patrycjuszowską damą, którą Orchidea spotkała na chwilę w noc urodzin Alfreda G. Stonebrakera. Jej jasne włosy otaczały atrakcyjną twarz jak dwa eleganckie skrzydła. Pięknie skrojona garsonka, którą miała na sobie była w jasnym, pastelowo–niebieskim kolorze. Jedyna różnica polegała na tym, że dzisiaj otaczała ją aura napięcia, która nie pasowała do jej wyglądu zamożnego wyrafinowania.

Orchidea patrzyła rozbawiona, jak Briana rozgląda się po jej mały

salonie ze źle skrywany zaciekawieniem. Ogarnęła wzrokiem oryginalną żółtą, aksamitną sofę z okresu Późnej Ekspansji i różnorodne podróbki innych drobnych przedmiotów w tym samym stylu. W jej zimnych, niebieskich oczach zapłonęła lekka pogarda.

– Prawdopodobnie nie korzystamy z usług tego samego dekoratora wewnątrz – powiedziała Orchide.

– Nie. – Briana siadła ostrożnie na brzegu ekstrawagancko wygiętej sofy z wysokim oparciem. Nie pozwoliła sobie na zatonięcie głęboko w jej siedzeniu. – Bez wątpienia nie.

– Herba-kawy?

– Nie, dziękuję. Nie zostanę długo. Przejdę od razu do rzeczy Panno Adams. Mój mąż złożył Pani propozycję kilka dni temu. Chcę wiedzieć, czy zamierza ją Pani przyjąć.

Orchidea zobaczyła niepokój w oczach Briany. Zdała sobie sprawę, że zastanawia się, w jaki sposób odmówić grzecznie drugiej kobiecie. Ale nie mogła wymyślić żadnego wdzięcznego sposobu odrzucenia łapówki.

– Nie, nie mogę jej przyjąć.

– Rozumiem. – Delikatne linie pojawiły się w kącikach pięknie umalowanych ust Briany. – Może Selby nie złożył wystarczająco wysokiej oferty.

– W zasadzie, to zostawił tą kwestię otwartą. Powiedział mi, że mam po prostu podać swoją cenę. Ale ja nie mam ceny, Pani Culverthorpe.

Briana rzuciła jej wyważone spojrzenie.

– Ufam, że zdajesz sobie sprawę, że kiedy to wszystko się skończy, to on się z tobą nie ożeni.

– Kto? Stonebraker?

– Zarejestrował się w agencji matrymonialnej kilka tygodni temu, bo potrzebował godnej zaufania narzeczonej, żeby paradować z nią przed dziadkiem i Radą Nadzorczą Stonebraker. Biorąc pod uwagę jego, że tak powiem, niespotykaną naturę, nie było zapewne zbyt wielkiego wyboru, kiedy przyszło mu znaleźć partnerkę. Podejrzewam, że chwycił pierwszą, którą mu zaoferowano.

– Mnie?

– Tak. Podejrzewam również, że nawet jeżeli jest to autentycznie skojarzony związek, to nie ma on zbyt dużych szans na powodzenie. Przyjmij moją radę Panno Adams. Jeżeli zgadzasz się na to, bo myślisz, że warto zaryzykować, żeby wżenić się w Stonebraker Ship-

ping, to nie daj się zwieść.

– Zwieść?

– Nie rób błędu i nie wierz, że Rafe naprawdę zdecyduje się na małżeństwo, tylko dlatego, że to związek skojarzony przez agencję.

– Już to słyszałam od twojego męża.

– Mój mąż miał rację. Rafe w tym momencie nie jest zainteresowany małżeństwem. – Briana wstała gwałtownie i podeszła do okna – Zależy mu tylko na przejęciu Stonebraker. Zrobi wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Taką już ma naturę. Ale kiedy już będzie miał to, na czym mu zależy, to nie będzie cię już dłużej potrzebował.

– Pani Culverthorpe...

– W końcu oczywiście ożeni się. Ale kiedy wybierze żonę, to zrobi to w ten sam sposób, jak wszystko inne, patrząc jak dobrze posłuży ona realizacji jego celów.

– Uważasz, że ja nie posłużę realizacji jego celów?

– Nie, nie uważam. Nawet, jeżeli agencja matrymonialna, która was ze sobą skojarzyła, uważa, że jesteście dobraną parą pod względem synergistyczno-psychologicznym, to szczerze wątpię, żeby rozumieli resztę spraw.

– Co masz na myśli?

– Agencja prawdopodobnie nie brała pod uwagę, iż ludzie, którzy pochodzą z pewnych kręgów towarzyskich często żenią się z powodów innych niż dopasowanie i wzajemne uczucie. Wybierają małżonków z bardziej pragmatycznych powodów.

– Czy twoje małżeństwo było oparte na właśnie takich powodach? Briana rzuciła jej spojrzenie, które mogłoby zmrozić lawę.

– Akurat tak się składa, że moje było agencyjnym związkiem. Ale doradcy byli ostrożni upewniając się, że czynniki społeczne będą brane pod uwagę na równi z synergistyczno-psychologicznymi aspektami kojarzenia pary.

– Rozumiem.

Briana odwróciła się tyłem do widoku ulicy.

– Będę szczerą. Rozumiem ludzi ze świata Stonebraker nieskończenie lepiej niż ty kiedykolwiek będziesz. Mogę ci przyrzec, że nigdy nie będziesz pasować do tego świata.

– Dobrze się adaptuję.

Kręgosłup Briany zeszywniał. Nie odwróciła się.

– Pozwolę sobie być szczerą w tej kwestii. Kobieta taka, jak ty raczej nie będzie pasować do środowiska, w którym Rafe Stonebraker

będzie się obracał, jeżeli uda mu się przejąć kontrolę nad Stonebraker Shipping.

Orchidea poczuła jak przechodzi ją dreszcz napięcia.

– A co ty wiesz o moim pochodzeniu?

– Mój mąż zrobił pewne rozeznanie – powiedziała Briana. – Zostałaś wychowana w Northville. Myślę, że to mówi wszystko.

– W przeciwieństwie do powszechnie panującej opinii Northville ma o wiele więcej wspólnego z normalnym światem, niż wierzy większość ludzi.

– Nie spieram się o znaczenie Instytutu Północnego i ludzi, których on zatrudnia. Ale wszyscy wiedzą, że to wieża z kości słoniowej wypełniona meta–zen–synergistycznymi typami. Każdy, kto tam dorastał ma niewiele do zaoferowania Rafe'owi Stonebrakerowi.

– Jak myślisz, czego Rafe będzie szukał wybierając sobie żonę?

Briana wzruszyła ramionami.

– Kogoś, kto przyniesie mu dobre biznesowe i towarzyskie koneksje. Kobieta, która będzie wiedziała jak zabawiać jego przyjaciół i partnerów w interesach. Żonę, która porusza się w odpowiednich kręgach.

– Nigdy nie byłam zbyt dobra w poruszaniu się w kręgach.

– Niech cię diabli. – Briana odwróciła się nagle. – Nie rozumiesz? On cię wykorzystuje.

– Wypraszam sobie Pani Culverthorpe. Znałam kilku prawdziwych wyzyskiwaczy i Rafe nie jest jednym z nich. Przyznam, że jest zdeterminowany i zorientowany na osiągnięcie swoich celów, ale nie wykorzystuje ludzi.

Oczy Briany rozszerzyły się.

– Myślisz, że to jakiegoś rodzaju zabawa, prawda? I robisz to, bo cię to bawi?

– Nie.

– To dobrze. Bo zapewniam cię, że to nie jest zabawa. Gra toczy się o wysokie stawki.

– Jestem tego świadoma Pani Culverthorpe.

Briana zmrużyła oczy. – Tego się obawiałam.

– Czego się obawiałaś?

– Pociaga cię seksualnie, prawda?

Orchidea milczała.

– Masz z nim romans. To oczywiste. Może nawet przekonałaś samą siebie, że jesteś w nim zakochana.

Orchidea nic nie odpowiedziała.

Briana uśmiechnęła się ponuro.

– Powiedziałam Selby'emu, że jeżeli byłeś na tyle głupia, żeby się w nim zakochać, to łapówka nie zadziała. Ale on był pewien, że nie jesteś aż tak głupia. Myślał, że skoro jesteś przyzmatem z pełnym widmem, to jesteś za mądra, aby źle ocenić ryzyko wplątania się w związek z talentem strategicznym.

– Mój związek z Rafem Stonebrakerem to moja osobista sprawa Pani Culverthorpe. Jestem pewna, że rozumie Pani, że nie chcę o tym dyskutować.

– Wiesz, że on jest talentem strategicznym, prawda? – Briana zmarszczyła brwi. – Chyba nie udało mu się przypadkiem tego ukryć?

– Wiem, że jest talentem strategicznym.

– Tak, oczywiście. Agencja matrymonialna przynajmniej tyle musiała ci powiedzieć. Zaniedbaliby bardzo swoje obowiązki, gdyby trzymali to przed tobą w tajemnicy.

– Uch, hmm.

– Ponieważ wychowałeś się w Northville możesz nie być w pełni świadoma wszystkich tych, ...jakby to powiedzieć... następstw.

– Myślę, że całkiem nieźle się orientuję w tym temacie.

Briana zdawała się nie słyszeć jej wypowiedzi.

– Nazywają ich łowcami, wiesz. Reliktami z wcześniejszego okresu ewolucji. Występują bardzo rzadko w populacji.

– Jestem świadoma istnienia błędnych przekonań na ich temat.

– Ich talent uważany jest za prymitywny. Potencjalnie niebezpieczny. Większość nich zostaje kryminalistami.

– Nie większość z nich Pani Culverthorpe. Tylko niektórzy. Tak jak niektóre psychometryczne, hipnotyczne i... – Orchidea przerwała na chwilę dla podkreślenia wagi słów – ...techniczne talenty.

Briana odwróciła się.

– Niech cię diabli, mój mąż nie jest kryminalistą!

– Próbuje zniszczyć rodzinny interes, który jest źródłem utrzymania nie tylko członków jego własnego klanu, ale również paru tysięcy pracowników. Niektórzy ludzie mogą uważać, to za działalność przestępczą.

Rysy twarzy Briany wyostrzyły się.

– To nieprawda.

– Proszę o wybaczenie Pani Culverthorpe, ale muszę wierzyć w

czyjaś wersję wydarzeń. Zdecydowałam się zaufać Rafe'owi.

– Więc jesteś głupia.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że Rafe zamierza przejąć kontrolę nad Stonebraker, bo szczerze wierzy, że firma jest w niebezpieczeństwie, ponieważ Pani mąż chce ją zniszczyć.

Briana posłała jej pełne niedowierzania spojrzenie.

– Dlaczego mój mąż miałby zniszczyć Stonebraker?

– Przypuszczam, że motywem jest zemsta. To ma coś wspólnego z tym, co stało się z jego ojcem.

– Rafe uraczył cię tą starą historyjką. – Briana wybuchnęła krótkim, ostrym śmiechem. – To zupełna bzdura. Stara rodzinna legenda, która opowiadają od lat. Nikt, a zwłaszcza mój mąż, nie wierzy, że Alfred G. zamordował Perrygo Culverthorpea.

– Jesteś tego pewna?

– Oczywiście, że jestem tego pewna. – Briana odwróciła się szybko w stronę okna. – Selby nigdy nie zniszczyłby Stonebraker. Jest bardzo oddany rodzinnej firmie. I naszym dzieciom. Nigdy nie zrobiłby nic, żeby zagrozić ich przyszłości.

Orchidea obserwowała, jak Briana zaciska i otwiera dłoń na pasku torebki.

– Mam przeczucie, że Pani mąż zaplanował przyszłość swoją i najbliższej rodziny bardzo uważnie, Pani Culverthorpe. Kiedy próbował mnie przekupić tamtego dnia, dał bardzo jasno do zrozumienia, że zamierza stać się bardzo, bardzo bogaty w najbliższej przyszłości.

– Naturalnie, po tym jak przejmie kontrolę nad Stonebraker...

– Dostyc tego – powiedziała Orchidea. – Jest Pani jego żoną. Wie Pani, co on zamierza, Pani Culverthorpe. Kogo chce Pani oszukać? Mnie, czy siebie?

Briana wyglądała niewzruszenie przez okno. Wyglądała na tak spiętą i kruchą, że Orchidea bała się, że zaraz się rozsypie na kawałki.

– Nie zniszczy Stonebreaker... – wyszeptała. – Nie zrobi tego. Nie może. Kiedy przejmie kontrolę uświadomi sobie, że...

– Nie wiem, co wydarzyło się w przeszłości. – Orchidea zerwała się na nogi. – Z tego, co wiem jedynymi ludźmi, którzy znają prawdę jest dziadek Rafe'a i ojciec twojego męża. Jeden nie żyje, a drugi pójdzie do grobu trzymając się swojej wersji wydarzeń.

– To tylko rodzinna legenda – wyszeptała Briana.

– W którą wierzy twój mąż.

– Nie.

– Tak. – Orchidea zawahała się. – Briana, Selby miał rację w jednej kwestii. Jestem wyszkolonym przyzmatem z pełnym widmem. Mam szerokie doświadczenie z wieloma rodzajami talentów. Wiem coś o profilu paranormalnym ludzi takich, jak twój mąż.

– Nie potrzebuję twoich, tzw. opinii eksperta na temat profilu paranormalnego Selby'ego.

– Szkoda. Ty dałaś mi wiele nieproszonych rad tego popołudnia. Zamierzam udzielić kilku własnych.

– Nie chcę tego słuchać.

– Trudno. A teraz uważaj. Twój mąż jest talentem technicznym. To oznacza, że jest dobry w konstruowaniu, w tym zemsty. Ale to oznacza również, że ma obsesję na punkcie swoich celów. Planuje zemstę już tak długo, że zapomniał o wszystkich innych celach w swoim życiu. Musimy znaleźć sposób, żeby mu o nich przypomnieć.

– My?

– No cóż ty, w przeważającej większości – przyznała Orchidea. – W końcu to ty jesteś jego żoną. Może powinnaś spróbować zaprowadzić go do synergistycznego psychologa terapeuty.

– Mówisz poważnie?

– Słuchaj, mamy dobre podstawy do działania. – Orchidea splotła ręce za plecami i zaczęła chodzić tam i z powrotem. – Przed chwilą powiedziałaś mi, że ty i Selby zostaliście skojarzeni przez agencję. To znaczy, że zasadniczo tworzycie całkiem zgraną parę.

– Moje małżeństwo to nie twoja sprawa – powiedziała z pasją Briana.

– Selby trochę zoczył z właściwej drogi z powodu swojej fiksacji na punkcie zemsty. Ale jeżeli możesz się przedrzeć przez jego szaleństwo, masz szansę wszystko zmienić.

– Jak śmiesz wtrącać się w moje życie?

Orchidea napotkała jej spojrzenie.

– Masz czelność pytać mnie o to, po tym, co właśnie zrobiłaś?

– Nic ci nie zrobiłam.

Całkiem niespodziewanie Orchidea poczuła, że ma dosyć.

– Kim myślisz, że jesteś? Traktujesz mnie, jakbym była jakąś idiotką. Najpierw ty i Selby próbujecie mnie przekupić. Potem robicie mi wykład, o tym, że nie powinnam oczekiwać, że Rafe się ze mną ożeni. Mówisz mi, że nie mam szansy stać się jedną ze Stonebrakerów, bo nie mam odpowiedni koneksji towarzyskich.

– Próbuję cię tylko ostrzec, że angażujesz się w sytuację, której nie rozumiesz.

– Uważasz, że nie pojmę, co się tu dzieje? – Orchidea przestała spacerować. Zebrała się w sobie i popatrzyła prosto na Briana. – Zostałam wychowana według zasad meta–zen–synergii. Może nie jesteś w pełni świadoma, co to oznacza.

Po raz pierwszy Briana wyglądała na trochę zagubioną.

– Ja tylko chciałam...

– Byłam uczona od kołyski, jak analizować działanie sił synergicznych w każdej sytuacji. Rozumiem rzeczy w sposób, o jakim ty możesz tylko marzyć Briano. Umiejętność rozumowania na abstrakcyjnym poziomie wyssałam z mlekiem matki.

– Zdaję sobie sprawę, że otrzymałaś bardzo gruntowne wykształcenie – powiedziała słabo Briana. – Szczególnie w dziedzinie filozofii.

– Gruntowne wykształcenie? Kiedy kończyłam szkołę średnią miałam świadomość oddziaływania pomiędzy fizyczną a metapsychiczną płaszczyzną, która przekraczała poziom przeciętnego absolwenta studiów teorii i synergistycznej.

– Ja tylko chciałam... – Briana przerwała. Cofnęła się, kiedy Orchidea zrobiła krok w jej kierunku.

– Kiedy uczyłam się na studia moja zdolność rozumienia podstaw filozoficznych synergizmu znacznie przewyższała poziom przeciętnego profesora teorii synergistycznej. Więc nie mów mi, że nie jestem w stanie pojąć czegoś tak prostego jak sytuacja pomiędzy Rafem a Selbym.

– Nazywasz to prostą sytuacją?

– Mówimy o dwóch mężczyznach, którzy nie ufają sobie od dzieciństwa, ponieważ jeden z nich jest zdecydowany się zemścić, a drugi o tym wie. Nic nie może być bardziej proste.

Briana cofnęła się kolejny krok do tyłu. Zaczynała wyglądać na zdesperowaną.

– To nie jest takie proste.

– Oczywiście, że jest. Najbardziej potężne prawdy są zawsze proste i bezpośrednie. Zapomniałaś podstawową lekcję synergii, której uczyli nas w przedszkolu?

– Tu nie chodzi o synergię.

– Och, ależ tak, Briano. Jeżeli chodzi o Stonebraker Shipping to może ona przybrać dwie formy. Przetwanie lub destrukcja. Masz władzę w tej sytuacji. Użyj jej, aby pomóc uratować przedsiębiorstwo

i twojego męża.

Briana wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała odpędzić złego ducha.

– Mój Boże, czy chcesz powiedzieć, że Rafe może... może próbować fizycznie skrzywdzić Selby'ego?

– Nie. Mówię, że Selby skrzywdzi sam siebie i swoją rodzinę, jeżeli nadal będzie postępował tak jak do tej pory. Zemsta nigdy nie przynosi równowagi i harmonii pozytywnego rodzaju. Powoduje spadek po równi pochyłej, który ostatecznie prowadzi do destrukcji. Czy tego pragniesz dla swojej rodziny Briano?

– Nie będę tego słuchać. Nie muszę tego słuchać.

Z oczami błyszczącymi gniewem i cierpieniem Briana zrobiła kilka nerwowych kroków w kierunku drzwi. Kiedy do nich dotarła otworzyła je szeroko.

– Briano.

Na dźwięk głosu Orchidei Briana zatrzymała się w progu. Częściowo się odwróciła, jak gdyby przygotowując się na cios.

– Dosyć już usłyszałam.

– Pomyśl o przyszłości swojej rodziny Briano. Pomyśl o tym, co możesz zrobić, żeby zmienić synergistyczne siły tak, aby walka o równowagę przechyliła się w kierunku szali przetrwania, a nie destrukcji. Kochasz swojego męża. Wykorzystaj tę miłość, żeby pomóc mu zrozumieć dokąd zmierza. Pomóż mu zrozumieć, że nie znajdzie tego, czego szuka pogrążając Stonebraker.

Briana gapiała się na Orchideę.

– Mylisz się. Nie mam mocy, którą mi przypisujesz.

– Wszyscy mamy jakąś moc Briano. Ale nie wszyscy są na tyle mądrzy, żeby ją wykorzystać. Założę się, że ty jesteś.

Briana wyszła na korytarz i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Orchidea stała nieporuszona przez kilka minut. Potem wzięła kilka głębokich oddechów, aby pozbyć się efektów napięcia i energii, która przez nią płynęła.

Podeszła do okna i wyjrzała przez nie. Zobaczyła, że Briana praktycznie sfrunęła po pojedynczym rzędzie schodów. Kobieta była już prawie przy chodniku i biegła niezgrabnie w kierunku samochodu zaparkowanego na krawężniku. Białego samochodu. Orchidea poczuła jak robi jej się w środku zimno.

Przyjrzała się bliżej pojazdowi. To był model Phase 1000.

– Dobry Boże.

Obróciła się na pięcie i pobiegła do telefonu. Wystukała prywatny

numer Rafe'a i bez tchu czekała aż podniesie słuchawkę. Jej serce zamarło, gdy usłyszała znajomy dźwięk automatycznej sekretarki.

– Dodzwoniłeś się pod numer 7079094. Albo mam drugą rozmowę, albo jestem poza zasięgiem telefonu. Proszę zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału...

– Rafe, to ja, Orchidea – zaniósła telefon do okna. – Właśnie odwiedziła mnie Briana Culverthorpe. Rafe słuchaj, ona jeździ Phase 1000.

Na zewnątrz, na ulicy Brina siadła za kierownicą samochodu. Nie zrobiła żadnego ruchu, żeby odjechać.

– Ona za bardzo cię nie lubi Rafe. I myślę, że zrobiłaby wiele rzeczy, żeby tylko chronić swojego męża. Jeżeli uważa, że pozbycie się ciebie rozwiązałoby wszystkie problemy, to może po prostu... Och do diabła. Wraca z samochodu. Myślę, że ona... Tak, ona wraca na górę – Orchidea zaniósła telefon z powrotem na biurko. – Muszę kończyć. Zadzwoń do ciebie, jak tylko wyjdzie.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Orchidea była tak zdumiona, że upuściła telefon. Briana musiała chyba biec po schodach.

– Już idę – upuściła słuchawkę z powrotem na widełki i przeszła przez pokój.

Wzięła głęboki oddech, uspokoiła się, przekreśliła klamkę i otworzyła drzwi.

– Tak wcześnie wróciłaś Briano?

– Myślałam o tym, co powiedziałaś kilka minut temu. – Brinan bardzo mocno ścisnęła torebkę. W jej oczach widać było ledwie hamowaną desperację. – Chcę z tobą jeszcze trochę porozmawiać.

Orchidea poczuła, że opuszcza ją napięcie. Wszystko będzie dobrze. Briana podjęła decyzję. Orchidea uśmiechnęła się, cofnęła i szeroko otworzyła drzwi.

– Wejdz. Zaparzę herba-kawę.

Briana weszła do mieszkania. Odwróciła się. Popatrzyła w kierunku Orchidei a potem korytarza. I otworzyła usta do krzyku.

Orchidea słyszała za sobą szelest kroków. Poniewczasie odwróciła się, ale nie miała szansy uciec. Było ich dwóch, obaj ubrani w nieokreślone zielone uniformy ogrodników, którzy zajmowali się terenami wokół kompleksu mieszkań i zmierzali prosto do drzwi Orchidei.

Jeden z nich wymierzył w stronę jej twarzy mały pojemnik. Naciśnął przycisk. Orchidea jak przez mgłę zanotowała, jak drugi mężczyzna wcelowuje pojemnik w zdumioną Briane. Usłyszała syczenie.

Otoczyła ją zimna mgła.

Mieszkanie zaczęło wirować wokół niej.

Pochyliła się w kierunku mężczyzny w uniformie łapiąc przód jego koszuli. Czowała, że robi krok w tył, aby się jej wymknąć. Kopnęła go w wewnętrzną stronę kostki u nogi.

– Mówił, że mogą być z tobą problemy. – Mężczyzna nacisnął przycisk na pojemniku po raz drugi.

Więcej lodowatej mgły uderzyło w jej twarz. Zaczęła na nią opaść wielka ciemność. Wstrzymała oddech, ale to nie powstrzymało tego świństwa od penetrowania błon jej oczu, nosa i warg. Świat zaczął zacierać się szybko w czarnych oparach. Nogi załamywały się pod nią. Głosy docierały do niej z gromadzących się cieni.

– Co z tą drugą?

– Widziała nas. Lepiej ją też weź. Niech sam zdecyduje, co z nią zrobić.

Orchidea wyczuła pod koniuszkami palców strukturę diagonalu. Tkanina ogrodniczych uniformów. Ktoś trzymał ją, gdy zapadała się w nieświadomość.

Walczyła z efektami gazu za pomocą meta-zen-synergistycznych technik koncentracji szarpiąc się przy tym dziko. Chciała sięgnąć po cokolwiek, co mogłaby zostawić dla Rafe'a, aby mógł ją znaleźć.

– Nie traci świadomości zbyt szybko. Nadal walczy.

Ręka Orchidei musnęła kieszeń. Umysłowe ćwiczenia meta-zen-synergistyczne nie mogły powstrzymać utraty świadomości na dłużej niż kilka sekund. Musiała coś znaleźć coś, co stanowiłoby wskazówkę dla Rafe'a.

W kieszeni mężczyzny był jakiś przedmiot. Długopis? Może mała latarka?

Wsunęła do kieszeni dwa palce. Mężczyzna, który ją trzymał nic nie zauważył. Wyciągnęła przedmiot i mocno go trzymała.

– Gówniana sprawa. Co ją w końcu uspokoi?

– Doktor powiedział, że to wariatka, pomiatasz? Wiesz, jak to jest z tymi szalonymi. Trzeba im więcej niż normalnym ludziom. Daj jej kolejną dawkę tego świństwa.

Więcej mgły prosto w twarz.

I wtedy zaczęto ją wypychać przez drzwi.

Kiedy ciągnięto ją przez próg mgliście przypomniała sobie, żeby upuścić mały przedmiot, który wyciągnęła z kieszeni napastnika. Słyszała jak lekko toczy się po podłodze.

Z trudem oddychała. Ciemność zamknęła się wokół niej. Miała nadzieję, że nie będzie śnić.

Rozdział 19

– Proszę zająć miejsce Panie Stonebreaker. – Thelma Dorling wskazała ręką pokryte perkalem krzesło, obecnie zajęte przez spasionego pso-kota. – Snooky nie będzie miał nic przeciwko. – Thelma machnęła ręką w kierunku zwierzaka. – Zejdź z krzesła Snooky. Pozwól usiąść temu miłemu Panu.

Snooky nie poruszył się. Spoglądał na Rafe'a złowrogimi żółtymi oczami.

– Proszę go lekko popchnąć – doradziła Rafe'owi Thelma. – Snooky nie gryzie. – Ruszyła w stronę kuchni. – Mogę przynieść Panu piwo? Mam Starą Ziemię i jasne z Wysp Zachodnich.

Rafe popatrzył na nią. Thelma była ładną, młodą kobietą z figurą przypominającą kształty modelek, których zdjęcia zdobiły przednie okładki magazynów, które Rafe okrył w dolnej szufladzie biurka Austena. Pomyślał, że dziewczyna albo nie może znaleźć pasujących na nią ciuchów, albo lubi ubrania o rozmiar za małe. Jej różowa bluzka napinała się przy guzikach. Spódnica podjeżdżała wysoko na udach. Była tak bardzo opięta na wysokości pośladków, że na wysokości bioder formowały się zmarszczki.

Większą część dnia zajęło mu wyśledzenie byłej recepcjonistki Austena. Kiedy wreszcie odpowiedziała na jego telefon Rafe dowiedział się, że była na spotkaniu w sprawie pracy.

– Dziękuję – powiedział – wezmę jasne.

– Super. Zaraz wracam. Nie wiem jak ty, ale ja zawsze potrzebuję piwa czy dwóch po całym dniu szukania pracy. – Zniknęła w kuchni.

Rafe słyszał, jak otwiera i zamyka lodówkę w drugim pomieszczeniu. Przyglądał się uważnie pulchnemu pso-kotu, który najwyraźniej rozlokował się w bardzo wygodnej pozycji z wszystkimi sześcioma łapami schowanymi pod sobą.

– To krzesło nie jest wystarczająco duże dla nas dwóch Snooky.

Snooky wyciągnął pazury i obnażył kły. Po pokoju rozeszło się niskie warczenie.

– Bardzo imponujące Snooky. Ale mówiono mi, że ja sam jestem trochę prymitywny.

Snooky warknął.

– Zachowuj się Snooky – zawołała z kuchni Thelma. – Proszę się

nie przejmować Panie Stonebraker. Jest zupełnie nieszkodliwy.

Rafe uśmiechnął się do Snookiego.

– Ale ja nie.

Snooky zamrugał. Kły zniknęły.

Rafe nadal się do niego uśmiechał.

Snooky schował pazury. Pomruk przeszedł w miękkie skomlenie. Przewrócił się na grzbiet, wyciągnął w górę łapy i zaprezentował gardło.

Rafe westchnął.

– Nie cierpię, gdy tak się dzieje.

Podszedł do krzesła, sięgnął w dół i pogłaskał futrzasty brzuch pso-kota.

– Wiesz co, przydałoby ci się zrzucić trochę tych dodatkowych kilogramów zanim spróbujesz bronić swojego krzesła przed kimś innym Snooky.

Snooky ześlizgnął się z krzesła i zajął miejsce na sofie. Pojawiła się Thelma.

– Tu jest Pana piwo, Panie Stonebraker. A teraz proszę powiedzieć, co chciał Pan wiedzieć o doktorze Austenie?

– Czy pamięta Pani pacjenta imieniem Theo Willis?

– Willis? Pewnie. – Thelma zrzuciła buty, usiadła na sofie i położyła nogi na podnóżku. – Ale mam nadzieję, że nie chce mi Pan zadać jakiegoś bardzo osobistego pytania na jego temat?

– Oczywiście, że nie.

– Recepcjonistka synergistycznego lekarza psychologa nie powinna rozmawiać o pacjentach.

– Rozumiem.

– Tak między nami mówiąc, to Willis był prawdziwym wariatem, wie Pan? Doktor Austen mówił, że ten facet jest poważnym paranoikiem. Zwłaszcza, jeżeli chodzi o teorie spiskowe i tego typu rzeczy. Ale był nieszkodliwy. Było mi go żal. Wyglądało, że pod koniec znacznie mu się pogorszyło. Był naprawdę wzburzony, rozumie Pan? Nie byłam zaskoczona, gdy usłyszałam, że się zabił.

– Rozumiem. Szanuję fakt, iż nie chce Pani omawiać prywatnych spraw dotyczących diagnozy i historii leczenia synergistyczno-psychologicznego Pana Willisa – powiedział poważnie Rafe. – Dobrze wiedzieć, że w dzisiejszych czasach nadal istnieje poufność informacji przekazywanych na linii pacjent–doktor.

– Pewnie, że tak. I to właśnie do takich ludzi jak my, recepcjoni-

stek medycznych należy podtrzymywanie wysokich standardów.

– Ja z mojej strony jestem bardzo za to wdzięczny. Ale jak już mówiłem to nie jest pytanie o osobiste sprawy Willisa. Chodzi o kwestie związane z biurowymi procedurami.

– Co z nimi? – Thelma upiła łyk piwa.

– Próbuję się dowiedzieć, kto skierował Theo Willisa do doktora Austena.

Thelma przechyliła głowę w jedną stronę.

– Dlaczego chce Pan to wiedzieć?

– To sprawa poufna, ale biorąc pod uwagę Pani odpowiedzialny stosunek do tego typu rzeczy, myślę, że mogę bezpiecznie opowiedzieć Pani całą historię.

– O tak. – Spoglądała na niego z żywym zainteresowaniem.

Rafe chrząknął i zniżył głos. – Zostałem zatrudniony przez Stowarzyszenie Synergistycznych Psychologów w Nowym Seattle, aby zbadać problemy, jakie pojawiły się przy standardowej praktyce profesjonalnych skierowań na leczenie.

– Skierowań? – Thelma wyglądała na skonsternowaną. – Masz na myśli sytuacje, kiedy jeden lekarz przysyła pacjenta do drugiego lekarza?

– Tak. Najwyraźniej jacyś synergistyczno–psychologiczni terapeuci bez licencji, za opłatą fałszowali skierowania.

– Coo? – Thelma zmarszczyła brwi. – Po co ktoś miałby robić coś takiego?

– Stowarzyszenie wierzy, że to robota pewnych psychicznie niezrównoważonych osób, które podają się za terapeutów. – Rafe potrząsnął głową. – Mamy do czynienia z tego rodzaju sprawami dwa lub trzy razy do roku.

– Taak? Dziwne.

– A teraz wracając do sprawy, zakładam, że doktor Austen posłał notkę do swojego kolegi po fachu, który skierował do niego pacjenta?

– Jasne. Zwykle pisałam dla niego listy i dawałam mu do podpisania.

– Czy pamięta Pani, jak pisała ten dotyczący skierowania Theo Willisa?

– Nie.

Rafe zamarł. Był taki pewien, że to doprowadzi do czegoś ważnego.

– Masz na myśli, że nie pisałaś tego listu?

– Uch. Mam na myśli, że dr Austen powiedział mi, że zajmie się tym osobiście.

– Dlaczego miałyby to robić?

Thelma wywróciła oczami.

– Bo ten mały zboczeniec był absolutnie uradowany, że taka wielka szycha z synergistyczno-psychologicznego świata skierowała do niego taki trudny przypadek, jak ten.

To na chwile rozproszyło Rafe'a.

– Mały zboczeniec?

– Tak między nami i starym Snookiem, Austen interesował się niektórymi ze swoich pacjentek. Jedna z nich nawet chciała go pozwać do sądu. Twierdziła, że zahipnotyzował ją, żeby uprawiać z nią seks w gabinecie.

– Naprawdę?

Thelma wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie to był jedyny sposób, w jaki Austin mógł mieć w ogóle szansę na seks.

– Rozumiem. W kwestii tego listu z podziękowaniami, który napisał dr Austin...?

– A, tak, racja. Cóż, był naprawdę wniebowzięty, bo inny lekarz powiedział mu, że jego zdaniem Austen jest jedynym lekarzem w Nowym Seattle, który poradzi sobie z tym przypadkiem.

Rafe poczuł, że wreszcie wszystko układa się w logiczną całość. Przez jego żyły płynęło oczekiwanie. Nie zdawał sobie sprawy, że okazał to, aż do chwili, gdy Snooky nagle podniósł pyszczek znad łap i wydał niski skowyt.

Thelma poklepała zeszywniałego pso-kota.

– Bądź grzeczny Snooky.

Snooky nie zwrócił na nią uwagi i gapił się na Rafe'a.

– Kim był doktor, który skierował Willisa do Austena? – spytał Rafe.

– Nie wspomniałam Panu? Doktor Gilbert Bracewell z Laboratorium ParaSynergia.

Rafe wiedział, że w końcu znalazł połączenie, którego szukał od samego początku tej sprawy. Uśmiechnął się. Snooky zawył. Zerwał się z sofy i popędził jak szalony korytarzem.

Thelma zmarszczyła twarz w wyrazie zakłopotania.

– Co u licha wstąpiło w tego Snookiego? Nie biegał tak szybko do

wieków.

Godzinę później Rafe stał pośrodku małego saloniku Orchidei. Już się nie uśmiechał. Toczył walkę z białymi płomieniami wściekłości, które mogły go w każdej chwili pochłonać. Wiedział, że tego rodzaju gniew do niczego nie prowadzi. Musi go opanować. Jego jedyłą nadzieję było zamrożenie tej wściekłości, tak by mógł spokojnie pomyśleć.

Żeby mógł zapolować.

Przez otarte drzwi wpadł jak burza Selby.

– Co do jasnej synergii się tu dzieje? – Zatrzymał się nagle i dezorientowany zaczął rozglądać wokół siebie.

Rafe przyglądał mu się uważnie, gdy badał stan pokoju Orchidei. Selby zdawał się szczerze zdumiony widokiem wywróconego krzesła, zmiętego chodnika i roztrzaskanej wazy.

– Nie lubię, kiedy się mnie wzywa. – Selby zmrużył oczy zwracając wzrok z powrotem w kierunku Rafe'a. – Nie pracuję dla ciebie.

– Jestem tego świadomy. Ale pomyślałem, że może zechcesz się w to zaangażować.

– Zaangażować w co? – Selby machnął ręką w kierunku zabalganionego pokoju. – Co tu się stało? I co do cholery samochód mojej żony robi zaparkowany na krawężniku przez budynkiem?

– Dobre pytanie. Co samochód twojej żony robi zaparkowany na krawężniku przez budynkiem?

Selby zmarszczył gniewnie brwi.

– Nie mam czasu na jakieś gierki.

– Ja też nie. Ktoś porwał Orchideę.

Selbyemu opadła szczęka.

– Zwariowałaś?

– Myślę, że ktokolwiek ją porwał mógł też zabrać twoją żonę. Mam przecucie, że znalazła się w złym miejscu, o złej porze.

Selby gapił się na niego oniemiałymi, bezrozumnymi oczami.

– Ale... ale to niemożliwe. Dlaczego ktoś miałby...?

– To długa historia. Opowiem ci w drodze. – Rafe ruszył w kierunku drzwi.

– W drodze dokąd?

– Do siedziby głównej Centrum Badań ParaSynergia.

Selby zrobił pełen wahania krok, a potem przyrósł do ziemi.

– Nie rozumiem.

– Wiem. – Rafe zatrzymał się w drzwiach. – Musimy się zatrzymać przy moim domu. Muszę zabrać pewne rzeczy z komputera. Idziesz ze mną?

– Nie, dopóki nie wyjaśnisz mi kilku spraw.

– Takich jak?

Selby pozbierał się.

– Takich jak to, dlaczego nalegasz na udanie się do ParaSynergii. Jeżeli coś stało się mojej żonie, to musimy iść na policję.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli czas wzywać policję. Orchidea może przeżyć trochę czasu, bo Bracewell myśli, że jej potrzebuje. Ale Briana nie jest mu do niczego potrzebna. Może zdecydować pozbyć się jej tak szybko, jak to tylko możliwe.

Twarz Selbyego zastygła.

– O Chryste, o Chryste. Nie ośmieli się jej skrzywdzić.

– Nie zakładałbym się o to. Zabił już parę razy.

– O Chryste. – Selby zrobił pełen wahania krok w kierunku drzwi.

– Ale skąd wiesz, że zabrał Brianę do ParaSynergii?

– Nie jestem pewien, że to zrobił. Ale myślę, że to dobre miejsce na rozpoczęcie poszukiwań. – Rafe wyprowadził ich na zewnątrz w zachodzący zmierzch.

Selby potykając się przeszedł przez drzwi i automatycznie zamknął je za sobą. Jakby otumaniony podążył za Rafem schodami w dół do Icera i zajął miejsce pasażera.

Siedział gapiąc się przez szybę, kiedy Rafe zjeżdżał z krawężnika. Po chwili Selby zwilżył wargi.

– ParaSynergia to duża korporacja. Szanowane laboratorium. Na miłość boską, mam w tej firmie udziały.

– Możesz się ich pozbyć. – Rafe przyspieszył gładko na ulicy. – Ja pozbyłem się wszystkich udziałów, które posiadał Fundusz Synergiczny dziś rano.

– Co u licha każe ci wierzyć, że ktoś z ParaSynergii zabrał Brianę i Orchideę?

– Poza wieloma innymi rzeczami to – Rafe sięgnął do kieszeni i wydobył mały przedmiot, który znalazł na podłodze w mieszkaniu Orchidei. Podał go Selby'emu.

– To długopis. – Selby spojrzał w górę, bardziej skonsternowany niż kiedykolwiek przedtem. – Nie rozumiem. O co takiego chodzi z tym długopisem?

– Przyjrzyj mu się bliżej.

Selby zerknął na długopis, tak jak gdyby to był jakiś dziwny kosmiczny artefakt.

– O Chryste. Jest na nim logo ParaSynergii. Uważasz, że ktokolwiek porwał Brianę i Orchideę musiał go upuścić?

– Tak.

– Okup. Pewnie będą chcieli pieniędzy.

– Nie sądzę.

– O Chryste – Selby oparł się z powrotem o swoje siedzenie. – Co możemy zrobić?

Rafe skręcił gwałtownie na rogu ulicy i przyspieszył.

– Możemy znaleźć Orchideę i Brianę.

– ParaSynergia to ogromne laboratorium. – Selby kręcił głową w zdumieniu. – Jak mamy je znaleźć w tak dużym budynku? Zakładając, że w ogóle tam są.

– Jak już mówiłem, najpierw zatrzymamy się u mnie. Mam bardzo dużo informacji na temat ParaSynergii w pliku w bazie danych Funduszu Synergistycznego.

– Dlaczego miałbyś trzymać tego rodzaju informacje?

– Bo nigdy nie inwestuję w akcje, dopóki nie zrobię wyczerpujących badań. Mam wszystkie informacje o kampusie ParaSynergii, włączając w to plany laboratorium, układy mechaniczne, załogę. Mam też informacje o systemie zabezpieczeń.

Selby zamrugał kilka razy. Jego oczy zwięziły się za soczewkami okularów.

– Mój Boże. Już widzę, co masz na myśli mówiąc wyczerpujące. Czy zawsze robisz w ten sposób interesy?

– Zawsze.

– Nie żeby to było teraz ważne, ale powiedz mi coś. Czy mam jakiegokolwiek szanse na zebraniu corocznym Rady Rady Nadzorczej?

Rafe zawahał się.

– Nie.

– Udałoby mi się, gdybyś nie wrócił.

– Tak.

– Dlaczego wróciłeś?

Rafe zerknął na niego. – Nadszedł czas.

– Rozumiem. – Selby spoglądał przez szybę samochodu na gromadzące się cienie. – Wkrótce będzie ciemno. ParaSynergia zostanie zamknięta.

– Nie martw się – powiedział Rafe. – Najlepiej pracuje mi się nocą.

Do świadomości Orchidei najpierw dotarł zapach miejsca. Pamiętała go zbyt dobrze. Ten sterylny, mechaniczny zapach czystych pomieszczeń dominował w laboratoriach i korytarzach ParaSynergii. Pod tym zapachem krył się słaby odór chemikaliów i przyrządów. Silnie działająca klimatyzacja pozostawiała w powietrzu ślad stęchliżny i środków antyseptycznych.

Po jej ciele rozeszło się uczucie strachu. Po nim nastąpiła oczyszczająca fala gniewu. Pomyślała, że to ciekawe, iż zapachy mogą uruchomić tak silne emocje.

Następna rzeczą, którą zauważyła była temperatura w pokoju. Kilka stopni za niska, aby móc się czuć komfortowo. To również przywołało niemiłe wspomnienia. Nienawidziła tego miejsca.

Ktoś jęknął obok niej. Orchidea otworzyła oczy. Jej głowa pulsowała. Uświadomiła sobie, że to następstwo działania gazu znieczulającego.

Jasne światła laboratoryjne rzucały na nią blask z akustycznie wyciszzonego sufitu. Po swojej prawej stronie mogła dostrzec długą ladę laboratoryjną oraz przyrządy i instrumenty. Zdała sobie sprawę, że leży na małym, wąskim szpitalnym łóżku do przewożenia pacjentów.

Znowu ogarnął ją strach, na chwilę spychając na dalszy plan gniew. Niektóre z najbardziej niezrównoważonych talentów były tutaj przywożone z zamkniętego oddziału synergistyczno-psychiatrycznego na takich właśnie łóżkach.

Przez kilka sekund dziko walczyła, aż udało jej się usiąść. Ale kiedy próbowała zsunąć się z łóżka odkryła, że jej prawy nadgarstek jest przypięty do metalowej ramy za pomocą plastikowych kajdanek.

Przyływ adrenaliny pozwolił jej oczyścić trochę umysł.

Kolejny jęk przyciągnął jej uwagę. Spojrzała ponad ramieniem i zobaczyła Briane leżącą na drugim łóżku. Ona też była zabezpieczona za pomocą wyścielanych kajdanek.

– Briano? – Orchidea zniżyła głos do szeptu. – Briano, obudź się. Musimy się stąd wydostać.

Briana poruszyła się niespokojnie, jakby męczył ją zły sen.

– Briano.

Powieki Briany zatrzepotały, a następnie otworzyły się. Mrugnęła kilka razy ospale.

– Orchideo? – Jej głos brzmiał bełkotliwie.

– Tak, to ja. Nie mów zbyt głośno.

– Gdzie jesteście?

– W Centrum badawczym ParaSynergia. – Orchidea przyglądała się szerokiemu asortymentowi starannie ułożonego sprzętu na najbliższej ladzie laboratoryjnej. – Musimy znaleźć coś, czego możemy użyć do przecięcia tych kajdanek.

– Nie rozumiem.

– Zostałyśmy porwane. – Orchidei udało się ostrożnie ześlizgnąć łóżka. Przywarła do poręczy, kiedy nogi prawie się pod nią ugięły. – Nie sądzę, żeby ten łajdak chciał, żeby cię zabrali. Ale byłaś tam, kiedy po mnie przyszli.

– O kim ty mówisz? – Briana spytała w chwili, kiedy otworzyły się drzwi.

Orchidea odwróciła się z trudem. Znajoma postać pojawiła się w zasięgu jej wzroku. Pod jednym ramieniem upchnięta była podkładka do pisania.

– Panna Adams ma na myśli mnie, jak sądzę. – Gilbert Bracewell uśmiechnął się swoim radosnym, chochlikowatym uśmiechem. – Pozwoli Pani, że się przedstawię. Doktor Gilbert Bracewell. Dyrektor ds. badań, tutaj w ParaSynergii. Do Pani usług.

– Ty mały sukinsynu – Orchidea przywarła do łóżka. – Nigdy cię nie lubiłam.

– Naturalnie jestem zdruzgotany słysząc to, ale jestem pewien, że jakoś to przeżyję. – Gilbert zachichotał. – Jestem zachwycony, że znowu jesteś w ParaSynergii moja droga. Kiedy ty i reszta wycofaliście się z eksperymentów na lodowych pryzmatach zrujnowaliście większą część moich badań. Bardzo nieładnie z twojej strony. Ale z drugiej strony, zawsze miałaś buntownicze skłonności, prawda? Wygląda na to, że to główny komponent profilu paranormalnego lodowych pryzmatów.

Gilbert niewiele się zmienił w czasie ostatnich trzech lat, kiedy go nie widziała. Nadal był okrągły i pełen wigoru, a jego laboratoryjny fartuch był doskonale skrojony by pasować na jego korpulentną figurę. Uosabiał złośliwego elfa. Orchidea pomyślała, że powinien nosić długie, szpiczasto zakończone buty i czapkę z frędzlem.

Zauważyła w nim jednak jedną małą zmianę. Błysk w jego wesołych małych oczkach był zbyt jasny, wręcz nienaturalny.

Orchidea zadrżała. Wzięła kilka met-zen-synergistycznych oddechów, żeby się uspokoić.

– Zrobiłeś bardzo, bardzo głupią rzecz Gilly.

Przez jego twarzy o czerwonych policzkach przemknął wyraz rozdrażnienia.

– Nigdy nie okazywałaś mi szacunku właściwego osobie o mojej władzy i osiągnięciach. Ale zanim z tobą skończę moja droga, nauczysz się zwracać do mnie doktorze Bracewell. O tak, nauczysz się.

– Trudno jest szanować człowieka, który zrobił coś tak bezmyślnego, jak ty – Orchidea pomachała ręką w plastikowych kajdankach.

– Co każe ci myśleć, że ujdzie ci na sucho porwanie Briany i mnie?

Oczy Gilberta zamigotały.

– To każe mi tak myśleć, moja droga.

Sięgnął do kieszeni laboratoryjnego fartucha i wyciągnął długi, cienki obiekt przypominający małą latarkę. W świetle laboratoryjnych lamp lśnił on dziwnym, metalicznym blaskiem.

– Cóż, to daje nam odpowiedź na bardzo interesujące pytanie – powiedziała Orchidea. – To ty byłeś tym cymbałem, który zorganizował kradzież kosmicznego artefaktu.

– W rzeczy samej to ja, Panno Adams. – Gilbert spoglądał na srebrzysty relikw z wyrazem zafascynowanej dumy. – Dowiedziałem się o mocy relikw, kiedy przekonałem Pana Willisa, aby wrócił do ParaSynergii kilka miesięcy temu na kontynuację badań sprzed trzech lat.

– Theo nigdy nie wróciłby z własnej woli.

– Biedny Pan Willis bardzo potrzebował pieniędzy. Miał głupie marzenie o założeniu agencji ogniskującej specjalizującej się w lodowych pryzmatach. Zupełny nonsens, oczywiście. Ale kiedy zaoferowałem mu znaczącą sumę za pojedynczą, jednogodzinną sesję, niechętnie zgodził się wrócić.

– Nadal nie mogę sobie wyobrazić, że powierzył ci informacje o relikwie.

– Tak po prawdzie, ja też nie ufałem, że będzie zupełnie chętny do współpracy w czasie sesji. Więc kiedy tu przebywał pozwoliłem sobie użyć pewnego nowego leku, który nakłonił go do całkiem swobodnej wypowiedzi. Właśnie rozpoczął swoją pracę w laboratorium doktora Brizo.

– Masz na myśli to, że nafaszerowałaś go narkotykiem i wtedy powiedział ci, że jego zdaniem jeden z kosmicznych relikwów doktora Brizo ma jakąś prawdziwą moc?

– Tak.

– I naprawdę mu uwierzyłaś? Hhmmm.

Gilbert z dezaprobatą zmarszczył brwi tak, jakby go rozczarowała.

– Był pod wpływem leku moja droga. Powiedział mi prawdę.

– Może powiedział ci to, co uważał za prawdę. Jeżeli sobie przypominasz, to Theo miał parę synergistyczno–psychologicznych problemów.

– Bądź spokojna, że mówił prawdę. – Gilbert zachichotał. – W każdym razie wyjaśnił mi, że kiedy pracował z tym szczególnym reliktem wyczuł, że zawiera on pewną formę energii. Chciał przeprowadzić dalsze testy, zanim napisze raport. Widzisz, chciał być zupełnie pewny, bo bał się, że jego nowi współpracownicy pomyślą, że zwariował, jeżeli po prostu powie im, co podejrzewa.

– Theo Willis wcale nie lubił cię bardziej niż ja. Może powiesz mi, jak go namówiłeś do kradzieży reliktu dla ciebie? – Orchidea posłała mu drwiący uśmiech. – W końcu jesteś tylko niskiej klasy hipnotycznym terapeutą. Najwyżej klasa druga.

Przytyk zadziałał, tak jak się spodziewała. Ręka Gilberta zacisnęła się gwałtownie na podkładce. Ale szybko odzyskał opanowanie.

– To było całkiem proste moja droga. Działąłem rękami znacznie silniejszego terapeuty hipnotyzującego.

– Quentina Austena – wyszeptała Orchidea.

– Tak, w istocie. Kiedy odkryłem wartość reliktu, wiedziałem, co muszę zrobić. Ale nie mogłem zaryzykować, że ParaSynergia zostanie zamieszana w kradzież. Z pomocą mojego nowego narkotyku wzmacniającego efekty hipnozy przekonałem Pana Willisa, że dużo skorzysta z terapii. Pozwolił mi skierować się do doktora Austena.

– Austin użył hipnozy, aby zmusić Theo do kradzieży reliktu.

– Już to wszystko sobie wykombinowałaś, prawda? Masz rację. Co więcej z pomocą tego samego leku, o którym właśnie wspomniałem, doktor Austen był w stanie umieścić i wzmocnić w Panu Willisie szczególnie silną sugestię.

– Dlaczego Austen miałby ci pomagać?

Gilbert promieniał. – Bo właśnie miał stracić licencję na praktykę lekarską z powodu pozwu jednej ze swoich byłych pacjentek. Potrzebował wsparcia i wpływów, które mam w komisji dyscyplinarnej Stowarzyszenia Synergistycznych Psychologów w Nowym Seattle.

– Powiedziałaś mu, że jeżeli pomoże ci wykorzystać Theo do kradzieży artefaktu, to dopilnujesz, żeby nie stracił licencji, nie mam racji?

– Dokładnie.

– Kiedy już miałeś relikw, zaaranżowałeś morderstwo Theo.

Gilbert zmarszczył brwi.

– Naprawdę nie miałem wyboru. Założyłem, że pozbycie się Willisza zatrze ślad łączący ParaSynergię i skradziony relikw. Zresztą, zamierzałem wykorzystać inny niż Willis lodowy pryzmat, żeby pracować nad relikwem. Willis był zbyt nieobliczalny do poważnych badań.

Orchidea poczuła nagle, że ją mdli.

– Zamierzałeś użyć mnie, prawda? Dlatego wysyłałeś mi stale te listy ponagające mnie do powrotu do ParaSynergii na dokończenie badań.

– Tak. Miałem nadzieję, że nacisk ze strony twojej akademickiej rodziny z Northville przekona cię do powrotu do laboratorium. Ale jak zawsze udowodniłaś, że jesteś niezwykle uparta i niechętna do współpracy. – Gilbert uśmiechnął się. – Ach, no cóż, jesteś tu teraz i tylko to się liczy.

Orchidea zignorowała tą uwagę.

– Wynająłeś Pana Zadziwiającego i jego pryzmat, żeby zamordowali Theo, prawda?

– Właściwie to talent iluzjonistyczny, który nazywał siebie Panem Zadziwiającym sam zajął się wypadkiem samochodowym. Nie potrzebował pryzmatu do takiej prostej roboty.

– Ale sprawy zaczęły się komplikować, co?

– Zrobił się mały bałagan. – Pulchne palce Gilberta nerwowo bębniły w podkładkę. – Próba zniechęcenia Pana Stonebrakera zawiodła. To było naprawdę w najwyższym stopniu denerwujące. Wtedy przyszedł do mnie Austen. Był całkiem zrozpaczony. Powiedział, że tuż przed śmiercią Willis napisał list oskarżający go o zahipnotyzowanie i zmuszenie go do kradzieży relikwu. W liście twierdził, że zaaranżował wysłanie kolejnego listu do przyjaciela, z instrukcjami, żeby poszedł na policję, jeżeli coś mu się stanie.

– List do Morgana Lamberta – powiedziała miękko Orchidea.

– Zatrudniłem znowu Pana Zadziwiającego, aby odzyskał list i pozbył się Lamberta. On i jego pryzmat znaleźli list, ale ten głupiec zrobił kopię. Miał czelność szantażować mnie nią.

– Więc go zabiłeś i próbowałeś zabić pryzmat, który mu pomagał. Ale spieprzyłeś sprawę, co Gilly? Nie udało ci się zabić Crowdera.

– Sprawy wymknęły się trochę spod kontroli – przyznał Gilbert.

– Byłeś zdesperowany. Próbowałeś zaaranżować to tak, aby wy-

gładało, że Quentin Austen stał za kradzieżą i morderstwami. Wtedy jego również zabiłeś. Chciałeś, żeby wszyscy wierzyli, że w końcu stracił nerwy i popełnił samobójstwo.

– Nie całkiem tak było, ale jesteś blisko prawdy moja droga. Bardzo blisko, w rzeczy samej. Plan powinien być zadziałać. – Zmartwienie zniekształciło radosne rysy Gilberta. – Zadziała. Zobaczysz.

– Niedługo przyjdzie po mnie Stonebraker – Orchidea celowo uderzyła w melodramatyczny ton, który byłby bardziej odpowiedni dla aktora grającego w horrorze wyświetlanym późno w nocy. – Jest talentem strategicznym, Gilly. Wiesz, co to oznacza?

Gilbert uniósł brwi.

– Są raczej prymitywne z tego, co wiem.

– Bardzo prymitywne Gilly. Niektórzy ludzie nazywają ich łowcami. Rafe mnie znajdzie. A kiedy to zrobi Gilly, dopadnie cię i rozszarpie ci gardło.

Oczy Gilberta rozszerzyły się. Bezwiednie zrobił krok w tył. Orchidea pomyślała, że nie na darmo pisze romantyczne powieści o wampirach psychicznych.

Briana poruszyła się na łóżku.

– Mój Boże. Mam nadzieję, że właśnie dokładnie to zrobi, ty mały wredny robaku.

Twarc Gilberta pociemniała.

– Pan Stonebraker nie jest już zagrożeniem. Jeżeli się pojawi, to damy sobie z nim radę. Wszystko jest pod kontrolą w kwestiach bezpieczeństwa tu, w ParaSynergii.

– Uuch – Orchidea popatrzyła na niego. – Jeżeli w to wierzysz Gilly, to mam ładny most na Wyspach Zachodnich, który mogę ci sprzedać.

– Zamknij się – wysyczał Gilbert. – Zamknij się w tej chwili. I nie nazywaj mnie więcej Gilly. Mam już dosyć twojego szyderstwa i braku respektu. Nie wiesz, z czym walczysz.

– Nie jesteś wcale inny niż trzy lata temu Gilly. Jesteś nadal zawistny wobec ludzi, którzy mają więcej psychicznej mocy niż ty, prawda? Jesteś prawdziwym wariatem, jeżeli sądzisz, że ten kosmiczny relikwiarz pomoże ci wzmocnić twój talent.

– Niech cię diabli. Pokażę ci, co ten relikwiarz potrafi. – Gilbert wzmocnił uścisk na artefakcie – Więź.

– Marne szanse Gilly.

Gilbert podniósł podbródek. Metodycznie odłożył podkładkę na

laboratoryjną ladę, sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały pistolet.

– Więż, ty głupi mały lodowy pryzmacie, albo zabiję Panią Culverthorpe. Zanim policzę do trzech masz czas na podjęcie decyzji.

– Orchideo? – Briana szarpała się, żeby usiąść na krawędzi łóżka. Jej twarz wykrzywił strach. – Orchideo myślę, że on nie blefuje.

– Jeden – wysyczał Gilbert.

Selby gapił się na rozciągniętą sylwetkę strażnika, który właśnie upadł na ziemię z głuchym odgłosem.

– Zabiłeś go?

– Nie. Ale będzie przez chwilę nieprzytomny. – Rafe uklęknął na jednym kolanie przy strażniku z ParaSynergii. Pracując szybko rozebrał go z szykownego czarnego uniformu i butów. Usunął plastikowe kajdanki z czarnego paska i zapiał je na nadgarstkach strażnika. Potem wyciągnął krótkofalówkę.

Jak dotąd wszystko szło gładko. Być może zbyt gładko.

Plan zakładu ParaSynergii, który wydobył z komputera był dokładny. Miał nadzieję, że dane dotyczące systemu bezpieczeństwa również.

Rafe i Selby zostawili wóz zaparkowany na poboczu i po prostu weszli frontową bramą. Selby rozproszył uwagę strażnika powodzą pytań dotyczących przyjaciela, który pracował w ParaSynergii. Rafe zajął się resztą.

Podniósł się na nogi i włożył uniform ParaSynergii. Przypiął małe radio do paska.

– Gdzie się nauczyłeś, jak to robić? – w głosie Selbyego brzmiał zarówno podziw, jak i szok.

– Posługiwać się krótkofalówką? To nie takie trudne. Są powszechnie używane w magazynach Stonebraker i na przystani.

– Nie mówiłem o tym cholernym radiu. Każdy potrafi się nim posługiwać. Miałem na myśli to, co właśnie zrobiłeś ze strażnikiem. Sposób, w jaki zaszedłeś go od tyłu i objąłeś ramieniem jego gardło. Nie wydał żadnego dźwięku. Po prostu upadł.

– To nic wielkiego, Selby. Po prostu odciąłem dopływ krwi do mózgu na kilka sekund. On po prostu zemdłał, w pewnym sensie.

– Zemdłał? Tak to nazywasz?

– Właściwie, to meta–zen–synergistyczne ćwiczenie, logicznie rozumując.

– Myślałem, że te meta–zen–synergistyczne rzeczy dotyczą tylko

pokoju, harmonii i synergistycznej równowagi.

– Równowagę nie zawsze osiąga się za pomocą pokoju i harmonii. Czasem musisz trochę popchnąć pewne sprawy. – Rafe zaczął się odwracać w kierunku rzędu drzew.

– Czekaj chwilę. Jesteśmy w środku, ale jaki teraz mamy plan?

– Znajdujemy Orchideę i Brianę i wydostajemy je stąd.

– Tak po prostu, he?

Rafe stuknął w małe radio.

– Z pewną dozą szczęścia, co znacznie ułatwiłoby sprawy. Chodź, musimy iść. Nie mamy zbyt dużo czasu. Strażnicy odmeldowywują się regularnie, co jakiś czas. Kiedy nie zgłosi się raz do punktu dowodzenia ktoś przyjdzie go szukać.

Rafe prowadził między drzewami, które zaciemniały podobny do parku teren kampusu ParaSynergii. Światło księżyca rozlewało się po ziemi, jak rozlane mleko.

– Dobrze, że nie mają tu wilko-wyźłów do pilnowania terenu – wymamrotał Selby.

– Według danych dotyczących bezpieczeństwa doktor Bracewell nie lubi mieć w pobliżu zwierząt, oprócz tych, które są wykorzystywane w laboratorium. Są zbyt brudne.

– Dalej nie rozumiem, dlaczego ten jakiś Bracewell chciałby porwać twoją przyjaciółkę Orchideę.

– To długa historia. – Rafe zwiększył tempo. Teraz prawie biegł między drzewami. Jego zmysły były na tyle wyostrzone, na ile mógł sam sobie poradzić bez pomocy pryzmatu. Od czasu do czasu używał przebłysków energii psychicznej, aby zwiększyć świadomość na kilka sekund i zerkać na płaszczyznę psychiczną w poszukiwaniu Orchidei. Do tej pory nie otrzymał odpowiedzi na sondę, ale był pewien, że gdzieś tu jest.

Siedziba główna ParaSynergii funkcjonowała jako kryjówka dr Gilberta Bracewella. Według mapy z plików Funduszu Synergistycznego Bracewell praktycznie tu mieszkał. Miał małe mieszkanie w głównym budynku.

Rafe pomyślał, że Bracewell czuł się tu bezpiecznie, otoczony strażnikami i niepodważalnym prestiżem. Czuł, że ma nad wszystkim kontrolę. Człowiek, który jest na krawędzi szaleństwa chwytą się poczucia kontroli, tak jak tonący chwytą się liny.

– Nie tak szybko. – Oddech Selby'ego przyspieszył, gdy wyteżał siły próbując dotrzymać kroku Rafowi. – Ledwo cię widzę, nie wspo-

minając już o miejscu, dokąd zmierzamy. Nie pomogę w niczym, jeżeli wpadnę na drzewo.

Selby miał rację. Rafe wiedział, że nie może sobie pozwolić na pozostawienie swojego kuzyna błakającego się bez celu po zaciemnionym terenie. Niechętnie zmniejszył tempo.

Kilka minut później zatrzymał się na skraju drzew. Główny budynek ParaSynergii, Laboratorium A, był tak dobrze oświetlony powodzią zewnętrznych latarni, że prawie świecił. Doroczny raport twierdził, że pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale dziś w nocy wyglądał, jakby został zamknięty na okres świątecznego weekendu.

Rafe uważnie przyglądał się pozostałym dwóm, mniejszym, laboratoriom. Wydawały się równie ciche.

Wyczuwał pułapkę. Pytanie brzmiało tylko, kto ją zastawił? Dane biograficzne na temat dr Gilberta Bracewella z Funduszu Synergistycznego nie odmalowały jego portretu jako wielkiego stratega. Niemniej jednak Bracewell musiał być w jakiś sposób w to zaangażowany.

Selby zatrzymał się okok Rafe'a i spoglądał z desperacją na rzęście oświetlony budynek.

– Nigdy nie damy rady się tam dostać.

– Oczywiście, że damy radę. Potrzebujemy tylko drugiego uniformu.

– Jak u diabła mamy zdobyć drugi uniform? Powalić następnego strażnika?

Rafe popatrzył w kierunku służbowej drogi. Obserwował mężczyznę w niebieskim służbowym uniformie, który wyszedł bocznymi drzwiami z laboratorium B. Mężczyzna zmierzał w stronę vana zaparkowanego na parkingu za budynkiem. Napis na bocznych drzwiach vana głosił „Wydział Dozoru ParaSynergii”.

– Wydaje mi się, że znalazłem prostszy sposób – powiedział Rafe.

Rozdział 20

Orchidea zobaczyła błysk szaleństwa w oczach Gilberta. Zabił już więcej niż jeden raz. Nie było powodu przypuszczać, że zawaha się przed zastrzeleniem Briany. Poczowała sondę mocy psychicznej niskiej klasy.

– Dwa... – Gilbert zacieśnił chwyt na pistolecie. Odpowiedziała na sondę lśniącem, kryształowo czystym pryzmatem.

– Ach tak. – Twarz Gilberta odprężyła się w wyrazie aprobaty. – Wiedziałem, że będziesz rozsądna w tej sprawie, moja droga.

Niezdrowe fale energii zaczęły płynąć przez pryzmat. Orchidea walczyła z instynktownym impulsem, by zerwać więź. Jedyłą rzeczą, która czyniła doświadczenie znośnym był fakt, iż Gilbert Bracewell nie był zbyt silnym talentem.

– W porządku, masz swoją więź Dwu-wacie. Co teraz?

– Teraz to, moja droga. – Gilbert mocniej chwycił relik. Jego twarz napięła się, jakby zmagał się z podniesieniem jakiegoś wielkiego ciężaru. – Teraz zrozumiesz...

Bez ostrzeżenia jego niskiej klasy talent hipnotyczny zaczął rosnąć. Na platformie psychicznej Orchidea obserwowała najpierw z niepokojem, potem zaś z rosnącym przerażeniem, jak moc przelewająca się przez pryzmat intensyfikuje się. W kilka sekund skupiała ogromny, nacierający, uderzający talent psychiczny. Ciemna moc uderzała o pryzmat falami, które rosły w siłę z każdym uderzeniem jej serca.

– Relikt – zdołała powiedzieć – robisz to z jego pomocą.

– W rzeczy samej. – Uśmiech Gilberta był cierpki i pełen napięcia, ale jego oczy świeciły radosnym szaleństwem. – Artefakt jest pewnego rodzaju urządzeniem mechanicznym, które zwiększa moc psychiczną poszczególnych jednostek. Ale działa tylko wtedy, gdy moc skupiana jest przez pryzmat, który może się dostosować do dziwnej długości fal, które wytwarza ta kosmiczna maszyna.

– Lodowy pryzmat.

– Tak, moja droga. Lodowy pryzmat to jedyny rodzaj pryzmatu, który może z nim pracować. Bardzo silny lodowy pryzmat. Teraz widzisz, dlaczego jesteś dla mnie taka ważna Panno Adams?

W metapsychicznej rzeczywistości ciemna, niezdrowa energia wzrastała do nowego poziomu. Tym razem Orchidea wyczuła, że Gil-

bert nie wypróbować po prostu nowego poziomu swojego talentu psychicznego. On gromadził go w jakimś celu.

Przetoczyło się przez nią przerażenie. Z pomocą reliktu i jej unikalnych możliwości ogniskowania Gilbert stał się talentem hipnotycznym o monstrualnej sile. Prawdziwym wampirem psychicznym.

– Co zamierzasz zrobić? – spytała.

– Myślę, że to doskonała okazja do przeprowadzenia małego pokazu moich zwiększonych mocy psychicznych. Na Kurtynę, nikt już nie będzie mnie nigdy nazywał Dwu-watem Bracewellem.

Trzymał pistolet wycelowany w Briane, otwierając szufladę pod laboratoryjną ladą. Orchidea zastygła.

– Gilly, nic nie wiesz o relikcie. Nie można go bezpiecznie przetestować w tych warunkach.

– Ależ proszę mi zaufać Panno Adams. W końcu jestem dyrektorem wydziału badań tutaj, w ParaSynergii. Wiem, co robię.

Gilbert odwrócił się lekko, by pokazać przedmiot, który wyciągnął z szuflady. Zimne światła laboratoryjne zabłysły na parze nożyczek. Orchidea rozpoznała je jako narzędzie używane do cięcia przewodów i innych twardych przedmiotów.

Niosąc nożyce w tej samej ręce, w której przed chwilą trzymał relik, Gilbert przeszedł przez pokój w kierunku Briany siedzącej na brzegu łóżka. Uwolnił jej rękę z kajdanek z tworzywa jednym cięciem.

– Proszę to wziąć Pani Culverthorpe – wcisnął je w jej rękę. – I proszę spojrzeć mi w oczy.

Na Orchideę spłynęło olśnienie.

– Nie rób tego Briano. Nie patrz na niego.

Nadal oszołomiona skutkami działania gazu, którego użyto, żeby ją odurzyć Briana gapiała się bezmyślnie na nożyczki. Potem podniosła zdezorientowane spojrzenie na Gilberta.

Talent hipnotyczny przelał się przez pryzmat. Spojrzenie Briany zmieniło się z oszołomionego w szkliste.

– Co chcesz, żebym zrobiła – wyszeptała pozbawionym emocji głosem.

– To bardzo proste moja droga – Gilbert cofnął się o kilka kroków. Uśmiechnął się szeroko. – Weź nożyczki i wbij je w swoją klatkę piersiową.

– Nie! – Zdesperowana Orchidea próbowała zlikwidować pryzmat.

Nic się nie stało. Pryzmat był uwięziony w szponach wzmocnionej

energii psychicznej Gilberta. Nie mogła odciąć dopływu jego mechanicznie wzmocnionej mocy.

– Proszę się pośpieszyć Pani Culverthorpe. Wie Pani, nie mam na to całej nocy. Panna Adams i ja musimy niedługo opuścić to miejsce.

– Briano, nie! – krzyczała Orchidea. – Nie rób tego. Spójrz na mnie Briano. Nie patrz na tego głupiego małego elfa. Spójrz na mnie.

Ale Briana nadal spokojnie patrzyła na Gilberta, który odpowiadał jej czułym uśmiechem. Ciemna energia psychiczna okrażała i uderzała w pryzmat, zwiększając efekt hipnotyczny.

Briana podniosła nożyczki i wycelowała je w miejsce między pierściami.

– Ty bękarcie! – Orchidea patrzyła na Gilberta. – Nie rób tego. Pójdę z tobą. Pomogę ci przeprowadzać twoje eksperymenty. Ale tylko pod warunkiem, że w tej chwili to przerwiesz.

– I tak mi pomożesz moja droga. Mam cię teraz w swojej mocy.

Orchidea zobaczyła jak po twarzy Briany przebiega dziwny wyraz. Tak jakby jakaś część niej rozumiała, co zamierza zrobić i próbowała się temu oprzeć. Ale jej mięśnie stężały w oczekiwaniu, gdy celowała nożyczkami we własne serce.

Orchidea nie miała już zdolności zlikwidowania migoczącego lodowego pryzmatu. Ale nadal miała możliwość manipulowania nim.

Nie było sensu walczyć z kosmicznie skażoną mocą. Ale meta-zen-synergia uczyła, że każda moc zależy od niekończącej się walki o równowagę. Skoncentrowała się na mieniących się kryształowych, fasetkach pryzmatów.

Będzie miała tylko jedną szansę, aby zmienić synergistyczną równowagę. Jeżeli jej się nie uda, to Briana zginie. Delikatnie zaczęła zmieniać ognisko. Gwałtowna moc płynęła, sama ulegając przemianie.

W pierwszej chwili Gilbert nie uświadomił sobie, co się dzieje. Był zbyt zajęty koncentrowaniem się na rezultatach swojego strasznego eksperymentu.

– Orchideo? – Oczy Briany lekko się przejaśniły. Pochyliła się i gapiała na nożyczki wycelowane we własną klatkę piersiową. – Orchideo, co się dzieje?

Orchidea nie odpowiedziała. Była całkowicie skupiona na zadaniu zmiany ogniska poprzez fasetki pryzmatu. Gilbert nagle uświadomił sobie, że coś jest nie tak. Posyłał teraz przez pryzmat więcej

mocy niż kiedykolwiek przedtem, a Briana zaczęła opuszczać nożyczki. Wściekłość wykrzywiła jego podobną do gнома twarz.

– Co to jest?! – wrzeszczał. – Co się dzieje?!

Orchidea nadal manipulowała ogniskiem. Lustra, przypomniawszy sobie. Fasetki były maleńkimi psychicznymi lusterkami zaprojektowanymi do skupiania fal energii, w taki sposób, w jaki laser skupia fale świetlne.

– Przestań! – krzyczał Gilbert. – Przestań natychmiast.

Ale było za późno. Orchidea wyczuła dokładnie moment, kiedy próbował odciąć dopływ talentu. Ale nic się nie stało. Moc płynęła przez pryzmat ze zmienionymi właściwościami ogniskowania. Gilbert stał się teraz takim samym więźniem, jak Orchidea. Kosmiczny relikwiarz wyrwał się spod kontroli.

Powoli, nieuchronnie Gilbert opuszczał broń tak, że nie była już ona dłużej wycelowana w Briana. Skierował teraz lufę we własną pierś. Jego oczy nie migotały już złym blaskiem. Były rozszerzone pod wpływem przerażenia. Więcej mrocznego, szalejącego talentu hipnotycznego przepłynęło przez zmieniony pryzmat.

– Nie! – wrzeszczał Gilbert. – Nie!

Ale było już za późno. Ogarnięty swoim własnym, zwiększonym talentem hipnotycznym, który zwrócił się przeciwko niemu, pociągnął za spust pistoletu.

Wystrzał rozszedł się echem po zimnym, sterylnym pokoju. Broń upadła z brzękiem na wyłożoną kafelkami podłogę. Gilbert upadł na plecy. Orchidea patrzyła skamieniała, jak krew pokrywa przód jego doskonale uszytego fartucha laboratoryjnego.

Na płaszczyźnie psychicznej dopływ talentu został odcięty z zaskakującą gwałtownością. Orchidea była wolna. W pośpiechu zlikwidowała pryzmat. Nie było powodu przypuszczać, że kosmiczny relikwiarz może działać sam, bez pomocy talentu, który by go prowadził, ale nie było sensu ryzykować.

– Dobrze nieba – Briana gapiła się na leżącego Gilberta. – Zabił się.

Orchidea oderwała uwagę od przerażającej sceny na podłodze.

– Nożyczki. Daj mi je, żebym mogła przeciąć te kajdanki.

Briana spojrzała na nią.

– To ty go do tego zmusiłaś, prawda? W jakiś sposób odwróciłaś strumień jego talentu hipnotycznego.

– Tak. – Orchidea przysunęła łóżko bliżej Briany. – Jestem lodo-

wym pryzmatem. – Sięgnęła po nożyczki.

Briana w oszołomieniu potrząsnęła głową.

– Uratowałeś mi życie.

– Przynajmniej to mogłam zrobić, zważywszy na okoliczności. – Orchidea delikatnie zabrała nożyczki z dłoni Briany. – To moja wina, że się tu znalazłaś.

Przecięła obręcz z tworzywa, która przykuwała jej lewy nadgarstek do poręczy łóżka. Potem uwolniła Brianę.

– Co teraz zrobimy? – Briana ześlizgnęła się z łóżka. Przywarła do Orchidei, aby odzyskać równowagę.

– Teraz musimy się stąd wydostać. Możesz iść?

– Tak. – Briana z wyraźnym wysiłkiem próbowała zebrać się w sobie. – Tak, mogę chodzić, jeżeli to oznacza wydostanie się z tego miejsca.

Orchidea prowadziła je w stronę drzwi. Wyczuła czyjąś obecność po drugiej stronie, jak tylko je otworzyła, ale wtedy było już za późno.

Wysoki mężczyzna o surowej urodzie z piaskowo-brązowymi oczami i ostrym spojrzeniem brązowych oczu uśmiechał się do niej. Był ubrany w elegancko wyprasowany czarny uniform ozdobiony dużą ilością epoletów, guzików i szykownych kieszeni. Jego czarne buty lśniły. Dłoń w czarnej rękawiczce trzymała broń.

– Witaj Orchideo. Minęło trochę czasu. Tęskniłem za tobą.

Orchidea zdusiła w sobie krzyk. To nie broń w dłoni Calvina Hyda wzbudziła jej pierwotny strach. Zrobił to głód w jego głosie.

– Na twoim miejscu poszłabym do innego krawca Calvin. Ten uniform sprawia, że wyglądasz jak postać wyjęta z komiksu.

Nie przejął się tym.

– Będiesz szczęśliwa słysząc, że po dzisiejszej nocy będzie mnie stać na najlepszego krawca w Nowym Seattle.

– I co teraz? – Selby przycupnął w mroku biura dozorca i walczył z zatrząskami niebieskiego uniformu.

– Teraz zadam naszemu przyjacielowi kilka pytań. – Rafe uśmiechnął się do związanego mężczyzny leżącego na podłodze.

Dozorca, ubrany tylko w krótkie szorty i podkoszulek, wiercił się niespokojnie.

– Słuchaj, ja tu tylko pracuję, w porządku? Nie wiem, czego chcesz, ale wątpię, żebym mógł ci pomóc.

– Czy masz klucze do pomieszczenia ze sprzętem mechanicznym na końcu korytarza?

– No cóż, taaa, pewnie. Mam klucze do wszystkich pomieszczeń w budynku, z wyjątkiem tych, które znajdują się w strefie zakazanej.

– W takim razie możesz mi pomóc.

Dozorca gapił się na niego zdumiony.

– Ale w pomieszczeniu mechanicznym nie ma nic poza kupą zaworów i przełączników. Nie wiem nawet, który zawór służy do obsługi którego sprzętu.

– Nie martw się – powiedział Rafe. – To nie twój problem. – Zerknął na Selby'ego, który właśnie skończył zapinać ostatni zatrzask niebieskiego uniformu.

– Mam ze sobą talent techniczny.

Nadal dziko się uśmiechając Calvin użył lśniącego pistoletu, aby machnięciem zapędzić Orchideę i Briane z powrotem w kierunku łóżek. W oczy rzuciło mu się leżące na podłodze ciało Gilberta.

– No, no, no. Zadziwiasz mnie Orchideo. Myślałem, że jesteś zbyt meta–zen–synergistyczna na tego rodzaju rzeczy. Jak ci się to udało?

– Obchodzi cię to? – spytała Orchidea.

– Nieszczerólnie. – Calvin oparł się nonszalancko o długą laboratoryjną ladę. Broń trzymał skierowaną w stronę Orchidei i Briany. – I tak zamierzałem wkrótce pozbyć się starego Dwu–wata. Nigdy nie był zupełnie normalny, ale kompletnie oszalał po tym, jak Theo Willis opowiedział mu o tym cholernym artefakcie.

Briana przenosiła wzrok z Calvina na Orchideę i z powrotem.

– Kim jesteś?

– Pozwoli Pani, że się przedstawię, Pani Culverthorpe – Calvin skłonił głowę w szyderczym pozdrowieniu. – Calvin Hyde. Jestem szefem ochrony tutaj, w ParaSynergii.

Orchidea gapiła się na niego.

– Kiedy dostałeś tę pracę?

– Krótco po twoim odejściu przekonałem Bracewella, że mogę mu się znacząco przysłużyć. Przekonałem go, że mnie potrzebuje.

– Co masz z tej umowy, poza stabilnym zatrudnieniem?

Calvin zachichotał.

– Tak dobrze mnie znasz Orchideo. Odpowiedź jest taka, że to dla mnie bardzo lukratywny interes. Posiadam kilka tysięcy udziałów ParaSynergii, które oczywiście sprzedam zaraz rano, zanim ktokol-

wiek dowie się, że szef departamentu badań ParaSynergii nie żyje.

– Mądre posunięcie – wymamrotała Orchidea.

– Jestem talentem strategicznym, pamiętasz? Jesteśmy dobrzy w robieniu pieniędzy.

– Tak mówią.

Calvin popatrzył na ciało Bracewella i potrząsnął głową.

– To był niezły występ, póki trwał, ale wiedziałem, że nie wytrzymam już wiele dłużej. Bracewell robił się coraz bardziej szalony z każdym dniem.

– Szalony – powtórzyła ostrożnie Orchidea.

Calvin użył palca wskazującego, aby machnąć nim wokół ucha w starym, ogólnie znanym geście symbolizującym wariactwo.

– Naprawdę wierzył, że ten głupi artefakt zwiększy jego paranormalną moc. Myślał, że może się zamienić w prawdziwy wykraczający poza skalę talent, jeżeli tylko uda mu się zdobyć wystarczająco silny lodowy pryzmat, który pomógłby mu go kontrolować.

– Zdecydowanie, wariat – powiedziała szybko Orchidea.

– Ten człowiek był z pewnością szalony – zgodziła się z nią Briana niespokojnie zerkając na kosmiczny relikw, który nadal leżał na podłodze.

Orchidea zdecydowała, że nie byłoby zbyt mądre poinformować Calvina, że Gilbert miał rację w kwestii relikw. Nie było jak przemknąć się obok Calvina. Jej jedyną nadzieję było teraz kupienie sobie trochę czasu. Rafe'owi nie zajmie wiele czasu zorientowanie się, że coś się stało.

– Byłeś w to zamieszany od samego początku? – spytała Orchidea. Calvin nigdy nie grzeszył nieśmiałością, kiedy przychodziło do przechwalania się.

– Niestety nie. – Calvin skrzywił się z niesmakiem. – Gdybym był, to sprawy zostałyby załatwione o wiele bardziej skutecznie. Bracewell był z początku bardzo tajemniczy. Nie chciał żeby ktokolwiek, a już zwłaszcza ja, dowiedział się o relikwie.

– Zwłaszcza ty?

Calvin uśmiechnął się.

– Pewnie pomyślał, że ukradnę go i dwukrotnie zwiększę swoją moc. Tak jakbym potrzebował czegoś więcej, niż talent, którym obecnie dysponuje.

– Jedyną rzeczą większą od twego talentu jest twoje ego Calvin.

Oczy Briany rozszerzyły się z niepokoju. Calvin tylko się zaśmiał.

– Twoje poczucie humoru jest jedną z tych rzeczy, które lubię w tobie najbardziej Orchideo.

– Taa, jasne. Kontynuuj swoją opowieść.

– Nie wykombinowałem, co się dzieje aż do czasu, gdy Bracewell zabił ten talent iluzjonistyczny na Placu Ojców Założycieli.

– Skąd wiedziałeś, że Bracewell go zastrzelił?

– Byłem tutaj, gdy stary Dwu-wat wrócił tamtej nocy. Był bardzo roztrzęsiony, bo ktoś prawie złapał go, gdy próbował zastrzelić pryzmat. Wiedział, że stracił kontrolę nad sytuacją. Był przerażony. – Calvin prychnął. – Powiedział mi, że poczuł się, jakby ktoś na niego, tu zacytuje, polował.

– A ty zaoferowałeś, że pokierujesz za niego sprawami, czy nie tak?

– Przynależem mu, że za parę tysięcy udziałów w ParaSynergii posprzątam bałagan, którego narobił. Był już wtedy zdesperowany. Zaakceptował moją propozycję.

Orchidea zagryzła zęby.

– Więc to ty zepchnąłeś Quentina Austena z tego promu?

– Pewnie. Od razu zorientowałem się, że musimy się pozbyć Austena.

– To ty próbowałeś zastrzelić Rafe'a w lesie niedaleko Northville, prawda?

– Tak. To właśnie tego dnia widząc, jak się porusza uświadomiłem sobie, że toczę pojedynek z innym talentem strategicznym. – W złoto-brązowych oczach Calvina migotało zimne oczekiwanie. – Jedyny inny łowca, na którego natknąłem się w całym swoim życiu. Jest nas bardzo niewielu, wiesz.

– Wiem – wyszeptała Orchidea.

– Z niecierpliwością czekam na ponowne spotkanie z nim.

– Dlaczego tak ci na tym zależy? – spytała Orchidea.

– Nie zrozumiesz tego. Tylko inny łowca może zrozumieć wyzwanie konfrontacji mano-a-mano z drugim człowiekiem, który jest mi równy. To będzie pamiętny pojedynek. Ostateczny sprawdzian mojego talentu.

Orchidea zamrugnęła.

– Czekasz na możliwość zmierzenia się z polowaniem na Rafe'a?

– Dlaczego tak cię to dziwi? Zapewniam cię, że Stonebraker będzie tak samo cieszył się tą grą jak ja. Ma to we krwi.

– Jak zamierzasz zaaranżować pojedynek tutaj, w ParaSynergii?

Calvin posłał jej udawanie współczujące spojrzenie.

– Jeszcze nie rozumiesz? Wszystko już zostało zaplanowane.

– O czym ty mówisz? – chciała wiedzieć Briana.

Calvin rzucił jej krótkie, pozbawione zainteresowania spojrzenie.

– Stonebraker przybędzie tu za Orchidea, bo ona jest jego dziewczyną. Przyjdzie sam, bo taka jest jego natura. Kiedy się pojawi odkryje, że musi stoczyć walkę ze mną, aby odzyskać Pannę Adams.

– Ale prymitywne myślenie – wymamrotała Orchidea. – Wiesz co Calvin, faceci tacy, jak ty, psują reputację talentom strategicznym.

– Mówiłem ci, tylko inny talent strategiczny może docenić, jak do głowy uderza krew, gdy bierzesz udział w polowaniu na śmierć i życie, gdzie zwierzyna jest równie niebezpieczna jak łowca. – Calvin odetchnął głęboko. – Tylko inny talent strategiczny zrozumie prawdziwy zew dżungli. Euforię związaną z podchodami. Elementarną przyjemność zabijania.

Orchidea prawie spodziewała się, że z jego nozdrzy buchnie para. Poczowała niewidzialne pulsowanie silnie niezrównoważonego talentu psychicznego. Energia buczała wokół Calvina, niezdrowa, monstrualna, niebezpieczna. Zdecydowanie jeszcze mu się pogorszyło w czasie ostatnich trzech lat.

Uważała, by utrzymywać swoją własną energię psychiczną bezpiecznie obniżoną. Nie chciała ryzykować dania Calvinowi przyzmatu, aby mógł ogniskować swój talent. Jedno doświadczenie z wampirem psychicznym, to dosyć jak na jedną noc.

Calvin uśmiechnął się do niej. Mogła to być gra światła, ale mogłaby przysiąc, że zobaczyła błysk kłów. Włosy na jej karku zjeżyły się. Kątem oka zobaczyła, że Briana drży. Rozumiała tą bezwiedną reakcją. Przebywały w końcu w obecności bardzo niebezpiecznej draieżnej bestii.

– Wiesz, co Calvin? – powiedziała Orchidea. – Myślę, że przece-niasz zamiłowanie Rafe'a do polowań.

Uśmiech Calvina był niewesoły. W jego oczach migotało straszliwe podekscytowanie.

– Stonebraker i ja nie spotkaliśmy się nigdy poza tym jednym dniem w lesie, za Northville. Ale znam go lepiej niż ty, czy ktokolwiek inny. Obaj urodziliśmy się po to, by polować i zabijać. Dzisiejszą noc przeżyje tylko jeden z nas.

– Nie poganiaj mnie – Selby skoncentrował się na szerokim asor-

tymencie zaworów, które miał przed sobą. – To nie takie proste, wiesz?

– Podobno jesteś wysokiej klasy talentem technicznym. – Rafe skierował małą latarkę na zasadniczy pulpit sterowniczy. – Wykombinowanie, do czego służą te wszystkie wichajstry powinno być dla ciebie dziecinnie łatwe.

– Pracuję bez przyzmatu, pamiętasz? W ten sposób zabiera mi to więcej czasu. Muszę bardziej polegać na intuicji i wewnętrznym wyczuciu. A teraz zamknij się i daj mi pomyśleć.

Rafe zamknął się. Trzymając nieruchomo latarkę wysłał kolejną sondę psychiczną, szukając kontaktu z Orchideą. Nadal żadnej odpowiedzi. Ale wiedział, że ona tutaj jest. Czuł to.

– Dobra – powiedział po chwili Selby. – Myślę, że rozgryzłem większość z tych przewodów. Inhibitor ogniowy, ciepła i zimna woda i doprowadzenie galaretowatego lodu. Ale nie rozpoznaję tej czerwonej – poklepał zawór. – To linia z gazem, ale nie mam pojęcia, jakiego rodzaju jest to gaz.

Rafe przyglądał się symbolom wyrytym na zaworze.

– Chemia nie jest moją mocną stroną.

Selby zmarszczył brwi.

– Mogę odczytać symbole. One po prostu nie mają dla mnie żadnego sensu. Nie w tych proporcjach. Gdyby to był szpital to mógłby to być jakiegoś rodzaju środek znieczulający. Ale kto pompowałby środek znieczulający taką dużą instalacją. To nie ma sensu.

Rafe przypomniał sobie dane na temat systemu zabezpieczeń, które wy dobył ze swojego komputera.

– Myślę, że to system awaryjny. Jakiegoś rodzaju gaz używany do kontrolowania pacjentów, jeżeli staną się zbyt agresywni. To świństwo jest doprowadzone rurami do pomieszczeń na terenie całego budynku. To bardzo subtelne. Sprawia, że wszyscy wpadają w euforię, a potem zasypiają.

– To nawet ma sens.

– Kuzynie Selby myślę, że właśnie nas uratowałaś – powiedział Rafe. – Zanim użyjemy tego gazu musimy się dowiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się Bracewell i ten drugi facet i gdzie umieścili Orchideę i Briane.

– Kim jest ten drugi facet, o którym stale wspominasz?

– Gdzieś w pobliżu jest drugi talent strategiczny.

Selby rzucił mu ostre spojrzenie. – Skąd o tym wiesz?

– Po prostu wiem i tyle.

– Mówiłeś tego rodzaju rzeczy, kiedy byliśmy dziećmi. Wtedy też mnie to wkurzało.

– A jak myślisz ja się czułem, kiedy zawsze skończyłeś składać swoją nową zabawkę do samodzielnego montażu, zanim ja zdążyłem wyciągnąć moją z pudełka?

Calvin szturchnął kosmiczny relikwiarz czubkiem swojego lśniącego czarnego buta.

– Wiesz co, najzabawniejsze z tej całej sprawy jest to, że wszystko zaczęło się, ponieważ Bracewell naprawdę uwierzył, że to coś da mu jakiegoś rodzaju super moc psychiczną.

Orchidea wstrzymała oddech, kiedy sięgnął w dół, aby podnieść relikwiarz. Zerknęła na Brianę, która pełnymi udręki oczami spoglądała, jak Calvin podrzuca przedmiot lekko w powietrzu i zręcznie go łapie.

– Jak sam mówiłeś – wymruczała Orchidea – Bracewell był szalony.

– Taaa. Ale ja zostanę bogatym człowiekiem dzięki temu małemu bękartowi. To chyba oznacza, że jestem mu coś winien. – Usta Calvina wygięły się lekko, gdy popatrzył na ciało. – Szkoda, że już za późno, żeby się mu odwdzięczyć. Ale, hej, takie są reguły gry, prawda?

– Racja. Powiedz Calvin, czy zastanawiałeś się nad swoją, w pewien sposób, ograniczoną przyszłością? – spytała Orchidea.

– Po dzisiejszym wieczorze nie będzie żadnych ograniczeń w mojej przyszłości. Już ci mówiłem, zamierzam stać się bardzo, bardzo bogaty. – Zmarszczył brwi patrząc na zegarek. – Stonebraker powinien już być w środku.

Orchidea zdrętwiała.

– Skąd wiesz?

– W ten sam sposób, w jaki wiem, że przyjdzie. Zresztą ułatwiłem mu to. Dałem większości strażnikom wolne. Zostawiłem tylko kilku, żeby nie wzbudzić podejrzeń, ale większość z nich przydzielona jest do laboratoriów B i C.

– Jesteś tu w Laboratorium A zupełnie sam? – spytała Orchidea.
– Nie wierzą w to.

Calvin zachichotał.

– Znasz mnie, prawda Orchideo? Masz rację. Mam wsparcie. Dwaj mężczyźni, którzy przywieźli dziś wieczorem ciebie i Panią Cullerthorpe są w pobliżu. Mają oko na wejście do tego laboratorium.

Dałem im instrukcje, aby nie pokazywali się, chyba że coś pójdzie źle. Widzisz, nie chcę, żeby wtrącali się w dzisiejszą zabawę chyba, że stanie się to absolutnie konieczne.

Przez Orchideę przepłynęło uczucie pełnego zrozumienia.

– Zastawiłeś na Rafe'a pułapkę, prawda? To wszystko zostało zaplanowane z myślą zwabienia go tutaj po to, żebyś mógł na niego zapolować.

Calvin uśmiechnął się.

– Masz rację, dziecinko. Zgodziłem się na plan Bracewella, żeby cię porwać, bo wiedziałem, że mogę cię użyć jako przynęty do ściągnięcia tu Stonebrakera, żebym mógł polować na moim terenie. Znam tutaj każdy korytarz, każdy podziemny tunel, wszystkie zakamarki w tym budynku. I mam w zanadrzu dwóch ludzi czekających w bocznych skrzydłach na wypadek, gdyby coś poszło źle. Stonebraker nie ma szans.

– Myślałam, że to ma być równa walka pomiędzy dwoma talentami strategicznymi. Mano–a–mano. Uderzenie krwi do głowy, gdy bierzesz udział w ostatecznym pojedynku na śmierć i życie pomiędzy równymi sobie, etc, etc.

Zadźwięczał śmiech Calvina. Odbił się od stali nierdzewnej laboratoryjnej lady i rykoszetem od wyłożonej kafelkami ściany.

– Jestem talentem strategicznym, a nie głupcem.

Przebłysk świadomości wprowadził w mrowienie zakończenia nerwowe Orchidei. Sonda czystego, silnego talentu strategicznego. Rafe był gdzieś w pobliżu. Sonda pojawiła się i znikła, ale wiedziała, że za chwilę będzie znowu jej szukać. Bała się stworzyć dla niego pryzmat na wypadek, gdyby Calvin go przechwycił.

– Nie bądź tego taki pewien – wyszeptała Orchidea.

Calvin nadal obnażał zęby w okrutnym uśmiechu. – Jedynym czynnikiem ryzyka tutaj jesteś ty Orchideo. Wiem, że musisz się znajdować w niewielkiej odległości od talentu, żeby dla niego ogniskować. Zamierzam trzymać cię poza zasięgiem Stonebrakera. Ale jeżeli zbliży się do ciebie na tyle, żeby móc użyć cię jako pryzmatu, to będę musiał podjąć odpowiednie kroki, żeby temu zapobiec.

– Jakie kroki? – spytała Orchidea.

– Pierwszym będzie zastrzelenie obecnej tu Pani Culverthorpe.

Briana jęknęła. – Tylko nie to samo.

– Drugim krokiem będzie zastrzelenie ciebie, Orchideo. Naprawdę nie chcę tego robić, chyba, że będzie to absolutnie konieczne. Mam

plany co do nas dwojga. Ty i ja mamy do załatwienia pewien niedokończony interes. Naprawdę chciałbym cię zachować przy życiu jeszcze przez jakiś czas. Chcę, żeby Stonebraker patrzył, jak biorę jego kobietę na podłodze, na jego oczach.

Orchidea zebrała siły przeciw choremu pragnieniu, które krążyło w pokoju.

– Nie sądzisz, że jesteś trochę zbyt prymitywny, Calvin?

– Prymitywny – Calvin delectował się słowem. – Taaa, to właśnie ja.

Rozdział 21

Wszystko szło zbyt dobrze. Żadnych strażników w budynku. Dogodny dozorca z mnóstwem kluczy. Żadnych wezwań do odmeldowania się przez krótkofalówką strażnika przy bramie.

Sytuacja była zbyt wspaniała, żeby ją opisywać. Rafe czuł jak pułapka zamyka się wokół niego, ale nie mógł zrobić nic innego, jak tylko posuwać się naprzód. Orchidea była blisko. Był tego pewien. Dlaczego nie odpowiadała?

Spojrzał na Selby'ego, który nadal bawił się niektórymi panelami w pokoju ze sprzętem mechanicznym.

– Zaczekaj tutaj. Daj mi dziesięć minut na znalezienie ich, a potem włącz dopływ gazu do wszystkich pomieszczeń laboratorium w tym samym czasie. Ale pamiętaj, żadnego gazu w korytarzach, zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

– Zostaw gaz włączony przez trzy minuty, a potem odetnij dopływ.

Selby zerknął na niego.

– Na pewno wiesz, co robisz?

– Jestem talentem strategicznym, pamiętasz? Jestem dobry w tego rodzaju rzeczach. Naciśnij główny włącznik światła w budynku, jeżeli coś pójdzie źle. Zamrugaj raz. Rozumiesz?

– Światła? Dlaczego?

– To zręczny sposób powiadomienia mnie, że plan A już nie działa.

– A jest jakiś plan B?

– Zawsze jest jakiś plan B. – Rafe wydobyl mały pistolet z kabury przy kostce u nogi. – Muszę go tylko jeszcze wymyślić, to wszystko.

– Świetnie. Jak sam zamierzasz uniknąć efektów działania gazu? Część oparów może się przedostać na korytarze poprzez szczeliny wokół drzwi.

Rafe zmarszczył brwi.

– Nałożę na twarz kawałek materiału, czy coś takiego.

– To brzmi, jak plan sporządzony przez talent strategiczny. Trochę słaby w kwestiach najnowszych technologii. – Selby sięgnął po przyrząd o trójkątnym kształcie leżący na półce nad ich głowami. Zdjął go i podał Rafe'owi. – Może powinieneś wziąć jedną z nich ze

sobą?

Rafe wziął od niego dziwny przedmiot. – Co to jest?

– Maska gazowa – powiedział sucho Selby.

Rafe uśmiechnął się.

– Wiedziałem, że wy talenty techniczne możecie się do czegoś przydać.

Otworzył drzwi i wyslizgnął się na korytarz.

Jeszcze raz próbował szukać pryzmatu, ale znowu nie dostał odpowiedzi od Orchidei. W mózgu dzwonił mu ostrzegawczy dzwonek. Wmawiał sobie, że jest bezpieczna, bo Bracewell potrzebuje jej żywej. Ta sama logika działała w przypadku talentu strategicznego, który bez wątplenia widział ją w charakterze przynęty.

Na końcu korytarza Rafe skreślił w kolejny. Użył następnego niewielkiego przebłysku talentu, żeby sprawdzić, czy może pochwycić pryzmat Orchidei. Była gdzieś blisko. Czuł to w kościach. Zastanawiał się, czy była nieprzytomna. Bracewell mógł bez trudu naszpikować ją jakimiś prochami.

Obszedł zakręt z uniesionym pistoletem i ruszył wzdłuż kolejnego przejścia. Wysłał wiązkę talentu strategicznego. Przez chwilę jego zmysły otworzyły się szeroko. Strach zmroził mu żyły, kiedy zanotował charakterystyczny ślad krwi i śmierci. Zdawał sobie sprawę, że w tej chwili był tak bliski utraty kontroli nad sobą, jak jeszcze nigdy w całym swoim życiu. Przetoczył się przez niego palący gniew. Ale już po kilku sekundach wiedział, że krew nie była Orchidei. Nieznajomy leżał martwy gdzieś przed nim.

Zanim zdążyło spłynąć na niego uczucie ulgi jego wyostrzone zmysły wychwyciły ślady dwóch mężczyzn. Byli gdzieś za nim. To było prawie uspokajające. Prawdłowo zgadł. To była pułapka.

Rafe przylgnął płasko do ściany na końcu korytarza i spojrzał z powrotem w głąb długiego przejścia. Nikogo nie było w zasięgu wzroku. Ale oni tam byli.

Mógł ich wyczuć. Zapasowe wsparcie talentu strategicznego. Wysłał kolejną krótką falę talentu.

Złapał odległy, przelotny dźwięk. Dzwonienie przedmiotu o rury. Pomieszczenie awaryjne ze sprzętem.

– Cholera.

Przemknął się szybko z powrotem wzdłuż korytarza. Światła ponad jego głową nie zamrugały. Strażnicy musieli dotrzeć do Selby'ego zanim ten zdążył włączyć główny przełącznik. To by było na tyle,

jeżeli chodzi o plan A.

Calvin robił się niespokojny. Orchidea była zaskoczona. Była przyzwyczajona do cichego sposobu bycia Rafe'a i jego nieograniczonych pokładów cierpliwości. Ale Calvin nie dysponował tego rodzaju opanowaniem.

Nie opierał się już nonszalancko o laboratoryjną ladę. Zaczął krążyć. Od czasu do czasu Orchidea wyłapywała znamienne powiewy energii psychicznej i wiedziała, że sprawdza powietrze, szukając śladów Rafe'a.

Orchidea wymieniła spojrzenia z Brianą i zobaczyła, że ona również rozumie nadciągające niebezpieczeństwo.

– Powinien już tu być – Calvin dotarł do brzegu laboratoryjnego stołu, zawrócił i spojrzał na Orchideę. – To byłby niezły dowcip losu, gdyby się okazało, że przeceniłem jego zainteresowanie tobą, prawda?

– Niezły dowcip, zgadza się.

– Dam mu jeszcze dziesięć minut, a potem obawiam się, że będę musiał zacząć redukować straty. – Uśmiechnął się. – To oczywiście będzie oznaczało zabicie was obu.

Orchidea nie odezwała się. Briana również milczała.

Teraz posuwamy się do gróźb, pomyślała Orchidea. To prawdopodobnie niezbyt dobry znak.

– Cholera! – Calvin uderzał rączką pistoletu o nierdzewną stal ludy. Patrzył na Orchideę. – Gdybym tylko mógł cię wykorzystać jako pryzmat.

Orchidea przełknęła ślinę.

– Wiesz, że to nie zadziała. Mieliśmy na to dowody trzy lata temu. Nie mogę ogniskować dla twojego talentu, bo jest zbyt potężny.

– A jednak Bracewell wierzył, że możesz ogniskować dla tego głupiego artefaktu. – Calvin patrzył w zamyśleniu na stygnące na posadzce ciało. – Ciekawe, co go przekonało, że jesteś do tego wystarczająco silna?

Rafe czołgał się nad pomieszczaniem mechanicznym. Przysiadł na krawędzi jednej z sekcji obniżonego sufitu, który miał maskować rury. Spoglądał w dół przez otwór, który stworzył usuwając jeden z akustycznych paneli.

Poniżej dwóch mężczyzn w strojach strażników wychodziło z po-

mieszczenia awaryjnego ze sprzętem. Jeden z nich celował pistoletem w głowę Selby'ego.

Spadając w dół na plecy mężczyzny, który celował w Selby'ego pomyślał, że ofiary są niezwykle zabawne. Bardzo boją się cieni. Rozglądają się uważnie po kątach. Często zerkają przez ramię. Ale zdobycz rzadko, jeżeli w ogóle, spogląda w górę, wypatrując tego, co może tam na nią czekać.

Pierwszą wskazówką mówiącą Orchidei, że coś się zmieniło był fakt, iż Calvin przestał spacerować. Zamiast tego zaczął gwizdać. Popatrzyła na Briana.

Briana odpowiedziała jej uśmiechem. Zrelaksowanym, zdecydowanie radosnym uśmiechem.

Orchidea nagle uświadomiła sobie, że sama czuje się bardzo dobrze. W zasadzie, to była nawet zbyt szczęśliwa, biorąc pod uwagę trupa na podłodze i drugiego mężczyznę machającego bronią, jakby to była jakaś zabawka.

Zachichotała. I wtedy przypomniała sobie o gazie w suficie. Jak sprawiał, że wszystkie, nawet najbardziej niezrównoważone talenty, stawały się nienaturalnie wręcz radosne. Jak sprawiał, że wszyscy chcieli się zdrzemnąć. Rafe odkrył system zabezpieczeń.

Zaczęła się śmiać.

Calvin i Briana do niej dołączyli.

Kiedy Rafe chwilę później otworzył drzwi i wszedł do laboratorium, wszyscy wyli ze śmiechu na widok tego, jak zabawnie wyglądał w masce.

Calvin raz czy dwa spróbował wycelować broń w Rafe'a, ale ostatecznie upuścił ją na podłogę. To wywołało u niego kolejny atak śmiechu. Osunął się na podłogę obok porzuconego pistoletu i natychmiast zasnął. Rafe podszedł do Orchidei. Czują się bardzo senna, ale pozostało jej dosyć energii, żeby ponownie zachichotać na jego widok.

– Wiedziałaś, że po nas przyjdiesz.
– Miałaś rację – jego głos był dziwnie zniekształcony przez maskę.
– Powiedział, że będziesz chciał się z nim zmierzyć memo-a-mano – zachichotała. – To miał być pojedynek na śmierć i życie pomiędzy wami dwoma. Walka pomiędzy równymi sobie o to, kto jest najlepszym talentem strategicznym.

Rafe złapał ją, gdy zaczęła osuwać się na podłogę.

– Dlaczego miałbym chcieć załatwiać rzeczy w tak prymitywny sposób, gdy pod ręką jest miła alternatywa związana z nowoczesną technologią?

– Zawsze wiedziałam, że jesteś o wiele bardziej wyrafinowany niż Calvin. – Błogo odpływała w krainę snu. – Naprawdę cię kocham, wiesz.

– Cieszę się. – Rafe uniósł ją w ramionach. – Bo ja też cię kocham.

Uśmiechnęła się przytulając się do niego.

– To miłe.

– Wyjdź za mnie.

– Jasne. Dlaczego nie? – Zadowolona zamknęła oczy i zasnęła w jego ramionach.

Rozdział 22

Rafe wszedł do pokoju szpitalnego niosąc gazetę i duży bukiet różo–orchidei. Położył kwiaty na małym stoliku i spojrzął na Orchideę.

– Jak się czujesz? – spytał.

Nigdy w życiu, widząc kogoś, nie była tak szczęśliwa.

– Jakbym miała z wymiotować.

– Lekarz powiedział, że to częsty efekt działania jednego ze składników gazu znieczulającego Bracewella.

– Dobrze wiedzieć, że jest jakieś logiczne wytłumaczenie. A co z Brianą?

– Zajrzałem do niej, zanim tu przyszedłem. Czuje się dobrze. Jest z nią Selby. – Rafe przeszedł przez pokój, aby stanąć w nogach łóżka. – Zadzwoń do twojej rodziny. Są właśnie w drodze do Nowego Seattle. Twoi bracia również.

– Właśnie tego mi było trzeba.

Rafe uśmiechnął się i rozłożył poranne wydanie New Seattle Times.

– Daj im spokój. Jesteś na pierwszej stronie. To wystarczy, żeby zmartwić każdą rodzinę, nawet obsesyjną meta–zen–synergistyczną rodzinę.

– Pokaż mi to.

Orchidea oparła się na poduszkach. Wyrwała mu z ręki gazetę i zlustrowała wzrokiem nagłówki na pierwszej stronie.

„Dyrektor wraz z narzeczoną zatrzymują mordercę”

Przyszły Dyrektor Generalny Stonebraker Shipping, Rafael A. Stonebraker i jego narzeczoną, Panna Orchidea Adams odegrali zasadniczą rolę w pojmaniu dwóch mężczyzn, którzy według policji są odpowiedzialni za przynajmniej dwa, a możliwe, że nawet trzy morderstwa. Jedną z ofiar, doktor Quentin Austen...

– Nie musisz czytać całości – Rafe delikatnie zabrał gazetę z rąk Orchidei. – Mogę ci streścić artykuł.

– Co mówi o relikcie? – spytała.

– Nie ma wzmianki o kosmicznym artefakcie.

– Jak ci się to udało?

Rafe wzruszył ramionami.

– Po prostu leżał na podłodze. Podniosłem go i włożyłem do kieszeni.

Uczucie niepokoju przepłynęło przez Orchideę, na jakiś czas odrywając jej myśli od nudności.

– Słuchaj, to coś naprawdę działa. Było tak silne, że kiedy odwróciłam ognisko, talent hipnotyczny doktora Bracewella zwrócił się przeciwko niemu.

– Wiem. Budziłaś się kilkakrotnie w drodze do szpitala. Wszystko mi powiedziałaś.

– Naprawdę? – Zmarszczyła brwi, nie mogąc sobie przypomnieć nic od chwili, gdy zasnęła w jego ramionach. – W każdym razie Bracewell zabił się przez ten przedmiot. Jest bardzo potężny. I bardzo niebezpieczny.

– Już nie. Cokolwiek zrobiłaś odwracając przepływ energii wypaliło go.

Poszukała wzrokiem jego twarzy.

– Skąd o tym wiesz?

– Zabrałem to do Brizo. Powiedziałem mu do czego ten przedmiot może być zdolny. Wezwał lodowy pryzmat z zespołu w innym laboratorium. Przeprowadzili kilka testów.

– I co?

– Nie pozostały ślady jakiegokolwiek mocy w relikcie. Według teorii Brizo ten przedmiot nie został zaprojektowany do pracy z ludzką energią psychiczną. Podejrzewa, że w czasie tych kilku minut, kiedy był aktywny kombinacja twojej paranormalnej mocy i talentu Bracewella zniszczyła mechanizm.

– Co za ulga. – Orchidea odprężyła się opierając się o poduszki. – A co będzie jeżeli są inne artefakty, które zachowały jakąś moc?

– Brizo uważa, że to mało prawdopodobne. Jego eksperci są przekonani, że jedynym powodem, dla którego ten szczególny relikc nadal nosił śladowe ilości energii jest to, że był on zamrożony w galaretowatym lodzie przez tysiąc lat. Myślą, że lód w jakiś sposób zatrzymał w relikcie część paliwa. Cokolwiek to było, teraz już tego nie ma.

– Mam nadzieję, że ma rację.

– Na wszelki wypadek Brizo zamierza zwiększyć ilość ochrony wokół artefaktów. Od tej pory wszystko będzie testowane z pomocą lodowych pryzmatów.

Orchidea wyjaśniała.

– To na pewno podniesie lodowym pryzmatom stawki za ogniskowanie.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Rafe skrzywił się. Odwrócił się, żeby zobaczyć jak Clementine Malone wparadowuje do pokoju. Machała egzemplarzem New Seattle Times.

– Wszystko napisali źle! – zawyła Clementine. – Znowu! Nie mogę w to uwierzyć. Nawiasem mówiąc, to gdzie ci reporterzy chodzili do szkoły? Muszę zadzwonić do redaktora naczelnego Timesa. Tego rodzaju spieprzenie sprawy jest wy tłumaczalne raz, ale nie dwa razy.

– Co gazeta napisała źle? – spytała Orchidea.

– Ten idiota, który napisał artykuł podał, że jesteś agencyjną randką z Psynergii. Już drugi raz zrobili ten błąd. Mówiłam mu ostatnim razem, że nie jesteśmy agencją matrymonialną. Jesteśmy agencją ogniskującą.

– Było jeszcze nadal sporo zamieszania ostatniej nocy, kiedy na scenę wkroczyli dziennikarza – powiedział Rafe.

– Do diabła. Może sam powinieneś zadzwonić do Timesa – jęknęła Clementine. – Pewnie chcesz wyprostować tę pomyłkę tak samo, jak ja. Masz większe wpływy. Łap za telefon i powiedz temu zidiociałemu reporterowi, że nie żenisz się z Orchideą Adams. Powiedz mu, że wynajęłaś ją w bardzo ekskluzywnej agencji o nazwie Psynergia z powodu jej profesjonalnych usług ogniskowania.

Rafe spojrział na Orchideę.

– Ale ja zamierzam się z nią ożenić.

Clementine gapiała się na niego.

– Co tu się dzieje do jasnej synergii?

Orchidea znieruchomiała. Nie odrywała oczu od Rafe'a.

– Czy naprawdę miałeś na myśli, to co powiedziałaś zeszłej nocy?

– W przeciwieństwie do ciebie nie byłem pod wpływem gazu roz-weselającego Bracewella.

– Och.

– A ty? – spytał miękko. – Naprawdę powiedziałaś, to co myślisz? Możesz nie pamiętać...

– Pamiętam każde słowo. – Uśmiechnęła się. – I dokładnie każde słowo miałam na myśli.

– Chwila, moment, poczekajcie minutę. – Clementine umieściła ręce na opiętych skórą biodrach i popatrzyła najpierw na Orchideę, a potem na Rafe'a. – Czy mówicie to, co wydaje mi się, że mówicie?

- Tak – powiedzieli jednocześnie Rafe i Orchidea.
 - Ale nie zostaliście odpowiednio skojarzeni przez agencję matrymonialną – protestowała Clementine.
 - Wkrótce zostaniemy skojarzeni przez najlepszą agencję matrymonialną w mieście – powiedział Rafe. – Koneksje Synergistyczne.
 - Skąd o tym wiesz? – chciała wiedzieć Clementine.
- Orchidea uniosła brwi. – No właśnie, skąd o tym wiesz?

Rafe pomyślał o aktach Orchidei z Podobieństwa, które znalazł przeszukując biuro Gilberta Bracewella na krótko przed przyjazdem policji. Notatka dołączona do akt wyjaśniała wszystko. To Bracewell załatwił wydobycie akt od Podobieństwa. Poprosił o nie doradcę Orchidei pod pretekstem ich niezbędności przy realizacji bardzo szczególnego projektu badawczego. Będąca pod wrażeniem prośby od tak prestiżowego laboratorium i najwyraźniej onieśmielona żądaniem zachowania tajemnicy kobieta przesłała akta Bracewellowi.

Bracewell trzymał akta ukryte w swoim biurze. Miał plany w związku z Orchideą. Ostatnią rzeczą jakiej chciał, było skojarzenie jej z kimś, podczas gdy on realizował swój plan zdobycia reliktu. Pani konsultant, który dostarczyła akta, spodziewała się, że zostaną one szybko zwrócone. Ale Bracewell nigdy ich nie odesłał. Kobieta w końcu podjęła inną pracę w Nowym Vancouver.

Najwidoczniej w związku z niepokojem w sprawie sytuacji, którą stworzyła i lekko spóźnioną świadomością pogwałcenia zasad etyki, jakiego się dopuściła, nie wspomniała nikomu o statusie akt Orchidei.

- Po prostu to wiem – powiedział.

Rozdział 23

To był typowy meta-zen-synergistyczny ślub. Pan młody wystąpił w kolorze niebieskim. Panna młoda w żółtym. Gdy pojawili się ponownie po ceremonii, aby dołączyć do gości w ogrodach Posiadłości Stonebrakerów oboje ubrani byli w kolor zielony symbolizujący moc synergizmu.

Wieczór był łagodny. Bliźniacze księżycy świeciły w pełni na wieczornym niebie. Rzuciły złoty blask na odświętną scenerię.

- Czuję się naprawdę idiotycznie w tej zieleni – powiedział Rafe niskim głosem, kiedy wraz z Orchideą przechadzali się wśród tłumu.
- W porządku, może to rzeczywiście nie jest twój kolor. – Poma-

chała do swojej kuzynki Veronici, która rozmawiała z jej rodzicami. – Popatrz na jasną stronę tego wszystkiego. Musisz go nosić tylko raz w życiu.

Rafe uśmiechnął się z głęboką satysfakcją.

– To prawda.

Hobart Batt pojawił się przed nimi, ubrany w jasny, różowy garnitur i krawat. Zasalutował im kieliszkiem wypełnionym szampanem.

– Wszystkiego najlepszego, etc, etc, od Koneksji Synergistycznych – zarechotał.

Orchidea pomyślała, że Hobart musiał już wypić kilka kieliszków szampana.

– Dziękujemy Panie Batt.

– Wiem, że będziecie razem bardzo szczęśliwi. – Hobart pociągnął łyk i mrugnął. – W zasadzie myślę, że mogę to powiedzieć z dziewięćdziesięciu dziewięciu przecinek dziewięć procentową pewnością. Prawie idealne skojarzenie. Kto by pomyślał?

Rafe podwędził kanapkę z mijającej ich tacy.

– Na pewno nie ty.

Hobartowi udało się przybrać wyraz zranionych uczuć.

– Zaraz, chwileczkę, nie można mnie winić za to, że byłem odrobinę zaniepokojony. Talenty strategiczne są niezmiennie ciężkie do skojarzenia. A lodowe pryzmaty nie są wcale łatwiejsze. W dawnych czasach popełnialiśmy różnego rodzaju błędy. Ale nowe techniki są znacznie bardziej dokładne.

– Dobrze to słyszeć. – Rafe zacisnął palce wokół nadgarstka Orchidei. – Wybacz nam Pan, ale wydaje mi się, że moja babcia próbuje zwrócić moją uwagę. Prawdopodobnie chce, żebyśmy rozpoczęli pierwszego tango-walca.

– Oczywiście, oczywiście – Hobart odprawił ich machnięciem kieliszkiem z szampanem. – Och, zanim zapomnę, gratuluję nowej posady dyrektora generalnego Stonebraker Shipping, Proszę Pana. Widziałem nowiny w gazecie w zeszłym tygodniu.

– Dziękują Batt. – Rafe obrócił się na pięcie ciągnąc za sobą Orchideę i prawie zderzył się z Selbym i Briana.

Selby omiół taksującym spojrzeniem garnitur Rafe'a.

– Zielony zdecydowanie nie jest twoim kolorem kuzynie.

Briana przybrała zboląłą minę.

– Och, na miłość boską, mój drogi. Wiesz doskonale, że Orchidea

wychowywała się w Northville. Zielony jest nieodzowny na meta-ze-
n-synergistycznych ślubach. – Uśmiechnęła się do Orchidei. – Nie
zwracaj na niego uwagi. Oboje wyglądacie wspaniale.

Orchidea zaśmiała się.

– Dzięki. – Odwróciła się w stronę Selby'ego. – A jak tam plany
nowego zakładu rozwoju technologii transportowych w Stonebraker?

– Wszystko idzie zgodnie z planem. – Oczy Selby'ego zapłonęły
entuzjazmem. – Kwestie finansowania zostały już załatwione. Nowy
system komputerowy został już zainstalowany. Zatrudniłem w tym
tygodniu dwóch nowych szefów departamentów. Personel zajmuje
się rekrutacją młodych talentów technicznych na uniwersytetach...

– Musiałaś zapytać? – powiedziała Briana do Orchidei. – Jest taki
od czasu, gdy Rafe mianował go wice dyrektorem i zrobił szefem
działu rozwoju technicznego w Stonebraker.

Orchidea zobaczyła wyraz szczęścia na twarzy Briany i wiedziała,
że decyzja Rafe'a była słuszna. Nadal nie wiedziała, co dokładnie za-
szło pomiędzy Rafem i Selbym tamtej nocy w ParaSynergii. Cokol-
wiek to było, przywróciło synergię ich stosunkom.

– Wszystko, co muszę teraz zrobić, to namówić Rafe'a na przeka-
zanie dodatkowych środków na pełnowymiarowy tunel powietrzny –
dokończył radośnie Selby.

– Nie chcę słyszeć o żadnych tunelach powietrznych, aż do czasu
powrotu z mojego miesiąca miodowego – ostrzegł Rafe. – Chodź Or-
chideo. Babcia się niecierpliwi. Wydaje mi się, że właśnie wysłała Al-
freda G., żeby nas przyprowadził.

Poprowadził ją przez trawnik w stronę tarasu. Tłum zebrał się, a
następnie odsunął na bok, aby zrobić im miejsce. Zespół zaczął grać
tango-walca.

Orchidea zobaczyła swoich rodziców stojących na brzegu kręgu.
Uśmiechali się szeroko, kiedy wstępowała w ramiona Rafe'a. Cle-
mentine i Gracie Proud oraz Byron Smyth-Jones uśmiechali się do
nowo poślubionej pary. Na drugim końcu kręgu obserwatorów Lucas
Trent i jego żona Amarylis stali z Nickiem Chastainem i Gardenią.
Unieśli kieliszki w geście toastu, kiedy popłynęła muzyka. Wybuchły
oklaski, gdy Rafe zawirował z Orchideą długim posuwistym ruchem.

– Mam tylko jedno pytanie Panie Stonebraker – powiedziała Or-
chidea.

– Jakie Pani Stonebraker?

– Czy zmodyfikowałaś moją rejestrację matrymonialną tak, żeby

Hobart Batt mógł nas skojarzyć?

– To nie było konieczne. Po prostu dałem mu akta, które znalazłem w biurze Bracewella. Nietknięte i niezmienione.

– Sprawy mogłyby się trochę skomplikować, gdyby Hobart nie wywnioskował, że tworzymy idealną parę.

– Nie było szansy, że coś takiego się zdarzyło. – Rafe zajrzał jej w oczy z uśmiechem. – Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, wiedziałem, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Ha! Nie wierzę w to ani przez moment. Potrzebowałeś randki i popadałeś w desperację.

– Ach, ale głęboko w sercu, wiedziałem, że jesteś kobietą na którą polowałem... uch, to znaczy, której szukałem przez całe moje życie.

Uczucie szczęścia przepłynęło przez Orchideę jak migocząca fala.

– Co za zbieg okoliczności – powiedziała. – Ja też to wiedziałam. A co do naszego małego detektywistycznego hobby...

– Co z nim?

– Wiem, że nie będziemy mieli w przyszłości zbyt wiele czasu na tego typu sprawy, ale nie chciałabym, żebyśmy to całkiem zarzucili.

– Nie ma powodu, dla którego firma Stonebraker i Adams nie miałyby dalej działać na boku, kiedy najdzie nas ochota. – Rafe uśmiechnął się do niej, jego oczy błyszczały miłością. – Ale nie dzisiaj.

– Nie – zgodziła się Orchidea. – Nie dzisiaj.